

DANIELLE STEEL

Tata



DANIELLE STEEL

TATA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Śnieg padał wielkimi, lepкими płatkami. Tak jak w książce z obrazkami, którą kiedyś Sara czytała dzieciom. Siedziała przy maszynie. Wyglądała przez okno. Patrzyła, jak śnieg pokrywa trawnik, jak zwisa z drzew. Zupełnie zapomniała o opowiadaniu, które układała w głowie od samego rana. Ten widok za oknem był tak cholernie malowniczy. Taki śliczny. Wszystko wokół było takie piękne. Bajkowe życie w bajkowym świecie. Nawet ludzie wydawali jej się jak wyjęci z bajki. A ona nigdy nie chciała być taka jak oni. Teraz jest jedną z nich. Była jedną z nich od lat. I pewnie zawsze będzie.

Buntownicza Sara MacCromick, zastępczyni redaktora naczelnego w piśmie „Purpura”. Dziewczyna, która skończyła Radcliffe w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym na szczycie listy w swojej klasie i wiedziała, że jest inna. W końcu stała się jedną z nich. W ciągu jednej nocy. Może więcej niż jednej. Naprawdę zajęło jej to dwadzieścia lat.

Teraz jest Sara Watson. Panią Oliverową Wendell Watson. Mieszka w Purchase, w stanie Nowy Jork, w pięknym domu, który po czterech latach walki z kredytem hipotecznym może uznać prawie za swój. Ma troje dzieci i psa. Ostatni chomik zdechł rok temu. Ma też męża, którego kocha. Kochany, słodki Ollie. Dostał dyplom w Harvard Business School, gdy kończyła Radcliffe. Zakochali się w sobie, kiedy ona była na drugim roku. Stanowił jej całkowite przeciwieństwo. Był konserwatystą, a ona miała szalone pomysły. Wierzył w to, co próbowano wtedy zrobić w Wietnamie. Przez jakiś czas nienawidziła go za to. Nawet przestała się z nim spotykać zaraz po dyplomie. Upierała się, że zbyt się od siebie różnią.

Zamieszkała w SoHo w Nowym Jorku. Próbowwała pisać i naprawdę nieźle jej szło. Dwa razy wydrukowano jej tekst w „The Atlantic Monthly”, a raz, o mój Boże Przenajświętszy, w samym „New Yorkerze”. Była dobra i wiedziała o tym. Oliver mieszkał na przedmieściu z dwoma przyjaciółmi we wspólnym mieszkaniu przy Wschodniej Siedemdziesiątej Dziewiątej. Dzięki tytułowi magistra dostał całkiem niezłą pracę w agencji reklamowej na Madison Avenue. Chciała go za to znienawidzić, znienawidzić za ten jego konformizm, lecz nie potrafiła. Nawet wtedy wiedziała, że bardzo go kocha.

Marzył przy niej o mieszkaniu na wsi, o seterach irlandzkich, o czwórce dzieci, niepracującej żonie, a wtedy z niego żartowała. Wówczas uśmiechał się tym swoim niewiarygodnym chłopięcym uśmiechem, a jej serce biło coraz mocniej. Ale nawet wtedy, nawet wtedy udawała przed sobą, że tak naprawdę to pragnie mężczyzny o długich włosach, artysty... rzeźbiarza... pisarza... kogoś twórczego.

Oliver był na swój sposób twórczy i błyskotliwy. Ukończył chwalebnie Harvard, a to wszystko, co działo się w latach sześćdziesiątych, wcale go nie zmieniło. Kiedy brała udział w marszach protestacyjnych, wyciągał ją z aresztu, kiedy kłóciła się z nim - wręcz go wyzywała, on spokojnie i logicznie wyjaśniał jej, w co wierzy. I był tak cholernie porządny. Miał takie dobre serce. Pozostawał jej najlepszym przyjacielem, nawet wtedy, gdy ją złościł.

Spotykali się czasami w Village lub na przedmieściu, żeby się czegoś napić lub coś zjeść. Opowiadał jej, czym się zajmuje, i pytał, co ostatnio napisała. Wiedział, że jest dobra, ale nie potrafił zrozumieć, dlaczego nie może być jednocześnie twórcza i zameźna.

- Małżeństwo jest dla kobiet, które szukają oparcia. A

ja chcę sama o siebie zadbać, Oliverze Watson! - odpowiadała.

I wtedy umiała zadbać o siebie. Pracowała jako modelka dla galerii w SoHo i jako niezależna dziennikarka. Robiła na tym pieniądze. Czasami. A teraz często zastanawiała się, czy potrafiłaby zarabiać, wypełniać własne formularze podatkowe, sprawdzać ważność polisy ubezpieczeniowej. Po osiemnastu latach małżeństwa stała się tak bardzo od niego zależna. To on zajmował się wszystkimi drobnymi sprawami w jej życiu i większością spraw dużych. To była wegetacja w hermetycznie zamkniętym świecie, na którego straży stał zawsze ochraniający ją Ollie.

Liczyła na niego we wszystkim i coraz częściej ją to przerażało. A gdyby mu się coś stało? Czy poradziłabym sobie sama? Czy utrzymałabym dom, zarobiła na siebie i dzieci? Próbowwała czasami z nim o tym porozmawiać, ale on śmiał się tylko i mówił, że nigdy nie będzie musiała się martwić. Nie zbił fortuny, lecz szło mu nieźle. Jego poczucie odpowiedzialności zmusiło go do wpłacenia dużych sum na polisę na życie.

Na Madison Avenue było mu dobrze. W wieku czterdziestu czterech lat został trzecim po Bogu w firmie „Hinkley, Burrows i Dawson”, w jednej z największych agencji reklamowych w kraju. Zdobył dla niej cztery największe kontrakty. Był cenny dla firmy i szanowany przez kolegów. Należał przy tym do najmłodszych wiceprezesów w reklamie. Sara była dumna z niego - i przerażona jednocześnie. Co ona tu robi, w małym ślicznym Purchase? Patrzy na padający śnieg, czeka na powrót dzieci do domu i udaje, że pisze opowiadanie. Opowiadanie, które nigdy nie będzie napisane, nigdy ukończone, niczego nie zmieni... tak jak to było z innymi, które próbowała napisać przez ostatnie

lata.

Postanowiła wrócić do pisania w przeddzień swoich trzydziestych dziewiątych urodzin. Dla niej była to ważna decyzja. Te urodziny wypadły okropnie. Nawet gorzej niż czterdzieste, kiedy to mówiła przygnębiona, że trzeba się pogodzić z nieuchronnym losem. Zresztą na czterdzieste urodziny Oliver zabrał ją na miesiąc do Europy. Starsze dzieciaki były na koloniach, a teściowa zaopiekowała się Samem. Miał wtedy dopiero siedem lat i Sara po raz pierwszy zostawiała go samego.

Przyjazd do Paryża... Dla niej jakby otworzyły się bramy raj. Nie było dzieci, psów, zebrań komitetu rodzicielskiego, obiadów i koncertów na cele charytatywne. Nikogo... Tylko ich dwoje... Cztery niezapomniane tygodnie w Europie. Paryż... Rzym... podróż samochodem przez Toskanię... krótki postój na włoskiej Riwierze... a potem kilka dni na wynajętej łódce... żeglowanie między Cannes i Sain - Tropez... jazda do Eze i Saint - - Paul - de - Vence... kolacja w Colombe d'Or... na koniec kilka szalonych dni w Londynie. W czasie podróży bezustannie gorączkowo gryzmoliła. Zapełniła siedem notatników. A gdy wróciła do domu... nic... Nic z tego nie chciało się ułożyć, ani w opowiadanie, ani w artykuł czy choćby wiersz... Tylko siedziała, gapiąc się na notesy i czystą kartkę papieru w maszynie. Ma czterdzieści jeden lat, a czuje się tak, jakby całe życie było już za nią. Oliver się z niej śmieje, gdy mu o tym mówi.

- Na Boga, Sarrie, nie zmieniłaś się ani trochę od naszego pierwszego spotkania.

I on rzeczywiście w to wierzy. Jest w tym trochę prawdy, ale nie do końca. Ona, a i ci wszyscy, którzy chcieliby być krytyczni, mogliby zauważyć różnicę.

Błyszczące ciemnorude włosy, kiedyś opadające na plecy pasmami miedzianego blasku, straciły swą barwę. Teraz było w nich kilka smug srebra, lecz bardziej przejmowały się tym dzieci niż ona. Ciemnoniebieskie oczy pozostały takie same. Tętniły życiem i humorem. Aksamitna cera była wciąż gładka i tylko gdzieś pojawiły się maleńkie ślady przemijania czasu. Oliver twierdził zresztą, że dodają jej twarzy uroku. Była ładną kobietą, tak jak kiedyś śliczną dziewczyną, wysoką i smukłą o dobrej figurze i delikatnych dłoniach. Jej poczucie humoru pokochał od razu, podobnie jak jej śmiech, odwagę, wściekły upór, by trzymać się tego, w co wierzy. Kiedy była młoda, niektórzy uważali, że jest nie do zniesienia. Ale nie Ollie. On nigdy. Lubił jej sposób myślenia, mówienia o czymś, lubił też to, co mówiła. Ich związek opierał się na wzajemnym szacunku i trosce o siebie. W łóżku też im było ze sobą dobrze. Zawsze było, teraz też. Czasami Oliver myślał nawet, że po dwudziestu latach jest lepiej. I w pewien sposób było lepiej. Znali się nawzajem doskonale. Stali się gładkim drewnem, dotykany i pieszczony tysiące razy przez kochające dłonie. Sprawiała to czułość prawdziwego oddania.

Dokładnie dwa lata zajęło Oliverowi przekonywanie jej, żeby się pobrali. Po burzliwych dniach w SoHo, w wieku dwudziestu trzech lat została panią Oliverową Watson. Opierała się i wahała przez cały czas. Odmówiła udziału w tradycyjnym ślubie. Zostali związani węzłem małżeńskim w ogrodzie przy domu jego rodziców w Pound Ridge, a jej rodzice i młodsza siostra przyjechali z Chicago. Sara, ubrana w jasnoczerwoną suknię i ogromny kapelusz - prawdziwe cacko, wyglądała raczej na dziewczynę z okładki niż na pannę młodą. Bardzo szczęśliwi, pojechali w podróż poślubną na Bermudy. Pogoda była ohydna, ale nie

zauważyli tego. Śmiali się i leżeli w łóżku do późnego popołudnia, przychodzili tylko do jadalni na posiłki. Potem z pospiechem wracali do pokoju, chichocząc jak dzieci.

Trzy tygodnie później Sara była w znacznie gorszym humorze. Mieszkali w małym mieszkaniu przy Second Avenue, w budynku pełnym stewardes i młodych kierowników, którzy zamieniali życie całego domu w nieprzerwane przyjęcie. Kiedy Oliver wracał z pracy, wyglądała jakby umarł jej najbliższy przyjaciel. Ale nie chodziło o przyjaciela, tylko o coś innego. Była zaskoczona brakiem okresu zaraz po podróży. Tak bardzo ufała swemu gumowemu kapturkowi, że była absolutnie pewna, iż nie jest w ciąży. Przecież nosiła go nieprzerwanie dzień i noc, od stopni ołtarza do postawienia walizek po powrocie. Coś jednak poszło nie tak i była w ciąży. Chciała ją usunąć. Oliver przeraził się, że mogła o tym w ogóle pomyśleć. Ale Sara była bardziej od niego przerażona, że może mieć dziecko tak prędko.

- Przecież jeszcze nie chcemy mieć dużej rodziny. Chcę iść do pracy... robić coś...

Myślała o staraniu się o pracę w czasopiśmie literackim, gdyż jej opowiadania nie sprzedawały się już tak dobrze. Złożyła również podanie o przyjęcie do Columbia Graduate School, żeby popracować nad magisterium. Tuż przed ślubem porzuciła pracę w galerii, gdyż codzienne dojeżdżanie do SoHo byłoby bardzo niewygodne.

- Możesz potem iść do pracy - mówił Oliver.

Przekonywał, uspokajał, pocieszał, pochlebiał, robił wszystko co mógł, by poczuła się lepiej. Nie dawała się pocieszyć. Każdego wieczora, gdy wracał do domu, nagle ogarniał go strach: „A jeśli to zrobiła?... Jeśli poszła do kogoś, kiedy on był w biurze... usunęła ciążę...” Ale nic nie

zrobiła. Może była na to zbyt chora, zbyt wyczerpana, zbyt przygnębiona, aby choć spróbować... A gdy się ocknęła, objęła się po mieszkaniu, chodząc jak kaczka i zastanawiając się, jak mogła do tego dopuścić.

Oliver za to był zachwycony. Ciągłe mówił o tym, że chce mieć czworo dzieci. Nawet jeśli mieliby głodować, to on nie zgodziłby się na usunięcie płodu. To było ich dziecko. Ich własne. Na długo przed narodzeniem już je kochał.

Benjamin Watson pojawił się z jasnorudą czupryną i wyrazem zdziwienia w jasnych oczach dokładnie w dziewięć miesięcy i trzy dni od ślubu swoich rodziców. Ciągłe płakał i był bardzo podobny do matki ku ogromnemu zadowoleniu Olivera, zachwyconego, że ma syna i na dodatek wierne odbicie Sarah.

Benjamin przypominał Sarę nie tylko z wyglądu. Miał jej zdecydowanie, upór i porywczosć. Były takie dni, kiedy myślała, że go zaraz udusi, zanim zjawi się w domu Oliver, żeby ich oboje uspokoić. W kilka minut po jego powrocie dziecko gruchało uszczęśliwione, śmiało się, bawiło, wołało „a kuku!” Oliver krążył po mieszkaniu z synkiem w ramionach, a Sara opadała na krzesło z westchnieniem i szklanką wina w dłoni, zastanawiając się, jak ona to przeżyje.

Macierzyństwo z całą pewnością nie było dla niej. Za małe mieszkanie doprowadzało ją do szaleństwa. Kiedy była brzydka pogoda, co w tamtym roku zdarzało się często, i nie mogli wyjść, zdawało jej się, że krzyki dziecka odbijają się od ścian i że za chwilę zwariuje. Oliver chciał, aby wyprowadzili się z miasta do własnego domu, ale wtedy to marzenie było nierealne. Nie stać ich było na to. Sara zaproponowała, że pójdzie do pracy. Kiedy jednak zaczęli liczyć, okazało się, że wszystko, co by zarobiła, i tak poszłoby na opłacenie opiekunki. Mieliby tyle samo

pieniędzy, co przedtem. Jedyłą pozytywną stroną pójścia do pracy byłoby atrakcyjne dla Sary wyrwanie się z domu, ale Oliver uważał, że dla niej najważniejsze powinno być przybywanie z dzieckiem.

- Głupie gadanie, Ol. Czego ty ode mnie chcesz? Żeby tu siedziała cały dzień i mówiła do siebie? Słuchała jego wrzasków?

Czasami myślała, że już dłużej tego nie zniesie. A perspektywa czwórki dzieci, której on nadal chciał, wywoływała w niej samobójcze myśli.

Jej rodzice mieszkali w Chicago i nie byli zbyt pomocni. A jego rodzice, mimo najlepszych chęci, też nie na wiele się przydawali. Matka Olivera miała tylko jedno dziecko, wiedza o tym, jak sobie radzić z niemowlęciem, jakoś uleciała jej z pamięci. Na dodatek przebywanie z Benjaminem w jednym miejscu bardzo ją denerwowało. Choć nie tak, jak denerwowało Sarę. Wreszcie dziecko przestało płakać. Gdy zaczęło chodzić, już znacznie mniej przerażało Sarę. Koniec kłopotów...

Wynajęli na lato dom na Long Island. „Za rok będę mogła posłać go do przedszkola... Jeszcze jeden rok i już będę prawie wolna... będę mogła wrócić do pisania...” Przestała już myśleć o pracy. Chciała napisać powieść.

Wszystko zaczęło się już jakoś układać, gdy złapała grype, najgorszą ze wszystkich gryp. Po miesiącu chorowania była pewna, że umiera. Nigdy przedtem nie czuła się taka chora. Było jej ciągle zimno. Tak kasłała, jakby miała gruźlicę. Od kaszlu, od rana do nocy, było jej niedobrze. W końcu, po czterech tygodniach walki, zdecydowała się na wydatek i poszła do lekarza. Miała grype i jeszcze coś. Spodziewała się drugiego dziecka. Tym razem nie było gniewu, wściekłości, oburzenia czy ataków furii. Tym razem

była tylko rozpacz. I godziny, długie godziny płaczu. Nie może znowu tego robić. Nie może... Nie może zajmować się drugim dzieckiem. Benjamin jeszcze nie wyrósł z pieluch... a teraz będzie ich dwoje...

To wtedy widziała Olivera po raz pierwszy przygnębionego... Nie wiedział, jak ją przekonać. Jak za pierwszym razem, był zachwycony samą myślą o drugim dziecku, ale gdy mówił jej o tym, płakała jeszcze bardziej.

- Nie mogę, po prostu nie mogę, Ollie, proszę, nie zmuszaj mnie...

Znowu klócili się o aborcję... Raz udało jej się prawie go przekonać. Zagroziła mu, że jeśli się nie zgodzi, to ona zwariuje. Ale w końcu namówił ją. Dostał podwyżkę, gdy była w połowie ciąży. Wydawał wtedy każdy dodatkowy grosz na wynajęcie kobiety na przychodne na trzy popołudnia w tygodniu. Była Irlandką, a w jej rodzinie wychowywało się trzynaścioro dzieci. Właśnie ktoś taki był potrzebny Sarze. Znowu mogła wychodzić z domu, siedzieć w bibliotece, spotykać się z przyjaciółmi, zwiedzać galerie i muzea. Zaczęła się cieszyć z istnienia Benjamina. Raz czy dwa zabrała go do muzeum. Jej samopoczucie ogromnie się poprawiło. A Oliver wiedział, że chociaż nigdy by się do tego nie przyznała, zaczęła niecierpliwie czekać na drugie dziecko.

Melissa urodziła się, gdy Benjamin miał dwa lata. Oliver zaczął poważnie myśleć o przeprowadzeniu się na wieś. Prawie w każdy weekend oglądali różne domy w Connecticut i w końcu stwierdzili, że ich na to nie stać. Próbowali i w Westchester, i na Long Island. Zanosilo się na to, że bez końca będą oglądać domy w weekendy. Byli w Pound Ridge, Bronxville, Katonah i wreszcie, po roku, w Purchase znaleźli to, czego szukali. Stary dom, w którym nikt nie mieszkał od dwudziestu lat. Wymagał mnóstwa pracy.

Była to część dużej posiadłości. Dostali ją prawie pół darmo. I choć musieli oszczędzać, ograniczyć wydatki i wykonać większość prac własnoręcznie, to już po roku przemienili ruderę w prześliczny dom, z którego oboje byli bardzo dumni.

- To nie oznacza, że będę miała więcej dzieci, Oliverze Watson! Dla niej mieszkanie na przedmieściu było wystarczająco dużym poświęceniem. A przysięgła sobie, gdy jeszcze chodziła z Oliverem, że nigdy się nie wyprowadzi z Nowego Jorku. Lecz nawet ona musiała przyznać, że tak było znacznie lepiej. Wynajmowanie mieszkania przy Second Avenue nie miało sensu, a wszystkie większe, które oglądali w mieście, były za małe i idiotycznie drogie. W Purchase dzieci miały własne pokoje. Były także: ogromny, lecz przytulny salon z kominkiem, biblioteka, którą z zamiłowaniem wypełniali książkami oraz kuchnia z dwiema ścianami z cegieł, ciężkimi drewnianymi belkami na suficie i staromodnym piecem, który Sara uparła się odnowić. Były tam ogromne wykuszowe okna, wychodzące prosto na wyczarowany przez nią ogród. Kiedy gotowała, mogła przez nie patrzeć na bawiące się dzieci. Przed przeprowadzką na wieś Irlandka odeszła, i to nawet dobrze się złożyło, bo nie było ich wtedy stać na pomoc domową.

Gdy Benjamin skończył trzy lata i poszedł do przedszkola, a potem poszła również Melissa, Sara powiedziała sobie, że wróci do pisania. Ale jakoś wciąż nie było na to czasu. Zawsze miała coś do zrobienia. Pracowała społecznie w miejscowym szpitalu, jeden dzień w tygodniu spędzała w przedszkolu, robiła zakupy, odwoziła i odbierała dzieci, sprzątała dom, prasowała koszule Olliego i zajmowała się ogrodem. Była to zadziwiająca odmiana jak na byłą redaktorkę „Purpury”. Śmieszne, ale dla niej to nie miało

żadnego znaczenia. Kiedy wyprowadzili się z Nowego Jorku, to było tak, jakby zostawiła tam część siebie. Tę część, która ciągle walczyła i nie mogła się pogodzić ani z małżeństwem, ani z macierzyństwem. I tak zaczęła należeć do tego małego spokojnego świata, jaki ją otaczał.

Spotykała się z innymi kobietami, które miały dzieci w tym samym wieku. W weekendy grali w brydża i w tenisa ze znajomymi małżeństwami. Praca społeczna wymagała coraz więcej czasu.

Jej miotanie się i walka o siebie zostały dawno zapomniane. Jej pisanie też. Nawet już za nim nie tęskniła. Miała wszystko, czego chciała. Pracowite, szczęśliwe życie z mężem i dziećmi.

Wspomnienie o wrzeszczącym niemowlęctwie Benjamina powoli blakło, gdyż stał się on słodkim, pogodnym dzieckiem, podobnym do Sary nie tylko z wyglądu. Benjamin podzielał także wszystkie jej zainteresowania i pasje. Na swój sposób był lustrzanym odbiciem Sary. Oliver to dostrzegał i bawiło go to. I Sara, chociaż rzadko się do tego przyznawała, pochlebiało to podobieństwo i cieszyło ją.

Melissa też była słodkim dzieckiem. Sprawiała mniej kłopotów niż Benjamin w jej wieku i pod wieloma względami przypominała swego ojca. Miała beztrudny uśmiech i radosne podejście do życia. Nie żądała zbyt wiele dla siebie od żadnego z nich. Uszczęśliwiała ją samo chodzenie za matką, z książeczką, lalką czy układanką w rączce. Czasami Sara zupełnie zapominała o jej obecności. Córeczka miała jasne włosy Olivera i zielone oczy, choć tak naprawdę nie była do niego podobna. Bardziej przypominała swoją babkę, co złościło Sarę, gdy wspominali o tym jej teściowie.

Sara i matka Olivera nigdy się nie zaprzyjaźniły. Pani Watson wcześniej i szczerze powiedziała jedynemu synowi, co sądzi o Sarze, zanim młodzi się pobrali. Uważała ją za upartą, wymagającą dziewczynę, która za wszelką cenę będzie dążyła do swoich własnych celów. Pani Watson zawsze się bała, że pewnego dnia Sara okrutnie skrzywdzi Olivera, choć na razie była dla niego dobrą żoną, co pani Watson niechętnie przyznawała do męża, gdy ten stawał w obronie synowej. Sara czuła, że starsza pani ją obserwuje, jakby czekając na jakieś potknięcie, jakiś fałszywy krok, okropne niepowodzenie, które w końcu udowodni, że miała rację. Jediną radością, jaka je łączyła, była dwójka dzieci. Pani Watson wprost je uwielbiała, a Sara kochała tak, jakby ich pragnęła od samego początku.

Pani Watson pamiętała synowej, że kiedyś chciała je usunąć. Oliver nigdy matce o tym nie powiedział, ale ona wyczuwała, co się dzieje, nawet jeśli jej nikt nic nie mówił. Ta inteligentna, spostrzegawcza kobieta doskonale wiedziała, że Sara będąc w ciąży wcale nie czuła się szczęśliwa ani nie cieszyła się z Benjamina, gdy był niemowlęciem. Z drugiej strony nawet pani Watson musiała przyznać, że Benjamin nie należał do łatwych dzieci. Ją też wyprowadzał z równowagi nieustанныm krzykiem.

Teraz o wszystkim zapomniano. Dzieci rosły, a Sara i Oliver kwitli, oboje bardzo zajęci i szczęśliwi. Wyglądało na to, że Sara porzuciła w końcu swe ambicje literackie, które pani Watson zawsze uważała za trochę przesadzone.

- To dobra dziewczyna, Phyllis. Nie bądź dla niej taka surowa. Była bardzo młoda, kiedy się pobrali. I to dzięki niej Oliver jest taki szczęśliwy... - Mąż zawsze do wszystkiego podchodził znacznie spokojniej niż ona.

- Wiem... ale mam takie uczucie, że ona chce czegoś

więcej, czegoś, co jest na razie poza jej zasięgiem, za co jednak pewnego dnia Oliver dużo zapłaci... - Było to bardzo przenikliwe spostrzeżenie.

George Watson pokręcił głową z pobłażliwym uśmiechem.

- Oliver sobie z nią poradzi.

- Nie jestem pewna, czy będzie chciał. Wydaje mi się, że pozwoli jej wziąć wszystko, czego ona zechce, bez względu na cenę, jaką miałyby zapłacić. Taki już jest. - Uśmiechnęła się łagodnie do męża. Kochała go już prawie czterdzieści lat - lat, które były zbyt cenne, by je liczyć. Dawno temu stali się sobie tacy bliscy. Jedno ciało, jedna dusza. Nie mogła sobie przypomnieć czasów, kiedy go nie było. - Jest zupełnie taki jak ojciec. Za dobry. W rękach nieodpowiedniej kobiety może to być bardzo niebezpieczne. - Zawsze troszczyła się o syna i mimo upływu tylu lat wciąż nie ufała Sarze.

Komplement został zauważony. George uśmiechnął się do swojej pani, a jego spojrzenie wciąż wywoływało w niej dreszcz.

- Uwierz jej choć trochę, Phyllis. Nie zraniła w niczym naszego chłopca. Dała mu, i nam też, dwoje wspaniałych dzieci.

Naprawdę były wspaniałe i choć żadne z nich nie przypominało za bardzo z wyglądu swego ojca, to oboje mieli coś z jego urody. Oliver był wysoki, zgrabny i wysportowany. Miał gęste, proste blond włosy, których mu zazdrościły wszystkie matki, kiedy był jeszcze dzieckiem, i wszystkie dziewczyny, kiedy poszedł do college'u. Sara rzadko mówiła mu o tym, bo nie chciała go wbijać w dumę, ale wielokrotnie słyszała, że Oliver Watson to najprzystojniejszy mężczyzna w Purchase. Przez sześć

miesiący w roku był opalony na ciemny brąz, a jego zielone oczy wydawały się błyszczeć figlarnie i uśmiechać się. A co więcej, był zupełnie nieświadomy swojej urody, przez co stawał się bardziej atrakcyjny.

- Jak myślisz, czy będą mieli więcej dzieci, George? - Phyllis często się nad tym zastanawiała, ale nigdy nie ośmieliłaby się spytać syna, a już na pewno nie spytałaby Sary.

- Nie wiem, kochanie. Wydaje mi się, że życie, jakie prowadzą, jest już bardzo wypełnione. A teraz nigdy nie wiadomo, co się zdarzy. Oliver pracuje w takim niepewnym zawodzie. Reklama to nic stałego, jak na przykład bankowość, kiedy byłem młody. Na nic nie można liczyć. Pewnie to rozsądniejsze, z ich punktu widzenia, aby nie mieć więcej dzieci...

George Watson mówił w ten sposób od roku. Żył już dość długo, by widzieć, jak wiele z jego inwestycji, które wydawały się takie solidne, nagle zaczynało marnieć. Koszty utrzymania rosły w zadziwiającym tempie. On i Phyllis musieli być bardzo ostrożni. Mieli mały domek w Westchester, kupiony z piętnaście lat temu, kiedy Oliver kształcił się w college'u. Wiedzieli, że już nie będzie przyjeżdżał do domu na dłużej, tak że straciło sens utrzymywanie ogromnego domu w New London.

George martwił się bez przerwy o ich finanse. Nie znaczyło to w żadnym razie, że byli biedni, ale jeśli oboje pożyją jeszcze przez dwadzieścia pięć lat, co przy ich pięćdziesięciu dziewięciu i sześćdziesięciu dwóch latach może się zdarzyć, a on miał nadzieję, że im się zdarzy, to ich oszczędności bardzo się zmniejszą. Właśnie odszedł z banku i dostawał przyzwoitą emeryturę. Poczył wiele mądrych inwestycji w ciągu ostatnich lat, ale i tak ostrożności nigdy za

wiele. To właśnie powtarzał Oliverowi przy każdym spotkaniu. Sporo już widział w swoim życiu, przeżył jedną wielką wojnę i kilka mniejszych. Walczył w Guadalcanal i miał dość szczęścia, żeby to przetrwać. Miał dwanaście lat w roku dwudziestym dziewiątym - w czasie wielkiego kryzysu, i widział, jak brutalna okazała się recesja. Widział wzloty i upadki przez te wszystkie lata. Chciał, żeby jego syn był ostrożny.

- Nie wiem, dlaczego mieliby chcieć więcej dzieci - dodawał. Sara zupełnie się z nim zgadzała. Była to jedna z niewielu spraw, na które ona i George Watson mieli absolutnie to samo spojrzenie. Kiedykolwiek ten temat się pojawiał, często w łóżku, późno w nocy, albo w czasie spaceru w odległym zakątku lasu w Purchase, zawsze mówiła Oliverowi, że to bez sensu nawet się nad tym zastanawiać.

- Dlaczego mielibyśmy chcieć więcej dzieci, Ollie? Melissa i Benjamin dorastają. Nie sprawiają kłopotów, mają już własne sprawy. Za parę lat będziemy mogli robić to wszystko, na co mamy ochotę. Po co wracać do tych samych zmartwień? - Drżała na samą myśl o tym.

- Tym razem nie byłoby tak samo. Moglibyśmy pozwolić sobie na kogoś do pomocy. Nie wiem. Wydaje mi się, że pewnego dnia moglibyśmy żałować, że nie mieliśmy więcej dzieci...

Patrzył na nią czule, ale Sara udawała, że niczego nie widzi.

- Dzieciom by się to nie podobało. Benjamin ma siedem, a Melissa pięć lat. Małe dziecko byłoby intruzem. Musisz pomyśleć i o nich. Im też jesteśmy coś winni.

Była tak pewna siebie, tak zdecydowana, że nie chce, iż tylko się uśmiechnął. Wziął ją za rękę, gdy wracali do samochodu. Właśnie wtedy kupił pierwszego mercedesa. Nie

wiedziała jeszcze o tym, ale miał zamiar podarować jej na Gwiazdkę futro. Już je wybrał u Bergdorfa Goodmana i zlecił wyhaftowanie jej monogramu.

- Ty, oczywiście, nie chcesz. Jesteś tego pewna? - Jak zwykle był rozczarowany.

- Jestem pewna.

I była. Nie widział sposobu, żeby namówić ją na kolejne dziecko. Miała trzydzieści jeden lat i podobało się jej takie właśnie życie, jakie prowadziła. Całe dni spędzała na pracach komitetu rodzicielskiego, odwoziła dzieciaki do szkoły, przywoziła ze szkoły, odprowadzała je na zbiórki skautów i na lekcje tańca. Wystarczy.

Co za dużo, to niezdrowo. Mieli dwoje dzieci, dom na wsi z ogrodzeniem z metalowych prętów, kupili nawet setera irlandzkiego rok temu. Nie mogła dać z siebie więcej, nawet jemu.

- Co myślisz o zabraniu dzieci na narty po Bożym Narodzeniu? - spytał, gdy wsiedli do samochodu.

Święta lubił spędzać w domu. Uważał, że wtedy w domu jest najprzyjemniej, a poza tym chciał sprawić radość swoim rodzicom. Rodzice Sary gościli jej siostrę z dziećmi na każde Boże Narodzenie. A rodzice Olliego mieli tylko ich. Zresztą Sara nie płonęła chęcią jeżdżenia do Chicago na wakacje. Raz pojechali i narzekała potem przez trzy lata. Siostra ją złościła, a z matką nigdy za bardzo się nie zgadzały.

- To byłoby wspaniale. Dokąd? Do Vermontu?

- A jakby trochę więcej szaleństwa tym razem? Co sądzisz o Aspen?

- Mówisz poważnie? Musiałeś dostać straszną górę pieniędzy w zeszłym tygodniu.

Udało mu się ściągnąć do agencji najpoważniejszego

klienta w historii firmy. Jeszcze jej nie powiedział, jaką premię dostał. A byli tak bardzo zajęci w tym tygodniu, że nie zdążyła zapytać.

- Wystarczy na odrobinę luksusu, jeżeli tylko masz na to ochotę. Moglibyśmy też zostać na ferie w domu, a jeśli chcesz - wybrać się tylko we dwójkę, kiedy dzieciaki wrócą do szkoły. Moja mama mogłaby przyjechać i zająć się nimi. - Już zostawała z wnukami parę razy. Teraz, gdy były starsze, szło jej to znacznie lepiej. - Co o tym sądzisz?

- To po prostu cudowny pomysł! - I uściskała go. Skończyło się na całowaniu w nowym samochodzie, pachnącym męską wodą kolońską i nową skórą.

Zrobili i to, i to. Pojechali z dziećmi do Aspen na tydzień między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, a miesiąc później tylko we dwoje na siedem romantycznym dni na Jamajce. W Round Hill mieli willę wyłącznie dla siebie z widokiem na Montego Bay. Ze śmiechem wspominali swój miesiąc miodowy na Bermudach, kiedy to prawie nie wychodzili z pokoju i z trudem udawało im się na tyle wytrzymać w jadalni, żeby coś zjeść. Te wakacje tak bardzo się od tamtych nie różniły. Grali w tenisa, pływali, wylegiwali się na plaży każdego ranka, za to późnym popołudniem kochali się namiętnie, korzystając z samotności. I na cztery noce z sześciu zażądali przyniesienia kolacji przez służbę hotelową do willi. Była to najbardziej romantyczna podróż ze wszystkich, jakie razem odbyli.

Po powrocie z Jamajki czuli się jako nowo narodzeni. Wciąż zadziwiała Sarę, że tak namiętnie go kocha. Znała go od dwunastu lat, była jego żoną od ośmiu, a odnosiła wrażenie, że ich miłość nie słabnie, i było oczywiste, że Oliver czuje to samo. Kochał się z nią z zapałem osiemnastolatka, a co ważniejsze, uwielbiał godzinami z nią

rozmawiać. Seks zawsze im się udawał. Ich poglądy już tak bardzo się nie różniły, nie były tak skrajne, jak kiedyś. Powoli zrastali się ze sobą. Żartował z niej, że zrobiła się bardziej konserwatywna, podczas gdy on - bardziej liberalny. Czuł, że stali się jedną myślą, jednym sercem i jednym celem.

Wrócili z Jamajki lekko oszołomieni, wytrąceni ze swego zwykłego codziennego rytmu. Rankiem po powrocie Oliver przy śniadaniu przyznał, że nie chce mu się jechać do biura i zostawiać jej samej w domu. Wymienili spojrzenia nad głowami dzieci. Przypaliła grzanki, zostawiła wielkie grudy w kaszce, a bekon był prawie surowy.

- Pyszne śniadanko, mamó - pokpiwał Benjamin. - Musieliście świetnie się bawić na wakacjach i zapomniałaś, jak się gotuje!

Zaśmiewał się z własnego dowcipu, a Melissa chichotała. Była bardzo nieśmiała. Przy swoich pięciu latach uwielbiała brata, pierwszego i jedyne go bohatera, oczywiście poza ojcem.

Dzieci poszły do szkoły, Oliver do pociągu, a Sarze nic nie wychodziło. Cały dzień czuła się rozbita. Nic nie mogła zrobić. Do kolacji nie ruszyła się z domu. Cały czas płatała się, nie mogąc niczego skończyć. Tłumaczyła sobie, że to jest właśnie cena za zbyt dobre wakacje.

Złe samopoczucie nie opuszczało jej przez kilka tygodni. Z trudem udawało jej się jakoś przeżyć dzień. Wyglądało na to, że odwożenie dzieci do szkoły i odprowadzanie ich w różne miejsca wyczerpują całą jej energię. O dziesiątej była już w łóżku, pochrapując z cicha.

- To musi być już starość - jęczała do Olivera pewnego sobotniego poranka, gdy nie była w stanie nawet ułożyć porządnie rachunków, tak czuła się wyczerpana i rozbita.

- Może masz anemię?

Raz czy dwa razy już jej się to zdarzyło i wydawało się, że jest to proste wytłumaczenie takiego stanu. Nic nie zrobiła przez miesiąc, a miała na głowie dwa wiosenne koncerty na cele charytatywne.

W poniedziałek rano poszła do lekarza na pobranie krwi i badania. Kiedy pojechała po dzieci po południu, od razu poczuła się lepiej.

- Chyba coś sobie wymyśliłam - stwierdziła w rozmowie z Oliverem, gdy zadzwonił, by uprzedzić ją, że musi zostać w biurze dłużej i nie zdąży na kolację. - Poszłam dzisiaj do lekarza i już mi lepiej.

- A co mówił lekarz?

- Nic takiego.

Nie powiedziała mu, że lekarz pytał ją, czy czuje się przygnębiona lub nieszczęśliwa, czy może ma kłopoty z mężem. Cokolwiek to było, to nic poważnego, była tego pewna. Nawet lekarz stwierdził, że wygląda na zupełnie zdrową. Przybyło jej ponad dwa kilo przez trzy tygodnie od powrotu z Jamajki. I cóż w tym dziwnego, przecież nic nie robiła przez cały ten czas, tylko siedziała lub spała. Porzuciła regularne czytanie i przestała grać w tenisa.

Obiecała znajomym, że zagra zaraz następnego dnia po wizycie u lekarza, choć wciąż czuła się bardzo zmęczona. Miała właśnie wyjść, gdy zadzwonił telefon.

- Wszystko w porządku, Saro. - W pierwszej chwili zmartwiło ją, że lekarz sam do niej zadzwonił, ale uznała, że to zwykła uprzejmość z jego strony, w końcu po tylu latach znajomości... - Jesteś zdrowa, nie masz anemii ani żadnych większych problemów.

Prawie słyszała, że on się uśmiecha, a ponieważ czuła się źle, rozzłościło ją to.

- To dlaczego jestem wciąż tak cholernie zmęczona,

co?

Ledwie łązę.

- Pamięć ci szwankuje, moja droga.

- Świetnie. Właśnie mówisz mi, że jedyną moją przypadłością jest skleroza, tak? Cudownie! To chciałam usłyszeć kwadrans po dziesiątej rano.

- A może to jakaś dobra nowina dla odmiany?

- Na przykład jaka?

- Na przykład dziecko.

W jego głosie było słycać taką radość, jakby właśnie wręczał jej milion dolarów, a ona poczuła, że za chwilę zemdleje we własnej kuchni, z rakieta w ręku.

- Żartujesz chyba?! W tym domu to nie jest żart. Moje dzieci są już duże. Ja... ja nie mogę... cholera jasna...

Usiadła na najbliższym krześle, walcząc z łzami. Kłamał. Musiał kłamać... I nagle zrozumiała, do czego nie chciała się sama przed sobą przyznać. Nie miała okresu nie dlatego, że była to anemia, przepracowanie czy klimakterium. Była w ciąży. Nie powie Oliemu.

To nic, to nic takiego. Jest rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty dziewiąty. Dzieci już odchowane. Ma trzydzieści jeden lat. Usuwanie ciąży jest legalne. Tym razem Ollie jej nie przekona. Nie ma zamiaru urodzić tego dziecka.

- Jak długo jestem w ciąży?

Ale wiedziała i tak. To musiało być... to się musiało zdarzyć na Jamajce... tak jak to było z Benjaminem, poczętym w podróży poślubnej na Bermudach. Cholerne wakacje...

- Kiedy miałaś ostatnią miesiączkę?

Szybko policzyła wstecz i powiedziała mu. Według jego oceny była w ciąży od sześciu tygodni. Miała więc mnóstwo czasu na usunięcie. Przez chwilę zastanawiała się,

czy nie zrobić tego, nic nie mówiąc Olliemu. Ale nie miała zamiaru uprzedzać o tym ich wspólnego lekarza. Zadzwoi do swojego ginekologa i umówi się.

- Gratulacje, Saro. Masz szczęście, dziewczyno! Mam nadzieję, że Oliver będzie szczęśliwy.

- Jestem tego pewna.

Z trudem wydobywała głos z gardła, żeby mu podziękować. Odłożyła słuchawkę, a potem drżącymi palcami wykręciła numer gabinetu ginekologa i zapisała się na następny dzień, na rano. Wtedy przypomniała sobie w panice o przyjaciółach czekających na nią na korcie w Westchester Country Club. Nie chciało jej się iść, ale uznała, że byłaby wobec nich nie w porządku.

Wybiegła z domu. Przekręciła kluczyk w stacyjce. Gdy to robiła, dostrzegła w lusterku odbicie swej twarzy. To nie mogło jej się przydarzyć, to było niesprawiedliwe... przecież miała zostać pisarką... kiedyś... a może wcale nie... Może przez całe życie miała być tylko kurą domową... To było najgorsze przekleństwo, kiedy uczyła się w college'u. Nigdy nie chciała być gospodynią domową, a teraz nią właśnie była. Oto wszystko, czym była... kurą domową... Gospodyni domowa. Powiedziała to głośno w samochodzie, jakby wymawiała brzydkie słowo... dziecko... Chryste Panie... dziecko... I nie miało teraz znaczenia, że byłoby inaczej, że było ich stać na kogoś do pomocy, że dom był wystarczająco obszerny, że pomieści ich wszystkich. Dziecko i tak by krzyczało przez całą noc i trzeba by je kąpać, przebierać, karmić i dbać o nie, wychowywać, odwozić i przywozić ze szkoły, i zabrać pewnego dnia do dentysty. Nigdy nie będzie miała szansy, żeby robić to, czego pragnie. Nigdy. Czuła, że to nie narodzone dziecko, tylko przez to, że ona wie o jego istnieniu, jej zagraża. Nie pozwoli na to.

Wrzuciła wsteczny bieg, z wizgiem opon wyjechała z podjazdu.

Dziesięć minut później była już na korcie, blada, z trudem opanowując mdłości. Jakoś udało jej się brać udział w rozmowie. A wieczorem była wdzięczna losowi, że Ollie musiał zostać do późna w biurze. Przygotowywał projekt reklamy dla nowego klienta. Dla bardzo bogatego klienta. Ale co to miało za znaczenie, jak bogaci byli jego klienci? Dla Sary i tak życie się skończyło.

Spała już, gdy wrócił tej nocy do domu. Udało jej się jakoś przebrnąć przez śniadanie następnego dnia. Spytał ją, czym się tak martwi. Stwierdziła, że ma potworny, rozrywający ból głowy.

- Czy dowiedziałas się o wyniki badań? Założę się, że masz anemię.

Wyglądał na bardzo zmartwionego, a ona zamiast jeszcze mocniej kochać go za to, nienawidziła bardziej, gdy tylko pomyślała, co jej tam w środku posiał.

- Jeszcze nie. Jeszcze nie dzwonili.

Odwróciła się, żeby włożyć naczynia do zmywarki i po to, by nie zauważył kłamstwa w jej oczach. Kilka minut później wyszedł. Potem dzieci pojechały szkolnym autobusem do szkoły. Po godzinie siedziała w gabinecie ginekologa, planując zabieg, i wtedy lekarz zadał jej podchwytliwe pytanie...

- Co Ollie sądzi o aborcji?

- Ja... on... - A niech tam. Nie mogła go okłamać. Znała ją zbyt dobrze, a poza tym lubiła go. Popatrzyła mu prosto w oczy z dziwnym blaskiem w źrenicach i odważyła się stawić mu czoło. - Nie powiedziałam mu.

- O usunięciu czy o ciąży?

Patrzył na nią ze zdumieniem. Zawsze myślał, że to

szczęśliwe małżeństwo. Takie, w którym oboje ufają sobie i otwarcie mówią sobie wszystko.

- Ani o ciąży, ani o zabiegu. I nie mam zamiaru mu mówić.

Twarz lekarza znieruchomiła, gdy jej słuchał. Pokręcił głową z dezaprobatą.

- Chyba robisz błąd, Saro. Ma prawo wiedzieć. Przecież to i jego dziecko. - Nagle poczuł się nieswojo. Może jest coś, o czym nie wie. Wszystko jest możliwe... - Jest jego, prawda? Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Oczywiście, że jest jego. Po prostu nie chcę mieć dziecka. Wyliczyła mu wszystkie swoje argumenty przeciw, a on ich nie skomentował. Gdy skończyła, powtórzył, że uważa, iż powinna przedyskutować aborcję z mężem. Nalegał, by chociaż o tym pomyślała, a potem wyznaczył jej wizytę.

- Jesteś wciąż bardzo młodą kobietą. Z całą pewnością nie jesteś zbyt stara, by mieć jeszcze jedno dziecko.

- Chcę wolności. Za jedenaście lat mój syn będzie w college'u, a córka dwa lata później. Jeśli będę miała to dziecko, to dam się uwiązać na następne dwadzieścia lat. Nie jestem przygotowana do takich poświęceń.

Brzmiało to nieprawdopodobnie egoistycznie nawet dla niej samej, ale nic nie mogła na to poradzić. Tak właśnie czuła. I nikt już tego nie zmieni.

- Czy Ollie też tak uważa?

Długo nie odpowiadała. Nie chciała mu mówić, że Ollie zawsze chciał mieć więcej dzieci.

- Nie rozmawiałam z nim o tym.

- Wydaje mi się, że powinnaś. Zadzwoń do mnie za kilka dni, Saro. Masz jeszcze czas, by spokojnie podjąć decyzję i bez obaw zrobić zabieg.

- Czas niczego nie zmienia.

Czuła się zła i zawiedziona, gdy wyszła z gabinetu. To lekarz miał rozwiązać ten problem za nią, a właśnie on nie chciał.

Pojechała do domu, płacząc. Kiedy Oliver wrócił o jedenastej, leżała w łóżku, udając, że ma kolejny ból głowy. Dzieci od dawna już spały. Gapiła się w brzęczący monotonnie telewizor, gdy czekała na niego w sypialni, nadal pewna, że mu nic nie powie.

- Jak dzisiaj ci poszło? Wyglądasz na zmęczonego. - Popatrzyła na niego smutno, kiedy wszedł do pokoju.

- Dobrze poszło - powiedział, siadając na łóżku. Uśmiechnął się do niej. Rozluźnił krawat. Jasne włosy miał potargane. Był zmęczony, ale wyglądał nieznośnie przystojnie. Jak on może tak wyglądać? Życie dla niego jest takie proste. Wszystko, co musi robić, to codziennie iść do biura i mieć do czynienia z prawdziwymi ludźmi w prawdziwym świecie. On robi coś, co ma sens, a ona cały czas spędza z kobietami i dziećmi. W życiu jest pełno niesprawiedliwości. I to jest właśnie taka niesprawiedliwość, to, co ją spotkało.

Wielokrotnie marzyła o tym, że jest mężczyzną albo że inaczej pokierowała swoim życiem, albo że już dawno wróciła z pracy, zamiast tkwić w domu. To było takie łatwe. Miała dwoje dzieci, wyprowadziła się na przedmieście, porzuciła swoje marzenia. A teraz ma mieć następne dziecko. „O nie, nie będę go miała - powiedziała do siebie szybko - usunę je”.

- Co się dzieje, Sarrie? - zmartwił się.

Pochylił się, żeby ją pocałować. Znał ją zbyt dobrze i zobaczył udrękę w jej oczach, udrękę zrodzoną nie z poczucia winy, z tego, co chciała zrobić, ale z gniewu na to,

co się stało.

- Nic, tylko jestem zmęczona.

- Dzieciaki bardzo były dzisiaj nieznośne?

- Nie... były grzeczne.

- No to o co chodzi? - nalegał.

- O nic! - skłamała.

- Gówno prawda. - Zdjął marynarkę, rozpiął koszulę i przysunął się bliżej na łóżku. - Nie próbuj mnie oszukiwać. Strasznie się czymś martwisz. - I nagle ogarnął go strach. To zdarzyło się sześć miesięcy temu pewnemu facetowi, którego znał z biura. Okazało się, że jego żona ma raka. Po czterech miesiącach już nie żyła. Zostawiła go kompletnie rozbitego z trójką dzieci. Oliver wiedział, że gdyby stracił Sarę, toby tego nie przeżył. Kochał ją od tak dawna. Była dla niego wszystkim. - Czy przyszły wyniki badań? Czy jest coś, co powinienem wiedzieć?

Przez ułamek sekundy myślała o tym, co mówił jej lekarz. „Powinnaś mu powiedzieć, Saro... ma prawo wiedzieć... to jest też i jego dziecko...” „Ale ja nie chcę!” Coś w niej krzyczało.

- Wyniki są w porządku. - A potem zmuszona przez tę uczciwość, która do tej pory zawsze była między nimi, pozwoliła sobie na powiedzenie czegoś, o czym wiedziała, że już za chwilę będzie żałować. - Mniej więcej.

Strach przebił go jak cios nożem. Delikatnie wziął jej dłoń w swoje.

- Co to znaczy? - Ledwo mówił, nie spuszczać z niej wzroku. - Co oni ci powiedzieli?

Nagle zrozumiała, o czym myśli, i wiedziała, że chce go dłużej martwić. Nie chciała mieć z nim więcej dzieci, ale przecież wciąż go kochała.

- To nic takiego. Nie bądź taki przerażony. Pochyliła

się nad nim, żeby go pocałować. Gdy trzymał ją w ramionach, poczuła, że on drży.

- Więc co to jest?

Mówiła szeptem z otchłani rozpacz, powoli podnosząc ku niemu oczy, wciąż nie chcąc mu powiedzieć.

- Jestem w ciąży.

Przez moment żadne z nich się nie poruszyło. Gdy przebrzmiały jej słowa, on nagle zupełnie się rozluźnił, po tym wielkim napięciu, które przed chwilą ścisnęło go jak kleszcze.

- O mój Boże, dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

Usiadł i rozjaśnił się w uśmiechu. Lecz jego śmiech zaczął zanikać, gdy zrozumiał jej spojrzenie. Patrzyła tak, jakby wołała mieć raka.

- Nie wiedziałam do wczoraj. To przez głupotę. To musiało się stać na Jamajce.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu i przez chwilę chciała go uderzyć.

- A niech to, nigdy by mi to nie przyszło na myśl. Trochę czasu już minęło. Nic nie pamiętam...

Głos i spojrzenie Olivera były bardzo czułe, ale zabrała dłoń z jego palców, oparła się z powrotem o poduszki, jakby chcąc się odsunąć jak najdalej od niego. To była jego wina.

- Usuwam.

- Och, kiedy się zdecydowałaś?

- W jakieś trzydzieści sekund po usłyszeniu tej nowiny. Ollie, ja nie mogę...

- Czy coś jest nie w porządku?

Powoli pokręciła głową, nagle przeczuwając, jaką ciężką bitwę będą toczyli ze sobą. Tym razem nie miała zamiaru się poddać. Nie zamierzała mieć tego dziecka.

- Jestem za stara. I to jest niesprawiedliwe wobec dzieci.

- To bzdura i wiesz o tym. Będą z pewnością zachwycone, gdy im o tym powiemy...

- No cóż, nie powiemy im. Będzie po wszystkim za kilka dni.

- I tak już? - Wstał i zaczął chodzić po pokoju. - Po prostu, ot tak?! Co się z tobą dzieje? Za każdym razem, gdy jesteś w ciąży, musimy przejść przez te pieprzone dyskusje o skrobance!

- To nie jest dyskusja. Nie chcę następnego dziecka. Ty idziesz sobie do biura, masz swoje własne życie. A ja jestem uwiązana tutaj. Mamuśka od wywiadówek i odprowadzania do szkoły. Nie mam zamiaru dać się wkopać na następne dwadzieścia lat. Odrobiłam tej pańszczyzny już dziesięć. Tak jak ja to widzę, mam połowę za sobą. Nie wrobisz mnie w to.

- No, a co potem? Czy jest to coś, dla czego warto, naprawdę warto, zabić dziecko? Może masz zamiar zostać neurochirurgiem? Na miłość boską, to, co tu robisz, jest bardzo ważne. Wychowujesz nasze dzieci! Czy to za duże poświęcenie dla panienki z Radcliffe dla Boga i kraju? Wiem, iż kiedyś uważałaś, że powinnaś siedzieć w SoHo z Wielkimi Niemytymi, pisać wiersze lub Wielką Amerykańską Powieść. Ja uważam, że prowadzenie domu to większa zasługa.

Wydawało mi się, że do tej pory już to rozumiałaś. Na Boga Ojca, Saro, dorośnij wreszcie!

- Jestem dorosła, do cholery. Dorosłam, wyrosłam i starzeję się. I nie mam zamiaru zmarnować swojego życia. Dla kogokolwiek. Daj mi szansę, u diabła! Co ze mną? Na świecie jest tyle różnych rzeczy, nie tylko dzieci, Oliver, a może tego nie zauważyłeś?

- Zauważyłem, że masz tu cholernie łatwe życie! Kiedy ja sobie wypruwam żyły w Nowym Jorku, ty grasz w tenisa z przyjaciółkami lub pieczesz ciasteczka z Melissą. I właśnie to powinnaś robić. Tylko mi nie mów, że ci ciężko, bo ja tego nie przyjmuję do wiadomości. A dziecko niczego nie zmienia.

- Gówno!

Kłócili się do drugiej nad ranem. I następnej nocy, i następnej.

Kłócili się przez weekend i cały kolejny tydzień. Były łyzy po obu stronach, trzaskanie drzwiami, perfidne oskarżenia. Doszło do tego, że Oliver błagał Sarę, żeby mieli dziecko, a w końcu machnął ręką i powiedział, że niech robi, do diabła, co chce.

Dwa razy przełożyła zabieg. Nawet popełniła ten błąd, że zadzwoniła do siostry, do Grosse Pointe. Rozmowa przerodziła się w potworną kłótnię, gdy siostra powiedziała jej, że uważa ją za niemoralną, bezwstydną wariatkę.

Trwało to tygodniami. Wreszcie oboje wyczerpani, rozbici, zawiedzeni, zrozpaczeni, z trudem poskładali swoje wspólne życie i Sara nie usunęła ciąży. Ale Oliver zgodził się, że po tym dziecku będzie mogła podwiązać sobie jajowody. Uważał, że to bardzo zła decyzja, lecz wiedział też, że żadne z nich nie przeżyje następnego podobnego uderzenia w sam fundament ich małżeństwa. Zresztą Sara zapewniała go, iż nie będzie żadnej niespodziewanej ciąży koło czterdziestki.

Dziecko urodziło się w dniu wyborów. Oliver był w sali porodowej i dodawał Sarze otuchy, a ona przy każdym skurczu mówiła mu, jak bardzo go nienawidzi.

Tak, jak robiła to prawie bez przerwy przez ostatnie osiem miesięcy, tak i teraz zapewniała go, że ten cholerny

dzieciak nic a nic nie będzie jej obchodził. Odpowiadał, że będzie go kochał za ich oboje, że dzieci są zachwycone. Benjamin, który miał wtedy osiem lat, był tym wszystkim zaciekawiony i podniecony, a dla sześciolatniej Melissy, to było tak, jakby miała dostać nową lalkę do zabawy. Tylko Sara nie podzielała ich entuzjazmu wobec nadchodzącego wydarzenia.

Gdy pojawiła się główka dziecka, Oliver patrzył w zachwycie, jak oto Samuel Watson toruje sobie drogę na świat, z głośnym okrzykiem i pełnym zdumienia spojrzeniem na ojca. Podali synka najpierw Oliverowi, a on delikatnie ułożył go przy Sarze. Leżała ze łzami płynącymi po policzkach, przypominając sobie te wszystkie okropne słowa, które przedtem mówiła o dziecku.

Miał czarne włosy i zielone oczy Olliego. Jasną cerę i takie spojrzenie, które jakoś zapowiadało mądrość i poczucie humoru. Był dzieckiem, które kocha się od pierwszej chwili. I tak mocno, jak go kiedyś odrzucała, pokochała syna, gdy tylko wzięła go w objęcia. Był „jej” dzieckiem. Nie płakał, nie krzyczał. Od samego początku był łagodnym i pogodnym maleństwem. Stał się jej ogromną namiętnością. Co wieczór raczyła Olivera opowieściami o osiągnięciach Sama i jego geniuszu. Synek był po prostu śliczny, a wszyscy w domu od razu zwariowali na jego punkcie: Ollie, Sara, brat, siostra, dziadkowie. Był cudowny i dowiódł, że jego ojciec miał rację. Choć Oliver okazał się na tyle wspaniałomyślny, że o tym nie wspominał, i tak oboje o tym wiedzieli. We dwójkę dziękowali losowi, że Sara urodziła Sama. Był miłym i łatwym do kochania chłopcem, nie zaś ciężarem, którego tak bardzo się obawiała.

Ollie znalazł pomoc domową, żeby ułatwić życie żonie. Miejscową kobietę, która przez piętnaście lat

pracowała u biskupa i dla odmiany szukała pracy w domu z odrobiną życia i radości. Pokochała Melissę i Benjaminą. Tak jak wszyscy, od pierwszej chwili oszalała na punkcie Sama. Miał przecież okrągłe policzki aniołka, szeroki uśmiech, tłuste ramionka i nóżki, które wprost prosiły się, żeby je ścisnąć, przytulać i całować. Bardzo często Agnes, jego kochająca opiekunka, i Sara, uwielbiająca go matka, stukały się nosami, całując ten sam pyzaty policzek. I były wtedy trzy nosy koło siebie i Sam piszczący z radości.

Agnes. Kogoś takiego Sara potrzebowała. O kimś takim marzyła, gdy Benjamin krzykiem rozwałił ściany przy Second Avenue. Wtedy nie mogli na nikogo sobie pozwolić. Teraz było inaczej. I tak jak Ollie przewidział, wszystko było zadziwiająco łatwe.

Sara nie musiała już robić śniadań. Nie musiała szyć kolacji. Nie musiała odkurzać ani prać, ani zmywać. Dwa razy w tygodniu przychodziła sprzątaczką. No i mieli cudowną Agnes, która była szczęśliwa, że może mieszkać w maleńkim pokoiku, dobudowanym na piętrze, przy pokoju gościnnym, który został przerobiony na sypialnię dla Sama.

Sam dzień i noc był otoczony przez rodzinę. Jego siostra sprawdzała, czy się nie zsiusiał. Brat przynosił piłki. I jeszcze Sara. I Oliver. I Agnes. Zdumiewające było to, że nie stał się rozpuszczonym bachorem, ale bardzo, bardzo miłym dzieckiem, radością całego domu. Ta koszmarowa wizja dziecka niszczącego życie Sarze nigdy się nie sprawdziła. Sam nie wymagał szczególnej opieki, nie sprawiał kłopotów w szkole. Był tak samo zadowolony, gdy bawił się z Agnes, Melissą, czy z nią. Wolał nawet bawić się z Benjaminem lub z ojcem i teraz Sara nie mogła się już niczym usprawiedliwić.

I zanim się spostrzegła, Benjamin kończył szkołę i

miał siedemnaście lat. Melissą była nieustannie przyklejoną do telefonu piętnastolatka. Bez żadnego powodu zaciągała aparat do szafy na ' górze, siedziała tam skulona na podłodze, między stertami ciuchów, i godzinami rozmawiała z chłopakami, o których nikt nigdy nie słyszał. Sam miał dziewięć lat. Był zadowolony, gdy mógł się bawić u siebie w pokoju, zajęty swoimi sprawami. Tylko od czasu do czasu żądał uwagi matki. Wszystko to nie dawało Sarze powodu do i tego, by nie pisała. Nie mogła obwiniać dzieci ani za puste kartki, , ani za milczącą maszynę do pisania.

Siedziała, patrząc na padający śnieg i zastanawiając się, co powie Olliemu. Chciałaby, żeby nie pytał, jak jej idzie pisanie. Prawie od dwóch lat bardzo się tym interesował. I to doprowadzało ją do szaleństwa. Nie mogła mu powiedzieć, że nic z tego nie wyjdzie, że w czterdziestym pierwszym roku życia jej najgorsze obawy się sprawdziły. Życie naprawdę się dla niej skończyło. Nigdy nie czuła się taka wyczerpana, stara i zmęczona, a tym razem wiedziała na pewno, że nie jest w ciąży. Tak, jak to ustalili, po urodzeniu Sama podwiązała sobie jajowody. Teraz to było coś zupełnie innego - powolne niszczące przekonanie, że jej życie już donikąd nie prowadzi, że marzenia, które miała w wieku dwudziestu lat, dawno się rozwiały i tak naprawdę to nigdy się nie spełnią. Nigdy nie będzie pisarką. Gdyby miała trzydzieści pięć lat, ta świadomość mogłaby ją zniszczyć, w wieku trzydziestu dziewięciu mogłaby ją zabić. Ale Sara miała lat czterdzieści jeden i napełniło ją to tylko smutkiem. „Już nic nie zostało poza zwyczajnościami codziennego życia, podczas gdy Ollie wspinał się ku szczytowi.

Dręczyło ją dziwne uczucie. Nawet dzieci były od niej ważniejsze. W życiu każdego z nich coś się działo. Benjamin był wspaniałym sportowcem i doskonałym uczniem. Melissą

była nadzwyczaj utalentowana i naprawdę piękna. Mówiła, że chce zostać aktorką. Oboje, Melissą i Benjamin, planowali studia w Harvardzie. Sam śpiewał w chórze i miał głos anioła. A co ważniejsze, miał duszę kogoś tak ciepłego i serdecznego, że cały świat go kochał. A co ona miała? Dzieci. Olliego. Dom. Wspomnienie, że kiedyś chodziła od Radcliffe. Dwadzieścia lat temu. No to co? Kogo to obchodzi? Kto o tym wie? Kto o tym pamięta? Została jej jeszcze nadzieja. Naprawdę niewielka. Zresztą jak mogłaby to zrobić? Jak? Mieszkając tutaj? Oni jej potrzebują. Potrzebują jej? Mają przecież Agnes... ale nie może tego zrobić Olliemu...

Uśmiechała się do siebie smutno. Usłyszała, jak Agnes wypuściła psa. Podskakiwał, rzucał się w śnieg, warcząc i szczekając. Byli tacy szczęśliwi. Wszyscy. Nawet Agnes. Więc dlaczego czuje taką pustkę w sobie? Co zniknęło? Co straciła? Coś, czego nigdy nie miała? Czego chce teraz? Czegoś! Wszystkiego! Sławy! Sukcesu! Spełnienia! Ważnych spraw! Grubych ryb! I wiedziała, że nigdy tego nie osiągnie. Będzie tu już zawsze tak siedziała, patrząc na padający śnieg, podczas gdy życie będzie przepływało obok, a Ollie będzie przyprowadzał nowych klientów do firmy. Miała już własnego mercedesa i dwa futra. Dzięki uporowi Olliego miała troje wspaniałych dzieci. Fantastycznego męża. I nic własnego, co by się naprawdę liczyło. Żadnego talentu. Żadnego osiągnięcia. Wszystko zniknęło. Dziewczyna, którą kiedyś była, odeszła bezpowrotnie.

- Poczta, pani Watson - powiedziała cicho Agnes, kładąc listy na biurku.

- Dziękuję, Agnes. Czy jest coś ciekawego?

- Większość to rachunki. I chyba list ze szkoły do Benjamina, lecz adresowany do pani.

Benjamin był na etapie wypełniania formularzy zgłoszenia na studia w Harvardzie w przyszłym roku, ale jeszcze ich nie wysłał. Na pewno nie pisaliby do niego ani do Sary. To było coś zupełnie innego. Ona wiedziała, co. Wiedziała, jaka będzie odpowiedź, lecz i tak dłoń jej drżała, gdy wyciągnęła rękę po list i brała go od Agnes. Stała nieruchomo przez dłuższą chwilę, patrząc na kopertę, wspominając... czasy, kiedy wszystko było inaczej... ale to minęło... Wszystko minęło... Zmusiła się do myślenia o tym, gdy rozrywała papier. Odwróciła się do Agnes plecami, a potem powoli poszła do saloniku, gdzie obicia w jasne kwiaty nawet zimą przypominały im o ciepłe lata.

Otwierała list, jakby rozbijała skorupę, jakby rozwalala własne życie... Nie, nie! Nie może sobie pozwolić na takie myśli. Usiadła w fotelu, nie widząc, że Agnes jej się przygląda ze zdziwionym wyrazem twarzy... Czytała powoli, boleśnie... I głośno złapała oddech ze zdumienia. To niemożliwe. To pomyłka... Źle przeczytała, to musi być pomyłka... Ale nie była. Napisano... I poczuła, że jej ciało się wypełnia jakby światłem, jakby muzyką... Już nie miała w sobie pustki. Jakby coś w niej było, tam w środku. Coś lepszego niż dziecko. To ona. To ona tam była. Wróciła. Przeczytała raz jeszcze tę linijkę. I jeszcze raz, i jeszcze.

„Pragniemy panią poinformować, że została pani przyjęta na pierwszy rok studiów magisterskich w Uniwersytecie Harvarda...” Pragniemy panią poinformować... pragniemy panią poinformować... Słowa zamazały się, gdy łyzy zaczęły spływać po jej policzkach.

To marzenie, tylko marzenie... Nie może tego zrobić. Nie może ich zostawić. Nie może wrócić na studia.

Złożyła papiery kilka miesięcy temu, we wrześniu, gdy dzieci poszły do szkoły. Czula się wtedy taka znudzona i

samotna. Tylko żeby spróbować, żeby sprawdzić... a teraz oni jej piszą, że chcą, aby tam była. Ale ona nie może.

Kiedy podniosła głowę, zobaczyła, że śnieg wciąż pada, pies warczy i skacze, a Agnes przygląda jej się od drzwi. Uświadomiła sobie wtedy, że musi to zrobić. Oni rozumieją. Muszą zrozumieć. To nie będzie zbyt długo... A potem będzie kimś... Kimś dzięki własnej pracy... Będzie prawdziwa. Będzie Sarą.

Zła wiadomość, proszę pani?

Agnes zobaczyła, że Sara zbladła, na jej policzkach błyszczały łzy, a ona sama wpatrywała się w okno. Agnes nie mogła zrozumieć, co Sara czuje w tej chwili. A było to podniecenie... niedowierzanie... nadzieja... i strach. Agnes zostawiła ją zatopioną w myślach.

Dopiero po godzinie Sara przysłała do kuchni. - Nie, nie, to tylko niespodzianka.

Spoglądała niepewnie. Była prawie załamana nerwowo, ani szczęśliwa, ani smutna. Chodziła z kąta w kąt po kuchni, przestawiała różne przedmioty, nawet na nie nie patrząc... przysunęła krzesło do stołu... podniosła maleńki paperek z podłogi... Nie wiedziała, jak postąpić. Czowała się tak, jakby widziała swój dom po raz pierwszy w życiu lub po raz ostatni. „Co, u diabła, mam zrobić? Nie mogę wrócić teraz do Harvardu. Nie mogę przecież ich zostawić”.

Zastanawiała się w duchu, po co w ogóle wysyłała te papiery. To śmieszne, nierealne... Ollie będzie się z niej śmiał... A poza tym nie wydawało się to śmieszne, było przerażające, smutne i cudowne. Szansa, której nie chciała zmarnować, nawet dla nich.

Nigdy w życiu nie czuła się tak rozdarta. Wiedziała, że nie może powiedzieć Olliemu. Jeszcze nie teraz. Może po świętach. Za dwa tygodnie Boże Narodzenie. Może pojedą na

narty na kilka dni i wtedy mu powie. Ale co, na miłość boską! „Chcę wrócić na studia, Ol... Wyjeżdżam do Bostonu na rok lub dwa. Muszę się stąd wydostać...” Znowu łzy napłynęły jej do oczu, przez krótką chwilę czuła, że nie chce ich zostawić.

Agnes przyglądała się jej. Nie wierzyła w to, co powiedziała Sara. Musiało być coś więcej w tym liście, nie tylko niespodzianka... A jeśli nawet niespodzianka, to na pewno nie była miła. - O której dzieci wracają do domu? Sara spojrzała niepewnie na niezmordowaną Agnes, zajęętą teraz przygotowaniem kolacji. Zwykle była jej za to wdzięczna, ale dziś, nagle, obecność tej kobiety sprawiała, że czuła się niepotrzebna. Lśniące białe włosy Agnes były mocno ściągnięte w koczek, twarz nieruchoma, usta zaciśnięte. Nakrywała do stołu.

Dzieci jadły kolację z Agnes w kuchni zawsze wtedy, gdy Sara i Oliver wychodzili gdzieś wieczorem, czasem też, gdy byli w domu. Wszyscy wówczas jedli razem w kuchni. Najczęściej jednak w stołowym. Tak lubił Oliver. Lubił celebrowanie, tradycję wspólnego zasiadania do stołu i rozmawiania o tym, co robiły dzieci. Lecz dziś wieczorem mieli pójść na kolację z przyjaciółmi do nowej restauracji w pobliskim Rye.

Dzwonek telefonu wdarł się w myśli Sary i zanim Agnes zdążyła podejść, Sara pospieszyła, by podnieść słuchawkę. Pomyślała, że to może Ollie. Zapragnęła mieć go blisko, słyszeć jego głos, przytulić się do niego. Nagle, w jednej chwili, list, który wcześniej przeczytała, wszystko zmienił.

Dzwonili znajomi. Musieli odwołać spotkanie tego wieczora. Ona miała okropny ból głowy, a on musiał popracować jeszcze w biurze. Sara, z wyrazem zamyślenia na

twarzy, odwróciła się do Agnes.

- Chyba zostaniemy dzisiaj w domu i zjemy z dziećmi. Właśnie dzwoniли znajomi, z którymi wybieraliśmy się na kolację. Nie mogą iść. Agnes kiwnęła głową, popatrzyła na nią i powiedziała:

- Dlaczego mimo to nie pójdzie pani na kolację z panem Watsonem? - Sara wyglądała tak, jakby potrzebowała rozrywki. Uśmiechnęła się do Agnes. Te dwie kobiety znały się tak dobrze, a jednak Agnes zachowywała pełen szacunku dystans. Nie obawiała się mówić tego, co myśli, ani kłócić się z nimi, kiedy uważała, że powinna tak zrobić, zwłaszcza wtedy, gdy chodziło o dzieci. Ale nawet wówczas, gdy narzekała na nich, co jej się czasem zdarzało, wciąż byli panią i panem Watson. - Poza tym pan Watson nie bardzo lubi pieczeń...

Sara uśmiechnęła się ponownie. Agnes miała rację. Ollie niezbyt lubił pieczeń. Może powinni gdzieś wyjść. Ale nie chciała być z nim sama. Gdy próbowała podjąć decyzję, usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi i wołanie. Po chwili do kuchni wkroczył Benjamin... Miał siedemnaście lat, sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, jasnorude włosy i ciemnoniebieskie oczy swojej matki. Policzki poczerwieniały mu od zimna. Ściągnął czapkę z głowy i rzucił na stół.

- Brudasio! Brudasio! - Agnes z groźną miną pomachała drewnianą łyżką, ale uczucie, jakie miała dla niego, było w jej spojrzeniu. - Zabierz to obrzydlistwo z mojego stołu.

Roześmiał się, spoglądał na nią z czułością. Wepchnął czapkę do kieszeni kurtki.

- Przepraszam, Aggie! Cześć, mamoo! - Szurnał narecze książek na stół. - A niech to, strasznie dzisiaj zimno.

Miał czerwone ręce, nigdy nie nosił rękawiczek. Szedł

całą przecznicę, bo niedaleko stąd podrzucił go kolega. Pomaszerował prosto do lodówki, żeby znaleźć coś na podtrzymanie omdlałego ducha i żeby dotrzeć do kolacji... Jadł bez przerwy, ilości, które by każdego przeraziły, a mimo to był chudy jak szczapa. Miał smukłą budowę swego ojca i szerokie ramiona.

- Trzymaj się z daleka od lodówki. Za pół godziny będzie kolacja... - Agnes znowu zamachała łyżką.

- Tylko kanapeczkę, Aggie. Umieram z głodu. - Wepchnął kawał salami w usta.

Sara przyglądała mu się z uwagą. Jest już mężczyzną i to przystojnym. Ma swoje własne życie, swoich przyjaciół, za kilka miesięcy pójdzie do college'u. Czy jej potrzebuje? Czy to miałoby jakieś znaczenie dla niego? Nagle nie potrafiła sobie wyobrazić, że jej obecność tutaj jest choć trochę dla niego ważna.

Odwrócił się do niej, chciał jej się przyjrzeć, uderzony smutnym wyrazem jej oczu.

- Czy coś się stało, mamó?

- Nie, nie. - Energicznie pokręciła głową, jak wtedy, gdy pytała ją o to Agnes. - Właśnie nie mogłam się zdecydować: iść czy nie iść z ojcem na kolację. A ty co będziesz robił dziś wieczorem? Będziesz się uczył do egzaminów?

Skinał głową. Był dobrym uczniem, wspaniałym chłopakiem. Kimś, kto jej się podobał, kogo podziwiała, jej pierworodnym. Nadal w wielu sprawach ją przypominał, choć był znacznie mniej zbuntowany niż ona w jego wieku.

- Tak. Jutro mam ostatni. Chemia. Pojadę do Billa pouczyć się. Mogę wziąć twój samochód?

Tak naprawdę to tylko tyle potrzebował od niej. Lodówki i kluczyków od samochodu. Uśmiechnęła się lekko

do niego.

Będzie za nim tęsknić, jeśli pojedzie... Za wszystkimi będzie tęsknić zwłaszcza za Samem... O Boże, a Ollie?

- Oczywiście, tylko jedź ostrożnie. Jeśli będzie większy mróz, to ten gruchot nie ruszy. Bili nie mógł przyjechać tutaj?

Benjamin tylko pokręcił głową. Zawsze wiedział, czego chce tak jak ona.

- Był tutaj ostatnio już trzy razy. Powiedziałem mu, że di wieczorem przyjadę do niego. Mel też nie będzie wieczorem. Czy dzwoniła do ciebie?

Matka pokręciła głową.

- Jeszcze nie. - Nigdy nie dzwoniła. Zawsze zapominała zadzwonić. A robiła dokładnie to, na co miała ochotę. Bez wielkiego zamieszania prowadziła swoje własne życie. W wieku piętnastu lat Melissa była uosobieniem niezależności. - Co masz na myśli, mówiąc, że nie będzie jej wieczorem w domu?

- Dziś jest wtorek.

Pozwolili jej umawiać się na randki dopiero od września. Ustalili, że będzie to jeden wieczór pod koniec tygodnia, spędzony z chłopcami, których jej rodzice znają, i na dodatek w ustalonych miejscach.

- A w jaki sposób ma zamiar wrócić do domu?

- Obiecałem, że ją przywiozę. - Wyciągnął jabłko z koszyka stojącego na kuchennej szafce i wbił w nie zęby. - Ona ma dzisiaj próbę. Coś tam robi w kółku teatralnym. Wszystko w porządku, mamó.

Oboje usłyszeli głośne trzaśnięcie frontowych drzwi. Sara dostrzegła, że Agnes spogląda z uśmiechem na zegarek i pospiesznie sprawdza pieczeń. Usłyszeli ciężkie kroki, jakby dorosły mężczyzna szedł w ich stronę, a potem donośne „uff”

i znowu szczęk i trzaśnięcie drzwi, głośne szczekanie, i nagle Sam i Andy, seter irlandzki, z hukiem wpadli do kuchni. Pies wszędzie zostawiał ślady łap. Opierał się o chłopca z lśniącymi ciemnymi włosami i zielonymi oczyma. Sam był szeroko, radośnie uśmiechnięty i miał mokrą głowę. Na butach i na łapach wnieśli do kuchni całe masy śniegu, które szybko zmieniały się w kałuże na podłodze. Pies co chwila stawał na tylnych łapach, żeby polizać chłopca w twarz.

- Cześć wszystkim! O rety, ale tu pysznie pachnie! Co na kolację? Pieczeń?

Agnes odwróciła się, żeby się uśmiechnąć do niego szeroko, i wtedy zobaczyła tę ruinę, w którą Sam zamieniał właśnie jej kuchnię, a Sara i Benjamin głośno się śmiali. Sam był beznadziejny, potrafił w ułamku sekundy obrócić każde pomieszczenie w śmietnik.

- Wynoś się stąd, ty okropny chłopaku! A gdzie masz czapkę? Zaziebisz się na śmierć, jak będziesz chodził z mokrą głową! - Zamachała mu przed nosem drewnianą łyżką, tak jak przedtem Benjaminowi, ale tym razem energiczniej, i pospieszyła po ręcznik, mrucząc, narzekając i złoścąc się po cichu.

- Cześć, mamó! - Przybiegł ją pocałować.

Andy z zapalem machał ogonem, przyglądając się im, a Sam go głaskał, ściągając jednocześnie kalosze, po czym zostawił je na samym środku kuchni. Andy z zadowoleniem je tam znalazł. Zaciągnął jeden do saloniku na kanapę, gdzie próbował go zakopać między poduszkami, co wywołało okropny okrzyk grozy Agnes.

- Wynoście się stąd! Na górę i do wanny! - wołała za nim, gdy już pobiegł z Andym.

A ponieważ Sam zostawił kurtkę na podłodze przy schodach, Sara też zawołała:

- Wracaj i zabierz swoje ciuchy!

Ale Sama już dawno nie było, usłyszała tylko warczenie Andy'ego. Agnes była zajęta wycieraniem podłogi, a Benjamin poszedł do siebie, żeby przygotować książki. Kiedy Sara powoli wchodziła za nim po schodach, nie mogła przestać myśleć o tym, jak bardzo będzie za nimi tęsknić.

Telefon zadzwonił, gdy doszła do sypialni. Telefonowała Melissa. Informowała o tym, co Sara już wiedziała - że zostaje dłużej w szkole, bo ma próbę w kółku teatralnym, i że Benjamin ją zabierze, jak będzie wracał do domu. A potem zadzwonił Ollie i chciał gdzieś wyjść wieczorem, nawet bez znajomych, tak właśnie, jak proponowała Agnes.

- Zjemy kolację tylko we dwoje. Tak nawet będzie lepiej.

Wyczuwała ciepło w jego głosie, biegnące do niej aż z Nowego Jorku. Odłożyła słuchawkę i w jej oczach rozbłysły łzy. Co mu powiedzieć? Nic. Nie dzisiaj wieczorem. Musi poczekać. Już sobie obiecała, że mu nic nie powie przed Bożym Narodzeniem.

Krażyła po ich pokoju, przesuwając, układając, oglądając różne rzeczy, słuchając głosów dzieci przez ścianę, dotykając znajomych przedmiotów i myśląc o swoim mężu. A potem położyła się na łóżku, rozmyślając o nich wszystkich, ile dla niej znaczą. Ile ją kosztują, nawet o tym nie wiedząc, nawet tego nie chcąc. Każde z nich na swój sposób coś jej zabrało, ale też i coś dało... Teraz nagle to, co jej dali, już nie wystarczało... i już dłużej tego nie chciała... Jak okropnie nawet przyznać się do takiej myśli. Jak strasznie trudno im to powiedzieć. Ale pragnęła własnego życia. Czuła się do niego przygotowana.

Chciała być czymś więcej niż Agnes, stojącą w kuchni

i czekającą na nich codziennie, aż wrócą do domu. Nie chciała czekać, aż odejdą na zawsze. Już niedługo odejdą. Benjamin wyjedzie jesienią. Melissa za dwa lata, a potem Sam... lecz ona wtedy już skończy to, czego chce teraz, na długo przedtem, zanim on opuści dom. Jaką to robi różnicę? Dlaczego nie może zrobić dla odmiany tego, czego chce?... Ale gdy to mówiła do siebie, poczuła się winna, nie do zniesienia.

Dzwonek telefonu znowu wdarł się w jej myśli. Tym razem był to teść. W jego głosie usłyszała zmęczenie i rozterkę. Ostatnio miał problemy z sercem. Phyllis też nie czuła się dobrze.

- Cześć, George, co słychać?

- Czy Oliver jest w domu? - Był dla niej nieuprzejmy, a to do niego nie pasowało.

- Nie, nie ma go. - Mocno się zmartwiła. Bardzo go lubiła, na pewno bardziej od Phyllis. - Czy coś się stało?

- Ja... nie... właściwie to nie jestem pewien... Phyllis wyszła w południe po zakupy i do tej pory nie wróciła. I jeszcze ta pogoda... No cóż, martwię się, bo nie zadzwoniła... Nigdy tak nie robiła...

Phyllis miała sześćdziesiąt dziewięć lat, wciąż była zdrowa i silna, choć ostatnio trochę roztargniona. Kilka miesięcy temu miała zapalenie płuc, a potem nie wróciła całkiem do siebie. Sara wiedziała, że George bez końca się o nią martwi. Przy swoich siedemdziesięciu dwóch latach wydawał się znacznie bardziej żywotny w porównaniu z żoną, mimo że był jednocześnie delikatniejszy. Nadal przystojny, wysoki i prosty, jak jego syn, o pogodnym spojrzeniu i miłym uśmiechu, choć ostatnio bardzo się postarzał i Oliver martwił się o niego.

- Jestem pewna, że po prostu zapomniała, która

godzina.

Wiesz, jakie są kobiety, kiedy pójda po zakupy.

Chciała mu dodać otuchy. Przejmowanie się każdą drobną sprawą nie było dobre dla jego serca. Na pewno za chwilę Phyllis pojawi się w drzwiach.

- Zastanawiałem się, czy nie powinienem jej poszukać...

Myślałem, że może Oliver...

Ostatnio bardzo polegał na Oliverze, co również nie było do niego podobne.

- Powiem mu, żeby do ciebie zadzwonił, jak tylko wróci do domu.

Oznaczało to, że nie pójda na kolację, chyba że Phyllis zjawi się wcześniej. Może to lepiej. Nagle Sara nie chciała zostać sama z mężem.

Ale George zadzwonił raz jeszcze przed przyjazdem Olivera do domu. Phyllis wróciła cała i zdrowa. Miała kłopoty ze złapaniem taksówki i zabrakło jej drobnych na telefon. George nie powiedział Sarze, że Phyllis wydawała się jakaś wytrącona z równowagi, że taksówkarz twierdził, iż miała kłopoty z przypomnieniem sobie adresu, że kiedy George ją wypytywał, nagle z przerażeniem uświadomił sobie, że ona już nie pamięta ich numeru telefonu, właśnie dlatego nie zadzwoniła.

- Przykro mi, że cię niepokoiłem.

- Nie żartuj, George. Możesz dzwonić o każdej porze. Wiesz przecież o tym.

- Dziękuję. - Posłał zmartwione spojrzenie żonie, mrużąc coś do siebie i krążąc bez celu po kuchni. Ostatnio to on gotował. Oboje udawali, iż robi to dlatego, że lubi mieć coś do roboty. Lubił także powtarzać, że lepiej od niej gotuje. - Pozdrów Olivera ode mnie, gdy wróci do domu.

A jeśli będzie miał trochę czasu, poproś go, żeby do mnie zadzwonił.

- Na pewno - obiecała i zapomniała o tym, gdy tylko Oliver dotarł do domu parę minut później.

Spieszył się, żeby wziąć prysznic i przebrać się. Upierał się, że zabierze ją gdzieś na kolację.

- Ale Samuel będzie zupełnie sam wieczorem. - Rozpaczliwie chciała zostać w domu, nie chciała siedzieć z nim twarzą w twarz po przeciwnych stronach stołu. Nie mogła mu nic powiedzieć. Nie teraz. Łatwiej udałoby się jej schować we własnym domu. Ukryć się za dziećmi, za ekranem telewizyjnym. Schować się za czymkolwiek. Wszystko było lepsze niż siedzenie z nim twarzą w twarz.

- Czy Agnes gdzieś wychodzi? - zapytał Ollie, gołoc się i jednocześnie oglądając dziennik w telewizji, prawie na nią nie patrząc, zadowolony z perspektywy zjedzenia kolacji tylko we dwoje.

Miał dla niej niespodziankę. Właśnie awansował i dostał podwyżkę. Sam szczyt drabiny w jego firmie już był w zasięgu ręki. W wieku czterdziestu czterech lat Oliver Watson był kimś takim, o kim powstają legendy w businessie. Miał już wszystko, wiedział o tym. Był wdzięczny losowi za pracę, którą kochał, za żonę, którą uwielbiał, za troje dzieci, za którymi szalał. Czy było coś jeszcze w życiu? Nic mu nie przychodziło do głowy.

- Nie, Agnes będzie w domu, ale myślałam...

- To nie myśl. Ubieraj się. - Delikatnie poklepał ją po pupie, gdy przechodziła obok. Potem przytrzymał ją, odłożył maszynkę do golenia i otoczył ramionami. - Kocham cię, wiesz o tym?

Wiedziała, wiedziała zbyt dobrze. I również kochała go, co bardzo utrudniało wszystko to, co zamierzała zrobić.

- Też cię kocham. - Ale jej oczy były smutne. Przyciągnął ją mocniej do siebie.

- Z pewnością nie wyglądasz na szczęśliwą z tego powodu.

Miałaś ciężki dzień?

- Nie bardzo. - Minęły już „ciężkie” dni. Dzieciaki były ciągle czymś zajęte i prawie przez cały czas poza domem. Agnes czuwała nad resztą, a Sara przez ostatnie dwa lata bardzo ograniczyła zakres pracy w Komitecie Rodzicielskim. Oczywiście, żeby mieć więcej czasu na pisanie, czego zresztą w ogóle nie robiła. Co mogło być „ciężkiego” w tak doskonałym życiu? Nic, poza stałą pustką i wszechogarniającą nudą. - Chyba jestem po prostu zmęczona. Och, prawie zapomniałam. Twój ojciec dzwonił. Chciał, żebyś się odezwał do niego.

- Wszystko w porządku? - Bardzo martwił się o swoich rodziców. Starzeli się, a jego ojciec wydawał się taki delikatny od czasu ataku serca. - Czy dobrze się czuje?

- Chyba tak. Tym bardziej że już twoja matka wróciła. Zadzwoił, ponieważ poszła po zakupy po południu i nie wracała. i Martwił się o nią przez pogodę.

- On się za bardzo wszystkim martwi. Dlatego miał ten atak serca. Wciąż mu powtarzam, że Phyllis zupełnie dobrze daje sobie radę. A on się upiera, że matce ciągle coś się myli, lecz jej mniej się myli, niż mu się zdaje. Zadzwoię do niego, jak wrócimy do domu, jeśli nie będzie za późno. No, rusz się. - Iz uśmiechem ją przynaglił. - Pospiesz się. Mamy rezerwację na siódmą.

Przed wyjściem pocałowali Sama na dobranoc i podali Agnes numer telefonu restauracji. Benjamin już poszedł i nawet nie pożegnał się z nimi. Zabrał kluczyki od samochodu Sary i zniknął po pochłonięciu większości pieczeni, dwóch

talerzy bukietu z jarzyn oraz ogromnego kawałka szarlotki. Sara wiedziała z całą pewnością, że jak tylko dojedzie do Billa, znowu coś zje, a gdy wróci do domu, to w nocy skończy ciasto. Kiedyś bardzo się martwiła, że będzie gruby, ale wyglądało na to, że nie ma się czegoś bać. Był studnią bez dna i gdyby nie szerokie ramiona, wyglądałby jak tyczka.

Restauracja była przytulna i na swój sposób staromodna. Wystrojem przypominała francuską prowincję. Nawet ogień huczał w kominku. Jedzenie było bardzo dobre. Do tego Oliver zamówił doskonale kalifornijskie chardonnay. Oboje się odprężyli. Sara wysłuchiwała jego opowieści o awansie i podwyżce. Dziwnie się przy tym czuła. Całe lata żyła w cieniu męża, jakby tylko dzięki niemu, a teraz nagle odzyskała swoje własne życie. Jak gdyby słuchała kogoś zupełnie obcego. Była zadowolona ze względu na niego, ale nie musiała dłużej uznawać sukcesów Olivera za swoje. To był już tylko jego sukces. Teraz o tym wiedziała.

Gdy skończyli jeść, usiadł prosto i popatrzył na nią. Czuł, że coś się zmieniło, ale nie był pewny, co. Zazwyczaj dobrze odgadywał jej nastroje, lecz nie dziś. Było coś odległego i smutnego w jej spojrzeniu. Nagle poczuł lęk w sercu. A jeśli Sara ma romans? Nawet przelotny... Jeden z tych związków żon z przedmieścia z agentem ubezpieczeniowym, dentystą lub którymś z ich wspólnych znajomych? Nie mógłby w to uwierzyć. Zawsze była taka lojalna, taka była. Prostolinijna, i pewna, i uczciwa. Za to, po części, tak bardzo ją kochał. To nie mogło być to. On też jej nigdy nie oszukał.

Nie mógł się domyślić, co się z nią działo. Zamówił szampana i deser. Przyjrzał się jej w świetle świec i pomyślał, że wygląda tak uroczo i młodo. W wieku czterdziestu jeden lat prezentowała się znacznie lepiej niż większość kobiet koło

trzydziestki. Ciemnorude włosy wciąż lśniły. Miała wspaniałą figurę, a talia była prawie tak szczupła jak przed urodzeniem dzieci.

- Coś cię gnębi, kochana? - Jego głos był pieszczotliwy. Wziął ją za rękę. Był dobrym człowiekiem i uczciwym, wiedziała o tym, wiedziała też, jak bardzo ją kocha.

- Ależ nic. Dlaczego pytasz? Mieliśmy wspaniały wieczór. Kłamała, ale nie chciała, by o tym wiedział. Choć zawsze jakoś się domyślał. Znał ją tak dobrze. Dwadzieścia dwa lata to bardzo, bardzo długo.

- Jeśli miałbym przyjąć skalę dziesięciopunktową, to dzisiejszy wieczór osiągnął u ciebie dwa punkty. Może jeden. Jeśli za zero przyjąć wizytę u dentysty.

Śmiała się z niego, a on chichotał, nalewając szampana.

- Jesteś wariat, wiesz o tym? - zapytała.

- Pewnie, na twoim punkcie. Wyobraź sobie, takiemu staremu piernikowi jak ja wciąż palma odbija przy własnej żonce. Całkiem śmieszne, co? Po osiemnastu latach małżeństwa!

- Rozumiem, że uznałeś czterdzieści cztery lata za spierniczenie. Kiedy ci to przyszło do głowy?

Ściszył głos do konspiracyjnego szeptu i powiedział:

- Kiedy już nie mogłem kochać się trzeci raz z tobą w ostatnią niedzielę. To na zawsze zepchnęło mnie do kategorii starych pierników.

Uśmiechnęła się szeroko. Kochanie się z nim zawsze było wspaniałe.

- Wydawało mi się, że dwa razy w półtorej godziny to całkiem nieźle jak dla mnie. Poza tym nie zapominaj, że przedtem wlałeś w siebie morze wina. Nie zapominaj o tym.

Popatrzył na stojące na stole puste butelki po winie i szampanie i roześmiał się.

- Domyślam się, że dzisiaj też nic z tego?

- Nie wiem. Może powinniśmy pojechać do domu i sprawdzić, zanim będzie dla ciebie za późno. - Śmiała się, w końcu zadowolona, że mimo wszystko poszli razem na kolację. To trochę zmniejszyło jej napięcie.

- Piękne dzięki. Ale najpierw chciałbym wiedzieć, co cię gnębi.

- Absolutnie nic. - W tej chwili była szczera.

- Może nie teraz, ale jeszcze przed sekundą coś cię gnębiło. Kiedy wróciłem do domu, to wyglądałaś jakby umarł ci ktoś najbliższy.

- Nie, skąd. - Ale przecież wtedy czuła coś takiego. Był jej najbliższy i gdyby wróciła na studia, to w pewien sposób by go straciła... - Nie mów tak, Ol.

- Nie próbuj mnie zwodzić. Coś cię martwi. Czy ma to związek z twoim pisaniem?

Wiedział, że nic nie napisała przez dwa lata, ale dla niego to nie miało znaczenia. Chciał po prostu, żeby była szczęśliwa.

- Może. Nic mi z tego nie wychodzi. Może już nie umiem pisać. Może to był tylko taki błysk w młodości. - Wzruszyła ramionami i po raz pierwszy od dwóch lat nic to dla niej nie znaczyło.

- Nie wierzę w to, Saro. Byłaś dobra. Wydaje mi się, że to za jakiś czas wróci. Może jeszcze nie wymyśliłaś, o czym chcesz pisać. Może powinnaś bardziej się otworzyć na świat... robić coś innego.

Bezwiednie pokazywał jej drogę, ale ona była zbyt przerażona, by nią pójść. Bez względu na to, co zrobi czy powie, wszystko w ich życiu się zmieni.

- Myślałam o tym - zaczęła ostrożnie.

- I? - Czekał.

- O co ci chodzi?

Bała się go. Rzadko jej się to zdarzało. Ale po raz pierwszy w życiu tak panicznie się go bała.

- Nigdy nie zastanawiasz się nad czymś bez wyciągania wniosków lub podjęcia jakiegoś działania.

- Za dobrze mnie znasz.

Uśmiechnęła się, znowu w jej spojrzeniu pojawił się smutek. Rozpaczliwie nie chciała mu nic powiedzieć.

- Czego mi nie mówisz, Sarrie? Nie wiem, o co ci chodzi, i to doprowadza mnie do szaleństwa.

- O nic mi nie chodzi. - Ale nawet siebie nie potrafiła przekonać i zaczynała robić uniki. - Może to kryzys średniego wieku?

- Znowu? - Skrzywił się. - Już to miałaś, dwa lata temu. Teraz moja kolej. No dobra, kochanie... o co chodzi?

- Nie wiem, Ollie...

- Czy to chodzi o nas? - Jego oczy posmutniały, gdy ją o to pytał.

- Oczywiście, że nie. Dlaczego miałoby chodzić o nas? Jesteś cudowny... To tylko ja... chyba... Rosnący niepokój lub jego brak... Czuję się tak, jakbym przez całe nasze małżeństwo stała w miejscu. - Czekał wstrzymując oddech. Szampan, świece, cały odświętny nastrój dawno zostały zapomniane. - Niczego nie zrobiłam. A ty osiągnęłaś tak wiele.

- Nie bądź śmieszna. Są tysiące facetów takich jak ja.

- Do diabła z nimi. Spójrz na siebie. Przypomnij sobie, co mi dzisiaj powiedziałaś przy kolacji. Za pięć lat będziesz dyrektorem naczelnym „Hinkley, Burrows i Dawson”, a prawdę mówiąc wątpię, że zabierze ci to aż tyle czasu.

Odniosłeś jeden z największych sukcesów w tej branży.

- To nic nie znaczy, Saro. Wiesz o tym. To miłe, ale minie. I co z tego? Wychowałaś troje wspaniałych dzieciaków. To jest o całe niebo ważniejsze.

- Ale jakie znaczenie ma teraz? Dzieci dorosły. Za rok, dwa opuszczą dom. W każdym razie na pewno Mel i Benjamin. I co wtedy? Będę siedzieć i czekać, aż Sam też odejdzie? A potem będę oglądać seriale i rozmawiać z Agnes? - Jej oczy wypełniły się łzami na samo wyobrażenie o tym.

Oliver roześmiał się. Nigdy by się nie domyślił, że Sara ogląda telewizję w ciągu dnia. Bardziej w jej stylu było zagrzebanie się w poezjach Baudelaire'a czy Kafce.

- Kreślisz bardzo ponury obraz, kochanie. Nic cię tu nie trzyma, możesz robić, co chcesz.

Naprawdę tak sądził, choć nie zdawał sobie sprawy z ogromu jej ambicji. Nigdy sobie nie zdawał. Pogrzebała je wszystkie dawno, dawno temu. Zostawiła gdzieś na śmietniku lub w starej skrzyni, razem z dyplomem z Radcliffe.

- Naprawdę tak uważasz?

- Oczywiście. Możesz pracować jako wolny strzelec albo na część etatu, pisać opowiadania. Możesz robić wszystko, na co tylko masz ochotę.

Wzięła głęboki oddech. Teraz był właściwy moment, niezależnie od tego, czy była gotowa, czy nie. Musi mu powiedzieć.

- Chcę wrócić na studia. - Ledwo ją było słychać przez wąski stół.

- Uważam, że to świetny pomysł. - Wyglądał na uspokojonego. Nie była zakochana w kimś innym. Wszystko, czego chciała, to pochodzić na wykłady. - Mogłabyś pójść na

uniwersytet stanowy tu, w Purchase. A niech to! Gdybyś to trochę rozłożyła w czasie, mogłabyś nawet zrobić magisterium.

Sposób, w jaki to mówił, nagle ją rozżłościł. Miałaby pójść do jakiejś miejscowej szkółki i „rozłożyć to w czasie”? Na ile lat? Dziesięć? Dwadzieścia? Miałaby być jedną z tych babuleńek chodzących na wykłady o twórczym pisaniu i nie piszących?

O, nie!

- To na pewno nie jest to, o co mi chodzi. - Jej głos nagle nabrał mocy i był znacznie głośniejszy.

To Oliver był jej wrogiem. To właśnie on trzymał ją z daleka od wszystkiego, czego pragnęła.

- A o czym myślałaś?

Na ułamek sekundy zamknęła oczy, a potem otworzyła je i spojrzała na niego.

- Zostałam przyjęta na studia magisterskie w Harvardzie. Ta cisza między nimi trwała bez końca. Wpatrywał się w nią i usiłował zrozumieć, o czym ona mówi.

- Co to ma znaczyć? - Nagle niczego nie pojmował. Co ona do niego mówi? Ta kobieta, którą, jak mu się zdawało, zna, która przez dwie dekady leżała blisko niego noc w noc. W jednej chwili stała mu się zupełnie obca. - Kiedy złożyłaś papiery?

- Pod koniec sierpnia - odpowiedziała spokojnie. Upór, który pamiętał z młodości, płonął znowu w jej oczach. W tej chwili, siedząc przed nim, stawała się całkiem kimś innym.

- To miło. Byłoby ładnie z twojej strony, gdybyś raczyła o tym wspomnieć. A co zamierzałaś robić w razie przyjęcia?

- Nigdy mi nie przyszło do głowy, że mnie przyjmą. Zrobiłam to ot tak, chyba wtedy, kiedy Benjamin zaczął

mówić o złożeniu papierów do Harvardu.

- Jakie to wzruszające! Mamusia i synek razem w szkółce!

A co teraz? Co masz zamiar teraz zrobić? - Serce biło mu mocno i nagle zapragnął, żeby byli w domu, gdyż wtedy mógłby chodzić po pokoju i nie siedziałby przyklejony do krzesła przy stoliku w kącie restauracji, czując się jak osaczony. - Co ty w ogóle mi mówisz? Chyba nie mówisz tego poważnie?

Jej oczy wyglądały jak dwa kawałki lodu. Powoli skinęła głową.

- Mówię poważnie, Ollie.

- Wracasz do Cambridge?

Mieszkał tam siedem lat, ona - cztery, ale to było całe wieki temu. Nigdy w życiu nie zastanawiał się nad tym, żeby tam wrócić.

- Myślę o tym.

Robiła znacznie więcej, niż tylko myślała, ale jeszcze nie potrafiła otwarcie mu tego powiedzieć. Było to zbyt trudne.

- A co ja mam zrobić? Rzucić pracę i pojechać z tobą?

- Nie wiem. Jeszcze nie zaplanowałam. I niczego od ciebie nie oczekuję. To moja decyzja.

- Czyżby? A co z nami? Jak sądzisz, co my powinniśmy zrobić, kiedy ty będziesz się bawiła w studiowanie? Chciałbym ci przypomnieć, że Melissa pozostanie w domu jeszcze przez dwa lata, a Sam przez dziesięć, a może już zapomniałaś?

Teraz był wściekły, dał znak kelnerowi niecierpliwym gestem, że chce zapłacić. Zwariowała. Tak właśnie. Zwariowała. Chybaby wolał, aby powiedziała, że ma romans. Byłoby mu łatwiej, dałby z tym sobie jakoś radę,

przynajmniej tak mu się zdawało w tej chwili.

- Niczego nie zapomniałam. Po prostu chcę wszystko przemyśleć. - Mówiła spokojnie, gdy on wyciągnął plik banknotów i położył je na stole.

- Potrzebujesz dobrego lania. Tak, właśnie to ci się przyda. Zachowujesz się jak znudzona, neurotyczna gospodyni domowa.

Wstał. Wpatrywała się w niego. Frustracja ostatnich dwudziestu lat gotowała się w niej tak, że już nie mogła wytrzymać.

- Nic o tym nie wiesz! - Wstała i patrząc mu prosto w oczy mówiła. Kelnerzy przyglądali się im z daleka, a inni klienci, siedzący obok, udawali, że nie słyszą. - Nie wiesz, jak to jest, porzucić wszystko, o czym marzyłeś. Wszystko masz! Karierę, rodzinę, żonę, co jak wierny piesek czeka na ciebie w domu, żeby przynieść ci w pysku gazetkę i kapię. A co, u diabła, ze mną? Kiedy dostanę to, co moje? Kiedy będę mogła robić, to, co chcę? Kiedy umrzesz? Kiedy dzieci wyprowadzą się z domu? Kiedy będę miała dziewięćdziesiątkę? Nie mam zamiaru czekać tak długo. Chcę teraz, zanim będę za stara, żeby mnie cokolwiek obchodziło i żebym potrafiła się z czegoś cieszyć. Nie mam zamiaru siedzieć tutaj i czekać, aż zaczniesz wydzwaniać do Bena, bo nie masz pojęcia, czy zaginęłam, czy poszłam po zakupy, czy tak mnie znudziło nasze wspólne cholerne życie, że postanowiłam już nie wracać do domu. Nie mam zamiaru tego doczekać, Oliverze Watson!

Kobieta przy najbliższym stoliku chciała wstać i zaśmiać się głośno. Miała czworo dzieci, kiedyś porzuciła marzenia o studiach medycznych, żeby wyjść za mąż za człowieka, który od dwudziestu lat ją oszukiwał i całkowicie wykorzystywał. Ale Oliver zerwał się i wypadł z restauracji.

Sara złapała płaszcz i torebkę i wyszła za nim szybko.

Byli już na parkingu, gdy się do niej odezwał. Miał łzy w oczach, ale nie była pewna, czy to z zimna, urażonej dumy czy gniewu. Nie rozumiała, że oto właśnie zniszczyła wszystko, w co wierzył. Był dla niej dobry, kochał ją, kochał ich dzieci, nigdy nie chciał, żeby pracowała, chciał dbać o nią, kochać ją, szanować i chronić. A teraz ona nienawidziła go za to. Pragnęła wrócić na studia. I to było gorsze, bo jej powrót do Harvardu oznaczał, że będzie musiała ich zostawić. Nie sprzeciwiał się jej decyzji powrotu na studia, ale temu, co musiała zrobić, żeby się tam dostać.

- Czy właśnie mówisz mi, że mnie zostawiasz? Czy o to chodzi? Czy odchodzisz od nas wszystkich? Jak dawno to postanowiłaś?

- Dzisiaj po południu dostałam list, że mnie przyjmują, Oliverze. Jeszcze sama tego nie pojęłam. I na pewno cię nie zostawiam. - Starła się go uspokoić. - Mogę przyjeżdżać na wakacje i na weekendy.

- Na miłość boską! Co my mamy zrobić? Co z Mel i Samem?

- Mają Agnes.

Stali na śniegu, krzycząc na siebie, a Sara z całego serca pragnęła, żeby mogła cofnąć to, co mu powiedziała. Jeszcze sobie tego sama nie poukladała.

- A co ze mną? Ja też mam Agnes? Będzie zachwycona, gdy to usłyszysz!

Uśmiechnęła się do niego. Nawet wściekły, był szczery i miał poczucie humoru.

- O rany, Ollie... przemyślmy to wszystko na zimno. Oboje musimy to przemyśleć.

- Nie, nie musimy. - Nigdy nie widziała go tak poważnego. - Nie ma w ogóle nic do przemyślenia. Jesteś

mężatką z trójką dzieci. Nie ma możliwości, żebyś mogła pojechać na studia prawie trzy tysiące kilometrów stąd i zostawić nas, to jasne jak słońce.

- Nie takie jasne. A jeśli muszę to zrobić?

- Jesteś po prostu samolubna. - Otworzył drzwiczki samochodu i usiadł za kierownicą. Wsiadła. Wpatrywał się w kierownicę. Miał już nowe pytania. - A jak masz zamiar zapłacić za studia?

Oczekujesz ode mnie, że was oboje, ciebie i Benjamina, będę utrzymywał, gdy znajdziecie się w Harvardzie? To byłoby duże obciążenie. Wystarczy jedno dziecko w Harvardzie. Dodanie do tego opłat czesnego za Sarę wydawało się Oliverowi kompletnym absurdem. Ale ona już dawno wszystko obmyśliła. - Mam jeszcze pieniądze, które zapisała mi moja babcia. Poza sumą na położenie nowego dachu nigdy tych pieniędzy nie ruszyłam.

- Wydawało mi się, że są przeznaczone dla dzieci. Uzgodniliśmy, że są nietykalne!

- Może dla dzieci większe znaczenie będzie miało to, że ich matka robi coś ważnego ze swoim życiem, na przykład napisze tekst, l który pewnego dnia będzie miał dla nich jakąś wartość, albo dostanie pracę, która coś da innym ludziom, albo zrobi coś pożytecznego. - To naprawdę piękny pomysł, ale szczerze mówiąc, wydaje i mi się, że twoje dzieci wolą mieć matkę niż literacki ideał, - W jego głosie była gorycz. Przejechali krótki odcinek drogi do domu, potem zaparkował i siedział skulony w samochodzie. - Już zdecydowałaś, prawda? Masz zamiar to zrobić, czyż nie tak, Sarrie?

Jego głos był tak smutny, że tym razem, gdy Oliver odwrócił się, by na nią popatrzeć, wiedziała, iż to nie wiatr wycisnął łzy z jego oczu, ale jej słowa.

I ona miała wilgotne powieki. Zawahała się, patrząc na

śnieg, a potem zwróciła ku niemu twarz.

- Chyba muszę, Ollie, nie wiem, czy potrafię to wytłumaczyć. To nie będzie długo. Obiecuję. Będę pracowała tak ciężko, jak tylko potrafię, i tak szybko, jak potrafię.

Ale nikogo nie mogła oszukać. Oboje wiedzieli, że to miały być dwa lata bardzo intensywnej nauki.

- Jak możesz to zrobić? - Chciał powiedzieć „mi”, lecz to by zabrzmiało zbyt egoistycznie.

- Muszę - szepnęła. Jakiś samochód przejechał za nimi, a światła reflektorów na moment oświetliły ich twarze. Zobaczyła łzy płynące mu po policzkach i bardzo chciała się przytulić do niego. - Tak mi przykro... Nie chciałam ci teraz tego mówić. Chciałam ci powiedzieć po świętach...

- Co to za różnica? - Zerknął do tyłu, zobaczył Melisę i Benjaminą wysiadających z samochodu. Potem popatrzył na żonę. Na żonę, którą właśnie miał stracić, która zostawiała ich, żeby wrócić na studia i może już nigdy nie będzie z nimi, bez względu na to, co teraz mówi. Wiedział, że już nigdy nie będzie tak samo.

Oboje to wiedzieli. - Co im powiesz? :

Dzieci czekały, aż oni wysiądą. Patrzyły na nich i gadały, w mroźnym nocnym powietrzu. Sara spojrzała w ich stronę z kamieniem w sercu.

- Nie wiem jeszcze. Spróbujmy mieć święta za sobą.

Oliver pokiwał głową, otworzył drzwi i wysiadł, pospiesznie ocierając łzy z policzków, żeby dzieci ich nie zobaczyły.

- Cześć, tato, jak wam się udała kolacja? - Benjamin był, w świetnym humorze, a Melissa (same nogi i długie jasne włosy) uśmiechała się szeroko. Miała wciąż sceniczny makijaż. Była na próbie kostiumowej i bardzo jej się to podobało.

- Było fajnie - szybko odpowiedziała za niego Sara, uśmiechając się. - To bardzo miłe miejsce.

Oliver spojrział na nią, zastanawiając się, jak ona może to robić, jak może w ogóle z nimi rozmawiać i tak udawać. Może jest w niej coś, o czym nie wiedział, nigdy się tego nie domyślał, a może nie chciał się domyślać.

Wszedł do domu, powiedział „dobranoc” dzieciom i powoli wspiał się po schodach na górę... czuł się taki stary i zmęczony...

Patrzył, jak cicho zamyka za sobą drzwi ich sypialni. Stała przed nim.

- Przykro mi, Ollie, naprawdę.

- Mnie też.

Wciąż nie mógł w to uwierzyć. Może zmieni zdanie. Może to potrzeba zmiany w życiu. Albo guz mózgu. Albo oznaka poważniejszej depresji. Może zwariowała. Może zawsze była wariatką. Lecz nie dbał o to. Była jego żoną i kochał ją. Chciał, żeby została, żeby cofnęła to, co powiedziała wcześniej, żeby przyrzekła mu, że go nie opuści... jego... nie tylko dzieci... właśnie jego... Ale gdy stała, patrząc na niego przygaszonymi oczyma, wiedział, że ona tak nie postąpi. Miała zamiar zrobić to, o czym mu powiedziała przy kolacji. Wrócić do Harvardu, opuścić ich. Świadomość tego niczym nóż przebiła mu serce. Zastanawiał się, jak on sobie poradzi bez niej. Chciało mu się płakać na samą myśl o tym. Pragnął umrzeć.

Tej nocy, leżąc obok niej w łóżku, czuł jej ciepło, lecz było już tak, jakby odeszła. Leżał, tęskniąc za tymi latami, które minęły, pragnąc jej tak, jak nigdy nie pragnął. Nie zrobił żadnego gestu, tylko skulił się po swojej stronie łóżka, jak najdalej od niej, by nie wiedziała, że płacze. Już nigdy więcej jej nie dotknie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dni przed świętami zdawały się pełzać. Oliver znienawidził powroty do domu. Miotał się między nienawiścią do Sary, a miłością do niej, nawet jeszcze większą niż przedtem, i obmyślaniami sposobów wpłynięcia na nią. Ale decyzja została już podjęta. Mówili o tym bez przerwy, późno w nocy, kiedy dzieci były już w łóżkach. Widział ten jej bezwzględny upór, o którym - jak mu się wydawało - powinni zapomnieć wiele lat temu. Lecz ona uważała, że walczy o życie.

Obiecała, że nic się nie zmieni, że będzie przyjeżdżała do domu w każdy piątek, że kocha go tak jak przedtem. Oboje wiedzieli, że sama się oszukuje. Będzie przecież miała różne rzeczy do napisania oraz egzaminy. Nie mogła dojeżdżać do Bostonu, a przyjeżdżanie do domu tylko po to, aby zakopać się w książkach, złościłoby i jego, i dzieci. Wszystko musiało się zmienić po jej powrocie na studia. To było nieuniknione, czy chciał się z tym pogodzić, czy nie. Próbował ją przekonać, żeby poszła na inny uniwersytet, gdzieś bliżej domu. Już Uniwersytet Columbia byłby lepszy niż przeprowadzka do Harvardu. Ale ona chciała tam wrócić. Zastanawiał się czasami, czy to była próba odzyskania młodości, zawrócenia wskazówek zegara, próba powrotu do prostszego życia, choć on znacznie bardziej wolał ich obecne życie. A już zupełnie nie mógł zrozumieć, jak była w stanie zostawić dzieci.

Dzieci nadal nic nie wiedziały o jej planach. Starsze wyczuwały jakieś napięcie w powietrzu. Melissa kilka razy pytała Sarę, czy pokłóciła się z ojcem, ale ta zbywała ją obojętnie. Postanowiła bowiem, że nie zepsuje im Bożego Narodzenia, wiedziała, iż jej plany na pewno zasmucą dzieci. Zdecydowała się powiedzieć im dzień po świętach. Ollie na

to przystał, sądząc, że pod jego wpływem Sara zdąży jeszcze zmienić zdanie. Poszli razem na sztukę, w której grała Melissa. Ubrali choinkę w nastroju, który przypominał idealną harmonię. Śpiewali kolędy, żartowali, gdy Oliver i Benjamin walczyli ze światełkami, a Sam jadł kukurydzą szybciej, niż Melissa i Sara nadążały nawlec na nitkę.

Kiedy Oliver na nich patrzył, czuł się tak, jakby serce miało mu za chwilę pęknąć. Ona nie może wyjechać, bo to nie jest w porządku. W jaki sposób on się będzie zajmował dziećmi? Agnes, mimo że jest wszystkim droga, to tylko najęta pomoc. A on pracuje przez cały dzień w Nowym Jorku. Dręczyły go wizje dziczejących Benjamina i Melissy oraz Sama zapadającego na jakieś straszne choroby, gdy tymczasem ich matka bawi się w studentkę w Harvardzie.

W Wigilię usiadł naprzeciwko niej przy płonącym kominku w bibliotece. Z kamienną twarzą spojrzął jej w oczy i poprosił, by nie zrealizowała swych planów. Postanowił, że jeśli będzie musiał, zacznie ją błagać.

- Po prostu nie możesz im tego zrobić.

Stracił pięć kilogramów w ciągu dwóch tygodni. Atmosfera napięcia zabijała ich oboje. Lecz Sara była nieugięta. Już tydzień wcześniej napisała na uniwersytet, że się zgłosi, i miała zamiar wyjechać za dwa tygodnie, żeby sobie znaleźć w Bostonie mieszkanie. Wykłady zaczynały się piętnastego stycznia. Pozostawało jej jeszcze przebrnąć przez święta, spakować rzeczy i powiedzieć o wszystkim dzieciom.

- Ollie, nie powtarzajmy tego jeszcze raz. Chciał skoczyć i potrząsnąć nią mocno. Była tak daleko od niego, zamknięta w sobie, jak gdyby nie mogła znieść bólu, który mu sprawiła.

Dzieci zawiesiły swoje skarpety blisko drzewka. Późną nocą Oliver i Sara znieśli prezenty na dół. Sara razem z

Agnes pakowała je już od kilku tygodni. W tym roku poświęciła temu mnóstwo wysiłku, jak gdyby miały to być ich ostatnie wspólne święta. Ollie kupił jej pierścionek ze szmaragdem u van Cleefa tydzień temu. Był piękny, a on wiedział, że właśnie czegoś takiego zawsze pragnęła. Była to prosta obrączka wysadzana brylancikami, a pośrodku tkwił oszlifowany kwadratowy szmaragd. Oliver chciał jej go dać tej nocy, ale nagle pierścionek stał się bardziej łapówką niż prezentem. Zaczął żałować, że go w ogóle kupił.

Kiedy się położyli, Sara nastawiła budzik na szóstą. Zamierzała wstać wcześniej, aby zrobić nadzienie do indyka. Agnes też miała być na nogach od rana, żeby wykonać większość prac, ale Sara chciała sama przygotować indyka. Jeszcze jeden pożegnalny prezent, a poza tym rodzinna tradycja.

Po zgaszeniu światła leżała w łóżku, spokojnie rozmyślając i słuchając oddechu Olliego. Wiedziała, że nie śpi i bez trudu mogła sobie wyobrazić, o czym myśli. Przez ostatnie dwa tygodnie nie był sobą. Kłócili się, płakali, dyskutowali, rozmawiali. Wciąż była przekonana, że to, co robi, jest słuszne, dla niej przynajmniej. A teraz wszystko, czego chciała, to mieć to za sobą, zacząć nowe życie, wyjechać, zostawić ich i ból, który - wiedziała to - zadaje Olliemu.

- Wolałabym, żebyś przestał się zachowywać, jakbym wyjeżdżała stąd na dobre. - Jej głos w ciemności był łagodny.

- Choć wyjeżdżasz na dobre, prawda? - Jego głos był tak smutny, że nie mogła go słuchać.

- Powiedziałam ci, przyjadę do domu w każdy weekend, kiedy tylko będę mogła. Poza tym jest dużo czasu w wakacje.

- I jak sądzisz, jak długo będzie to trwało? Nie możesz

jeździć tam i z powrotem i studiować. Po prostu nie rozumiem, jak możesz to zrobić.

Mówił to już tysiące razy przez ostatnie dwa tygodnie. Wciąż szukał innej przyczyny, czegoś, co kiedyś zrobił lub czego nie zrobił. To musiało być coś innego. Nie pragnęłaby zupełnie nowego życia, z dala od nich, gdyby go naprawdę kochała.

- Może kiedyś, gdy już będzie po wszystkim, nabierze to dla ciebie większego sensu. Może jeśli stanę się kimś dzięki temu, co dzisiaj robię, będzie mnie szanował. To nada memu działaniu wartość.

- Teraz cię szanuję. Zawsze cię szanowałem. - Odwrócił się, aby na nią spojrzeć przy świetle księżyca. Wydawała mu się taka • prześliczna jak zwykle, może nawet jeszcze piękniejsza, gdyż świadomość straty wciąż mu przypominała, jak bardzo ją kocha. Współczuł dzieciom, bo nic nie wiedziały, a on już wiedział. - Kiedy masz zamiar powiedzieć dzieciom?

- Myślałam o jutrzejszym wieczorze, po odjeździe twoich rodziców do domu.

- To cholernie dobry sposób na zepsucie świąt.

- Sądzę, że nie powinnam czekać dłużej. Dzieci domyślają się czegoś. Mel była podejrzliwa przez cały tydzień, a Benjamin ciągle wychodził. To zawsze oznacza, iż wie, że coś nie jest w porządku, ale nie wie, jak sobie z tym poradzić.

- A jak myślisz, jak będą się czuli po usłyszeniu tej nowiny?

- Pewnie tak jak my. Przestraszeni, wytrąceni z równowagi, może trochę podekscytowani. Wydaje mi się, że Benjamin i Mel zrozumieją mnie. Ale martwię się o Sama. - Mówiła miękko. Obróciła, się, żeby spojrzeć na Olliego,

sięgnęła po jego dłoń. Głos jej drżał, gdy odezwała się znowu, myśląc o ich najmłodszym dziecku: - Zaopiekuj się nim, Ollie... potrzebuje ciebie bardziej niż mnie.

- Ciebie też potrzebuje. Widzę go tylko przez parę godzin dziennie, a rozmawiamy jedynie o futbolu i o tym, co zadane do domu.

- To na początek. Pewnie potem wszyscy będziecie sobie bliżsi.

- Myślałem, że jesteśmy sobie bliscy. - To bolało najbardziej. Wydawało mu się kiedyś, że mają wszystko. Idealna rodzina. Idealne małżeństwo. Idealne życie. - Zawsze myślałem, że między nami wszystko jest w porządku... Nigdy nie rozumiałem, co czujesz... chodzi mi o to... więc... to znaczy wiedziałem, kiedy byłaś w ciąży... ale zawsze myślałem, że potem, nawet przed urodzeniem Sama, byłaś szczęśliwa.

Decyzja Sary tak bardzo go zraniła, bo myślał, że nie dał jej wszystkiego, czego pragnęła...

- Byłam... Bywałam... Po prostu chciałam czegoś, czego nie mogłeś mi dać... To musi przyjść samo, ze środka. Chyba nigdy tego nie znalazłam.

Czuła się winna, że przez nią on myśli, iż się do niczego nie nadaje. Był zawsze idealnym mężem.

- A co będzie, jeśli teraz „tego” też nie znajdziesz?

- Zrezygnuję, jak sądzę.

Ale była, że znajdzie to „coś”. Już jakby trochę znalazła. Samo podjęcie decyzji już ją zmieniło.

- Wydaje mi się, że mogłabyś szukać „tego” tutaj. Może potrzebujesz po prostu więcej swobody. - Przyniósł się do niej bliżej na ich ogromnym, wygodnym łóżku i objął ją ramieniem.

- Miałam tyle swobody, ile chciałam. Nie wiedziałam

po prostu, co z nią zrobić.

- Och, maleńka. - Wtulił twarz w jej włosy. Oczy znowu wypełniły mu się łzami, a gdy położyła mu głowę na piersi, poczuł, że też płacze i że drżą jej ramiona. - Dlaczego to robimy? Czy nie możemy cofnąć zegara o kilka tygodni? Zapomnieć, że to kiedykolwiek się stało?

Mimo łez pokręciła głową i podniosła ku niemu oczy. - Chyba nie. Potem zawsze bym czuła, że coś straciłam.

Wróć... obiecuję... przysięgam. Za bardzo cię kocham, żeby nie wrócić.

Ale coś w sercu mówiło mu, że to się nie stanie, bez względu na to, co ona teraz mówi. Bezpieczniej było zatrzymać ją w domu, nie pozwolić jej odejść. Jak już odejdzie, wszystko może się zdarzyć.

Leżeli długo, mocno do siebie przytuleni, twarz tuż przy twarzy. Ich wargi dotykały się. W końcu jego pragnienie zwyciężyło. Po raz pierwszy od dwóch tygodni wziął ją z namiętnością i żądzą zapomnianą przez ten czas. W ich kochaniu była rozpacz, której nigdy przedtem nie odczuwali, były: pragnienie, samotność, nie zaspokojone pożądanie. Ona też to czuła. I poczucie winy, żal, smutek, jaki nią zawładnął, gdy razem zadrżeli. Leżeli obok siebie, całując się, aż zasnął w jej ramionach. Oliver... chłopak, którego dawno temu kochała... mężczyzna, którym się stał... miłość, która się zaczęła i mogła się skończyć w Harvardzie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Poranek świąteczny był jednym wielkim pośpiechem. Stół. Indyk. Prezenty. Telefony z Chicago. Trzy telefony od Watsonów. George dzwonił, aby powiedzieć, że Phyllis nie czuje się zbyt dobrze, lecz Oliver zlekceważył to twierdząc, iż ojciec za bardzo się wszystkim przejmuje. Czekali z Sarą na nich w południe, a oni przyjechali prawie o drugiej, obładowani prezentami dla wszystkich, łącznie z kaszmirowym szalem dla Agnes i ogromną kością rosółową dla Andy'ego. Pomimo obaw George'a Phyllis wyglądała zadziwiająco dobrze i uroczo w nowej wełnianej sukni koloru wina. Kupiła ją w dniu, w którym wyszła z domu i nie wracała przez wiele godzin, co tak bardzo zmartwiło jej męża.

Całymi godzinami rozpakowywali prezenty. Sara była oszołomiona szmaragdowym pierścieniem, który Ollie dał jej wcześniej rano. Siedział wtedy przy kuchennym stole. Zaczynało świtać.

Patrzył, jak nadziewa indyka.

Dała mu skórzany płaszcz, kilka taśm, o których wiedziała, że od dawna chciał je mieć, kilka par skarpet i kilka krawatów, wspaniałą teczkę z czarnej skóry i jeszcze jakieś drobiazgi. On natomiast zażartował z niej trochę i kupił jej mały, śmieszny czerwony tornister, aby jej przypomnieć, że dla niego jest „tylko dzieckiem”, złoty kompas, by nie zgubiła drogi do Purchase, z wygrawerowanym napisem: „Wracaj szybko do domu. Kocham Cię. Ollie”.

- A po co to, tato? - dopytywał się Sam, gdy dostrzegł ten prezent w trakcie rozpakowywania go przez Sarę. - Czy ty i mama jedziecie do lasu? To fantastyczny kompas.

- Twoja mama też jest fantastyczną kobietą.

Pomyślałem, że i jej się przyda, gdyby zgubiła drogę do domu. - Uśmiechnął się, a Sam się roześmiał.

Sara nieśmiało wyciągnęła rękę, by dotknąć Olliego. Pocałowała go czule. Potem on poszedł za nią do kuchni, żeby pomóc jej kroić indyka.

W czasie posiłku nic się nie wydarzyło, poza tym, że w połowie obiadu babcia Phyllis zaczęła się denerwować. Wydawało się, że podskakuje na krześle. Pomagała nosić talerze, których nie trzeba było nigdzie nosić, przynosiła różne niepotrzebne rzeczy z kuchni, pytała każdego po dziesięć razy, czy chce dokładkę.

- Co się dzieje z babcią? - wyszeptał Sam do ojca, gdy Phyllis dreptała za Agnes, nalegając, że jej pomoże. - Nigdy za bardzo nie lubiła pomagać w kuchni.

Oliver też to zauważył, ale wydawało mu się, że coś ją po prostu niepokoi. Wyglądała na niezwykle podnieconą.

- Myślę, że chce pomóc mamie i Agnes. Starszym ludziom to się czasami zdarza. Chcą, by wszyscy wiedzieli, że wciąż się do czegoś nadają.

- Aha. - Sam kiwnął głową, uspokojony.

Inni też to zauważyli. A Mel spojrzała, zmartwiona, na matkę. Sara pokręciła głową, nie chcąc, aby pytania przyjęły kształt słów. Raptem wydało jej się oczywiste, że teściowa ma jakieś kłopoty.

Pomimo to posiłek przebiegł bez zakłóceń. Wszyscy zjedli zbyt wiele dokładek, a potem padli w saloniku. Sara, Agnes i Phyllis sprzątały kuchnię. Melissa dołączyła do nich na chwilę, ale zaraz poszła do dziadka, ojca i braci. Popatrzyła z troską w oczach na dziadka George'a i usiadła obok niego.

- Co się dzieje z babcią? Wygląda na okropnie zdenerwowaną.

- To się jej ostatnio zdarza. Ciągłe jest czymś poruszona. Bardzo trudno ją uspokoić. Czasami lepiej jest pozwolić jej się zmęczyć, dopóki czegoś nie psuje. Daje tam sobie radę?

- Chyba tak. Przelatuje przez kuchnię jak trąba powietrzna. Tak naprawdę to Phyllis niczego tam nie robiła. Mówiła tylko bez przerwy. Przesuwała brudne talerze z jednego miejsca na drugie i z powrotem. Niczego nie skończyła. Sara i Agnes też zauważyły jej dziwne zachowanie, ale żadna z nich nic nie powiedziała. Namawiały Melisę, żeby poszła do saloniku. Słyszac imię „Melissa”, babka podniosła głowę. Popatrzyła wprost na swoją jedyną wnuczkę i spytała:

- Mel? Czy ona jest tutaj? Tak bym chciała ją zobaczyć? Gdzie ona jest?

Melissa stanęła jak wryta, aż matka wypchnęła ją z kuchni.

Wtedy, wciąż wstrząśnięta, usiadła obok dziadka i poprosiła o wyjaśnienie.

- Strasznie jej się wszystko myli. Nigdy babci takiej nie widziałam.

- To się jej coraz częściej zdarza.

George Watson popatrzył ze smutkiem na syna. Właśnie próbował to wyjaśnić Olliemu. Czasami wydawało się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, aż sam się zastanawiał, czy czegoś sobie nie wymyśla. Nie bardzo wiedział, co ma z tym zrobić. Jednego dnia wyglądało na to, że ona zupełnie nad sobą nie panuje, a następnego - była już dobrze znaną Phyllis. Czasami jej nastroje zmieniały się z godziny na godzinę.

Parę minut później, gdy Phyllis i Sara weszły do pokoju, starsza pani wydawała się znacznie spokojniejsza.

Usiadła na krześle i rozmawiała z Benjaminem, który opowiadał jej o złożeniu papierów w Harvardzie. Wysłał też zgłoszenia do Princeton, Stanford na Zachodnim Wybrzeżu, Bown, Duke i Georgetown. Jego stopnie i sprawność fizyczna pozwalały mu na wybieranie z wielu dobrych szkół. Ale miał nadzieję, że dostanie się do Harvardu. Na to liczyła Sara. To byłoby wspaniale znaleźć się razem z nim na studiach. Może gdyby się to udało, wybaczyłby jej wyjazd z domu osiem miesięcy przed nim. Ollie zaproponował nawet, żeby zaczekała na Benjaminą, ale nie chciała niczego odkładać. Czekwała zbyt długo, aby teraz zgodziła się opóźnić odjazd choćby tylko o godzinę. To była reakcja, którą Phyllis przepowiedziała dawno temu. Pewnie już o tym nie pamiętała ani nie rozumiała, że coś się dzieje.

- A kiedy szkoły mają ci odpowiedzieć? - George Watson był tak samo podniecony jak jego wnuk.

- Pewnie nie wcześniej niż pod koniec kwietnia.

- Strasznie długo musisz czekać, młody człowieku.

- O, tak. - Benjamin uśmiechnął się i popatrzył na ojca.

- Jak będę czekał na odpowiedź, to razem z tatą pojedziemy do kilku szkół. Większość z nich znam, ale nigdy nie byłem w Duke ani w Stanfordzie.

- To stanowczo za daleko. Nadal uważam, że powinieneś iść do Princeton.

Wszyscy się uśmiechnęli, bo to była szkoła George'a. On zawsze twierdził, że każdy powinien iść do Princeton.

- Pewnie pójdę, jeśli nie dostanę się do Harvardu. Może pewnego dnia trafi tam Mel.

Mel zajęczała i rzuciła w niego nadgryzionym ciastkiem.

- Wiesz przecież, że chcę się dostać do UCLA i studiować aktorstwo.

- Tak, jeśli przedtem nie wyjdiesz za mąż.

Zazwyczaj Benjamin mówił: „Jeśli przedtem nie zajdziesz w ciążę”, ale nie odważył się powiedzieć tego przy rodzicach. Mel miała właśnie gorący romans z chłopakiem z jego klasy i chociaż nie sądził, by posunęła się „do końca”, to podejrzewał, że są tego coraz bliżsi. Ona zaś niedawno dowiedziała się o jego nowej fascynacji ładną blondynką o fantastycznej figurze, Sandrą Carter.

Wieczór minął. Starsi państwo Watson pojechali w końcu do domu. Zaraz po ich wyjściu Oliver popatrzył pytająco na Sarę. Przez ostatnie pół godziny była bardzo cicha i spokojna. Wiedział, że zastanawia się, co ma powiedzieć dzieciom. Wszyscy byli tak zmęczeni, że może lepiej byłoby poczekać do jutra, ale ona tak długo o tym myślała, że chciała im to wreszcie powiedzieć.

Benjamin miał ją właśnie prosić o kluczyki, a Melissa zamierzała zadzwonić do przyjaciółki. Sam już ziewał. Agnes pojawiła się w drzwiach.

- Czas na Sama. Zabiorę go na górę do łóżka, jeśli pani pozwoli, pani Watson.

Wszystko było pozmywane i posprzątane i Agnes chciała już iść do swego pokoju, żeby nacieszyć się nowym telewizorem, który dostała od Watsonów na Boże Narodzenie.

- Zabiorę go na górę za chwilę. Chcemy najpierw porozmawiać. Dziękuję, Agnes. - Sara uśmiechnęła się do niej.

Na moment Agnes przystanąła. Było coś dziwnego w oczach jej chlebobawczyni. Skinęła głową, jeszcze raz życzyła im wesołych świąt i poszła do swojego pokoju. Sam spojrział na matkę szeroko otwartymi, zmęczonymi oczyma.

- O czym będziemy rozmawiać? - zapytał.

- Mamo... czy mogę... miałem wyjść... - Benjamin wyraźnie się spieszył do wyjścia, bo spojrzął na swój nowy zegarek, ale tym razem Sara pokręciła głową.

- Wolałabym, żebyś poczekał. Jest coś, o czym chcę z wami wszystkimi pomówić?

Czy coś się stało? - zaniepokoił się.

Mel patrzyła na nich z góry. Była już w połowie schodów. Sara poczekała, aż się razem zbiorą i usiądą. Wyglądało to na jakąś poważną sprawę. Oliver usiadł na krześle po przeciwnej stronie pokoju. Zastanawiał się, co ona im powie i jak to przyjmą.

- Zupełnie nie wiem, od czego mam zacząć. - Sara przez chwilę zabrakło tchu, gdy na nich patrzyła. Na wysokiego przystojnego syna, córkę już tak dorosłą, a przecież wciąż jeszcze dziecko, i na rozspanego Sama, skulonego na kanapie obok niej. - Jest coś, co chciałam zrobić już od dawna. I teraz zamierzam to zrealizować, choć nie będzie to łatwe dla nikogo z nas. To wielka szansa. Ale najpierw chcę wam powiedzieć, żebyście wszyscy wiedzieli, że bardzo was kocham, że bardzo mi na was zależy... Jest jednak coś, w co zawsze wierzyłam... Powtarzałam wam wszystkim, że trzeba być uczciwym wobec samego siebie. - Ścisnęła rękę Sama i mówiąc dalej, unikała wzroku Olivera. - Należy robić to, co uważa się za słuszne, nawet jeśli czasami jest bardzo ciężko... - Westchnęła.

Przez chwilę w pokoju panowała głucha cisza. Czekali na dalszy ciąg. Bali się tego, co miała im powiedzieć. Wyglądało tak poważnie. Benjamin zauważył, że ojciec zbladł. Może się rozwodzą albo będzie jeszcze jedno dziecko? Dziecko nie byłoby złe, rozwód to koniec świata. Żadne z nich nie mogło wyobrazić sobie, o co chodzi.

- Mam zamiar wrócić do szkoły. - Westchnęła, gdy to

powiedziała.

- Co?! - Mel spojrzała na nią oszołomiona.

- Gdzie? - spytał Benjamin.

- Dlaczego? - chciał wiedzieć Sam. Dla niego było to głupie. Szkoła była dla dzieci. On nie mógł się doczekać, kiedy ją skończy. Powrót do szkoły, kiedy jest się już dorosłym? Na pewno nie będzie chciał tego zrobić, jak będzie w jej wieku. - Czy tata też wraca do szkoły?

Sara się uśmiechnęła, ale nie Oliver. To byłoby dla nich łatwiejsze, gdyby też wracał do szkoły. Wtedy wszyscy wyprowadziliby się do Cambridge. Lecz tylko ona wyjeżdżała, oni zostawali tutaj. Tylko ona chciała wypłynąć z portu, zerwać bezpieczną kotwicę ich życia i wyruszyć na nieznane wody. Ta myśl bardziej ją ożywiała, niż przerażała. Pewnego dnia im to wyjaśni, ale nie w tej chwili. Teraz powinni wiedzieć, jaki wpływ to będzie miało na ich bezpieczne do tej pory, wygodne życie. Na pewno będzie miało. Nie można było temu zaprzeczyć. Szczególnie na życie Sama, który siedział, patrząc na nią z oczekiwaniem.

- Nie. Tata nie wraca do szkoły. Tylko ja. Wracam do Harvardu za kilka tygodni.

- Harvardu? - Benjamin był wstrząśnięty. - Ty? Dlaczego? Nic nie rozumiał. W jaki sposób ona mogła wyjeżdżać do szkoły do Bostonu? A potem powoli zaczął pojmować. Popatrzył na swego ojca i zobaczył wszystko. Samotność, ból, smutek, który wywołała Sara. Ale udręka i powaga były i w jej oczach.

- Będę przyjeżdżać do domu tak często, jak tylko będę mogła. A wy będziecie mieć tatę i Agnes, i oni się wami zajmą.

- To znaczy, że nas zostawiasz? - Sam wyprostował się obok niej z szeroko otwartymi oczyma, nagle pełnymi lęku. -

Na zawsze?

- Nie. Nie na zawsze - dodała szybko. - Tylko na trochę. Mogę przyjeżdżać do domu na weekendy i na wakacje. - Zdecydowała się powiedzieć im prawdę. Tyle była im winna. - Pełny kurs trwa dwa lata.

- Dwa lata? - Sam zaczął płakać i przez chwilę nikt nic nie mówił, a gdy próbowała otoczyć go ramionami, wyszarpnął się i wybiegł na środek pokoju do ojca. - Odjeżdżasz i zostawiasz nas? Dlaczego? Czy już nas nie kochasz?

Wstała i wyciągnęła do niego ręce, ale on już tego nie chciał. Łzy błyszczały też i w jej oczach. Zdawała sobie sprawę, że to bardzo ciężkie, ale nie aż tak. Cierpiała, że sprawia im ból, lecz wciąż wiedziała, że musi tak postąpić - dla własnego dobra.

- Oczywiście, że cię kocham, Sam... was wszystkich... Po prostu muszę to zrobić... dla siebie.

Próbowała coś wytłumaczyć, ale Sam nie mógł nic usłyszeć przez łkanie. Podbiegł do Mel i przywarł do niej, a ona zaczęła płakać. Trzymała kurczowo swego małego braciszka, jak gdyby oboje tonęli, i popatrzyła na matkę oskarżające.

- Dlaczego, mamo?

To były dwa najbardziej bolesne słowa, Jakie kiedykolwiek usłyszała. Zwróciła się ku Oliverowi po pomoc, ale on nic nie powiedział. Jego serce było złamane, tak jak serca dzieci.

- To trudno wytłumaczyć. To po prostu jest coś, co zawsze chciałam zrobić.

- Czy to coś między tobą a tatą? - Mel pytała przez łzy, przytulona do Sama. - Czy bierzecie rozwód?

- Nie. Nic się nie zmieni. Muszę wyjechać na trochę,

żeby sama coś osiągnąć, być kimś dzięki sobie, bez was.

Nie chciała im mówić, że ściągnęli ją w dół, że przytrzymywali ją z dala od możliwości stworzenia czegoś. Byłoby to wobec nich nieuczciwe, jednakże tak właśnie było. Teraz dopiero to widziała. Oliver też miał trochę racji, ale zdaniem Sary słuszność była po jej stronie. Oni to przeżyją, a ona wróci do nich lepsza. Jeśli zostanie, umrze. Teraz wiedziała o tym z całą pewnością.

- Czy nie możesz studiować gdzieś tutaj? - spytał ciche Benjamin. i Chłopiec był wstrząśnięty i zbyt dorosły, by płakać. Tylko patrzył na nią, jakby chcąc zrozumieć, pewien, że istnieje jakaś inna przyczyna jej wyjazdu. Może się rozwodzą i nie chcą mówić o tym dzieciom? Ale dlaczego w takim razie nie bierze dzieci ze sobą? To w ogóle nie miało sensu. Wiedział tylko, że jego rodzina się rozpada, a nie rozumiał, dlaczego. Chciał wierzyć, że ona ma jakiś dobry powód. Tak bardzo ją kochał. Chciał przyjąć jej punkt widzenia, ale nie mógł.

- Nie sądzę, żebym mogła coś zrobić tutaj, Benjaminie.

Harvard to dla mnie dobre miejsce. - Uśmiechnęła się smutno, czując, że łkanie Sama rozdziera jej serce. Nie śmiała do niego podejść. Za każdym razem, gdy próbowała, zasłaniał się przed nią. Oliver też trzymał się od niego z daleka. - Może oboje będziemy tam na jesieni.

- To byłoby miłe. - Benjamin uśmiechnął się do niej. Zawsze w nią wierzył i w to, co robiła, lecz teraz w środku coś w nim drżało od zadanego ciosu. Czuł się tak, jak gdyby całe jego życie rozpadło się w jednej chwili. Nigdy mu nie zaświtało w głowie, że któreś z rodziców dokądkolwiek pojedzie. Oni mieli zostać w domu... Nigdy by nie przypuścił, że to matka miałaby być tą, która wyjedzie. Prawie nie mógł myśleć. Usiadł na krześle, starając się zachować spokój i

obserwując Olivera siedzącego w rogu pokoju. Wreszcie wstał, spojrzął na ojca i spytał bez ogródek: - Tato, a co ty o tym wszystkim myślisz?

- To jest decyzja waszej matki, synu. Nie możemy stanąć jej na drodze. Poza tym nie dała nam wyboru. Wierzy, że robi coś słusznego, a my po prostu musimy jej w tym pomóc.

Napotkał wzrok Sary i nagle coś się w nim zmieniło. Zraniła jego dzieci, nie tylko jego samego, i nigdy jej tego nie zapomni. Ale wiedział, że zawsze będzie ją kochał.

- Będziemy za tobą tęsknić, Sarrie.

Zapomnieli o pięknie Bożego Narodzenia, śmiechu, tradycji, prezentach. To była najcieńsza noc w ich życiu, ale mogło być gorzej. Sara opuszczała ich tylko na trochę. Tak powiedziała. Na dwa lata, chociaż dla nich teraz to była wieczność.

Sara próbowała podejść do Mel i Sama. Sam płakał coraz bardziej, a Mel wyciągnęła rękę, żeby ją zatrzymać z daleka od nich, i patrzyła na oboje rodziców z jednakowym gniewem.

- Uważam, że nas okłamujesz. Uważam, że nas zostawiasz na dobre, ale nie masz na tyle odwagi, aby nam to powiedzieć. Jeżeli wyjeżdżasz na dobre, to dlaczego nie zabierasz nas ze sobą?!

- Bo was nie zostawiam. Co robilibyście w Cambridge? Stracilibyście wszystkich kolegów. Pójdziecie do nowej szkoły? Będziecie mieszkać ze mną w ciasnym mieszkanku, gdy ja będę pisać i uczyć się do egzaminów? Benjamin jest w ostatniej klasie, ty masz jeszcze dwa lata do skończenia szkoły. Naprawdę chcesz wszystko rzucić? Nie będę mogła się wami zająć, gdy zacznę chodzić na zajęcia. Będzie wam tu znacznie lepiej z tatą i Aggie, we własnym

domu, w szkole, którą lubicie, wśród przyjaciół, których macie od lat, w znanym otoczeniu.

- Odchodzisz od nas? - Oczy Mel były pełne gniewu i bólu, a łkanie Sama wciąż nie ustawało. Mel odwróciła się do ojca. - Musiałeś zrobić jej coś strasznego, że chce nas tak zostawić.

Nienawidziła ich oboje i wiedziała, że zawsze będzie ich nienawidzić. Zawsze.

Sara pospieszyła mężowi z pomocą.

- To nieprawda, Mel. Twój ojciec nie ma z tym nic wspólnego.

- Ludzie tak po prostu nie wyjeżdżają na studia. Przynajmniej dorośli tego nie robią. Musisz nas strasznie nienawidzić, jeśli wyjeżdżasz.

Łkania Sama przerodziły się w zawodzenie, Mel trzymała go w ramionach. A wtedy Sam odwrócił się, płacz wykrzywił mu twarz. Tym razem nie zrobiła kroku w jego stronę. Sam nie mógł prawie mówić przez szloch.

- Czy... czy... to prawda? Czy... nas.... nienawidzisz... mamo?... Serce jej pękało i łzy spływały po policzkach, gdy pokręciła głową.

- Nie, nie! Kocham was z całego serca... was wszystkich i tatę. Płakała teraz, a Oliver odwrócił się od nich. Stali tak, patrząc na siebie w milczeniu, nie wiedząc, co zrobić. Ich rodzina została rozbita od jednego ciosu. Oliver powoli podszedł do Sama i wziął go w ramiona. Sam przywarł do niego, tak jak robił to przed laty, gdy był małym dzieckiem.

- Wszystko będzie w porządku. Sam... będzie w porządku, synu...

Oliver pochylił się i próbował pocałować Mel, ale ona odepchnęła go i pobiegła na górę do swego pokoju. Chwilę

później usłyszeli trzaśnięcie drzwiami. Potem Oliver z Samem na rękach wolno wszedł po schodach, a Sara i Benjamin zostali sami. Syn patrzył na nią, nadal wstrząśnięty, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszał, choć wiedział, że to prawda.

- Mamo, dlaczego?

Był wystarczająco dorosły, by mogła mówić z nim otwarcie, tak jak zawsze to robiła.

- Nie jestem pewna, czy sama wiem. Wiem tylko, że nie mogę już dłużej tak żyć. A to, co mam zamiar zrobić, wydaje mi się słuszne. To wszystko, co wiem. Chcę być kimś. Kimś. Nie chcę tylko odwozić Sama do szkoły i czekać, aż wróci po lekcjach do domu. Przez chwilę Ben miał wrażenie, że ona nienawidzi bycia matką.

- Nie mogłaś poczekać? Inne mamy czekały.

- Nie tak długo. Muszę to zrobić teraz. Wytarła nos, ale łzy nadal płynęły. Ranienie bliskich było okropne, lecz oni, nawet tego nie chcąc, też ją ranili. Robili to od lat. Tak jak Ollie.

Benjamin kiwnął głową, chcąc zrozumieć. Kochał ją i pragnął jej dobra, ale w duchu myślał, że to okropne. Nie mógł sobie wyobrazić opuszczenia swego dziecka. Nigdy by o tym nie pomyślał, że można zrobić coś takiego. Ona pomyślała i zrobiła, i wszystko teraz się zmieniło. Co zostało? Nic. Kilkoro dzieci. Ojciec, który pracował przez cały czas. I kobieta wynajęta do gotowania dla nich. Nagle nie mógł się doczekać wyjazdu jesienią. Gdyby mógł, wyruszyłby wcześniej. Już nie miał rodziny. Pozostała tylko grupka ludzi, z którą mieszkał.

Było prawie tak, jakby mama umarła, tylko gorzej, bo ona, gdyby zechciała, mogłaby zostać. Naprawdę bolało to, że nie chciała. I całe to gadanie, jak jej na nich zależy. Jeśliby

jej zależało, to by została. Jednak wyjeżdżała. To mówiło samo za siebie. Benjamin pochylił głowę, popatrzył na stopy, odwrócił się do niej plecami, czując się winny, że tak myśli. Pragnął tylko jak najszybciej wydostać się z domu. Zawsze w nią wierzył, nawet bardziej niż w ojca, i nagle ich wszystkich odrzuciła. O, właśnie tak. Jego, Mel, Sama, nawet ojca. Było mu przykro ze względu na tatę, ale nic przecież nie mógł zrobić, żeby to zmienić.

- Przepraszam, że proszę cię o to teraz... Zastanawiałem się, czy... jak ci się wydaje, czy tata miałby coś przeciw temu, żebym wziął na trochę samochód?

Pokręciła głową, próbując odgadnąć, co on naprawdę myśli.

Zawsze był jej najbliższy.

- Jestem pewna, że wszystko będzie w porządku. Nagle Sara poczuła się tak, jak gdyby straciła już autorytet. Położyła swoje kluczyki na stoliku. To był przedsmak przyjazdów w weekendy. Dzieci odzwyczajają się od tego, że ona jest blisko. Nie będzie już miała nad nimi żadnej władzy. To nie będzie łatwe, bez względu na to, co zrobiła.

- Dobrze się czujesz? - Martwiła się o niego. Wiedziała, że nawet jeśli Benjamin nie mówi dużo, to bardzo mocno go to zabolowało. Miał tylko siedemnaście lat. Nie chciała, żeby wyszedł z domu, upił się gdzieś i próbował wracać samochodem czy coś w tym rodzaju. - Dokąd idziesz o tej porze? - Było już po dziesiątej. Boże Narodzenie. Nie podobało jej się, że tak późno dokądś jedzie.

- Chcę się tylko spotkać z kolegą. Za chwilę będę z powrotem.

- OK. - Kiwnęła głową. Odwrócił się, żeby odejść, gdy nagle schwyciła go za rękę. - Kocham was... proszę, zawsze o tym pamiętaj. - Znowu płakała.

Benjamin chciał jej coś powiedzieć, ale tego nie zrobił. Za mocno go zraniła. Zraniła ich wszystkich. Jedyne, co mógł dla niej uczynić, to skinąć głową. Skierował się do frontowych drzwi i wziął płaszcz. Po chwili wyszedł. Zadrżała, gdy drzwi trzasnęły.

Powoli poszła na górę do ich sypialni. Usłyszała łkanie dochodzące z pokoju Mel. Drzwi były zamknięte. Próbowwała je otworzyć, ale Mel nie odpowiadała na wołanie. Z pokoju Sama nie dobiegał żaden dźwięk, nie miała odwagi tam wejść i obudzić go. Poszła do sypialni. Usiadła na łóżku, czując się cała obolała. Po godzinie przyszedł Oliver. Znalazł ją leżącą na łóżku, wpatrującą się w ścianę, z oczyma wciąż pełnymi łez.

- Co z nim? - spytała o młodszego syna.

Nie poszła do Sama. Należał do Olivera, nie do niej. Wszyscy należeli do niego. Równie dobrze mogło jej wcale nie być. Uświadomiła sobie, że powinna wyjechać jak najszybciej. Łatwiej to zniosą teraz, gdy już wiedzieli, że wyjeżdża.

- Śpi. - Oliver opadł na fotel z westchnieniem. To był bardzo długi dzień. Zapowiadała się też długa noc. Nie chciał już przed nią grać. Przez swoje pragnienia rujnowała im życie. Jego matka miała rację. Ale teraz było za późno. Tkwili w tym po szyję i jeśli jego dzieci miały to przeżyć, powinien zacząć coś robić, i to prędko. Już miał przedsmak tego, co będzie z Samem, a musiał się jeszcze martwić o Mel i Benjamin. Widział wyraz oczu starszego syna. To co zrobiła Sara, mocno nim wstrząsnęło. - Nie wiem, czy któreś z nich kiedykolwiek się z tego podniesie.

- Nie mów tak. I bez tego wystarczająco podle się czuję.

- Chyba jednak niewystarczająco. Może gdybyś

rzeczywiście podle się czuła, nie robiłabyś tego. Już nigdy nikomu nie zaufają, a na pewno nie mnie. Jeśli własna matka ich zostawia, to jak sądzisz, czego będą oczekiwali od reszty świata? I jak sądzisz, co ta sytuacja im da? Czy sprawi, że będą lepsi? Do diabła, nie! Będą mieli szczęście, jeśli w ogóle z tego wyjdą. Wszyscy będziemy mieli szczęście.

- A jakbym umarła?

- Byłoby to dla nich łatwiejsze. Wtedy przynajmniej to nie byłby twój wybór, a właśnie on sprawia, że dzieci czują się odrzucone.

- Piękne dzięki. Więc mówisz mi, że jestem ostatnią świnią, prawda? - Była znowu zła. Próbował uderzyć w nią poczuciem winy, a ona już czuła się winna.

- Może właśnie ci to mówię, Saro. Może jesteś ostatnią świnią, po prostu prawdziwą samolubną świnią. I masz nas za nic. To możliwe, prawda?

- Może. Więc mówisz, że już mnie nie chcesz z powrotem?

- Nic takiego nie powiedziałem.

Kłopot polegał na tym, że chciał, by wróciła, zawsze będzie chciał, bez względu na to, co by zrobiła jemu czy dzieciom, ale tak bardzo jej teraz nienawidził. Sam trzymał się go jak tonące dziecko i był tonącym dzieckiem. Bardzo, bardzo długo będzie go to bolało. Oliver wiedział, co mówi. Zastanawiał się, czy przez całe życie pozostaną im blizny po tym, co się stało. Na pewno Sam będzie cierpiał, zwłaszcza jeśli ona nie wróci na dobre. Co było bardzo prawdopodobne, jak sobie Oliver uświadomił. Nawet jeżeli teraz temu zaprzeczała. Wszystko się dla niej zmieni, gdy tylko dotrze do Harvardu. Będą inni ludzie w jej życiu. A Oliver i dzieci znajdą się daleko, bardzo daleko. Już nie będzie żadnych gwarancji, dla nikogo.

- Chyba powinnam wyjechać w ciągu kilku najbliższych dni. Będzie nam wszystkim zbyt trudno, jeśli zostaną jeszcze dwa tygodnie.

- To już zależy od ciebie. - Poszedł do łazienki i rozebrał się.

I już nie czuł się jej bliski. Kochali się przecież ostatniej nocy, a teraz wydawała mu się obca. Obca, która wtargnęła do jego domu i zniszczyła uczucia jego dzieci. - Kiedy wyjedziesz? - spytał po wyjściu z łazienki i usiadł na łóżku.

- Może pojutrze. Muszę się spakować.

- Chyba powinienem zabrać gdzieś dzieci, żeby nie widziały, jak wyjeżdżasz.

- Może to i dobra myśl. - Spojrzała na niego ze smutkiem, ale już nic nie zostało do powiedzenia. Wszystko sobie powiedzieli, wszystkie oskarżenia, żale, przeprosiny, wyjaśnienia. Były też łzy.

- Już nie wiem, co mam ci powiedzieć. - Zwłaszcza dzisiejszej nocy, gdy usłyszeli płacz swoich dzieci. A ona wyjeżdżała.

- Ani ja. - Wyglądała na ogłuszoną i załamana. Leżeli w ciszy i ciemności. W końcu o drugiej nad ranem zasnął. Ale Sara czuwała, nie śpiąc aż do świtu. Usłyszała, gdy wrócił Benjamin. Ale nic mu nie powiedziała. To dobry chłopiec i na pewno było mu ciężko. W przyszłości też będzie mu trudno. Wciąż przecież jest tylko dzieckiem, przynajmniej ona tak myślała.

Stał się mężczyzną tej nocy. Było to dziwne i wspaniałe przeżycie. Rodzice Sandry wyjechali i po raz pierwszy młodzi się kochali. Czuł się tak, jakby dostał własną kobietę w zamian za tę, którą wcześniej tego wieczora utracił. Była to dziwna, słodka i gorzka noc dla niego. Rozmawiali

do późna o tym, co się stało u niego w domu i co on czuje. Mógł rozmawiać z Sandrą jak z nikim innym. Potem znowu się kochali. A gdy w końcu wrócił do domu, do własnego łóżka, mógł pomyśleć o swej nowej miłości, ile ona dla niego znaczy, o matce, którą utracił, i wtedy ta strata wydała mu się mniej straszna - dzięki Sandrze.

Wszyscy spali, a Sara leżała, nad słuchując odgłosów domu. Pragnęła znowu należeć do rodziny. Ale już nie była jedną z nich. Była kimś innym. Jedyne, co jej pozostało, to wstępować dalej w nowe życie. Nadal była podekscytowana tym, co ją czekało, choć tyle ją to kosztowało. Gdy wszyscy jeszcze spali, wstała i zaczęła się pakować. Zmieściła wszystko, czego potrzebowała do trzech walizek. Gdy Oliver wstał, już skończyła. Wzięła prysznic, ubrała się i zarezerwowała samolot. Zadzwoiła do hotelu w Cambridge, gdzie kiedyś już mieszkała. Zdecydowała, że wyjedzie najpóźniej po południu.

- Dokąd się wybierasz o tej porze? - Oliver patrzył na nią ze zdumieniem, bo zobaczył, że jest już ubrana. Wyczuł, że gdy spał, wiele się wydarzyło.

- Jeszcze nigdzie. Wyjeżdżam dzisiaj. Powiem dzieciom, kiedy wstaną. Nie może ich to bardziej zmartwić. Dlaczego nie zabierzesz ich gdzieś na trochę?

- Spróbuję, zobaczę, co się da zrobić.

Wziął prysznic, przebrał się i zadzwonił w kilka miejsc. Przy śniadaniu oboje powiedzieli dzieciom, że Sara wyjeżdża wcześniej, niż planowała, a ojciec zabiera ich do Vermontu.

Oliver poprosił Agnes, żeby spakowała Sama. Przez chwilę wydawało się, że Benjamin się waha. Powiedział, iż ma kilka prac szkolnych do zrobienia w czasie ferii.

- W przerwie świątecznej? - Oliver przyglądał mu się z

powątpiewaniem. Zastanawiał się, czy to jakaś dziewczyna.

- Na jak długo wyjeżdżamy?

- Trzy, cztery dni.

Dość długo, żeby się oderwać od domu, jeśli to było w ogóle możliwe. Potem powrót do tego grobowca, jakim stanie się dom po jej wyjeździe. Już był nim zresztą. Sara zaszokowała ich, kiedy im powiedziała, że już wyjeżdża. Ale byli tak oteńiali z bólu po tym, co stało się poprzedniego dnia, że nic ich nie dziwiło, tylko kiwali głowami nad śniadaniem, którego prawie nie tknęli. Benjamin wyglądał na zmęczonego. Niewiele mówił, prawie nic nie jadł. Mel z nikim nie rozmawiała, a Sam bez przerwy patrzył na ojca, jakby chcąc się upewnić, że on jest i ich nie zostawi.

W końcu Benjamin zgodził się pojechać z nimi do Vermontu i udało im się opuścić dom przed czwartą, zanim Sara wyruszyła na lotnisko. Pożegnanie było okropne. Sam znowu płakał. Agnes stała w drzwiach znieruchomiała z przerażenia. Tym razem nawet Benjamin miał łzy w oczach. Sara nie mogła mówić, a Oliver otwarcie płakał, kiedy odjeżdżali. Tylko raz spojrział w lusterko i poczuł, że serce mu pęka, gdy zobaczył ją stojącą przed domem, z uniesionym ramieniem w geście ostatniego pożegnania. Całe jego życie odchodziło. W jednej chwili. Kobieta, którą kochał, i wszystko, co zbudował. Znikało to przez szaleństwo, jakiego pragnęła.

Oliver uznał, że dzieciom to nie zaszkodzi, jeśli zobaczą, że płacze. Był zraniony tak bardzo jak one. Obejrzał się na Sama i uśmiechnął przez łzy. Przyciągnął chłopca do siebie.

- No dobra, stary, już starczy, wszystko z nami będzie w porządku. I z mamą też. - Wciąż miał łzy w oczach, gdy próbował się uśmiechnąć do Sama i pozostałych dzieci.

- Czy kiedyś zobaczymy ją znowu? Tego pytania Oliver obawiał się najbardziej. Sam już w nic nie wierzył. Ollie nie był pewny, czy w coś wierzy, ale czy można go było za to winić?

- Oczywiście, że zobaczymy. Wtedy nie będziemy już tak źle się czuli. Chociaż teraz diabelnie boli, prawda? - I znowu wzruszenie odebrało mu głos.

Na tylnym siedzeniu Benjamin wydmuchał nos. Mel też płakała, ale zatopiona w swoich myślach, nie odezwała się do nikogo od rana.

To będzie dziwne - być dla nich matką i ojcem. Dziwne - robić dla nich to wszystko, co ona... zabierać ich do lekarza, do dentysty, kupować Samowi buty... Kiedy znajdzie na to wszystko czas?... Jak sobie bez niej poradzi?... I - co było nawet ważniejsze - jak będzie żył bez kobiety, którą kocha, bez jej dłoni, jej pocieszenia i uśmiechu?

To była długa spokojna jazda do Vermontu. Nikt nic nie mówił, aż znaleźli się daleko, w Massachusetts, i zatrzymali się na obiad.

Wtedy Sara była już w Bostonie, w drodze do Cambridge, żeby zacząć nowe życie. Życie, którego pragnęła. Bez nich.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jeżdżenie na nartach w końcu zaczęło im sprawiać przyjemność. Po kilku dniach wracali do życia. Niektórzy z nich wolniej od innych. Sam miał koszmary senne w nocy, często płakał, ale też śmiał się i bawił, zjeżdżając razem z Benjaminem i ojcem. Benjamin wziął nawet udział w biegu zjazdowym. A kiedy nie jeździł na nartach, to wciąż wydzwaniał do kolegów, jakby to oni mogli rozwiązać jego problemy. Tylko Mel pozostała zamknięta w sobie, nie wkładała serca w szusowanie i unikała ich wszystkich. Była jedyną dziewczyną w tym gronie, więc Oliver próbował polepszyć jej nastrój. Nie pozwoliła mu się do siebie zbliżyć. Wydawało się, że nie ma im nic do powiedzenia. Rozmawiała jedynie z Samem, ale nawet przy nim zachowywała przeraźliwy spokój.

Oliver był przez cały czas zajęty. Wypożyczał dla nich narty i buty, pakował i rozpakowywał samochód, organizował posiłki, układał Sama do snu, pilnował Mel, upewniał się, że wszyscy są odpowiednio ubrani. O ósmej wieczorem z trudem wytrzymał kolację i padał na łóżko. Postanowił dzielić pokój razem z Samem, w razie gdyby dziecko czuło się samotne. Sam zmoczył dwa razy pościel, co zajęło Olivera w nocy. Zmieniał prześcieradła, obracał materac na drugą stronę i szukał nowego koca. Było oczywiste, że Sam bardzo cierpiał, tak jak wszyscy. Ollie miał tak pełne ręce roboty, że prawie zabrakło mu czasu na myślenie o Sarze. Tylko w nocy, gdy leżał w łóżku, czuł ból w sercu. Kiedy budził się rano, wspomnienia przyciskały go niczym góra. Było trochę tak, jakby Sara umarła. Dopiero trzeciego dnia pobytu w Vermoncie Ollie wspomniął głośno jej imię. Powiedział coś o mamie, a dzieci pospuszczały głowy. Wyraz twarzy każdego z nich wyraźnie dowodził, że

to jeszcze boli. Natychmiast pożałował, że to powiedział.

Wrócili w Nowy Rok. Wszyscy byli w lepszym nastroju i wyglądali niewiarygodnie zdrowo. Dopiero gdy weszli do domu, uderzyło ich to znowu. Dom był zbyt cichy. Pies spał. Nawet Aggie wyszła. Wtedy Oliver uświadomił sobie, że wszyscy mieli nadzieję, iż Sara będzie na nich czekała. Nie było jej. Oliver miał telefon do jej hotelu w Cambridge, ale nie zadzwonił tej nocy. Położył Sama do łóżka. Mel pomogła zrobić kolację, a Benjamin wyszedł.

Wcześniej pojawił się w kuchni, ubrany jak na randkę, gdy inni siedzieli przy stole.

- Tak prędko? - Ollie uśmiechnął się. Żadne z nich się jeszcze nie rozpakowało. - To musi być ktoś bardzo specjalny. Benjamin także uśmiechnął się nieznacznie do ojca.

- Tylko kolega. Mogę wziąć samochód, tato?

- Nie wróć zbyt późno, synu. I jedź ostrożnie. Dzisiaj na drogach będzie mnóstwo pijanych.

Oliver był wdzięczny losowi za to, że Benjamin postępował rozważnie, że on mógł mieć pewność, iż syn nigdy nie poprowadzi samochodu po pijanemu. Wielokrotnie Benjamin dzwonił, aby któreś z rodziców przyjechało po niego, nawet wtedy, gdy wypił jedno czy dwa piwa z kolegami. Sara wbiła mu to do głowy, to i wiele innych rzeczy.

Sara pozostawiła na każdym z nich swoje piętno. Wyjechała, a Oliver zaczął się zastanawiać, kiedy przyjedzie na ten obiecany weekend. Nie było jej dopiero sześć dni, lecz już czuł się tak, jakby upłynęło całe życie. Czuł się dziwnie, bo musiał i tej nocy spać samotnie. Leżał w łóżku myśląc o niej, tak jak przez cały ostatni tydzień. Próbował udawać przed samym sobą, że tego nie robi. W końcu o północy

zapalił światło i próbował przeczytać papiery, które przyniósł z biura. Jego szef to całkiem niezły facet, bo bez wcześniejszych ustaleń dał mu tydzień wolnego.

Oliver był teraz w trochę lepszym stanie. Nie spał, gdy Benjamin wrócił o pierwszej do domu i stanął w drzwiach, żeby mu powiedzieć dobranoc. Oliver bowiem zostawił drzwi otwarte, aby móc usłyszeć wołanie Sama. Benjamin stał, patrząc na niego smutno, i położył kluczyki na stoliku.

- Musi ci być bardzo ciężko, tato... po wyjeździe mamy... Oliver pokiwał głową. Niewiele mógł mu powiedzieć. Dla nich wszystkich było to trudne.

- Przyzwyczajmy się. Poza tym ona prędko przyjedzie do domu. - Ale w jego głosie brakowało przekonania. Benjamin tylko kiwnął głową. - Dobrze się dzisiaj bawiłeś? Trochę późno wracasz, jak na wieczór przed pójściem do szkoły...

- Tak... zupełnie straciłem poczucie czasu. Przepraszam, tato. - Uśmiechnął się i powiedział dobranoc.

Godzinę później Oliver usłyszał płacz Sama i z pośpiechem poszedł do jego sypialni. Chłopiec wciąż spał, a Ollie usiadł obok niego i głaskał go po głowie. Ciemne włosy Sama były mokre od łez, ale w końcu dziecko uspokoiło się.

O czwartej nad ranem Oliver poczuł, jak Sam wślizgnął się do jego łóżka i skulił obok niego. Ollie pomyślał, iż należałoby odnieść go z powrotem do pokoju, lecz odkrył, że jest mu wdzięczny za tę bliskość. Obrócił się na drugi bok i zasnął. Ojciec i syn spali spokojnie do rana.

Następnego dnia przy śniadaniu panował zwykły chaos. Aggie usmażyła dla wszystkich naleśniki i bekon, co zazwyczaj jadano w weekendy i tylko na specjalne okazje. Jakby wiedziała, że potrzebują czegoś specjalnego. Zapakowała też superśniadanie dla Sama, wyłącznie jego

ulubione smakołyki. Miała go odwiedzić do szkoły.

Ollie poszedł do pociągu, czując się jakiś niezorganizowany, co zupełnie do niego nie pasowało. Przed wyjściem był zajęty zostawianiem wszystkim poleceń, przypominaniem dzieciom, że mają wrócić na czas ze szkoły i usiąść do lekcji. Czyż nie to robiła zawsze Sara? Wszystko wydawało się takie spokojne, gdy tu była, takie pod kontrolą, takie szczęśliwe, gdy on wychodził do biura.

Kiedy dotarł do pracy, przywitała go góra papierów z całego tygodnia, raportów i projektów. Nie mógł wyjść z biura, aż do siódmej. W domu znalazł się około dziewiątej. Benjamina znowu nie było, Mel rozmawiała przez telefon, a Sam oglądał telewizję, siedząc w łóżku ojca. Zapomniał też odrobić lekcje, a Aggie go nie zmuszała. Powiedziała Oliverowi, że nie chciała go zasmucać.

- Czy mogę spać z tobą, tato?

- Nie sądzisz, że powinieneś spać we własnym łóżku?

- Oliver bał się, że może się to stać conocnym nawykiem.

- Tylko dzisiaj... proszę... obiecuję, będę grzeczny...

Oliver uśmiechnął się do niego i pochylił się, żeby go pocałować w czubek głowy.

Byłbym znacznie szczęśliwszy, gdybyś odrobił lekcje. Zapomniałem.

- Najwyraźniej. - Zdjął marynarkę i krawat, postawił neseser obok biurka i usiadł przy Samie na łóżku, zastanawiając się, czy Sara dzwoniła. Nie miał odwagi spytać go o to. - Co tam dzisiaj w szkole?

- Nic się nie działo. Aggie pozwoliła mi oglądać telewizję, gdy wróciłem do domu.

Obaj wiedzieli, że Sara nigdy mu na to nie pozwalała. Bez niej wszystko się szybko zmieniło. Za szybko, jak dla Olliego.

- Gdzie Benjamin?

- Wszedł. - Sam patrzył obojętnie.

- Tego się domyśliłem. - Tym też musiał się zająć.

Benjaminowi nie wolno było wychodzić wieczorem w ciągu tygodnia, nawet jeśli był to jego ostatni rok w szkole. Miał tylko siedemnaście lat, a Ollie nie zamierzał pozwolić mu zejść na manowce tylko dlatego, że nie było Sary. - Powiem ci coś, stary. Pozwolę ci dzisiaj spać tutaj. Ale na tym koniec. Jutro wracasz do własnego łóżka, zgoda?

- Dobra!

Uścisnęli sobie dłonie. Dziecko się rozpromieniło, a Oliver zgasił światło.

- Pójdę na dół coś zjeść, a tymczasem ty się prześpij.

- Dobranocka, tato! - Sam wyglądał na szczęśliwego, gdy wślizgiwał się do wielkiego łóżka, na tę połowę, która zawsze należała do Sary.

- Śpij dobrze... - Przez długą chwilę stał w drzwiach i patrzył na syna. - Kocham cię - wyszeptał, a potem poszedł sprawdzić, co z Mel.

Melissa zaciągnęła telefon do swego pokoju. Był tam okropny nieporządek, wszędzie leżało ubranie, książki, wałki do włosów. To był cud, że w ogóle mogła wejść do pokoju. Patrzyła na ojca ze zdziwieniem, gdy czekał, aż skończy rozmowę. Ale tylko przykryła dłonią słuchawkę.

- Chcesz czegoś, tato?

- Tak. Cześć i całusa. Odrobiłaś lekcje?

- Cześć! Odrobiłam. - W jej głosie było słyhać złość, że ją pyta.

- Posiedzisz ze mną, gdy będę jadł kolację? Zawahała się, ale potem skinęła głową, choć nie wyglądała na zbyt zadowoloną. Wolałaby zostać w swoim pokoju i rozmawiać przez telefon z przyjaciółką, lecz ojciec powiedział to w taki

sposób, jakby jej rozkazywał. Tak naprawdę to nie chciał jeść sam, a tylko ona, poza Aggie była w domu.

- W porządku. Zaraz zejść.

Ostrożnie wybierał drogę, przechodząc przez jej pokój. Zszedł do kuchni. Znalazł tam zostawioną dla niego przez Aggie kolację. Zawinęła talerz w folię aluminiową i wstawiła do pieca, żeby był ciepły, ale gdy odwinął folię, nie znalazł nic, co by chciał zjeść. Kotlety baranie przesmażone, ziemniaki jeszcze twarde, a brokuły dawno zwiędły. Nawet zapach nie był apetyczny, więc wyrzucił wszystko do śmieci. Usmażył sobie jajka i wycisnął sok z pomarańczy. Czekał, aż zejdzie Mel, w końcu zrezygnował, i gdy przyszła, już skończył jeść.

- Gdzie Benjamin? - Myślał, że może mu powie, ale tylko wzruszyła ramionami, - Chyba z kolegami.

- Tak późno i to w środku tygodnia? Niezbyt rozsądne z jego strony. - Znowu wzruszyła ramionami. Wyglądała na obrażoną, że musi siedzieć z ojcem. - Czy zajmujesz się trochę Samem po powrocie do domu?

Najwięcej martwił się o Sama, tym bardziej że jemu samemu tak trudno było wrócić na czas do domu. A dziecko potrzebowało teraz kogoś poza Mel.

- Mam dużo pracy, tato!

- To „coś” w twoim pokoju nie wyglądało na pracę!

- Jest w łóżku, prawda?

- Nie był, kiedy wróciłem. On cię teraz bardzo potrzebuje, Mel. Wszyscy cię potrzebujemy... - Uśmiechnął się. - Jesteś teraz panią domu, gdy mama wyjechała.

Była to odpowiedzialność, której ona wcale nie chciała. Pragnęła być niezależna, aby móc spędzać czas z przyjaciółkami lub choćby rozmawiać z nimi, rozmawiać przez telefon. To nie była jej wina, że mama wyjechała. To

jego wina. Gdyby nie zrobił tego, co zrobił - ale co, Mel nadal nie umiała wymyślić - Sara nigdy by ich nie zostawiła.

- Chcę, żebyś się nim zajęła: rozmawiała z nim, pobawiła się trochę, sprawdziła mu lekcje.

- Dlaczego ja? Przecież jest Aggie.

- To nie jest to samo, Mel. Bądź dobra dla niego. Zawsze traktowałaś go trochę jak własne dziecko.

W ten wieczór, kiedy Sara powiedziała im, że wyjeżdża, Mel ukołysała Sama. Ale teraz jakby nie chciała mieć z nimi nic wspólnego. Podobnie jak Sara, odwróciła się od nich. Nagle Oliverowi przyszło do głowy, że Benjamin może reaguje tak samo. Ciągłe przebywa poza domem. Oliver musi to przerwać. Chciałby mieć dla nich wszystkich więcej czasu, aby pomóc im poradzić sobie z tym problemem.

Gdy mówił do córki, zadzwonił telefon. Ollie westchnął, usłyszawszy głos swego ojca. Czuł się zbyt zmęczony, by z nim rozmawiać. Było już po dziesiątej. Chciał tylko wziąć prysznic i położyć się obok Sama. To był okropny dzień w biurze, a powrót do domu też okazał się niełatwy.

- Cześć, tato. Jak się czujesz?

- Ja? Dobrze. - Wyglądało na to, że George się waha, a Oliver patrzył, jak Mel ucieka, gdy zaczął rozmawiać z ojcem. - Ale twoja matka...

- Och, czy jest chora? - Oliver był za bardzo znużony, by się martwić.

- To długa historia, synu... - Starszy pan westchnął, a Oliver czekał na nowiny. - Dziś po południu zrobili jej encefalogram.

- Mój Boże, po co?

- Wszystko jej się myliło. W zeszłym tygodniu zgubiła

się, gdy was nie było. Chodzi o to, że tym razem zgubiła się naprawdę, spadła z kilku schodów i skręciła kostkę... - Oliver poczuł się winny, że nie zadzwonił do nich z Vermontu, lecz miał ręce pełne roboty... - Miała szczęście, w jej wieku mogła złamać nogę albo przydarzyłoby się jeszcze coś gorszego... - Ale nie mogło być nic gorszego niż to, co George'owi powiedzieli...

- Tato, nie robi się EEG przy skręconej kostce. Co się dzieje? Ojciec zdawał się też rozkojarzony, a Oliver był nazbyt zmęczony, by wysłuchiwać długich opowieści. George znowu się zawahał.

- Zastanawiałem się, czy mógłbym przyjechać do ciebie?

- Teraz? - zdumiał się Oliver. - Tato, co się stało?

- Muszę tylko porozmawiać. Nasza sąsiadka, Margaret Porter zaopiekuje się mamą przez ten czas. Bardzo mi pomaga. Jej mąż miał tę samą dolegliwość.

- Jaką dolegliwość? O czym ty mówisz? Co oni znaleźli? - Oliver mówił głosem pełnym zniecierpliwienia, co mu się prawie nie zdarzało, ale był teraz wyczerpany i bardzo zmartwiony.

- Nie ma żadnych guzów, nic takiego. Było to prawdopodobne, oczywiście... Słuchaj, jeśli jest zbyt późno...

Dla Olivera było oczywiste, że ojciec musi z kimś porozmawiać, i nie mógł mu powiedzieć, żeby nie przyjeżdżał.

- Nie, nie, w porządku, przyjeżdż.

Zaparzył dzbanek kawy, nalał sobie filiżankę, rozmyślając, gdzie jest Benjamin i kiedy ma zamiar wrócić do domu. Jak na wyjście w tygodniu, to było już bardzo późno. I tylko tyle chciał mu powiedzieć. Ale ojciec przyjechał pierwszy. Błady i zmęczony, wyglądał o całe lata

starzej niż tydzień temu, w Boże Narodzenie, i to przypomniało Oliverowi o jego chorym sercu. Przez chwilę zastanawiał się, czy ojciec powinien jeździć nocą sam, lecz nie chciał go jeszcze bardziej martwić tym pytaniem.

- Wejdz, tato. - Miał nadzieję, że dzwonek do drzwi nie obudził Sama. Zaprowadził ojca do dużej, przytulnej kuchni. George zrezygnował z kawy, ale dał się namówić na filiżankę bezkofeinowej neski. Powoli opadł na jedno z kuchennych krzeseł. Ollie przyjrzał mu się. - Wyglądasz na wykończonego.

- Matka ma Alzheimera, synu. Jej mózg się kurczy. Takie są wyniki badania. Oczywiście nie mogą być absolutnie pewni, ale EEG i jej zachowanie potwierdzają tę diagnozę.

- To śmieszne. - Oliver nie chciał uwierzyć. - Idź do innego lekarza.

George Watson tylko pokręcił głową. Wiedział lepiej.

- To bez sensu. Wiem, że mają rację. Nie zdajesz sobie sprawy, co robiła ostatnio. Gubi się, wszystko jej się miesza, zapomina o najprostszych rzeczach, na przykład jak się używa telefonu, nie pamięta imion przyjaciół. - Oczy miał pełne łez. - Czasami nie pamięta, kim jest. Nie jest pewna, czy to ja, czy ty. Przez ostatni tydzień mówiła do mnie: Oliver, a potem strasznie się zezłościła, gdy próbowałem ją poprawiać. Używa takich słów, których nigdy przedtem u niej nie słyszałem. Czasami wstydzę się za nią na ulicy. Powiedziała do naszego kasjera w banku, u którego jesteśmy raz w tygodniu, że jest „pieprzniętym dupkiem”. Ten biedny facet mało nie zemdlał. - Oliver bezwiednie się uśmiechnął. Ale to nie było śmieszne. Raczej bardzo smutne. A wtedy George rozejrzał się ze zdziwieniem dookoła. - A gdzie Sara? Już się położyła?

Przez chwilę Oliver chciał mu powiedzieć, że wyszła, ale nie miało sensu ukrywanie przed nim prawdy. I tak by się dowiedział za jakiś czas. To dziwne, lecz czuł się zawstydzony, jak gdyby to on zawiódł i nie utrzymał przy sobie żony, jakby to było oczywiste, że to wszystko jego wina.

- Wyjechała, tato.

- Wyjechała? Dokąd? - Ojciec patrzył na niego, nie rozumiejąc niczego. - Jak to?

- Wróciła do szkoły, do Harvardu.

- Zostawiła cię? - George był wstrząśnięty. - Kiedy to się stało? Przecież była z nami tutaj w święta. - Wydawało mu się to zupełnie niemożliwe, nie mógł tego pojąć, ale nagle dostrzegł smutek w oczach swego syna i wszystko zrozumiał. - Mój Boże, Ollie... Tak mi przykro... Kiedy się dowiedziałeś?

- Powiedziała mi trzy tygodnie temu. Jesienią zapisała się na studia magisterskie, ale wydaje mi się, że jest w tym coś więcej. Powiedziała, że wróci, ale wcale nie jestem tego pewien. Wydaje mi się, że ona nawet bardziej oszukuje sama siebie niż nas. Nie wiem, w co mam wierzyć. Musimy poczekać i zobaczyć, co będzie.

- Jak dzieci to przyjęły?

- Z pozoru nawet nieźle. Zabrałem je na narty w zeszłym tygodniu i dobrze nam to wszystkim zrobiło. Dlatego nie dzwoniłem do was. Wyjechała w dzień po świętach. Ale tak naprawdę, to chyba wciąż jesteśmy w szoku. Mel wini mnie za wszystko, Sam ma ! koszmary co noc, a Benjamin jakoś sobie z tym radzi, ale ucieka do kolegów i na dzień, i na noc. Nie jestem pewien, czy powinienem go winić. Może gdyby mnie w jego wieku zdarzyło się coś takiego, zrobiłbym to samo.

Pomysł, że matka Olivera mogłaby go zostawić, był dla nich obu nie do przyjęcia. Wrócili myślami do Phyllis.

- Co masz zamiar zrobić, tato?

- Nie wiem. Powiedzieli mi, że posuwa się to w bardzo szybkim tempie. W końcu matka przestanie wszystkich rozpoznawać, nie będzie poznawała nawet mnie. - Jego oczy znów wypełniły się łzami. Nie mógł znieść tej myśli. Czuł się tak, jak gdyby tracił ją dzień po dniu, i ta myśl sprawiła, że ostrzej odczuł ból Olivera po odejściu Sary. Ale Oliver był jeszcze młody, mógł sobie kogoś pewnego dnia znaleźć, a Phyllis była jedyną kobietą, jaką George kiedykolwiek kochał, i po czterdziestu siedmiu latach nie mógł znieść myśli, że ją utraci. Wyjął chusteczkę, wydmuchał nos, wziął głęboki oddech i mówił dalej: - Powiedzieli, że to potrwa sześć miesięcy albo rok... a może dużo krócej. Uważają, że będzie bardzo trudno utrzymać ją w domu, jak już się zacznie. Nie wiem, co robić...

Głos George'a drżał, a Oliverowi pękało serce. Wziął ojca za rękę. Nie mógł uwierzyć, że rozmawiali o matce... kobiecie inteligentnej i silnej, a teraz zapominającej o wszystkim, co знаła, i łamiącej serce jego ojcu.

- Nie możesz się tym za bardzo denerwować, bo też się rozchorujesz.

- Tak mówi Margaret. Ona jest naszą sąsiadką, wspominałem ci o niej. Jej mąż całe lata cierpiał na chorobę Alzheimera, w końcu musiała oddać go do domu opieki. Miała dwa ataki serca i już nie mogła się nim sama opiekować. Chorował przez sześć lat, umarł w sierpniu... - Popatrzył z rozpaczą na syna. - Ollie, nie mogę tego znieść... że ją stracę... że już nic nie pamięta... jakbym patrzył, jak umiera po kawałku... taka jest teraz trudna. Przecież zawsze była taka pogodna...

- Wydawała mi się niespokojna w święta, tato, ale zupełnie nie zdawałem sobie sprawy, co się dzieje. Byłem chyba zbyt pochłonięty własnymi sprawami. W czym ci mogę pomóc? - To było straszne, tracił i matkę, i żonę. Nawet córka prawie się do niego nie odzywała. Kobiety w jego życiu prędko odchodziły. Ale musiał myśleć też o swoim ojcu, nie tylko o sobie... - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Bądź, po prostu bądź przy mnie. Ich oczy się spotkały, a Oliver odczuł bliskość ojca, której nie pamiętał przez długie lata.

- Kocham cię, tato.

Nie krępował się powiedzieć mu tego teraz, choć przed laty takie słowa zawstydziłyby George'a. Kiedy Oliver był młodszy, ojciec był bardzo surowy. Ale złagodniał przez lata i rozpaczliwie potrzebował syna, bardziej niż kiedykolwiek.

- Ja też cię kocham, synu.

Obaj nie ukrywali łez. George znowu wydmuchał nos. Wtedy Oliver usłyszał, że ktoś otwiera i cicho zamyka frontowe drzwi, a gdy się odwrócił, zobaczył, że Benjamin wchodzi pospiesznie po schodach. Zawołał go.

- Nie tak prędko, młody człowieku. Gdzie byłeś do wpół do dwunastej w nocy?

Benjamin zawrócił, wydawał się czerwienić z zimna i zakłopotania. Ze zdumieniem dostrzegł siedzącego w kuchni dziadka...

- Byłem z przyjaciółmi, przepraszam, tato, nie sądziłem, że robię coś złego. Cześć, dziadku, co ty tu robisz? Czy coś się stało?

- Babcia źle się czuje. - Oliver nagle poczuł się silny i pewny siebie. Bliskość jego ojca dodała mu nowej siły. Przynajmniej jednej osobie wciąż na nim zależało. Ojciec go potrzebował. Dzieci też go potrzebują, nawet jeśli Sara już go

nie chce. - Świetnie wiesz, że . nie wolno ci wychodzić z domu w tygodniu. Jeszcze raz i będziesz uziemiony przez dwa tygodnie. Dociera to do ciebie?

a - Dobrze, już dobrze. Powiedziałem „przepraszam”. i Oliver kiwnął głową.

Chłopiec wyglądał dziwnie, nie był pijany, ale jakby coś się w nim zmieniło. Wydawał się bardziej mężczyzną niż chłopcem i chyba nie miał ochoty się kłócić.

- Co z babcią?

George miał tak nieszczęśliwą minę, że Oliver powiedział do syna szybko:

- Babcia ma kłopoty ze zdrowiem. - Wyzdrowieje?

I Benjamin nagle bardzo się przeraził. Jakby nie mógł znieść , myśli o utracie jeszcze jednej osoby. Patrzył zmartwiony na nich obu, aż Oliver poklepał go po ramieniu.

- Wszystko będzie w porządku, dziadek potrzebuje trochę pomocy, to wszystko. Może znajdziesz chwilę wolnego czasu dla niego pomimo tylu tak atrakcyjnych przyjaciół?

- Pewnie, dziadku. Przyjadę w ten weekend. Chłopiec bardzo kochał George'a Watsona, a on miał kompletnego fioła na punkcie swoich wnuków. Czasami Oliver myślał, że ojciec bardziej kocha wnuki niż jedyne go syna. Był teraz łagodniejszy niż kiedyś i dużo łatwiej przychodziło mu cieszyć się z ich istnienia.

- To sprawi przyjemność twojej babci i mnie. - Wstał, czuł się zmęczony i stary. Dotknął ramienia chłopca, jakby to mogło przywrócić mu trochę młodości. - Dziękuję wam obu. Powinienem już wracać do domu. Pani Porter będzie chciała iść do siebie.

Zostawiłem z nią babcią. - Poszedł powoli do drzwi, a za nim Benjamin i Oliver.

- Dobrze się czujesz, tato? - Oliver zastanawiał się, czy nie powinien odwieźć go do domu, ale ojciec uparł się, że woli jechać sam. - No to chociaż zadzwoń, jak dojedziesz.

- Nie wygłupiaj się - warknął George. - Nic mi nie jest. To twoja matka źle się czuje. - Ale jego twarz złagodniała. Przytulił Olivera. - Dziękuję, synu, dziękuję za wszystko... Przykro mi z powodu... - Zerknął na Benjamina i popatrzył na nich obu. - Z powodu Sary... Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebował. A kiedy twoja matka poczuje się lepiej, to Sam może do nas przyjechać i spędzić z nami weekend... - Jednakże w jego głosie nie było pewności, że Phyllis kiedykolwiek poczuje się lepiej.

Patrzyli, jak George odjeżdża. Oliver westchnął zamykając frontowe drzwi. Nic już nie było proste. Dla nikogo. Choroba jego matki podziałała otrzewiająco. Odwrócił się, żeby spojrzeć na Benjamina. Zastanawiał się, czy w życiu syna działo się coś, o czym nie wiedział.

- Z kim chodzisz w te dni, kiedy jesteś poza domem do późna? Przyglądał się Benjaminowi uważnie. Pogasili światła i podeszli do schodów.

- Z kolegami. Stara paczka.

Coś w układzie ust syna powiedziało Oliemu, że kłamie.

- Wolałbym, żebyś mówił mi prawdę. Benjamin westchnął i odwrócił się do niego.

- Dlaczego tak mówisz?

- To dziewczyna, prawda?

Oliver był mądrzejszy, niż jego syn sobie wyobrażał, i Benjamin odwrócił wzrok z dziwnym uśmiechem, który zdradził wszystko.

- Może. Ale to nic poważnego.

Było to jednak coś „poważnego”. I coś bardzo

ważnego. Jego pierwsza prawdziwa dziewczyna. Pierwszy romans. Oszałał na jej punkcie. Każdą wolną chwilę spędzali w łóżku. Jej rodziców cały czas nie było w domu, oboje pracowali i wyglądało na to, że dużo podróżują. Sandra była bardzo ładna, chodzili razem do szkoły. Mieli wspólne zajęcia z chemii, pomagał jej przy zaliczeniu. Co prawda przez cały czas jej matura była pod znakiem zapytania, ale nie przejmowała się tym. O wiele bardziej interesowała się Benjaminem, a on uwielbiał sposób, w jaki ciało dziewczyny reagowało na jego dotyk. Wszystko w niej uwielbiał.

- A może byś ją kiedyś przyprowadził? Czy Mel też ją zna?

Chciałbym ją poznać.

- Tak... może... kiedyś. Dobranoc, tato.

Prędko zniknął w swoim pokoju, a Oliver uśmiechnął się do siebie. Wszedł do sypialni, popatrzył na Sama i właśnie wtedy zaczął dzwonić telefon. Schwycił aparat i schował się do łazienki. Kiedyś Sara kazała podłączyć długi przewód, żeby móc rozmawiać w wannie. Podniósł słuchawkę i odezwał się przyciszonym głosem. Myślał, że to może ojciec. Serce na moment mu stanęło. Dzwoniła Sara.

- Halo? ~ To ty?

- Tak. - Długa przerwa, gdy usiłował pozbierać myśli.

- Jak się masz, Saro?

- W porządku. Znalazłam dziś mieszkanie. Jak dzieci?

- Trzymają się. - Słuchał jej głosu, tęskniąc za nią aż do bólu i znów nienawidząc jej za to, że ich zostawiła. - To nie jest dla nich łatwe.

Pominięła tę uwagę milczeniem.

- Jak było na nartach?

- Świetnie. Dzieciaki dobrze się bawiły. - „Ale to nie to samo, co z tobą...” Chciał jej to powiedzieć, lecz nie zrobił

tego. A w zamian dodał kilka słów, których - obiecał sobie - miał nigdy nie wypowiedzieć... - Kiedy przyjeżdżasz do domu?

- Wyjechałam dopiero tydzień temu.

A przecież przyrzekała, że będzie przyjeżdżać w każdy weekend. Wiedział, że tak nie będzie, ale ona tak gorąco zaprzeczała. I teraz jej głos był nieczuły, obojętny. Oliverowi trudno było uwierzyć, że przed wyjazdem naprawdę razem z nim płakała. Obecnie rozmawiała jak przygodna znajoma, która zadzwoniła tylko po to, by powiedzieć „cześć” - a nie jak żona, która właśnie wyprowadziła się do hotelu w Bostonie po osiemnastu latach małżeństwa.

- Wydawało mi się, że powinniśmy dać sobie trochę czasu na przystosowanie się do sytuacji. Po tym, co było w zeszłym tygodniu, sądzę, że nam wszystkim przyda się chwila wytchnienia.

Oto dlaczego ich zostawiła, dla „wytchnienia”.

- A jak długo będzie to trwało? - Nienawidził sam siebie za naciskanie jej, ale uświadomił sobie, że nic nie może na to poradzić. - Tydzień? Miesiąc? Rok? Wydaje mi się, że dzieci chcą cię zobaczyć.

- Ja też chcę je zobaczyć. Ale uważam, że powinniśmy to odłożyć na kilka tygodni, dać im szansę pogodzenia się z tym, co się stało, uspokojenia się.

„A co ze mną?” - chciał wykrzyknąć do słuchawki, ale nic nie powiedział.

- Bardzo za tobą tęsknię. - On też tęsknił.

- Ja za nimi również. - W jej głosie było słychać zniecierpliwienie, jakby chciała się już rozłączyć. Nie mogła znieść poczucia winy, gdy z nim rozmawiała. - Po prostu chciałam ci podać mój nowy adres. Wprowadzam się tam w sobotę i jak tylko będę miała telefon, zadzwonię.

- A gdyby się coś stało przed sobotą? Coś z dziećmi. - Sama myśl go przerażała. Nadal miał prawo wiedzieć, gdzie jest, Musiał wiedzieć, choćby tylko dla własnego spokoju.

- Nie wiem. Możesz zostawić dla mnie wiadomość w hotelu. A potem, po sobocie, w razie czego wyślij telegram na adres, który ci podałam. Niedługo założą mi telefon.

Chłód w jego głosie tylko skrywał ból.

- To wszystko wygląda bardzo śmiesznie.

- To wszystko, co mogę zrobić. Słuchaj, muszę już iść.

- Dlaczego? Czy ktoś na ciebie czeka? - Nienawidził siebie za to, że tak powiedział, ale gdy jej słuchał, był okropnie zazdrosny.

- Nie bądź śmieszny! Jest po prostu bardzo późno. Posłuchaj, Ol... Tęsknię za tobą...

Była to najokrutniejsza rzecz, jaką mogła mu powiedzieć. Nie musiała być tak daleko. Wyjechała tam z własnego wyboru, rozdarła jego serce na kawałeczki, a teraz śmiała powiedzieć mu, że za nim tęskni.

- Dlaczego mnie dręczysz, Saro? Nie rozumiem twojej gry.

- Nie ma żadnej gry. Wiesz dobrze, dlaczego tu przyjechałam.

Potrzebuję tego.

- Powiedziałaś, że będziesz przyjeżdżać do domu co weekend.

Kłamałaś!

- Nie kłamałam. Ale wszystko przemyślałam. Uważam, że dla nas wszystkich rozstanie było bardzo trudne. Dla ciebie, dla mnie i dla dzieci.

- To ten twój śmieszny urlop jest trudny dla nas. Powiedz mi, co ja mam robić po twoim wyjeździe? Zamykać się w łazience z „Playboyem”?

- Ollie... proszę... tak nam przecież ciężko... Ale to był jej wybór, nie jego.

- To nie ja cię zostawiłem. Nigdy bym tego nie zrobił.

- Nie miałam wyboru.

- Gówno! Gówno! Moja matka miała kiedyś rację. Jesteś egoistką!

- Nie zaczynajmy tego od nowa. Na miłość boską, Ollie, jest już po północy. - Nagle zaniepokoiła się. - Dlaczego szepczesz? - Sądziła, że on jest w łóżku, ale usłyszała echo jego słów:

- Sam śpi w naszym łóżku. Jestem w łazience.

- Czy jest chory?

W jej głosie pojawiła się troska, lecz to go tylko rozzłościło. Co by zrobiła, gdyby Sam był chory? Przyleciałyby do domu? Może powinien powiedzieć, że Sam jest chory. Ale prawda była gorsza.

- Ma koszmary senne w nocy. Moczy się. Chciał dzisiaj spać ze mną.

Po jego słowach nastąpiła długa cisza. Wyobrażała sobie ich w łóżku, które nie tak dawno było jej. W końcu powiedziała miękko:

- Ma szczęście, że jesteś przy nim. Uważaj na niego. Zadzwoń do was, jak będę miała telefon.

Zamierzał jej coś jeszcze powiedzieć, ale było jasne, że ona nie chce go słuchać.

- Uważaj na siebie.

Pragnął jej powiedzieć, że wciąż ją kocha, ale tego też nie powiedział. Ona oszukiwała sama siebie we wszystkim: że do nich wróci, że nie odchodzi na zawsze, że będzie przyjeżdżać na weekendy i wakacje. Zostawiła ich. Taka była prosta prawda. Opuściła ich. Najgorsze było to, że wiedział, iż bez względu na wszystko - zawsze będzie ją kochał.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pierwsze tygodnie bez niej były bardzo ciężkie. Wydawało się, że każde śniadanie to klęska. Jajka nigdy nie były takie jak trzeba, w soku pomarańczowym pływały jakieś farfocle, tosty były spalone lub nie dopieczone, nawet kawa miała inny smak. Wiedział, że to śmieszne. Aggie gotowała dla nich od dziesięciu lat i bardzo ją kochali, ale przyzwyczaili się do śniadań przygotowywanych przez Sarę.

Sam prawie przez cały czas marudził. Ollie widział kilka razy, że kopie psa. Mel była bez przerwy obrażona, natomiast Benjamin nie zaszczycił ich już swoją obecnością. Przelatywał obok, upierając się, że nigdy nie jada śniadania. I teraz Oliver ciągle się z nimi kłócił. Mel chciała wychodzić w oba weekendowe wieczory, Benjamin w tygodniu wciąż wracał do domu za późno, ale twierdził, że uczy się z przyjaciółmi, a Sam spał niespokojnie w nocy i stale układał się w łóżku Olliego, co - choć było z początku pocieszeniem dla niego - w końcu stało się męczące. Zniknęła pogodna spokojna rodzina, którą niegdyś byli.

Sara zadzwoniła, kiedy już miała telefon - dwa tygodnie później, niż obiecała - i nadal nie zamierzała przyjechać do domu. Uważała, że na to jeszcze za wcześnie. Wszystkie ich rozmowy były krótkie i gorzkie. Zdawało się, że boi się dzieci, jak gdyby nie mogła i nie była w stanie ich pocieszyć. Podtrzymywała pozory, że wróci do nich pewnego dnia, mądrzejsza, lepiej wykształcona i zwycięska. Ale Ollie wiedział lepiej. W ciągu jednej nocy małżeństwo, którym się chlubił przez osiemnaście lat, straciło całą swą wartość. I to właśnie pogorszyło jego sposób patrzenia na świat: na dom, na dzieci, na przyjaciół, nawet na klientów w agencji. Był na wszystkich zły, głównie na nią, oczywiście, i na siebie

samego, gdyż w głębi duszy uważał, tak jak Mel, że to on zrobił coś złego i że to była jego wina. Znajomi dzwonili i zapraszali go do siebie. Powoli wieści rozchodziły się w Purchase, odkąd Aggie zaczęła odwozić Sama do szkoły. Oliver jednak nie chciał nikogo widzieć. Znajomi byli cholernie wścibscy. A do tego George dzwonił w dzień i w nocy z przerażającymi opowieściami o postępującej chorobie matki. Coraz bardziej o wszystkim zapominała. Stanowiła zagrożenie dla samej siebie. George był zrozpaczony i u syna szukał pocieszenia.

Ollie z trudem dawał sobie radę z własnym życiem i z dziećmi. Myślał o zabranii ich do psychiatry, ale kiedy zadzwonił do nauczycielki Sama, ona upierała się, że wszystko, co odczuwają, jest zupełnie normalne. Było zrozumiałe, że Sam zrobił się kłótlivy, złośliwy i marudny, że jego stopnie się pogorszyły, tak zresztą jak i Mel, która wyraźnie winała ojca za nieobecność matki. Szkolny psycholog powiedział, że to również jest normalne. Musiała kogoś winić poza sobą samą, a on był odpowiednim kozłem ofiarnym. Było także normalne, że Benjamin wybrał ucieczkę do kolegów, ucieczkę z domu, który był tak inny bez matki. To wszystko się po pewnym czasie zmieni, twierdzili specjaliści, dzieci przystosują się. Czasami Ollie zastanawiał się, czy to przeżyje.

Co wieczór wracał wyczerpany, wykończony całodzienną pracą, by znaleźć się w rozbitym domu, z dziećmi nieszczęśliwymi i bez przerwy kłócącymi się między sobą. Jego kolacje nie były już jadalne, owinięte w folię i przetrzymywane za długo w piecyku. Kiedy dzwoniła Sara, pragnął rzucić aparatem o ścianę i wyć. Nie chciał słyszeć nic o jej wykładach i dlatego z n o w u nie przyjedzie na weekend w tym tygodniu. Chciał, żeby wróciła do domu,

spala z nim, kochała go, gotowała dla niego i opiekowała się ich dziećmi. Aggie była wspaniała, ale to, co mogła zaproponować, bardzo różniło się od smakołyków przyrządzanych przez ich matkę.

Pewnego popołudnia siedział w biurze, gapiąc się przez okno na deszcz ze śniegiem, tak typowy dla końca stycznia w Nowym Jorku, i zastanawiając się, czy ona kiedyś wróci. Już nie było jej miesiąc. Czuł się taki samotny, że myślał, iż tego nie wytrzyma. - Oto szczęśliwa twarz... mogę wejść? Była to Daphne Hutchinson. Znał ją od czterech lat, a teraz razem pracowali nad projektem dla nowego klienta. Była bardzo ładną kobietą o ciemnych włosach, które dziś ściągnęła w węzeł na karku. Dobrze się ubierała, w szykownym, europejskim stylu. Była bardzo schludna i wytworna. Zawsze nosiła szal, drogie pantofle i drobne, ale piękne ozdoby. Lubił ją, bo była bystra, mądra, skromna i ciężko pracowała. Dlaczego nigdy nie wyszła za mąż? Miała trzydzieści osiem lat, a jej próby zawarcia przyjaźni z Oliverem w ciągu tych czterech lat były zawsze platoniczne. Dala wszystkim w firmie do zrozumienia, że romanse biurowe nie są w jej stylu, i pomimo najprzeróżniejszych podchodów trzymała się tego, co powiedziała na początku. Oliver za to ją szanował, zresztą ułatwiał to współpracę.

- Mam trochę projektów na przyszły tydzień. - Trzymała pod pachą ogromną teczkę i spoglądała na niego z wahaniem. - Ale chyba nie jesteś w odpowiednim nastroju. Może kiedy indziej?

Słyszała plotki, że Sara go zostawiła, i widziała cierpienie na jego twarzy od kilku tygodni, choć nigdy o tym nie rozmawiali.

- W porządku, Daph. Wchodź. Równie dobrze możemy zacząć teraz.

Podeszła do niego bliżej. Zmartwił ją jego wygląd. Stracił na wadze, miał bladą twarz i wyraz oczu pełen rozpaczy i bólu. Usiadła i pokazała mu kilka rysunków, lecz nie był w stanie się skoncentrować. W końcu zaproponowała mu, żeby zostawili to na później i napili się kawy.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić? Może zrzucisz część swoich kłopotów na mnie? Choć nie wyglądam na wielkoluda - powiedziała, uśmiechając się słodko - mam szerokie ramiona.

Uśmiechnął się do niej. Prawie zapomniał, że jest taka drobna. Była wspaniałą kobietą i raz jeszcze zaczął się zastanawiać, dlaczego nie wyszła za męża. Może jest zbyt zajęta, za bardzo przejmuje się swoją pracą. To zdarzało się wielu kobietom. A potem koło czterdziestki ogarniała je panika. Lecz ona wyglądała na zadowoloną i opanowaną. W jej spojrzeniu była teraz troska. Usiadł na krześle i z westchnieniem pokręcił głową.

- Nie wiem, Daph. Pewnie słyszałaś... - W jego oczach, patrzących na nią, była cała otchłań bólu. Musiała walczyć z pokusą otoczenia go ramionami. - Sara wyjechała w zeszłym miesiącu... wróciła na studia... do Bostonu...

- To jeszcze nie koniec świata, wiesz przecież. Myślałam, że coś gorszego. - Słyszała, że się rozwodzą, ale nie powiedziała tego Oliemu.

- Wydaje mi się, że to jest coś gorszego, tylko ona nie ma odwagi przyznać się do tego. Nie widzieliśmy jej prawie pięć tygodni i dzieci wariują. Ja też. Wariuję, co wieczór próbując wydostać się stąd wcześniej, a gdy mi się to udaje, jest szósta, siódma. W domu zjawiam się o ósmej, moja kolacja jest już niejadalna, dzieci wymykają się spod kontroli, wrzeszczymy na siebie nawzajem, one płaczą, a następnego ranka zaczyna się wszystko od początku.

- No tak, nie wygląda to wesoło. Dlaczego nie wynajmiesz mieszkania w Nowym Jorku na jakiś czas? Miałbyś przynajmniej bliżej do pracy, a zmiana pewnie by dobrze zrobiła dzieciom.

Nawet o tym nie pomyślał, tak jak nie widział sensu w przeprowadzaniu się teraz, narażaniu ich na rozstanie z kolegami i na zmianę szkoły. Wiedział, że wszyscy potrzebują pocieszenia, oparcia W znanym otoczeniu.

- Z trudem utrzymujemy się na powierzchni, nie ma mowy o przeprowadzce.

Opowiedział jej o wściekłości Mel, o znikaniu z domu Benjamina, o moczeniu się Sama.

- Mój drogi, potrzebujecie odmiany. Dlaczego ich gdzieś nie zabierzesz? Dlaczego nie wyjedziesz na tydzień na Karaiby albo Hawaje, tam gdzie jest ciepło, słonecznie i wesoło?

Czy jest gdzieś takie miejsce? Czy któreś z nich będzie kiedyś szczęśliwe? Trudno było mu w to uwierzyć. Trochę go zawstydzało, że jej tak wszystko wywała z siebie, ale zdawała się nie zwracać na to uwagi.

- Chyba wciąż mam nadzieję, że jeśli zostaniemy na miejscu, to Sara wróci i będziemy mogli cofnąć zegar.

- Zazwyczaj to się nie udaje.

- Tak. - Zmęczoną dłonią przesunął po włosach. - Zauważyłem. Przepraszam, że cię tym wszystkim zanudzam. Czasami coś mnie napada. Nie mogę się skoncentrować na pracy. Ale przynajmniej mogę wyrwać się z domu. Wieczory są przygnębiające, a weekendy - jeszcze gorsze. To jest tak, jakbyśmy byli rozrzućeni na cztery strony świata i nie mogli się odnaleźć. Nigdy przedtem tak nie było...

Z trudem sobie przypominał, jak było przedtem. Wydawało mu się, że ból po odejściu Sary przeżywali całe

życie.

- Czy mogę coś dla nich zrobić? - Nigdy nie poznała jego dzieci, ale chciała spotkać się z nimi. Miała mnóstwo wolnego czasu. - Sprawiłoby mi przyjemność poznanie ich pewnego dnia.

Jak myślisz, dobrze im to zrobi, czy pomyślą, że chcę cię złapać i zabrać ich matce?

- Nie jestem pewien, czy w ogóle coś zauważą. - Ale oboje wiedzieli, że nie o to chodzi. Uśmiechnął się do niej, wdzięczny, że wysłuchała go ze współczuciem. - Może przyjechałabyś do nas na cały dzień? Będzie fajnie, kiedy wszystko się ułoży, jeśli kiedykolwiek się ułoży. Na dodatek moja matka jest chora. Czy zauważyłaś, że jak się już zacznie coś psuć, to wszystko idzie źle?

Uśmiechnął się tym swoim chłopcym uśmiechem, który topił jak wosk kobiece serca, a ona tylko się zaśmiała.

- Żartujesz, czy co? Tak właśnie wygląda całe twoje życie?

A jak się ma pies?

- Pies? - Spojrzał na nią zdziwiony, po co chce to wiedzieć. - Dobrze. A dlaczego pytasz?

- Uważaj na niego! Pewnie za chwilę dostanie wścieklizny i pogryzie czternastu sąsiadów. Roześmiali się, a on westchnął:

- Nigdy bym nie pomyślał, że coś takiego nam się przytrafi, Daph. Zupełnie mnie to zaskoczyło. Nie byliśmy na to przygotowani, ani ja, ani dzieci. Wydawało mi się, że nasze życie jest wspaniałe.

- Czasami coś takiego się zdarza. Ludzie chorują, umierają, nagle zakochują się w kimś innym lub robią coś zupełnie nieoczekiwanego. Wszystko się zmienia. To niesprawiedliwe, ale tak już jest. Musisz to wykorzystać dla

siebie, dla własnego rozwoju, a pewnego dnia obejrzyś się za siebie i może zrozumiesz, dlaczego tak właśnie się stało.

- To chyba przeze mnie. - Jeszcze wierzył w to. Musiało tak być. - Może czuła się zaniedbywana lub niedoceniana, lub wykorzystywana...

- Lub znudzona. A może właściwie nie była taka wspaniała. - Daphne była bliższa prawdy, niż nawet sama podejrzewała, ale Oliver nie był jeszcze gotowy, by to przyznać. - Może dla odmiany chciała mieć własne życie. Czasami trudno się domyślić, dlaczego ktoś coś robi. Dla twoich dzieci musi to być jeszcze trudniejsze.

Była bardzo mądrą kobietą. Oliver uświadomił sobie, że zawsze mu się podobała, ale nie jako kandydatka do flirtu. Była solidną podporą, kimś takim, z kim chciało się budować trwałą przyjaźń. Odkąd poślubił Sarę, a upłynęły całe lata, nie miał przyjaciółki.

- Jeśli ja sam tego nie rozumiem, to chyba nie dziwi to, że dzieci nic nie rozumieją. A ona na dodatek nie chce pomóc, bo trzyma się z dala od nas. Kiedy wyjeżdżała, to obiecywała, że będzie w domu co sobota.

- Jest wam ciężko, ale może tak jest lepiej. Kiedy wreszcie przyjedzie, staniecie się spokojniejsi.

Roześmiał się gorzko. Nie wydawało mu się to prawdopodobne.

- Nie ma czegoś takiego jak spokój w naszym domu. Wszyscy zaczynają narzekać już przy śniadaniu, a kiedy wracam z pracy, to dzieci wciąż narzekają albo ich w ogóle nie ma, co jest jeszcze gorsze. Nigdy nie sądziłem, że mogą być tak kłopotliwe. Zawsze były pogodne i dobre, rozsądne i wesołe. A teraz... Prawie ich nie poznaję, gdy przychodzę do domu. Narzekania, jęki, kłótnie, ponury nastrój. Nie mogę się doczekać powrotu do pracy.

A kiedy był już w biurze, to biura też nie mógł znieść. Może Daphne miała rację. Może znowu powinni pojechać na wakacje.

- Nie pozwól, aby całe życie stało się takie. - Powiedziała to z uśmiechem pełnym zrozumienia. - Za to też płacisz pewną cenę. Daj jej szansę. Jeśli wróci, to świetnie. Jeśli nie, zmień swoje życie. Twoje prawdziwe życie, nie to gówno. Nie można żyć namiastką życia. Mówię to na podstawie własnego doświadczenia.

- Czy dlatego nigdy nie wyszłaś za mąż, Daphne? - Po tym wszystkim, co sobie powiedzieli, nie było nietaktem pytanie jej o to.

- Mniej więcej. To i trochę innych powikłań. Przyrzekłam sobie, że coś osiągnę w zawodzie przed trzydziestką, a potem też byłam zajęta, robiłam różne rzeczy, a potem znów uciekłam w pracę. A potem... to długa historia, ale dość powiedzieć, że to coś dla mnie. Kocham to, mam o czym myśleć. Pewnie dla większości ludzi nie byłoby to życie. Ty masz dzieci, lecz potrzebujesz czegoś więcej.

One pewnego dnia odejdą, a po północy biuro nie jest dobrym kompanem...

Wszyscy wiedzieli, że Daphne często zostaje w pracy do dziesiątej. Dlatego miała najlepsze projekty. Była świetna i ciężko pracowała.

- Mądra kobieta z ciebie. - Uśmiechnął się i zerknął na zegarek. - No jak, spróbujemy przyjrzeć się twoim pomysłom?

Dochodziła piąta, myślał o powrocie do domu, ale było na to trochę za wcześnie.

- Dlaczego nie pojedziesz choć raz wcześniej do domu? Na pewno to dobrze zrobi i tobie, i twoim dzieciom. Zabierz je gdzieś na kolację.

Ten pomysł zaskoczył go. Nie przyszło mu nic takiego do głowy, tak desperacko trzymał się utartych przyzwyczajęń.

- Dzięki. To wspaniała myśl. Nie będziesz miała mi za złe, jeśli obejrzymy twoje projekty jutro?

- Nie bądź niemądry. Jutro będę miała więcej do pokazania. - Wstała, podeszła do drzwi i zerknęła przez ramię. - Trzymaj się, stary. Pamiętaj, burza może znieść wszystko w jednej chwili, ale nie trwa wiecznie.

- Obiecujesz? Podniosła dwa palce.

- Słowo harcerza.

Wyszła, a on wykręcił numer do domu. Odebrała Agnes.

- Cześć, Aggie. - Nie czuł się tak dobrze już od dawna.

- Nie zawracaj sobie głowy szykowaniem kolacji na dzisiaj. Pomyślałem sobie, że przyjadę do domu i zabiorę gdzieś dzieci.

Bardzo podobał mu się pomysł Daphne, była naprawdę piekielnie mądrą kobietą...

- Ach tak. - W głosie Aggie dało się słyszeć zaskoczenie. - Czy coś się stało? - Rzeczywistość znowu go miała uderzyć. Już nic nie było łatwe. Nawet pójście z dziećmi na kolację. - Melissa jest na próbie, Benjamin ma trening koszykówki, a Sam leży w łóżku z gorączką.

- Chryste Panie! Przepraszam... dobrze... nic się nie stało.

Pójdziemy kiedy indziej. - Spytał z lękiem: - Co z Samem?

- To nic takiego. Przeziębienie i trochę grypy. Wczoraj podejrzewałam, że coś się zaczyna. A dzisiaj zadzwonili ze szkoły i prosili, żebym go odebrała, prawie zaraz po tym, jak go odwiozłam.

Ale do niego nie zadzwoniła. Jego dziecko było chore, a on nic nie wiedział. Biedny Sam.

- Gdzie on jest?

- W pańskim łóżku, panie Watson. Nie chciał położyć się w swoim i wydawało mi się, że pan nie będzie przeciwny.

- W porządku.

Chore dziecko w jego łóżku. To było takie inne od tego, co się w tym łóżku kiedyś działo, lecz się skończyło. Z ponurą miną odłożył słuchawkę w chwili, gdy Daphne raz jeszcze stanęła w drzwiach.

- Och, coś mi się zdaje, że były jakieś złe nowiny. Pies? - Ollie roześmiał się. Rozśmieszyła go, trochę jak ulubiona młodsza siostra.

- Nie, pies jeszcze nie. To Sam. Ma gorączkę. Reszta wyszła. Skreślałam kolację. - I wtedy przyszedł mu do głowy pomysł. - Słuchaj, a może pójdziesz ze mną na kolację w niedzielę? Weźmiemy ze sobą dzieciaki.

- Jesteś pewny, że im się to spodoba?

- Absolutnie. Będą zachwycone. Pójdziemy do takiej małej włoskiej restauracji, którą uwielbiają. Mają tam świetne frutti di mare i fantastyczne ciasto. Co ty na to?

- Brzmi nieźle. Ale od razu umówmy się że jeśli ich matka przyjedzie nieoczekiwanie do domu na weekend, to odwołujemy spotkanie bez żadnych skrępułów, dobrze?

- Panno Hutchinson, z panią naprawdę łatwo się zaprzyjaźnić!

- To mój kapitał. Jak sądzisz, dlaczego zaszłam tak daleko? Bo przecież nie dzięki urodzie?

Była nie tylko mądra i skromna, ale miała też poczucie humoru.

- Bzdura!

Pomachała mu ręką i wyszła z pośpiechem. Gdy

szycował się do wyjścia, zaczął się zastanawiać, dlaczego nie pociągała go fizycznie. Była bardzo przystojna, miała świetną figurę, choć była niska i starannie ukrywała swoje kształty w garnituro - podobnych kostiumach i prostych sukniach. Rozmyślał, czy to on może nie jest jeszcze gotowy. Poza tym wciąż jest żonaty z Sarą, przynajmniej formalnie. Ale w tym było coś więcej! Daphne nosiła przed sobą transparent z napisem: „Będę twoim przyjacielem, ale nie zbliżaj się zbyt blisko, stary! Nie dotykaj mnie!” Ciekawiło go, co się za tym kryje, czy w ogóle coś się kryje, czy to jej strategia w pracy, czy coś innego. Może pewnego dnia spyta ją o to.

Był w domu kwadrans po siódmej. Sam spał mocno w jego łóżku, z głową rozpaloną gorączką. Pozostałej dwójki nie zastał. Zszedł na dół i usmażył sobie jajka. Dla niego kolacji nie było. Aggie ugotowała dla Sama bulion i usmażyła naleśniki. Widocznie uznała, że Ollie jakoś sobie poradzi. Dał sobie radę. Czekał na powrót do domu pozostałych dzieci. Było to długie oczekiwanie.

Melissa przysłała o dziesiątej, zadowolona i podniecona. Bardzo podobała jej się sztuka i dostała dużą rolę. Kiedy zobaczyła Olivera, jej twarz wykrzywił grymas. Bez słowa pobiegła do swojego pokoju. Już po północy wrócił jej starszy brat. Oliver spokojnie na niego czekał, siedząc w saloniku. Usłyszawszy trzaśnięcie frontowych drzwi, wyszedł szybko do syna i to z miną, która zdradzała wszystko. Benjamin miał kłopoty.

- Gdzie byłeś?

- We wtorki wieczorem mam trening koszykówki. - Jego oczy nic ojcu nie powiedziały, natomiast zachowanie było wołaniem o niezależność.

- Do północy? - Ollie nie miał zamiaru kupić tej historyjki.

- Wstąpiłem potem na hamburgera. Wielkie mi rzeczy!

- Nie. Nie „wielkie mi rzeczy”. Nie wiem, co się z tobą dzieje, ale zdaje się, iż sądzisz, że jak nie ma tu twojej matki, to możesz robić, co ci się żywnie podoba. Więc wybij to sobie z głowy! Obowiązują te same zasady. Nic się tutaj nie zmieniło, poza tym, że wyjechała. Nadal oczekuję, że będziesz wracał do domu po szkole i nie będziesz wychodził wieczorami w środku tygodnia, będziesz wykonywał swoje prace, pomagał reszcie rodziny i siedział tutaj, gdy wracam. Jasne?

- Pewnie. Ale czy to coś zmienia? - Ben wyglądał na wściekłego.

- Nadal jesteśmy rodziną. Z matką lub bez niej. Sam i Mel potrzebują cię... ja zresztą też...

- To nonsens, tato. Sam chce tylko do mamy, natomiast Mel pół życia spędza przy telefonie, a drugie pół siedzi zamknięta w swoim pokoju. Ty nie wracasz do domu przed dziewiątą, a gdy już tu jesteś, to czujesz się zbyt zmęczony, żeby coś porozmawiać z nami. To co? Mam tu siedzieć i czas marnować?

Olivera zraniły jego słowa i nie krył tego.

- Mieszkaś tu. I nie przychodzę do domu o dziewiątej. Najpóźniej jestem o ósmej. Pędzę na złamanie karku, żeby złapać wcześniejszy pociąg i spodziewam się, że będziesz tutaj. Nie zamierzam tego powtarzać, Benjaminie. Wychodzisz co wieczór. Mam zamiar uziemić cię na miesiąc, jeśli nie przestaniesz.

- Idź do diabła! - Benjamin był wściekły. Jego okrzyk wstrząsnął Oliverem. Syn nigdy się tak do niego nie odezwał. Nigdy by nie śmiał. A teraz nagle otwarcie się przeciw niemu buntował.

- W porządku, proszę pana. Będziesz miał za swoje.

Od tej chwili jesteś uziemiony!

- Gówno prawda!!! - Przez ułamek sekundy Benjamin wyglądał tak, jakby miał zamiar go uderzyć.

- Nie kłóć się ze mną. - Obaj mieli podniesione głosy i żaden z nich nie zauważył Mel, która po cichu zeszła na dół i teraz stała w kuchennych drzwiach przyglądając im się w milczeniu. - Twojej matki może tu nie być, ale nadal ja ustalłam zasady...

- I kto to mówi? - Zezłoszczony głos odezwał się za ich plecami. Obaj odwrócili się i zobaczyli Melissę. - Co daje ci prawo pomiatać nami? Nigdy cię tu nie ma. Ani trochę o nas nie dbasz! Gdybyś dbał, to nigdy byś nie wygonił mamy. To wszystko twoja wina, że nas zostawiła, a teraz chcesz, żebyśmy uważali, że wszystko jest w porządku!

Chciało mu się płakać, gdy słuchał ich obojga. Nic nie rozumieli. Jak zresztą mogli to zrozumieć?

- Słuchajcie... Chciałbym, żebyście oboje coś wiedzieli... - Miał łzy w oczach, gdy się do nich zwrócił. - Zrobiłem wszystko, żeby zatrzymać tutaj waszą matkę. I w takim samym stopniu, jak siebie winię za to, co zrobiła, podejrzewam, że jakąś częścią swej istoty zawsze chciała to zrobić: wrócić na studia, oderwać się od nas i prowadzić własne życie. Ale niezależnie od tego, czy był to mój błąd, czy nie, bardzo was wszystkich kocham. - Jego głos drżał, pełen bólu. Przez chwilę Oliver myślał, że nie będzie mógł mówić dalej, lecz rzekł: - I ją też kocham. Nie możemy pozwolić, by nasza rodzina się rozpadła, zbyt wiele dla nas wszystkich znaczy... Potrzebuję was, dzieci... - Zaczął płakać, a Mel miała przerażoną minę. - Bardzo was potrzebuję i bardzo was kocham...

Odwrócił się, poczuł dłoń Benjamina na swoim ramieniu, a w chwilę później przytulającą się Melissą,

otaczającą go ramionami.

- Kochamy cię, tato... - szepnęła zduszonym głosem, a Benjamin, nic nie mówiąc, stał blisko. - Przykro mi, że byliśmy tacy dla ciebie okropni, tacy niedobrzy. - Zerknęła na starszego brata, w jego oczach były łzy. Ale dla niego nie miało to już żadnego znaczenia, on miał swoje życie i swoje kłopoty.

- Przepraszam. - Musiało upłynąć kilka minut, zanim Oliver mógł znowu coś powiedzieć. - Wszystkim nam ciężko. Jej pewnie też.

Zamierzał być w porządku wobec Sary i nie chciał nastawiać wrogo do niej dzieci.

- To dlaczego nie przyjeżdża do domu, tak jak obiecała?

Dlaczego nigdy do nas nie dzwoni? - spytała Melissą żałośnie, gdy we trójkę poszli do kuchni.

Sara rzeczywiście prawie w ogóle nie dzwoniła od przeprowadzki do Bostonu.

- Nie wiem, kochanie. Może ma więcej pracy, niż myślała? Przewidywałem, że tak będzie. - Ale nie spodziewał się, że przez pięć tygodni Sara nie przyjedzie do domu. To było okrutne wobec Sama, wobec nich wszystkich. Powtarzał jej to przez telefon, a ona wciąż mówiła, że nie jest jeszcze gotowa, by przyjechać do domu.

Po zerwaniu, tak bolesnym, była wreszcie wolna, bez względu na to, jak ich to zraniło. - Przyjedzie niedługo.

Melissa w zamyśleniu pokiwała głową i usiadła przy kuchennym stole.

- Ale to już nie będzie to samo?

- Może nie. Lecz wcale nie musi być gorzej. Pewnego dnia, gdy już to przejdziemy, może będzie lepiej.

- Przedtem wszystko było dobre. - Popatrzyła na niego

i Oliver skinął głową. W końcu znowu się rozumieli.

Zwrócił się do syna.

- Co z tobą? Co się z tobą dzieje, Benjaminie?

Wyczuwał, że dużo się dzieje, ale syn nie miał zamiaru mu powiedzieć. Dla Olivera stanowiło to zaskoczenie, bo Ben zawsze był taki otwarty i miał takie pogodne usposobienie.

- Nic takiego. - Benjamin wyglądał na zakłopotanego.

- Chyba pójdę do łóżka.

Odwrócił się, żeby wyjść, ale Oliver dotknął go i zatrzymał.

- Benjaminie... - Chłopiec przystanął. - Czy coś się stało? Czy chcesz porozmawiać ze mną sam, zanim pójdziesz spać?

Syn zawahał się, a potem pokręcił głową.

- Nie, dzięki, tato. Wszystko w porządku. - Zapytał z niepokojem: - Czy jestem uziemiony?

Oliver nie zawahał się ani przez sekundę. To było ważne, aby teraz zrozumieli, że on ma nad wszystkim kontrolę, albo całkiem się rozpuszczą. Dla ich własnego dobra nie mógł do tego dopuścić.

- Tak, synu, jesteś. Przykro mi. Co wieczór jesteś w domu na kolacji. I w weekendy. Przez miesiąc. Ostrzegalem cię. - Był nieugięty, ale jego oczy mówiły Benjaminowi, że robi to, bo go kocha.

Benjamin skinął głową i wyszedł z kuchni. Nikt nie zauważył rozpacz, którą Oliver właśnie spowodował. On musi być z nią w nocy... musi... ona go potrzebuje... On też jej potrzebuje... Nie wiedział, jak to przeżyją.

Po wyjściu Benjamin Oliver popatrzył na Melisę. Powoli podszedł do niej i pochylił się, żeby ją pocałować.

- Bardzo cię kocham, córeczko, naprawdę. Wydaje mi

się, że musimy być teraz bardzo cierpliwi. Niedrogo będzie lepiej.

Kiwnęła głową i spojrzała na ojca. Wiedziała więcej o Benjaminie, niż miała zamiar powiedzieć. Widziała go z Sandrą tysiące razy i wiedziała też, że urywa się z lekcji. W ich szkole nowiny rozchodziły się prędko. Podejrzewała, że to, co czuje Benjamin, jest dla niego tak ważne, iż zdecyduje się sprzeciwić ojcu.

Sam nie kręcił się tej nocy. Rano gorączka minęła i wszyscy wydawali się spokojniejsi. Oliver wychodził do pracy z lepszym sercem. Było mu przykro, że musiał uziemić Benjaminą, ale to było dla jego dobra i miał nadzieję, że syn to zrozumie. Przełamanie milczenia Mel warte było cierpienia podczas rozmowy z dziećmi poprzedniego wieczoru.

Dotarł do pracy i znalazł na swoim biurku kartkę. Przypomniał sobie o zaproszeniu Daphne do Purchase na niedzielę i po raz pierwszy od miesiąca cieszył się na nadchodzący weekend.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Daphne przyjechała w niedzielę pociągiem. Czekał na nią na dworcu i przywiózł do domu. Po drodze rozmawiali o dzieciach. Mel odnosiła się do niego bardziej przyjaźnie przez ostatni tydzień. Sam wciąż był trochę przeziębiony. Benjamin, odkąd Oliver powiedział mu, że jest uziemiony, prawie z nim nie rozmawiał. Ale przynajmniej przestrzegał zasad. Był w domu co wieczór na kolacji, a po posiłku szedł od razu do swojego pokoju.

- Ostrzegam cię, że nie są teraz łatwi, lecz to dobre dzieci.

Uśmiechnął się do niej, zadowolony, że przyjechała. Sara nie dzwoniła, wszyscy odczuwali napięcie spowodowane jej milczeniem, zwłaszcza Ollie.

- Spróbuję im uświadomić, że im nie zagrażam - odpowiedziała.

Znowu się do niej uśmiechnął. Była ubrana w fantastycznie skrojone czarne skórzane spodnie i futrzaną kurtkę.

- Dlaczego o tym mówisz? - Nie znał powodu, ale wyglądało na to, że Daph chce, by wiedział, że ona nie ma żadnych „romantycznych zamiarów” wobec niego.

- Mówię to, bo lubię, żeby wszystko było proste i szczerze.

- Czy jest jakaś przyczyna, dla której nie interesujesz się mężczyznami? - Próbował to tak powiedzieć, żeby zabrzmiało obojętnie. Z całą pewnością nie był nią zainteresowany, mimo to wyjście z nią gdzieś wieczorem mogło być miłe. Miała mnóstwo do zaoferowania każdemu mężczyźnie: rozum, urodę, urok, poczucie humoru. Naprawdę ją lubił. - Wiem, że masz zasadę, iż nie umawiasz się z nikim z biura.

- To dlatego, że swoją lekcję odebrałam dawno temu. I to była trudna lekcja. - Postanowiła mu powiedzieć. Może dlatego, że uważała, iż też jest atrakcyjny. - W trzy lata po rozpoczęciu pracy w agencji reklamowej, mojej pierwszej firmie po ukończeniu Smith, zakochałam się w prezesie rady nadzorczej. - Uśmiechnęła się łagodnie.

Oliver aż gwizdnął, gdy na nią spojrział.

- Nie żartujesz? Nie traciłaś czasu, co?

- Był jednym z najatrakcyjniejszych mężczyzn w reklamie. Wciąż jest. Miał wtedy czterdzieści sześć lat. Żonaty, dwoje dzieci. Mieszkał w Greenwich. Był katolikiem.

- Żadnych rozwodów.

- Bardzo dobrze. Wygrywa pan nagrodę: dwieście dolarów. - W jej głosie nie było goryczy, tylko stwierdzenie faktu. Chciała, żeby Oliver wiedział, choć nigdy nikomu o tym nie mówiła. - Właściwie to ta firma należała do jego rodziny. Był wspaniałym mężczyzną. Zakochałam się po uszy. I powiedziałam sobie, że nic mnie nie obchodzi, że jest żonaty.

Przerwała i patrzyła przed siebie, jakby rozpamiętując wszystko, ale Oliver ją przynaglił. Chciał wiedzieć, co ten facet zrobił takiego, że ona tak się boi mężczyzn. To wstyd, że marnuje swoje życie w samotności, choć tak naprawdę to nie wygląda na nieszczęśliwą.

- I jak długo to trwało? Co się stało?

- Spędzaliśmy wspaniale czas. Podróżowaliśmy. Spotykaliśmy się we wtorki i czwartki w mieszkaniu, które wynajmował dla nas w mieście. Nie brzmi to za dobrze. Mógłbyś powiedzieć, że zostałam jego kochanką... A w końcu pozbył się mnie...

- Czarujące.

- Wydawało mu się, że ktoś mógłby nas odkryć. Kilku osobom nawet się udało, ale większość nic nie wiedziała. Byliśmy bardzo dyskretni. Zawsze był szczerzy i uczciwy w stosunku do mnie. Kochał swoją żonę i swoje dzieci, wtedy jeszcze małe. Jego żona była tylko kilka lat ode mnie starsza. Ale mnie też kochał. I ja go kochałam. Byłam gotowa przyjąć tę jego część, którą chciał mi dać.

Nawet nie była zła, gdy mówiła o nim, i Ollie dziwił się, że jest taka spokojna.

- Kiedy ostatni raz go widziałaś?

Roześmiała się, patrząc na niego.

- Trzy dni temu. Zmieniłam pracę. Mamy mieszkanie. Spędzamy razem trzy wieczory na tydzień i tak będzie zawsze. W marcu minie trzynaście lat i choć dla ciebie to śmiesznie zabrzmie, jestem szczęśliwa, kocham go.

Wyglądała na zupełnie zadowoloną, a Oliver był oszołomiony.

Miała romans z żonatym mężczyzną i była szczęśliwa.

- Mówisz poważnie? Naprawdę nie obchodzi cię jego małżeństwo, Daph?

- Oczywiście, że mnie obchodzi. Dzieci są już w college'u. Jego żona należy do klubu ogrodniczego i szesnastu towarzystw charytatywnych. Chyba jest coś w ich życiu, co on lubi, bo ani przez chwilę się nie zawahał. Wiem, że nigdy jej nie zostawi.

- Ale dla ciebie to jest wstrętny układ. Zaslugujesz na coś więcej.

- I kto to mówi? Gdybym wyszła za mąż za kogoś innego, może byśmy się już rozwiedli albo byli bardzo nieszczęśliwi. Dla nikogo nie ma gwarancji na szczęście. Kiedyś myślałam, że chciałabym mieć dzieci, ale pięć lat temu wyniknęły kłopoty i teraz i tak nie mogę ich mieć. To,

co zdobyłam, wystarczy mi. Może jestem dziwna albo nienormalna, lecz uważam, że nam cały czas udaje się bycie ze sobą. I to, przyjacielu, jest historia mojego życia. Sądziłam, że powinieneś ją poznać - uśmiechnęła się do niego łagodnie - bo cię lubię.

- Ja też cię lubię - wyszczerzył zęby w uśmiechu - chyba właśnie złamałaś mi serce. - W pewien sposób poczuł ulgę. Pozbył się pewnego napięcia i teraz naprawdę mogli zostać przyjaciółmi. - Jak myślisz, czy on kiedyś zostawi żonę?

- Wątpię. Nawet nie jestem pewna, czy wyszłabym za niego, gdyby ją zostawił. Tak jest dobrze. Mam własne życie, przyjaciół i jego. Czasami jest ciężko, na wakacjach czy w weekendy. Ale może dlatego to, co mamy, jest dla nas takie cenne, bo znamy wszystkie słabe strony i ograniczenia.

Była mądrzejsza, niż przypuszczał. Podziwiał ją zarówno za szczerość, jak i za całą resztę.

- Chciałbym umieć podchodzić do swoich spraw tak filozoficznie jak ty.

- Może kiedyś ci się to uda.

Zastanawiał się, czy byłby zadowolony, spędzając dwa dni w tygodniu z Sarą. Raczej nie. Chciał czegoś więcej. Chciał mieć ją tak jak przedtem, ale nie zapowiadało się, że ją znowu dostanie.

Zaciągnął ręczny hamulec przed domem i odwrócił się twarzą do Daphne.

- Dzięki, że mi powiedziałaś. - Naprawdę był jej za to wdzięczny.

- Ufam ci. - To był jej sposób proszenia go, żeby z nikim nie dzielił jej sekretu. Choć już miała pewność, że nie zrobiłby tego. - Wydawało mi się, że powinieneś wiedzieć. Nie chcę, żeby twoje dzieciaki martwiły się nami.

- Świetnie! - Znowu wyszczerzył się w uśmiechu. - A co mam im powiedzieć, kiedy będę cię przedstawiał? „Cześć, dzieciaki, wszystko jest w porządku, ona ma romans z żonatym facetem i go kocha?” - Jego twarz spoważniała, ale w oczach została iskierka wesołości. - Jesteś wspaniałą kobietą, Daphne. Jeśli jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić... jeżeli będziesz potrzebowała przyjaciela... po prostu zawołaj...

- Nie martw się. Na pewno skorzystam. Czasami robi się strasznie samotnie... Ale nauczysz się radzić sobie sam, by nie chwytać za słuchawkę w nocy, by nie dzwonić, kiedy wydaje ci się, że masz zapalenie wyrostka robaczkowego. Dzwonisz do przyjaciół, uczysz się troszczyć sam o siebie. Wydaje mi się, że mnie to dobrze zrobiło. Pokręcił głową.

- Nie sądzę, żebym kiedykolwiek był taki dorosły.

Miał czterdzieści cztery lata i nadal oczekiwał, że gdy będzie go bolała głowa, to Sara się nim zajmie.

- Nie martw się. Pewnie zwariowałam. Moi rodzice uważają, że naprawdę oszalałam.

- Wiedzą? - Był zdumiony. Musieli być bardzo tolerancyjni.

- Powiedziałam im już całe wieki temu. Moja matka najpierw płakała przez kilka tygodni, ale teraz już się przyzwyczaiła. Dzięki Bogu, mój brat ma sześcioro dzieci. Przestali mnie naciskać.

Roześmiali się oboje i wyszli z samochodu. Andy natychmiast wskoczył na jej skórzane spodnie, ale zdaje się, że jej to nie przeszkadzało.

Kiedy weszli do domu, Sam oglądał telewizję, a Mel robiła coś w kuchni z Agnes, więc Oliver wprowadził Daphne do środka i przedstawił jej Sama. Była spokojna i swobodna. Sam przyglądał się jej z zainteresowaniem.

- Pracujesz z moim tatą?

- Tak. Mam bratanka w twoim wieku. Też ogląda zapasy. - Zdawała się świetnie orientować w szaleństwach dziewięciolatków. Sam kiwnął głową z aprobatą. Była w porządku.

- Mój tata zabrał mnie na mecz w zeszłym roku. To było fajne.

- Ja też byłem z Seanem na meczu. Strasznie mu się podobało.

A moim zdaniem to było okropne.

Sam się roześmiał, a z kuchni wyłoniła się Mel. Oliver przedstawił ją.

- Daphne Hutchinson, moja córka Melissa.

Uścisnęły sobie mocno dłonie. Daphne przywitała się również z Agnes, która spokojnie odeszła do swych zajęć, zastanawiając się, czy Oliver zaczął już przyprowadzać do domu kobiety. Z pewnością wszystko się tutaj zmieniło, ale po tym, co pani Watson zrobiła, Agnes nie mogła go winić. Potrzebował żony, a jeśli Sara była zbyt głupia, żeby trzymać się szczęścia, które miała, to ktoś inny zasługuje na jej dobry los.

Panie bez przeszkód gwarzyły sobie, a Ollie dostrzegł, że Melissa uważnie przyglądała się Daphne. Zaakceptowała skórzane spodnie, lśniące włosy, futrzaną kurtkę, czarną torebkę z „Her - mesa”, zwisającą niedbale z ramienia. Daphne zawsze była bardzo elegancka. Teraz Oliver zrozumiał, dlaczego. Było coś szczególnie wyrafinowanego w jej strojach, coś, co mogło podobać się starszemu mężczyźnie, kupującemu jej prezenty i wprowadzającemu ją w świat wytwornych przedmiotów. Jak na samotną osobę, Daphne miała zbyt kosztowną biżuterię.

Melissa jakby wyczuwała, że ta kobieta nie jest

zagrożeniem, że poza przyjaźnią nie ma nic między nią a Oliverem. Początkowo Mel przyglądała się jej bardzo uważnie, ale Daphne wysyłała ojcu sygnały przyjaźni, pozbawione zainteresowania seksualnego.

- Gdzie Benjamin? - spytał w końcu Ollie.

- Pewnie go nie ma - odpowiedziała Mel. - A czego się spodziewałeś? - Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się do Daphne.

- Też miałam starszego brata. Nienawidziłam go jakieś osiemnaście lat. Na starość bardzo się zmienił na korzyść. - Był dokładnie w tym samym wieku, co Oliver. Może właśnie dlatego tak go lubiła.

Siedzieli we czwórkę w przytulnym saloniku i kilka godzin gadali. Potem poszli na spacer z Andym. Tuż przed kolacją wrócił Benjamin. Wyglądał na stroskanego i roztargnionego. Wyszedł pod pozorem gry z kolegami w piłkę, ale jak zwykle wylądował u Sandry. Jej rodzice też byli teraz w separacji, co młodym bardzo ułatwiało sprawę. Matki Sandry nigdy nie było w domu, a ojciec wyprowadził się do Filadelfii.

Benjamin chłodno przyjął Daphne. Prawie w ogóle się do nikogo nie odzywał, gdy jechali na kolację. Poszli do włoskiej restauracji, o której opowiadał jej Oliver. Przyjemnie spędzili czas, śmiejąc się, gadając, opowiadając żarciki, tak że nawet Benjamin w końcu się rozchmurzył, tylko od czasu do czasu rzucał badawcze spojrzenie na Daphne i swego ojca.

Wrócili do domu na deser, który obiecała im Agnes. Andy leżał przy kominku, a oni jedli szarlotkę. To był wspaniały dzień.

Pierwszy taki dzień od dłuższego czasu i wreszcie wszyscy wyglądali na naprawdę szczęśliwych.

Telefon zadzwonił, gdy Sam opowiadał historyjki o duchach. Do aparatu podszedł Oliver. Dzwonił jego ojciec, a pozostali słyszeli tylko odpowiedzi Olivera.

- Tak... w porządku, tato... uspokój się... Gdzie ona jest?... Dobrze się czujesz? Zaraz przyjadę... Zostań tam... Przyjadę po ciebie... Nie chcę, żebyś wracał sam do domu... Możesz zostawić tam samochód... zabierzesz go jutro...

Z zatroskaną miną odłożył słuchawkę. Dzieci wyglądały na przestraszone, więc szybko starał się je uspokoić.

- Wszystko w porządku. To babcia. Miała mały wypadek. Wzięła samochód i potrafiła sąsiada. Nikt nie jest poważnie ranny. A ponieważ babcia jest trochę roztrzęsiona, zatrzymają ją w szpitalu na noc, na obserwacji. Dziadek jest po prostu bardzo zmartwiony. Na szczęście facet, którego potrafiła, okazał się szybki, skoczył na maskę i ma tylko złamaną kostkę. Mogło być znacznie gorzej, i to dla nich obojga.

- Wydawało mi się, że babcia już miała nie jeździć sama - powiedziała Melissa z troską w oczach.

- Tak. Dziadek był w garażu, odkładał jakieś narzędzia, a babcia postanowiła pojechać po zakupy.

Oliver nie powtórzył im, że Phyllis oznajmiła lekarzowi, iż jedzie po syna do szkoły, że jego ojciec płakał, gdy z nim rozmawiał, lekarze bowiem uznali, że nadszedł czas, aby umieścić żonę w zakładzie opieki.

- Strasznie nie chce mi się tego robić - powiedział Oliver patrząc na Daphne - ale muszę tam pojechać do niego. Wydaje mi się, że jest znacznie bardziej wstrząśnięty niż ona. Czy chcesz, żebym po drodze podrzucił cię na stację? - Pociąg odjeżdżał dopiero za godzinę, lecz nie chciał zostawić jej na lodzie.

- Mogę wziąć taksówkę, jedź już. - Spojrzała na trzy młode twarze. - Zostanę tutaj z dziećmi, jeśli mnie zechcą.

Mel i Sam wyglądali na zachwyconych. Benjamin nic nie powiedział.

- To świetnie! - ucieszył się i polecił Mel, by wezwała taksówkę kwadrans po dziewiątej. Daphne będzie miała mnóstwo czasu do odejścia pociągu o wpół do dziesiątej. - Benjamin może cię odwiezie.

- Taksówka mi wystarczy. Jestem pewna, że Benjamin ma coś lepszego do roboty niż wożenie starszych pań na dworzec.

Wyczuwała jego powściągliwość i nie chciała zmuszać go do niczego.

Po chwili Oliver wyszedł, a Benjamin zniknął w swoim pokoju, zostawiając ją z dwojgiem młodszego rodzeństwa. Sam zaraz poszedł po dokładkę ciasta, a Mel pobiegła na górę po scenariusz sztuki, żeby go pokazać Daphne. Agnes była już w łóżku i odpoczywała po sprząnięciu całej kuchni.

Daphne została sama w saloniku, kiedy zadzwonił telefon.

Dzwonił i dzwonił. Rozejrzała się nerwowo dookoła, aż w końcu zdecydowała się podnieść słuchawkę. Obawiała się, że to Ollie. Zmartwiłby się niepotrzebnie, gdyby nikt nie odebrał. Może czegoś zapomniał. Podniosła słuchawkę, po drugiej stronie na dłuższą chwilę zapadła cisza, a potem kobiecy głos poprosił Olliego.

- Przykro mi, ale go nie ma. Czy mam coś przekazać? - Starła się, żeby jej głos brzmiał bezosobowo, instynkt podpowiadał jej, że to Sara. Miała rację.

- Czy są dzieci? - Głos był rozzłoszczony.

- Oczywiście. Czy mam je poprosić?

- Ja... tak... - A potem: - Przepraszam, kim pani jest? Wtedy do pokoju weszła Mel. Daphne nie straciła zimnej krwi i powiedziała do słuchawki:

- Opiekunką. Teraz Melissa będzie rozmawiać. Z łagodnym uśmiechem podała aparat Melissie, a potem poszła do kuchni - zobaczyć, jak sobie radzi Sam. Chłopiec znęcał się nad ciastem, wpychając ogromne kawały do ust i próbując jednocześnie ukroić dokładkę dla Daphne.

- Twoja mama dzwoni. Rozmawia z Mel.

- Naprawdę?

Wyglądał na zaskoczonego, ale rzucił wszystko i pobiegł do pokoju. Daphne popatrzyła za nim ze smutkiem. Wrócili dopiero po dziesięciu minutach, przygnębieni. Zabolało to Daphne. Zobaczyła w ich oczach, jak rozpaczliwie tęsknili za matką. Sam ocierał oczy rękawem, oczywiście płakał. Melissa też spoważniała po tej rozmowie.

- Czy ktoś chce ciasta? - Daphne chciała ich trochę rozruszać, ale nie bardzo wiedziała, jak.

Wtem Mel spojrzała na nią pytająco.

- Dlaczego powiedziałaś mamie, że jesteś opiekunką? Daphne popatrzyła jej prosto w oczy. Miała zamiar być tak szczerą wobec niej jak przedtem wobec Olliego.

- Ponieważ nie chciałam jej zmartwić. Twój tata i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi, Mel. Jest ktoś w moim życiu, kogo bardzo kocham, więc twój tata i ja zawsze będziemy tylko przyjaciółmi. Nie miało sensu martwienie waszej matki czy powodowanie jakiegoś nieporozumienia między rodzicami. Jest wam wszystkim już i tak bardzo ciężko, bez mojego dodatkowego udziału w waszych kłopotach.

Mel skinęła jej głową, wdzięczna choć milcząca.

- Powiedziała, że nie przyjedzie w następny weekend, bo ma referat do napisania.

Gdy to mówiła, Sam zaczął płakać. Daphne bez zastanowienia przyciągnęła go do siebie i przytuliła. Rozproszyła ich obawy, gdy powiedziała o mężczyźnie, którego kocha. Bardziej była zadowolona z tego, że przedtem powiedziała Olliemu. Po prostu byli tacy, ich nie można było ranić, ich trzeba było kochać i opiekować się nimi. Złościło ją, że własna matka ich opuściła.

- Może to dla niej zbyt bolesne, żeby już przyjechać. -
Starła się grać fair, ale Mel była zła.

- To dlaczego nie możemy pojechać i jej zobaczyć? -
spytał rozsądnie chłopiec.

- Nie wiem. Sam. - Daphne otarła mu łzy.

We trójkę siedzieli przy kuchennym stole, już bez apetytu, zapomnieli o szarlotce.

- Mówi, że jej mieszkanie nie jest jeszcze gotowe, że nie mielibyśmy gdzie spać, ale to głupia wymówka. - Przeszał płakać.

I gdy tak rozmawiali, siedząc przy kuchennym stole, nie zauważyli, jak minęła dziewiąta piętnaście.

- O rety! - zawołała Daphne. Kiedy ponownie spojrzęła na zegarek, było wpół do dziesiątej. - Czy jest jeszcze jakiś pociąg?

Jeśliby musiała, zawsze mogła wrócić do Nowego Jorku taksówką. Ale Melissa kiwnęła głową i powiedziała:

- O jedenastej.

- Tata.

- No to pojedę tym.

- To dobrze. - Sam przywarł do jej dłoni.

Wkrótce dzieci poczuły się zmęczone. Daphne zniosła Sama do łóżka, porozmawiała jeszcze z Mel do dziesiątej, a potem zaproponowała jej, by poszła spać, powiedziała, że sama się sobą zajmie przez następne pół

godziny, zanim trzeba będzie zadzwonić po taksówkę. Mel poszła na górę, zamyślona. Gdy Ollie wrócił do domu wpół do jedenastej, zaskoczył go widok Daphne czytającej spokojnie.

- Co z twoim ojcem? - zapytała.

- Chyba wszystko w porządku.

Ollie wyglądał na zmęczonego. Ułożył ojca do snu jak dziecko, i obiecał, że przyjedzie jutro, by zdecydować, co zrobić z matką.

- Okropna sytuacja. Moja matka ma Alzheimera i to zabija mojego ojca...

- O mój Boże, to straszne. - Była wdzięczna losowi, że jej rodzice wciąż byli młodzi i zdrowi. Przekroczyli już siedemdziesiątkę, lecz wyglądali na pięćdziesięciolatków. - Twoja żona dzwoniła.

- Och! Chryste! - Przeciągnął ręką po włosach, zastanawiając się, czy powiedziały Sarze o obecności Daphne. - Co dzieci jej mówiły?

Odczytała jego spojrzenie i chciała go uspokoić.

- Nie wiem. Wyszedłem z pokoju, gdy z nią rozmawiały. Nikogo nie było, kiedy telefon zadzwonił, odebrałam go i powiedziałam, że jestem opiekunką.

Uśmiechnęła się do niego, a on się rozjaśnił.

- Dzięki. - A potem spytał znowu, ze zmartwionymi oczyma: - A jak dzieci czuły się już po rozmowie?

- Były przygnębione. Zdaje się, iż Sara im powiedziała, że nie może przyjechać do domu i że one nie mogą przyjechać do niej.

Sam płakał, ale się uspokoił. Położyłam go do łóżka.

- Doprawdy jesteś zadziwiająca. - Zerknął na zegarek z żalem. - Z niechęcią to robię, ale lepiej będzie, jeśli odwiezę cię teraz na pociąg. Akurat zdążymy.

- To był wspaniały dzień, Oliverze - dziękowała mu po drodze.

- Dla mnie też. Przykro mi, że musiałem zniknąć pod sam koniec.

- Nie przejmuj się tym. I tak masz mnóstwo zajęć. Zobaczysz, niedługo wszystko odmieni się na lepsze.

- Jeśli dożyję. - Uśmiechnął się zmęczony.

Zaczekał razem z nią na pociąg. Uściskał ją po bratersku i powiedział, że zobaczą się jutro w biurze. Pomachała mu ręką, gdy pociąg ruszył. Oliver pojechał do domu. Było mu przykro, że sprawy nie potoczyły się inaczej. Może gdyby Daphne była wolna... Ale i tak wiedział, że to nieprawda, że bez względu na to, czy Daphne byłaby wolna i jak bardzo byłaby pociągająca i inteligentna, on pragnął jedynie Sary. Kiedy tylko dotarł do domu, wykręcił jej numer telefonu, lecz choć był sygnał, nikt nie podniósł słuchawki.

ROZDZIAŁ ÓSMY

George Watson umieścił żonę w domu opieki tydzień po wypadku. W tym zakładzie specjalizowano się w opiece nad chorymi cierpiącymi na Alzheimera i różne formy demencji. Z zewnątrz było to miejsce pogodne i przyjemne, ale jedno spojrzenie na mieszkających tam pacjentów przygnębiło Olivera nie do opisania. Kiedy przyjechał zobaczyć matkę, nie poznała go, myślała, że to George jest jej synem, a nie mężem.

Gdy wychodzili, stary człowiek ocierał łzy. W przenikliwym wietrze Oliver wziął go pod rękę, następnie odwiózł do domu. Czuł się tak, jakby go zdradzał, kiedy tego wieczora zostawiał go, żeby wrócić do swoich dzieci.

To był zadziwiający zbieg okoliczności, że on i ojciec jednocześnie tracili żony, choć w inny sposób. Ale Oliver miał przynajmniej dzieci, które go zajmowały, i pracę, która go odrywała od kłopotów. Ojciec nie miał nic. Nic poza samotnością, wspomnieniami i bolesnymi wizytami u Phyllis w domu opieki każdego popołudnia.

A potem nadszedł wielki dzień. Sarah zadzwoniła w walentynki^{*1} i oświadczyła, że chce zobaczyć dzieci w następnym weekend w Bostonie.

- Dlaczego nie przyjedziesz tutaj?

Nie było jej siedem tygodni i Oliver, tak jak dzieci, aż do bólu chciał ją zobaczyć i mieć w domu.

- Chcę je widzieć tam, gdzie mieszkam.

Chciał się sprzeciwić, ale nie zrobił tego. Zgodził się i zadzwonił do niej, kiedy już potrafił określić przybliżony czas ich przylotu do Bostonu.

- Powinniśmy dotrzeć do twojego domu około

^{1*} Dzień św. Walentego, dzień zakochanych, przypadający na 14 lutego (przyp. tłum.).

jedenastej w sobotę, jeśli wsiądziemy w samolot o dziewiątej. - Wolałby pojechać w piątek wieczorem, ale to okazało się zbyt skomplikowane ze względu na szkoły dzieci i jego pracę, tak że zaproponował sobotę rano. - Czy będziesz miała dość miejsca dla nas wszystkich? - Uśmiechnął się po raz pierwszy od tygodni, ale z tamtej strony słuchawki zapadła dziwna cisza.

- Nie miałam... Myślałam, że Mel i Benjamin mogliby spać na dwóch starych kanapach w moim saloniku. I... chciałabym, żeby Sam spał ze mną... - Głos się jej załamał.

Oliver słuchał i jego dłoń zmartwiła na słuchawce, a słowa Sary odbijały się w jego głowie. „Sam... spał ze mną...” powiedziała, nie - „z nami”.

- A gdzie jest miejsce dla nas, choć chyba powinienem powiedzieć „dla mnie”? - Postanowił mówić bez ogródek. Chciał wiedzieć, na czym stoi, raz na zawsze. Nie mógł dłużej znieść tortury wątpliwości.

- Myślałam, że może... - jej głos był tylko trochę głośniejszy od szeptu - że może zechciałbyś zatrzymać się w hotelu. To.... to... może być łatwiejsze w ten sposób, Ollie...

W jego oczach, gdy to mówiła, były łzy. Czuł ciężar w sercu, słuchając jej.

- Łatwiejsze dla kogo? Wydaje mi się, że to ty obiecywałaś, że nic się nie zmieni. Nie tak dawno temu powtarzałaś, że nie odchodzisz na zawsze. A może zapomniałaś?

- Nie zapomniałam. Wszystko po prostu ulega zmianie, kiedy się wyjeżdża i zyskuje dystans.

To dlatego nic się nie zmieniło dla niego? Dlaczego wciąż jej tak bardzo pragnie? Chciał nią potrząsnąć, tak by ją to zabolalo, a potem chciał ją całować, aż zacznie go błagać, aby ją wziął. Ale nie zamierzała już nic dla niego zrobić.

Nigdy więcej.

- Tak. Więc mówisz mi, to już koniec. Czy tak, Saro? -
mówił za głośno, serce biło mu mocno.

- Po prostu proszę cię, żebyś zatrzymał się w hotelu,
Ollie... tym razem...

- Przestań! Przestań bawić się ze mną, do cholery!

To była ta okrutna strona jej natury, której istnienia
nawet nie podejrzewał.

- Przykro mi... zupełnie straciłam orientację... tak...
ja... ty... - W tej chwili naprawdę tak myślała.

- Do diabła, Saro! Ty straciłaś orientację?! Dokładnie
wiesz, co robisz. Wiedziałaś to w dniu wyjazdu.

- Chcę być sama z dziećmi w ten weekend. To tyle...

- Dobrze. - Jego głos ochłódł. - Podrzucę je do ciebie o
jedenastej.

Odłożył słuchawkę, by nie mogła torturować go dalej.
To miał być dla niego samotny weekend, nie będzie brał
udziału w szczęśliwym połączeniu matki z dziećmi.

Mógł im pozwolić, żeby pojechały same, ale nie
chciał. Pragnął być z nimi, zwłaszcza potem, w drodze do
domu. Na dnie serca wiedział, że chce być blisko niej.
Najbardziej martwił się o Sama, trochę mniej o pozostałą
dwójkę. Benjamin w ogóle nie wykazał entuzjazmu do
wyjazdu, miał stracić mecz, ale Oliver powiedział mu, że
powinien pojechać. Mel bardzo chciała polecieć do Sary, a
Sam był zachwycony. Oliver zastanawiał się, jak się będą
czuli po spotkaniu z matką.

Lot do Bostonu minął w świątecznym nastroju. Oliver
siedział spokojnie po drugiej stronie przejścia. Ale kiedy
jechali do mieszkania Sary przy Brattie Street, był
niewiarygodnie zdenerwowany. Obiecał jej, że przywiezie
dzieci, lecz gdy otworzyła drzwi, gdy ją zobaczył, myślał, że

serce mu pęknie. Wyglądała ślicznie jak zwykle. Może nawet była ładniejsza. Miała rozpuszczone włosy, jakby trochę dłuższe, a jej dzinsy były tak obcisłe, że aż go coś cisnęło w środku. Starał się zachowywać spokojnie przy dzieciach. Pocałowała go lekko w policzek. Uściskała dzieci i zabrała je do środka, na obiad, który dla nich przygotowała. Oliver tymczasem odjeżdżał taksówką, tęskniąc za nią i pragnąc jej każdym kawałeczkiem swego ciała.

Mieszkała w małym mieszkanku z wygodnym salonikiem i maleńką sypialnią, za którą był ogród pełen krzaków. Dzieci chlifały zupę, wpychały wielkie kęsy do ust i wpatrywały się w nią szczęśliwe. Gadały wszystkie naraz. Z ulgą rozładowały długo tłumione lęki i stesy. Sam był bez przerwy do niej przyklejony, nawet Benjamin wyglądał na bardziej rozluźnionego, niż był w ciągu kilku ostatnich tygodni. Wszyscy czuli się szczęśliwi, poza Oliverem siedzącym samotnie w pokoju hotelowym.

Stało się to w końcu. Rzuciła go. Już go nie kochała. To go prawie zabiło. Płakał, gdy wspominał przeszłość, gdy godzinami chodził po kampusie Harvardu. Dotarł do wszystkich miejsc, gdzie chodzili razem przed laty. Gdy wracał już do hotelu, uświadomił sobie, że wciąż płacze. Nic nie rozumiał. Powiedziała mu, że się między nimi nie zmieni, a jednak teraz odgrodziła się od niego. Wszystko się skończyło i stali się sobie obcy. Czuł się jak porzucone dziecko. I tej nocy, gdy siedział sam w hotelu, zadzwonił do niej.

Słyszał głośnie muzykę, głosy i śmiech w tle. To sprawiło, że poczuł się jeszcze bardziej samotny.

- Przepraszam, Saro, nie chciałem ci przeszkadzać W spotkaniu z dziećmi.

- Wszystko w porządku. Robię popcorn w kuchni.

Zadzwońię do ciebie później.

Gdy zadzwoniła, było po północy.

- C& się z nami dzieje, Saro? - Musiał ją zapytać, musiał wiedzieć. Po dwóch miesiącach mógł myśleć tylko o niej i wciąż pragnął, by do niego wróciła. Jeśli naprawdę nie miała zamiaru tego uczynić, musiał znać prawdę. - Nie rozumiem tego. Kiedy wyjeżdżałaś, mówiłaś mi, że będziesz przyjeżdżać do domu w każdy weekend. A teraz, prawie po dwóch miesiącach, trzymasz mnie na dystans i zachowujesz się tak, jakbyśmy byli rozwiedzeni.

- Ja też nie wiem, Ollie. - Jej głos był miękki. To była znajoma pieszczota, o której chciał zapomnieć, ale nie mógł. - Wszystko się dla mnie zmieniło, gdy tu przyjechałam. Zrozumiałam, jak bardzo tego pragnęłam, zrozumiałam, że nie mogłabym wrócić do tego, co mieliśmy przedtem. Może będę w stanie wrócić pewnego dnia... ale wszystko będzie musiało być inne...

- Jakie? Powiedz mi... Muszę wiedzieć...

Nienawidził siebie za to, że znowu płakał. Coś strasznego stało się w ten weekend i wiedział o tym. To ona kontrolowała wszystko, co kochał i na czym mu zależało. Był bezradny, nie umiał tego zmienić ani sprawić, żeby do niego wróciła.

- Ja też nie znam wszystkich odpowiedzi. Wiem tylko, że muszę być tutaj...

- A co z nami? Dlaczego tak? Dlaczego nie mogłem tam zostać?

Był bez godności, bez dumy. Za bardzo ją kochał i za bardzo jej pragnął.

- Wydaje mi się, że boję się z tobą zobaczyć...

- Ale to głupie. Dlaczego?

- Nie wiem. Może za dużo chcesz ode mnie, Oliverze.

Teraz jest tak, jakbym była kimś innym, kim dawno temu byłam i miałam zostać. Kimś, kto spał przez te wszystkie lata, postawiony gdzieś z boku i zapomniany. Ale teraz żyję. I nie chcę tego rzucić. Dla nikogo. Nawet dla ciebie.

- A ludzie, którymi kiedyś byliśmy? Czy tak prędko o nich zapomniałaś? - Minęło dopiero siedem tygodni, lecz w jego ustach brzmiało to jak wieczność.

- Już nie jestem tą samą osobą. Nie wiem, czy znowu potrafiłabym nią być. Wydaje mi się, że dlatego boję się z tobą spotkać. Nie chcę cię zawieść, ale nie jestem tą samą osobą, Ollie. Może od dawna nią nie byłam, tylko nie wiedziałam o tym.

Brakło mu tchu, lecz musiał ją o to zapytać.

- Czy jest ktoś inny?

Już? Tak prędko? Mógł ktoś być. Wyglądała tak pięknie, gdy przywiózł do niej dzieci. Ubyło jej lat, odkąd opuściła Purchase. Tam wydawała mu się piękna, teraz była jeszcze piękniejsza.

- Nie, nie ma. - Jakby zawahała się, gdy to mówiła. - Jeszcze nie. Ale mam zamiar spotykać się z innymi mężczyznami. Jezu! Nie mógł uwierzyć, że ona to powiedziała. Ale powiedziała.

Wszystko skończone.

- I chyba to wyjaśnia wszystko, prawda? Chcesz złożyć pozew o rozwód? - Jego dłoń, w której trzymał słuchawkę, drżała, gdy pytał ją o to.

- Jeszcze nie. Nie wiem, czego chcę.

„Jeszcze nie”. Chciał, żeby krzyknęła ze strachu na samą myśl o rozwodzie, ale było jasne, że zastanawiała się nad tym. I było również oczywiste, że ich wspólne życie się skończyło.

- Powiadomisz mnie, kiedy coś już ustalisz, choć

uwazam, że jesteś beznadziejną idiotką, Saro. Było między nami coś pięknego przez te osiemnaście lat, a ty to po prostu wyrzucasz do śmietnika. - W jego głosie były gorycz i smutek. Otarł łzy z policzków, rozdarty między rozpaczą a wściekłością.

- Ollie... - Wydawało mu się, że ona też płacze. - Ja wciąż cię kocham...

- Nie chcę tego słuchać. - To było zbyt bolesne dla niego. - Przyjadę po dzieci. Jutro o czwartej. Wyślij je na dół. Będę czekał w taksówce.

I nagle już nie chciał jej więcej widzieć. Gdy ostrożnie postawił telefon obok łóżka, poczuł się tak, jakby odłożył własne serce. Nie było już kobiety, którą znalazł i kochał. Nie było już Sary Watson. Odeszła. Czy naprawdę kiedyś istniała?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy przyjechał po dzieci po południu, serce biło mu mocno. Wysiadł. Zadzwoił do drzwi i wrócił do samochodu. Czekał w taksówce. Pragnął zobaczyć je znowu, mieć je przy sobie, nie być sam ani chwili dłużej. Samotna niedziela w Bostonie bez nich była nie do zniesienia. Ten weekend na pewno zapamięta na całe życie. Pierwsza pojawiła się Melissa, wyglądająca trochę doroślej, bardzo śliczna i pewna siebie. Pomachała do ojca siedzącego w taksówce, a on poczuł ulgę, że Mel jest w dobrym nastroju. Dobrze jej zrobiło spotkanie z matką. Potem przyszedł Benjamin, poważny i ponury, ale teraz ciągle był taki. Zmienił się nie do poznania przez dwa miesiące, odkąd Sara ich opuściła. Może po prostu doroślał. Oliver nie był tego pewny, martwił się jednak o niego. A potem, ociągając się, wyszedł Sam. Niósł dużą, niezgrabnie zapakowaną paczkę. Matka dała mu pluszowego misia, niepewna, czy mu się spodoba prezent, ale spał z misiem poprzedniej nocy i teraz ścisnął go jak największy skarb. Benjamin wsunął się na przednie siedzenie, Mel też już siedziała w środku, gdy Sam spojrzął na ojca szeroko otwartymi, smutnymi oczyma - łatwo można było dostrzec, że płakał.

- Cześć, koleś! Co tam masz? - zapytał Oliver.

- Mama dała mi misia. Na szczęście... wiesz... Był zawstydzony, że musi się przyznać, jak bardzo spodobał mu się misiek. Sara instynktownie wybrała dla niego najlepszy prezent.

Znała ich dobrze. Oliver poczuł zapach jej perfum, gdy przytulił syna. To sprawiło mu ból, sam zapach i myśl o niej. A potem, kiedy Sam się przez niego przecisnął, Oliver spojrzął w górę i zobaczył ją. Stała w drzwiach. Machała do nich. Przez ułamek sekundy chciał wyskoczyć z taksówki i

pobiec do niej, schwycić ją w ramiona i zabrać z powrotem z nimi. Może pomógłby jej oprzytomnieć, a jeśli nie, to by jej przynajmniej dotknął, poczuł jej zapach. Zmusił się do odwrócenia wzroku i ochryplym głosem powiedział kierowcy, że ma jechać na lotnisko. Kiedy odjeżdżali, wbrew swej woli obejrzał się. Była taka piękna, taka młoda, gdy tak im machała, stojąc w drzwiach. Patrząc na nią poczuł, że Melissa wsuwa mu coś w dłoń. Był to maleńki woreczek z białego jedwabiu. Otworzył go i zobaczył pierścionek ze szmaragdem, który dał Sarze na Boże Narodzenie. Znalazł też kartkę z krótką prośbą o przechowanie pierścionka dla Melissy. To również stanowiło ważne świadectwo. Był to bardzo bolesny weekend dla niego. Wsunął woreczek do kieszeni - bez słowa, z zaciśniętymi wargami, z chłodnymi oczyma. Zaczął wyglądać przez okno.

Nic nie mówił przez długi czas, słuchał tylko, o czym paplały dzieci: o kolacji, którą przygotowała Sara, o popcornie, o tym, jak bardzo spodobało im się jej mieszkanie. Nawet Sam był swobodniejszy. To oczywiste, że niezmiernie dużo dobrego dała im wizyta u matki. Wszyscy wyglądali na bardziej zadbanych. Nawet włosy Sama były uczesane tak, jak Oliver najbardziej lubił. Bolało go to, że widział ich takich, prosto z jej rąk, jakby nowo narodzonych i zaraz znowu odsuniętych. Nie chciał słyszeć, jak było cudownie, jak wspaniale wyglądała, jak piękny ma ogród i jak ciężkie zajęcia. Chciał usłyszeć, jak strasznie za nimi tęskniła, a najbardziej za nim, że niedługo wraca, że nienawidzi Bostonu i że popełniła wielki błąd, przyjeżdżając tutaj. Wiedział jednak, że nigdy tego nie usłyszy.

Lot do Nowego Jorku był ciężki, ale dzieci jakby tego nie zauważyły. Wrócili do domu o ósmej. Aggie czekała na nich i zaofiarowała się, że zrobi kolację. Dzieci opowiedziały

Aggie wszystko o Bostonie: co ich mama robiła, co myślała, co zamierzała. W końcu, w połowie kolacji, Oliver już nie mógł tego dłużej wytrzymać. Wstał, rzucił serwatkę, a one wpatrywały się w niego zdumione.

- Rzygać mi się chce, jak tego słucham. Cieszę się, że się świetnie bawiliście, ale, do cholery, nie moglibyście mówić o czym innym? - Wyglądali na przerażonych i nagle ogarnął go wstyd. - Przepraszam... przepraszam... nic się nie stało...

Zostawił ich i poszedł na górę, zamknął drzwi od swojego pokoju. A potem siedział tam w ciemności, gapiąc się na światło księżycy. To tak bolało. Wysłuchiwanie ich mówiących cały czas tylko o niej. Dzieci ją odnalazły. On stracił. Nie można było zawrócić wskazówek zegara, nie można było uciec. Nie kochała go już, niezależnie od tego, co mu mówiła przez telefon. Skończyło się. Na zawsze.

Długo siedział po ciemku na łóżku, a potem leżał, wpatrując się w sufit. Upłynęło dużo czasu, zanim usłyszał pukanie do drzwi. To była Mel. Otworzyła drzwi i w pierwszej chwili nie dostrzegła go.

- Tato? - Weszła do pokoju i zobaczyła, w świetle księżycy, że leży na łóżku. - Przepraszamy, nie chcieliśmy zrobić ci przykrości... po prostu....

- Wiem, córeczko, wiem. Macie prawo się cieszyć. To wasza mama. Trochę się zdenerwowałem. Nawet ojcowie czasami się wściekają. - Usiadł, uśmiechnął się do niej, zapalił światło. Czuł się trochę nieswojo, że znalazła go dąsającego się w ciemności. - Bardzo za nią tęsknię... tak jak wy...

- Mówi, że wciąż cię kocha, tato... - Mel nagle poczuła, że jest jej go żal, miał taki okropny wyraz oczu.

- To miłe, kochanie. Ja też ją Kocham. Tak ciężko

czasami zrozumieć, dlaczego coś się zmienia... Kiedy tracisz kogoś, kogo bardzo kochasz, kiedy czujesz, jakby twoje życie już się skończyło... przyzwyczaję się do tego...

Melissa kiwnęła głową. Obiecała matce, że zrobi wszystko, by pomóc ojcu, i miała zamiar dotrzymać słowa. Ułożyła Sama do snu z pluszowym misiem i powiedziała mu, żeby na tę noc zostawił ojca samego i spał we własnym łóżku.

- Czy tata jest chory? - Pokręciła głową. - Zachowywał się dziwnie dziś wieczorem. - Sam miał zmartwioną minę.

- Jest mu smutno i tyle. Chyba było mu ciężko spotkać się z mamą.

- Myślę, że było fajnie.

Sam rozjaśnił się radośnie, przytulił do misia, a Mel uśmiechnęła się do niego, czując się o tysiąc lat starsza.

- Ja też. Ale chyba dla nich to było trudniejsze. Sam kiwnął głową, jakby rozumiał, ale tak naprawdę niczego nie pojmował. A potem spytał siostrę o to, o co nie miał odwagi zapytać żadnego z rodziców.

- Mel, jak myślisz, czy mama wróci... to znaczy, czy będzie tak jak przedtem, z tatą i z wszystkimi...

Jego siostra zawahała się, zanim odpowiedziała. Szukała odpowiedzi we własnym sercu, lecz - tak jak ojciec - już ją знаła.

- Nie wiem, ale nie sądzę...

Sam znów kiwnął głową, już lepiej przygotowany, aby dać sobie z tym radę: teraz, gdy ją widział i gdy obiecała mu, że znowu się zobaczą za kilka tygodni. Ale nie mówiła nic o przyjeździe i spotkaniu w Purchase.

- Myślisz, że tata jest na nią wściekły?

Mel pokręciła głową.

- Nie. Wydaje mi się, że jest po prostu smutny.

Dlatego tak się zachował dzisiaj wieczorem.

Sam jeszcze raz kiwnął głową i położył się na poduszce.

- Dobranocka, Mel... Kocham cię.

Pochyliła się, żeby go pocałować, i delikatnie zwichrzyła mu włosy, tak jak robiła to Sara w Bostonie.

- Ja też cię Kocham, choć czasami straszny z Ciebie bachor.

Roześmiali się oboje. Zgasiła światło i zamknęła drzwi. Gdy szła do swego pokoju, zobaczyła, że Benjamin wychodzi przez okno i zeskakuje na ziemię. Patrzyła na niego, ale nie ruszyła się ani nie zawołała. Zaciągnęła roletę i położyła się do łóżka. Miała dużo do przemyślenia. Tej nocy inni też to robili. Wszyscy długo leżeli, rozbudzeni, myśląc o Sarze.

Dokądkolwiek poszedł Benjamin, Mel uznała, że to sprawa brata, choć bardzo łatwo domyśliła się celu jego wyprawy. Pomimo wciąż obowiązującej kary wymknął się do Sandry.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Daphne wkroczyła do gabinetu Olivera następnego dnia tuż po dziesiątej i w pierwszej chwili pomyślała, że Oliver nieźle wygląda i że wszystko jest w porządku. Wiedziała, iż w weekend zabrał dzieci do Bostonu na spotkanie z Sarą. - Jak było?

Ale gdy tylko te słowa wymknęły się jej z ust, zobaczyła odpowiedź w jego oczach. Wyglądał tak, jakby ktoś umarł.

- Nie pytaj!

- Tak mi przykro! - Naprawdę było jej przykro, ze względu na niego i na dzieci.

- Mnie też. Czy masz już zmontowane te diapozytywy? Kiwnęła głową.

Unikali wzmianki na temat Sary. Pracowali bez przerwy aż do czwartej i choć raz znalazł pocieszenie w pracy. To było wspaniałe, że mógł nie myśleć ani o Sarze, ani o dzieciach.

Tego wieczora dotarł do domu o dziewiątej, a każdego następnego dnia jeszcze później. Musieli szybko przygotować duży projekt dla ważnego klienta. Dzieci były w porządku. Trzy tygodnie po pierwszej wizycie Sara znowu zaprosiła je do Bostonu. Oliver nie pojechał już z nimi. Pojechała tylko Mel z Samem. Benjamin umówił się z kolegami na narty i nie chciał tego odwoływać.

W piątkowy wieczór, gdy Ollie wrócił późno, dom był cichy i ciemny, bo nawet Aggie wzięła kilka wolnych dni, żeby odwiedzić siostrę w New Jersey. To było także dziwne: zupełna samotność, bez nich. Na swój sposób przyniosła mu ulgę. Minęły trzy miesiące, odkąd Sara wyjechała, trzy miesiące troski, płaczu i lęku o nich, poczucia odpowiedzialności o każdej porze dnia i pośpiesznego

jeżdżenia między Purchase a Nowym Jorkiem. Czasami przyznawał sam przed sobą, że Daphne miała rację. Przeprowadzka do Nowego Jorku wszystko by ułatwiła, ale nie sądził, aby dzieci były już do tego gotowe... Może za rok albo dwa... Planowanie czegoś bez niej wydawało mu się bardzo dziwne. Jego życie wyglądało teraz jak jałowa pustynia.

W sobotę wieczorem zjadł kolację z ojcem, a w niedzielne popołudnie odwiedził matkę. Jej widok był przygnębiający. Mówiła tylko o powrocie do domu i pracy w swoim ogrodzie. Nie była świadoma, gdzie jest, ale zdarzały się takie chwile, kiedy wydawało im się, że rozumie więcej i jaśniej niż inni.

- Jak sobie radzisz, tato? - zapytał ojca tego wieczora, gdy poszli razem coś zjeść.

- Raz lepiej, raz gorzej. - Starszy pan się uśmiechnął. - Tak okropnie samotnie jest bez niej.

Ollie westchnął i uśmiechnął się żałośnie do niego.

- Wiem, o czym mówisz, tato.

- Masz przynajmniej dzieci, które dotrzymują ci towarzystwa.

- Powinieneś częściej do nas przyjeżdżać. Sam nie może się ciebie doczekać.

- Może jutro po południu?

Ollie wyjaśnił mu, że Sam i Mel pojechali zobaczyć się z Sarą. I tym razem wrócili w dobrych nastrojach, ale Mel ostrzegła Sama, żeby nie opowiadał zbyt wiele ojcu. Szczególnie przypominała mu, żeby nie wspominał Jean - Pierre'a. To był przyjaciel mamy, który wpadł w sobotę wieczorem, by ich poznać. Mel pomyślała sobie wtedy, że on chyba podkochuje się w ich matce. Miał dwadzieścia pięć lat, był po absolutorium. Wszystkich okropnie rozśmieszał,

opowiadając mnóstwo kawałów. I zrobił pizzę. Sam uważał go za świetnego faceta, ale Mel zapewniała, że ojciec nie chciałby o nim słyszeć.

- Czy myślisz, że on chodzi z mamą? Ciekawość Sama była niezaspokojona, bo raz wydawało mu się, że widział ich całujących się w kuchni. Mel szybko obaliła jego teorię.

- Nie bądź głupi!

Oboje byli bardzo podekscytowani, gdyż Sara obiecała im wspólny wyjazd na wiosnę.

- Jak myślisz, dokąd pojedziemy? - dopytywał się Sam.

- Nie wiem, zobaczymy.

W końcu Sara postanowiła, że pojedą do Massachusetts na tydzień zjeżdżania na nartach i że zabierze ich wszystkich. Nawet Benjamin zgodził się pojechać.

Na pięć dni przed ich wyjazdem zadzwoniono do Olivera ze szkoły Benjamina. Okazało się, że chłopiec opuszczał zajęcia od wielu miesięcy i był bliski wyrzucenia ze szkoły. Chciano, żeby Oliver wiedział, iż matura syna stoi pod znakiem zapytania.

- Benjamin? - Był zdruzgotany. Wyszedł z ważnego spotkania, aby odebrać telefon, obawiając się, że ktoś miał wypadek. - Nie mogę w to uwierzyć, przecież zawsze był wzorowym uczniem!

- Już nie jest, panie Watson - mówił wicedyrektor. - Od stycznia prawie nie widzimy go na zajęciach, a w tym semestrze nie zaliczył prawie żadnego przedmiotu.

- - Dlaczego nie powiadomiono mnie wcześniej? Dlaczego czekaliście tak długo?

Oliver był wstrząśnięty i wściekły na chłopaka, na siebie, na szkołę, a przede wszystkim na Sarę. Wyglądało na to, że zmartwieniom nie ma końca.

- Od trzech miesięcy wysyłamy do pana zawiadomienia, ale pan nigdy nie odpowiadał...

„Cholerny gówniarz!” Oliver od razu wiedział, co się stało.

Benjamin przejmował zawiadomienia, aby ojciec nie zorientował się, co się dzieje.

- A co z jego papierami do szkół wyższych?

- Jeszcze nie wiem. Oczywiście, musimy poinformować szkoły, do których złożył papiery, ale on zawsze był takim dobrym uczniem. Może gdyby zgodził się na dodatkowe prace wakacyjne...

Zależy to też od jego stopni. Jego ostatni semestr będzie bardzo ważny.

- Rozumiem. - Oliver zamknął oczy, próbując przetrwać to, co usłyszał. - Czy są jeszcze jakieś sprawy, o których powinienem wiedzieć? - wyczuwał, że jest coś jeszcze i nagle przestraszył się tego, co mu powie wicedyrektor.

- No cóż, pewne sprawy naprawdę do nas nie należą... Co to znaczy?

- Chodzi mi o dziewczynę, nazywa się Carter. Wydaje mi się, że jest przyczyną części kłopotów Benjamina. Miała problemy w tym roku, rozbity dom... i ona nie jest, na pewno nie jest uczennicą na takim poziomie, jaki reprezentuje Benjamin, a raczej:

jaki reprezentował. Sądzę, że ich zadurzenie sprawia, iż są zbyt rozkojarzeni. Mówiło się nawet o tym, że Sandra porzuci szkołę. Uprzedziliśmy już matkę, że uczennica nie dostanie promocji ze swoją klasą...

Do diabła! Oliver go ukarał, a on zrywał się z lekcji, żeby włączyć się z jakąś idiotką... prawie wyrzuconą ze szkoły.

- Zajmę się tym. Byłbym wdzięczny, gdyby można było coś zrobić, aby jego zachowanie nie wpłynęło negatywnie na opinię w szkołach wyższych, do których złożył papiery.

Benjamin miał otrzymać niedługo odpowiedzi... Harvard... Princeton... Yale... a teraz dopuszczenie do matury było warunkowe...

- Może gdyby pan mógł spędzać z nim więcej czasu w domu...

Zdajemy sobie sprawę, że jest to bardzo trudne, kiedy pani Watson wyjechała...

Te słowa głęboko go zraniły... teraz gdy robił wszystko, co mógł, żeby być z dziećmi... i znowu usłyszał Benjamina mówiącego:

„nigdy cię nie ma w domu przed dziewiątą...”

- Zrobię, co będę mógł. Porozmawiam z nim dziś wieczorem...

- Bardzo dobrze, a my, ze swej strony, będziemy stale informowali pana o sytuacji.

- Proszę w razie potrzeby dzwonić do mnie do biura.

- Oczywiście.

Oliver odłożył słuchawkę. Siedział przez chwilę z pochyloną głową, czując, że brakuje mu tchu. A potem nie wiedząc, co ma zrobić, wykręcił numer Sary w Bostonie. Na szczęście nie było jej. Teraz to już nie jej kłopot. Odizolowała się od nich. To było na jego głowie.

Tego popołudnia wyszedł z biura o czwartej i był w domu przed szóstą. Był już, kiedy Benjamin przekroczył próg, wyglądając na zadowolonego z siebie, z książkami pod pachą. Ojciec zatrzymał go. Patrzył na niego ołowianym spojrzeniem.

- Wejdz do mnie, proszę, Benjaminie...

- Coś nie tak?

Odczytał z twarzy ojca, że coś jest nie tak, ale nie spodziewał się tego, co miało nastąpić. Ledwo minął drzwi, Oliver mocno uderzył go w twarz. Po raz pierwszy w życiu uderzył któreś ze swoich dzieci. Nigdy tego nie robił, może poza kilkoma klapsami, które dostał Benjamin, kiedy miał cztery lata i włożył widelec do gniazdka.

Wtedy Oliver chciał mu dać coś do zrozumienia i teraz też. Ten cios był również wywołany poczuciem winy i zawodu. Benjamin zachwiał się od uderzenia. Twarz mu się zaczerwieniła, usiadł bez słowa. Oliver zamknął drzwi. Ben domyślił się, że ojciec odkrył przynajmniej część jego tajemnicy. I teraz wiedział już, co nastąpi.

- Przepraszam.... Nie chciałem tego... ale czuję się tak, jakbyś mnie oszukał. Miałem dziś telefon z twojej szkoły... dzwonił pan Young... co ty, u diabła, robisz?

- Przykro.... przykro mi... tato.... - Benjamin wpatrywał się w podłogę, a w końcu podniósł wzrok na ojca. - Po prostu nie mogłem... nie wiem...

- Czy zdajesz sobie sprawę, że twoje dopuszczenie do matury jest warunkowe? - Benjamin skinął głową. - Czy rozumiesz, że możesz przez to nigdy nie dostać się na porządny uniwersytet? Że może będziesz musiał stracić rok lub przynajmniej pisać prace wakacyjne? I co, do cholery, stało się z zawiadomieniami, które podobno szkoła mnie wysyłała?

- Wyrzucałem je. - Był wobec Olivera uczciwy, znowu wyglądał na dziesięć lat, gdy tak żałośnie spoglądał na ojca. - Wydawało mi się, że dam sobie radę i nigdy się nie dowiesz.

Oliver krążył po pokoju i przystanął, żeby na niego popatrzeć.

- A co ta dziewczyna ma z tym wszystkim wspólnego?

Ta, jak jej tam, Sandra Carter? - Tak naprawdę to jej nazwisko miał wyryte w pamięci. Podejrzał, że od dłuższego czasu romans Benjamina był już poza kontrolą, ale ani przez chwilę nie sądził, że sprawy zaszły tak daleko. - Przypuszczam, że z nią sypiasz. Od jak dawna to trwa? - Przez dłuższy czas Benjamin gapił się w podłogę i nie odpowiadał. - Odpowiedz mi, do cholery! Co się z nią dzieje? Young mówił, że myślała o porzuceniu szkoły. Co to za dziewczyna i dlaczego jej nie znam?!

- To miła dziewczyna, tato. - Benjamin spojrzał nagle na niego zaczepnie. - Kocham ją i ona mnie potrzebuje. - Postanowił nie odpowiadać na drugie pytanie ojca.

- To miło. Potrzebuje cię po porzuceniu szkoły?

- Nie ma zamiaru rzucać... jeszcze... było jej bardzo ciężko... ojciec zostawił jej matkę... ale nieważne... to długa historia.

- Jestem wzruszony... I twoja matka zostawiła ciebie, tak więc we dwoje pomaszerujecie o zachodzie słońca ręką w rękę, oboje wywaleni ze szkoły. I co wtedy? Do końca życia będziesz nalewał benzynę na stacji, podczas gdy ona będzie pracowała jako kelnerka? To nie jest życie, jakiego pragnąłem dla ciebie, ani to, czego chcesz sam dla siebie. Zasługujesz na coś więcej i ona pewnie też. Na miłość boską, Benjaminie, opamiętaj się. - Twarz Olivera znieruchomiała, rysy wyostrzyły się. Takiego ojca jego syn nigdy przedtem nie widział, ale ostatnie trzy i pół miesiąca kosztowały Olivera wiele i teraz to było widoczne. - Chcę, żebyś przestał spotykać się z tą dziewczyną. Od zaraz! Czy mnie słyszysz? Bo jeśli nie przestaniesz, to wyślę cię do jakiejś choleralnej akademii wojskowej, jeżeli będę musiał. Nie mam zamiaru pozwolić ci na zmarnowanie sobie życia, ot tak, bo jesteś przygnębiony. Wszystkim nam jest ciężko. Życie nieraz

zastawi na ciebie pułapki, synu. To, jak sobie z nimi poradzisz, albo cię zahartuje, albo złamie.

Benjamin patrzył na niego spokojnie, uparty jak ojciec, gorzej, bo uparty jak Sara.

- Podciągnę stopnie, tato, i nie będę opuszczał zajęć. Ale nie mam zamiaru przestać widywać się z Sandrą.

- Do diabła, przestaniesz, jeśli ci tego zakażę! Zrozumiałeś mnie?

Benjamin wstał, jego rude włosy i niebieskie oczy płonęły.

- Nie przestanę się z nią widywać. Mówię ci to uczciwie. I nie możesz mnie zmusić. Wyprowadzę się.

- Czy to jest twoje ostatnie słowo w tej sprawie? Benjamin wstał i tylko kiwnął głową.

- Świetnie. Do końca szkoły masz karę. Aż zobaczę, że twoje stopnie są takie, jak były, aż szkoła powie mi, że nie opuściłeś nawet pięciu minut lekcji, nawet po to, żeby się wysikać, aż skończysz szkołę i dostaniesz się do college'u, na jaki zasługujesz. A potem zobaczymy, co będzie dalej z Sandrą!

Stali i patrzyli na siebie. Żaden z nich się nie ugiął.

- Idź teraz do swojego pokoju. I ostrzegam cię, Benjaminie Watson, będę cię sprawdzał dzień i noc, więc nie próbuj mnie oszukiwać. Zadzwońię do matki tej dziewczyny, jeśli będę musiał.

- Nie fatyguj się, jej nigdy nie ma w domu.

Oliver pokiwał głową, zrozpaczony i unieszczęśliwiony postępowaniem najstarszego syna, zaskoczony gorącym oddaniem tej dziewczynie.

- Sam urok.

- Mogę już iść?

- Proszę. - A gdy Benjamin podszedł do drzwi, Ollie

powiedział łagodniejszym tonem: - Przepraszam, że cię uderzyłem. Obawiam się, że doszedłem do kresu mojej wytrzymałości, a ta bzdura z tobą też wcale mi nie pomaga.

Benjamin jeszcze raz skinął głową i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Oliver opadł na krzesło, czując, że całe jego ciało drży.

Dopiero w następnym tygodniu, gdy wszystko dokładnie przemyślał, zrozumiał, co powinien zrobić, by choć trochę poprawić sytuację. Poszedł do dyrektora szkoły i porozmawiał z nim. W pierwszej chwili dyrektor nie był przekonany do jego pomysłu, lecz w końcu stwierdził, że gdyby Oliver umieścił syna w szkole o zbliżonym poziomie, to zgodzono by się na jego propozycje. Oliver tylko tyle mógł zrobić. Na początku miało być dzieciakom ciężko, ale z kolei właśnie coś takiego zalecał im lekarz.

Wysłał ich do Sary na ferie. Benjamin początkowo się opierał i nie chciał jechać, lecz Oliver go zmusił. Straszyl go na wszystkie możliwe sposoby, aż w końcu chłopiec pojechał z rodzeństwem. W ciągu tygodnia, kiedy dzieci nie było, Oliver rozmawiał w czterech szkołach i prawie cudem znalazł jedną, bardzo dobrą, gdzie byli gotowi przyjąć Benjamina. Miał zamiar zabrać ich jak najszybciej do Nowego Jorku, wynajmując mieszkanie i posłać ich do nowych szkół. To odciągnęłoby Benjamina od tej dziewczyny i od kolegów, którzy go rozpraszaali w nauce. Oznaczało to również, że on sam byłby w domu codziennie o szóstej. Właśnie to proponowała mu Daphne dwa miesiące temu, a on wtedy twierdził, że nigdy tego nie robi, może za kilkanaście lat. Teraz ten pomysł narodził się ponownie - z rozpaczy.

Obie szkoły zaakceptowały jego plan. Szkoła w Purchase zgodziła się nawet, aby Benjamin przystąpił do matury ze swoją klasą, pod warunkiem, że dobrze mu pójdzie

w Nowym Jorku przez następne dwa miesiące roku szkolnego, zda wszystkie egzaminy i zrobi kilka prac wakacyjnych w Purchase. Plan był doskonały.

Mel bez większych trudności została przyjęta do elitarnej Upper East Side dla dziewcząt, a Sam miał zapewnione miejsce w Collegiate. Były to świetne zmiany, choć trochę pospieszne.

Dwa dni przed powrotem dzieci Oliver wraz z Daphne przemierzał miasto, aż wreszcie znalazł bardzo atrakcyjne mieszkanie: do wynajęcia na rok od bankiera, który wyprowadzał się z żoną i dziećmi do Paryża'. Dom miał windziarza i portiera. Z okien mieszkania roztaczał się ładny widok. Były tu cztery wielkie sypialnie, ponadto duża zadbana kuchnia, a za nią odpowiedni pokój dla Agnes. Miało to Olivera kosztować fortunę, lecz jego zdaniem było tego warte. W ciągu dziecięciu dni wszystko załatwił. Pozostało mu jedynie oznajmienie nowiny dzieciom po ich powrocie z wakacji. Siedział z Daphne w saloniku po podpisaniu umowy najmu.

Przyglądała mu się z uwagą. Jeszcze dwa miesiące temu niczego nie chciał zmienić, a teraz zmieniał wszystko. Stało się to wtedy, gdy sobie uświadomił, że Sara nie planuje powrotu do domu.

- Wydaje mi się, że to nam posłuży. - Usprawiedliwiał się przed nią, choć nie musiał.

- Mnie też się tak zdaje. Jak sądzisz, co dzieci powiedzą na te zmiany?

- A co mogą powiedzieć? Nie jestem w stanie pilnować Benjamina, bo dojeżdżam. A jeśli do czerwca to nam się nie spodoba, zawsze możemy wrócić do Purchase i dzieci pójdą do starych szkół jesienią. Może właśnie powinienem był to zrobić na samym początku?

Jeszcze raz kiwnęła głową. Miał rację, nie byli tu uwiązani, a dobrze byłoby odwrócić fale, które zatapiały Benjamina w Purchase.

- Nie uważasz, że to trochę zbyt radykalne zmiany?

- Myślisz, że zwariowałem?

Uśmiechnął się nerwowo, zastanawiając się nad tym raz jeszcze, ze zdumieniem, że tyle zrobił, kiedy dzieci były na wakacjach z matką. Bał się im o tym powiedzieć, ale cieszył się też na swój sposób. Bez względu na to, co wymusiło takie zmiany, rozpoczynało się ekscytujące nowe życie. A dla Benjamina było to najlepsze rozwiązanie.

- Uważam, że dobrze zrobiłeś i że wam to pomoże, chociaż oni będą musieli przystosować się do kolejnej wielkiej zmiany.

- Może tym razem lepiej. - Chodził po pokoju. Mieszkanie było ładne. Miał nadzieję, że dzieciom spodobają się ich pokoje, zwłaszcza Melissie. Nowy dom stał przy Osiemdziesiątej Czwartej Wschodniej, ulicy wysadzonej po obu stronach drzewami, o dwie przecznice od Central Parku. Właśnie czegoś takiego szukał, gdy już postanowił przenieść się do miasta.

- Co o tym myślisz, Daph? Naprawdę uważasz, że mam kota, bo chcę się tu przeprowadzić?

Nagle zaczął się bać przekazania tej nowiny dzieciom. Co będzie, jeśli powtórzy się sytuacja sprzed kilku tygodni? A taki był pewien, że to dobra decyzja, kiedy ją podejmował.

- Nie, nie uważam, że masz kota, i wydaje mi się, że wszystko będzie dobrze. Po prostu nie oczekuj, że będą skakali do góry z radości i powtarzali, jaki to cudowny pomysł. Najpierw ich to przestraszy, bez względu na to, jak będziesz starał się im to ułatwić. Daj im trochę czasu na przyzwyczajenie się do tej myśli.

- Wiem, też mi się tak wydawało.

Nie był jednak przygotowany na tak ostrą reakcję. Powiedział im następnego dnia po ich powrocie do domu z krótkich wakacji z Sarą. Odebrał dzieci na lotnisku i zawiózł do miasta, mówiąc, że ma dla nich niespodziankę. Nie chciał powiedzieć, jaką. Kiedy jechali, byli w świetnych humorach, opowiadali mu o wszystkim, co robili, co widzieli i jak im się udały zjazdy z matką. Tym razem nie przygnębiło go to. Był bardzo podniecony tym, co miał im pokazać w Nowym Jorku.

- Czy jedziemy zobaczyć się z Daphne, tato? - zapytała Melissa, a on pokręcił głową i jechał dalej.

Tego ranka powiedział o wszystkim Agnes i choć była zaskoczona, zgodziła się przeprowadzić. Nie miała nic przeciw Nowemu Jorkowi, dopóki była z dziećmi.

Podjechali od frontu budynku. Znalazł miejsce i zaparkował samochód. Wprowadził dzieci do środka, a one rozglądały się wokół z ciekawością.

- Kto tu mieszka, tato? - chciał wiedzieć Sam, ale Ollie znów pokręcił głową.

Weszli do windy, poprosił o siódme piętro.

- Tak, proszę pana. - Windziarz się uśmiechnął.

Portier rozpoznał Olivera, gdy im otwierał drzwi. Byli nowymi lokatorami spod 7H, dlatego nie spytał ich, do kogo idą.

Oliver stanął przed drzwiami i nacisnął dzwonek. A gdy nikt nie otwierał, wzruszył ramionami, wyjął klucz z kieszeni i otworzył szeroko drzwi. Dzieci stały, patrząc na niego z zaskoczeniem i zastanawiając się, czy nie zwariował.

- Właźcie do środka, dzieciaki.

- Czyje to mieszkanie? - szepnęła Mel i bała się wejść, ale Sam odważnie wkroczył do środka i rozejrzał się. Nikogo

tam nie było, dał im znak, że mogą do niego dołączyć.

Wtedy zrozumiał Benjamin i ze zmartwioną miną wszedł do mieszkania. A potem Mel, która zaczęła głośno wołać, że meble są takie piękne.

- : Cieszę się, że ci się podobają, kochanie. - Ollie się uśmiechnął. - To nasze nowe, nowojorskie mieszkanie. Jak wam się podoba?

- Hej! - Sam wyglądał na zachwyconego. - Kiedy będziemy tu mieszkać? - Nagle Sam się zmartwił. - Czy już nie będziesz przyjeżdżał do domu w tygodniu?

- Oczywiście, że będę przyjeżdżał. I to dużo wcześniej niż przedtem. Zamieszkamy tu wszyscy razem aż do końca roku szkolnego i wrócimy we wrześniu.

Starał się, żeby brzmiało to dla nich atrakcyjnie, jak przygoda, ale nagle zrozumiał, że się przestraszyli.

- Czy to znaczy, że się tu przeprowadzamy? - Mel patrzyła na niego przerażona. - A co z naszymi przyjaciółmi?

- Będiesz mogła spotykać się z nimi w weekendy i latem. Jeśli nam się tu nie spodoba, to nie wrócimy w przyszłym roku szkolnym. Ale uważam, że powinniśmy przynajmniej spróbować.

- Czy to znaczy, że muszę zmienić szkołę teraz? - Nie mogła uwierzyć w to, co mówił.

Nie miało sensu ukrywanie przed nią prawdy. Skinął głową i spojrzał na ich twarze. Sam był ogłuszony, a Mel usiadła na krześle i zaczęła płakać. Benjamin w ogóle się nie odezwał, ale gdy patrzył na ojca, jego twarz przybrała zacięty wyraz. Wiedział, że częściowo stało się tak przez niego, lecz w niczym nie zmniejszało to jego gniewu. Ojciec nie miał prawa im tego robić, żadnego prawa. Już było zupełnie źle, po tym jak wyjechała matka, a teraz musieli zmienić szkoły i przeprowadzić się do Nowego Jorku. Teraz wszystko miało

być inaczej. Ale właśnie tego chciał Oliver. Zwłaszcza dla niego. I Benjamin o tym wiedział.

- No, dość tego! Dzieciaki, będzie fajnie! Spróbujcie o tym pomyśleć jak o całkiem nowym życiu.

- A co z Aggie? - Sam znowu był zmartwiony. Nie chciał utracić nikogo, kogo kochał, ale ojciec szybko go uspokoił.

- Ona też przyjedzie.

- A Andy?

- I on może tu mieszkać, dopóki będzie się dobrze sprawował.

Jeśli pogryzie meble, to zawieziemy go do dziadka i będziemy go zabierać w weekendy.

- Będzie grzeczny, przysięgam. - Oczy Sama błyszczały, lecz przynajmniej nie płakał.

- Czy mogę zobaczyć swój pokój?

- Pewnie! - Ollie był zadowolony, że chociaż Sam próbuje, nawet jeśli starsze dzieci me chcą. Melissa wciąż grała rolę obrażonej, a Benjamin, nadąsany, gapił się przez okno. - Może teraz tego i owego tu brakuje, ale jak przywieziemy trochę naszych rzeczy, to będzie wyglądało lepiej.

Na szczęście właściciel mieszkania miał dwóch synów i córkę, tak że były dwa pokoje chłopięce i jeden na różowo. Ale Melissa odmówiła pójścia i zobaczenia go. Był dwa razy taki jak jej pokój. Bardziej elegancki i wyszukany, niż była do tego przyzwyczajona. Sam złożył jej sprawozdanie po powrocie do saloniku.

- Jest fajny, Mel... Cały różowy... spodoba ci się...

- Nie zależy mi. Nie przeprowadzam się tutaj. Zamieszkać u Carol albo u Debbie.

- Nie zamieszkaasz. - Głos Olivera był spokojny i

zdecydowany. - Przeprowadzisz się tutaj wraz z nami wszystkimi. Znalazłem dla ciebie doskonałą szkołę. Wiem, że to trudna zmiana, ale właśnie teraz jest to zmiana na lepsze. Wierz mi, Mel.

Benjamin nagle zaczął krzyczeć, gdy tylko ojciec skończył mówić.

- To, co on mówi, oznacza jedynie, że chce mnie mieć cały czas na oku i trzymać z dala od Sandry. A co z weekendami, tato? Czy wtedy też zabronisz jej wstępu? - Jego głos był gorzki i zły.

- Ona nie ma wstępu do naszego domu aż do chwili, gdy poprawisz stopnie. Powiedziałem ci to i nie oszukuję cię. Wszystkie twoje szansę na porządną szkołę mogą się teraz rozwiać.

- Nie zależy mi na tym. To nic nie znaczy.

- Dużo dla ciebie znaczyło, gdy wysyłałeś papiery, a może już zapomniałeś?

- Mnóstwo rzeczy się od tamtej pory zmieniło. - Zamruczał coś niezrozumiale i znowu podszedł do okna.

- Czy wszyscy widzieli to, co chcieli zobaczyć?

Oliver starał się mimo wszystko być zadowolony, ale tylko Sam miał ochotę poprzeć ojca.

- Czy jest podwórko? Oliver uśmiechnął się do niego.

- Nie, ale dwie przecznice dalej jest Central Park. Od biedy ujdzie, prawda?

Sam kiwnął głową, zgadzając się z nim.

- Pójdziemy już? - Melissa pośpieszyła do drzwi, a Benjamin ruszył za nią znacznie wolniej, z zamyślonym wyrazem twarzy.

Droga powrotna do Purchase minęła w milczeniu, wszyscy byli zatopieni w myślach, tylko Sam od czasu do czasu zadawał pytania.

Agnes czekała na nich z kolacją. Sam opowiedział jej wszystko o mieszkaniu.

- Mogę grać w piłkę w Central Parku... i mam bardzo duży pokój... i wrócimy, kiedy tylko skończy się szkoła... Jak nazywa się moja szkoła, tato?

- Collegiate.

- Collegiate - powtórzył.

Aggie słuchała uważnie, spoglądając na dwoje pozostałych. Ani Mel, ani Benjamin nie powiedzieli nic, odkąd usiedli przy stole.

- Kiedy się przeprowadzamy?

- W przyszły weekend.

Gdy tylko padły te słowa, Melissa znowu utonęła we łzach, a Benjamin po kilku minutach odszedł od stołu. Spokojnie wziął kluczyki ze stolika w hallu i - nadal bez słowa - wyszedł. Po chwili odjechał.

Tego wieczora Mel już nie wyszła ze swego pokoju. Drzwi były zamknięte, gdy Oliver próbował do niej wejść. Tylko Sam był zadowolony z przeprowadzki. Dla niego to było coś nowego i podniecającego. Po ułożeniu go do snu Oliver zszedł na dół, żeby poczekać na powrót Benjamina. Musieli poważnie porozmawiać.

Benjamin nie wrócił do domu aż do drugiej. Oliver wciąż czekał, martwiąc się coraz bardziej. W końcu usłyszał chrzęst żwiru na podjeździe, gdy nadjechał samochód. Drzwi otworzyły się cicho. Oliver wyszedł do hallu, żeby zatrzymać syna.

- Czy zechcesz pójść do kuchni i porozmawiać ze mną? - Było to czysto retoryczne pytanie.

- Nie ma o czym mówić.

- Zdaje się, że jednak jest o czym, jeśli to „coś” zatrzymywało cię do drugiej nad ranem. A może to jakiś inny

rodzaj konwersacji?

Poszedł do kuchni, nie czekając na odpowiedź. Odsunął dwa krzesła, ale upłynęła chwila, zanim Benjamin usiadł. Oliver widział, że syn nie chce z nim rozmawiać.

- Benjaminie, co się dzieje?

- Nic takiego, o czym chciałbym ci powiedzieć. Nagle byli wrogami. Stało się to z dnia na dzień, lecz to nie zmniejszyło ani bólu, ani rozczarowania.

- Dlaczego jesteś na mnie taki zły? Przez mamę? Wciąż winisz mnie za wszystko?

- To jest twoja sprawa. To, co ja robię - moja. Nie podoba mi się, że mówisz mi, co mam robić, a czego nie. Jestem na to za dorosły.

- Masz siedemnaście lat. Nie jesteś jeszcze dorosły, nawet jeśli bardzo chcesz nim być. Nie możesz iść przez życie, łamiąc wszystkie zasady, bo prędzej czy później zapłacisz za to cholerną cenę. Tak już jest w życiu, czy to się komuś podoba, czy nie. Teraz możesz nawet nie dostać się do college'u.

- Pieprzę college.

Jego słowa zaskoczyły Olliego.

- Cóż to znaczy?

- Mam dużo ważniejsze sprawy na głowie.

Przez chwilę Oliver zastanawiał się, czy Benjamin nie jest pijany, ale on nie wyglądał na to i Ollie uwierzył, że faktycznie nie pił.

- Na przykład jakie? Ta dziewczyna... Sandra Carter? W twoim wieku to przelotna sprawa, Benjaminie. A jeśli nie jest, to będziesz musiał jeszcze długo czekać, aby coś z tym zrobić. Musisz skończyć szkołę, iść do college'u, dostać pracę, zacząć zarabiać, by utrzymać żonę i dzieci. Masz przed sobą długą drogę, więc lepiej z niej nie zbaczać, bo zanim się

obejrzyysz, wdepniesz w cholernie duże gówno.

Wydawało się, że Benjamin się ugnie pod wpływem stów ojca, ale spojrzął na niego i rzekł:

- Nie przeprowadzam się z wami do Nowego Jorku. Nie jadę.

- Nie masz wyboru. Musisz. Zamykam dom tutaj. Będziemy tu tylko w weekendy. I nie pozwolę, żebyś sam mieszkał, to chyba jasne jak słońce. Jeśli chcesz znać prawdę, to przeprowadzamy się głównie z twojego powodu, żebyś mógł się nad wszystkim zastanowić, zanim będzie za późno. Będę mógł też spędzać z wami więcej czasu wieczorami.

- Na to już jest za późno. Nie jadę.

- Dlaczego nie?

Wtedy nastąpiła długa cisza. Oliver czekał. W końcu chłopiec odpowiedział:

- Nie mogę zostawić Sandry.

- Dlaczego nie możesz? A jeśli pozwoliłbym ci spotykać się z nią w weekendy?

- Jej matka przeprowadza się do Kalifornii, a ona nie ma dokąd pójść.

Oliver aż jęknął.

- Czy Sandra z nią nie jedzie?

- Nie zgadzają się ze sobą. Ona nienawidzi swego ojca, ja natomiast nie chcę zostawić jej samej.

- To niezwykle szlachetnie z twojej strony. Ona wygląda na bardzo niezależną osobę.

- Ale nie jest. Potrzebuje mnie. - Po raz pierwszy otworzył się i rozmawiał o niej. Oliver był poruszony, lecz także przestraszył się tego, co może usłyszeć. Sandra w niczym nie przypominała dziewczyny, z którą ktoś powinien mieć coś wspólnego. Ona wyglądała na kłopot. - Nie mogę jej zostawić, tato.

- I tak będziesz musiał ją zostawić jesienią, gdy pojedziesz do college'u. Możesz równie dobrze załatwić to teraz, nim będzie z tego większy problem.

Benjamin tylko uśmiechnął się na ukrytą ironię jego słów.

- Nie mogę jechać.

Syn był nieugięty i Oliver zmieszał się.

- Do college'u czy do Nowego Jorku? - zapytał.

- Ani tu, ani tu. - Benjamin był uparty i zrozpaczony.

- Ale dlaczego?

Znowu nastąpiła długa cisza. W końcu Benjamin spojrział na ojca i zdecydował się mu powiedzieć. Zbyt długo nosił ten ciężar sam, lecz jeśli ojciec tak bardzo chce wiedzieć, to on mu powie.

- Bo jest w ciąży.

- Och, mój Boże! Mój Boże!... Dlaczego, do cholery, mi nie powiedziałaś?

- Nie wiem... Nie sądziłem, że chciałbyś wiedzieć... a poza tym to mój problem. - Zwiesił głowę, czując znowu ten ciężar, który nosił od miesięcy.

- Czy dlatego matka ją zostawia i wyjeżdża do Kalifornii?

- Częściowo na pewno tak. One się nie zgadzają ze sobą, a matka ma nowego przyjaciela.

- Co ona sądzi o ciąży swojej córki?

- Ona uważa, że to kłopot Sandry, a nie jej. Mówi jej, żeby usunęła.

- I co? Usunie?

Benjamin pokręcił głową. Popatrzył na ojca. W jego oczach było to, w co niezachwianie wierzył. Chciał, żeby ojciec wszystko wiedział, bo przecież wyznawał te same wartości.

- Nie pozwoliłbym jej.

Oliver wstał i zaczął krążyć po kuchni.

- Nie pozwoliłbyś jej? Dlaczego nie? Co, u diabła, ma zrobić siedemnastoletnia dziewczyna z dzieckiem? A może chce je oddać do adopcji?

Benjamin znowu pokręcił głową.

- Mówi, że chce je zatrzymać.

- Benjaminie, proszę, oprzytomnij. Rujnujesz trzy życia, nie jedno. Zrób coś, żeby ta dziewczyna poszła na zabieg.

- Ona nie może.

- Dlaczego?

- Bo jest w ciąży od czterech miesięcy.

Oliver usiadł z jękiem. - W jakie bagno ty wpadłeś? Nic dziwnego, że nie chodzisz na zajęcia i oblewasz egzaminy, ale mam dla ciebie nowinę. Przebrniemy przez to wszystko razem, musisz jednak wyprowadzić się z nami do Nowego Jorku w przyszłym tygodniu, choćby był potop.

- Tato, już ci powiedziałem. - Benjamin wstał, patrząc na niego niecierpliwie. - Nie zostawię jej. Jest sama, w ciąży i to moje dziecko nosi. Zależy mi na niej i na dziecku. - Nagle jego oczy wypełniły się łzami, był wyczerpany, już nie chciał się z nikim kłócić, sprawy i tak stały źle bez wciągania w to ojca. - Tatusiu, ja ją kocham. Proszę cię, nie mieszaj się do tego...

Benjamin nie powiedział ojcu, że zaproponował Sandrze małżeństwo, ale ona uważała to za głupotę. Nie chciała, żeby wszystko skończyło się rozwodem, tak jak u jej rodziców. Oliver podszedł do niego i objął go ramieniem.

- Musisz być rozsądny... musisz robić to, co trzeba, dla was obojga... A zniszczeniem sobie życia nie pomożesz nikomu. Gdzie ona teraz mieszka?... - Tysiące pomysłów

przebiegło Olliemu przez głowę, gdy rozmawiali, a jednym z nich było opłacenie Sandrze pobytu w domu dla samotnych matek.

- W domu, ale się wyprowadza do mieszkania w Port Chester. Pomagałem jej w płaceniu czynszu.

- To bardzo szlachetnie z twojej strony, ale ona wkrótce będzie potrzebowała znacznie więcej. Czy masz pojęcie, jak drogie są dzieci? Ile to kosztuje?

- Więc mi proponujesz, tato - znów w jego głosie dźwięczała gorycz - żeby usunęła, bo to jest taniej? To moje dziecko jest w jej brzuchu. Kocham je i kocham ją, i nie porzucę żadnego z nich, czy to rozumiesz? Nie wyjeżdżam do Nowego Jorku. Poprawię moje stopnie tutaj, bez wyjeżdżania. Zamieszkać z nią.

- Nie wiem, co ci jeszcze powiedzieć. Jesteś pewien, że ona jest w ciąży od czterech miesięcy? - Benjamin kiwnął głową, a to podwójnie przygnębiło Olivera, gdy uświadomił sobie, że ich mały „wypadek” zbiegł się w czasie z wyjazdem Sary. Wtedy wszyscy na chwilę oszaleli, tylko że szaleństwo Benjamina będzie trwało całe życie. - Nie zmienisz zdania?

Benjamin znowu pokręcił głową.

- Nie, tato, nie zmienimy zdania. To zabawne, ale zawsze mi się wydawało, że jesteś przeciwnikiem aborcji.

Cios był mocny. To przecież Oliver walczył z Sarą, by ocalić każde ze swych trojga dzieci, a teraz chciał, żeby usunęto dziecko Benjamina. Ale to było zupełnie coś innego.

- Tak, jestem. Lecz to, co ty masz zamiar zrobić, zniszczy twoje życie, a mnie bardziej zależy na tobie, niż na tym dziecku.

- Ale to dziecko jest częścią mnie i częścią ciebie, mamy... i Sandry.... i nikomu nie pozwolę go zabić.

- Jak masz zamiar je utrzymać?

- Mogę wziąć pracę po szkole, jeśli będę musiał. I Sandra też może pracować. Ona nie robi tego, żeby coś ode mnie dostać. Po prostu stało się, teraz próbujemy jakoś sobie z tym poradzić, najlepiej jak umiemy. - Zdawał sobie sprawę, że nie wygląda to za dobrze.

- Od jak dawna wiesz?

To wyjaśniało powagę Benjamina w ostatnich miesiącach, te ciągle ucieczki i jego upór.

- Chyba od miesiąca ciąży. Z początku Sandra nie była pewna, bo nigdy nie miała okresów zbyt regularnie, ale zaprowadziłem ją do lekarza.

- To już coś. A teraz? Czy ma odpowiednią opiekę?

- Chodzę z nią do lekarza raz w miesiącu.

To nie do uwierzenia... jego dziecko... jego pierworodny miał zostać ojcem.

- To wystarczy, prawda? - Benjamin znowu wyglądał na zmęczonego i zmartwionego.

- Na razie. Jak myślisz, czy poszłaby do domu samotnej matki? Mogliby się tam nią zaopiekować i pomóc jej przy załatwieniu formalności z dzieckiem.

- Jakich formalności? - natychmiast spytał podejrzliwie Benjamin.

- To zależy... od niej i... od ciebie... ale miałyby porządny dach nad głową... z dziewczętami w tej samej sytuacji... Benjamin skinął głową. Był to jakiś pomysł.

- Spytam ją.

- Kiedy poród?

- Pod koniec września.

- Wtedy będziesz daleko, w szkole.

- Może. > To mógł być następny powód do kłótni, ale obaj czuli się zbyt zmęczeni, aby ją zacząć. Była już czwarta rano i byli wykończeni.

- Idź do łóżka. Porozmawiamy jutro. - Oliver dotknął ramienia Benjamina i spojrział wzrokiem pełnym czułości i smutku. - Przykro mi, synu. Przykro mi, że to się wam obojgu zdarzyło. Musimy jakoś sobie z tym poradzić.

- Dzięki, tato. Ale żaden z nich nie wyglądał na przekonanego, gdy szli razem na górę, zamyśleni, zaprzątnięci własnymi zmartwieniami. Drzwi ich sypialni cicho zamknęły się za nimi.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Rozmawiali ze sobą do późna w nocy każdego dnia przez cały tydzień i do niczego nie doszli. Pewnego wieczora Oliver nawet pojechał spotkać się z Sandra i bardzo przygnębiło go to, co zobaczył. Była ładna, niezbyt mądra, przestraszona, samotna i trochę jakby z innego świata. Przykleiła się do Benjamin, jak gdyby był jedyną osobą, która może ją ocalić. Miała zamiar urodzić ich dziecko i w tej sprawie była nieugięta jak Benjamin. Nappełniło to Olivera taką rozpaczą, że w końcu zadzwonił do Sary.

- Czy wiesz, co dzieje się w życiu twego najstarszego syna? Nawet dla niego brzmiało to jak kawałek dialogu z serialu telewizyjnego. Ale coś trzeba było z tym zrobić, on nie mógł spędzić reszty życia z tą dziewczyną i ich dzieckiem.

- Dzwonił do mnie wczoraj wieczorem. Sądzę, że nie powinieneś się wtrącać.

- Zupełnie oszalałaś? - Gdyby mógł, to by ją udusił telefonicznym kablem. - Nie rozumiesz, co się stanie z jego życiem?

- A co chcesz, żeby zrobił? Zabił tę dziewczynę?

- Nie bądź idiotką, na miłość boską! - Nie mógł uwierzyć, że to od niej słyszy. - Powinna się pozbyć ciąży lub przynajmniej oddać dziecko do adopcji, a Benjamin powinien oprzytomnieć.

- Nie może tego mówić Oliver, którego znałam... Od kiedy stałeś się takim wielbicielem aborcji?

- Odkąd mój siedemnastoletni syn zrobił dziecko swojej siedemnastoletniej dziewczynie i postanowił zmarnować obojgu życie przez swą szlachetność.

- Nie masz prawa wtrącać się w to, co on uważa za słuszne.

- Nie wierzę własnym uszom. Co się z tobą dzieje? Nie zależy ci na jego wykształceniu? Czy nie rozumiesz, że on nie chce robić matury, zamierza porzucić szkołę i całkiem zapomnieć o studiach?

- Odzyska rozsądek. Poczekaj na dzieciaka. Aż zacnie mu wrzeszczeć dzień i noc, jak on kiedyś. Będzie cię błagał, żebyś pomógł mu uciec, ale w tej chwili musi robić to, w co wierzy.

- Uważam, że jesteś taką samą wariatką jak on. To musi być dziedziczne. Czy właśnie taką samą radę mu dałaś?

- Powiedziała mu, żeby robił to, co uważa za słuszne.

- Bzdury.

- A ty co mu powiedziałeś?

- Żeby się poprawił, podciągnął stopnie, nie zrywał się z lekcji i pozwolił tej dziewczynie pójść do domu samotnej matki i oddać dziecko do adopcji.

- To z pewnością będzie miło i ślicznie. Trochę szkoda, że on się z tobą nie zgadza.

- On nie musi się ze mną zgadzać, Saro. Jest niepełnoletni.

Musi robić to, co mu każemy.

- Nie wtedy, gdy ci powie, żebyś poszedł do diabła, co na pewno zrobi, jeśli będziesz go za bardzo do czegoś zmuszał.

- Tak jak ty to robiłaś? - Był wściekły na nią, gdyż igrała życiem Benjamina przez ten swój cholerny liberalizm.

- Nie rozmawiamy o nas, rozmawiamy o nim.

- Mówimy o jednym z naszych dzieci, niszczącym swoje życie, a ty gadasz bzdury.

- Spójrz na to chłodno, Oliverze. To jego dziecko, jego życie i robi to, co zechce, czy ci się to podoba, czy nie, więc

nie dostawaj z tego powodu wrzodów żołądka.

Rozmowa z nią była zupełnie beznadziejna i Oliver w końcu odłożył słuchawkę, jeszcze bardziej zmartwiony niż przedtem.

W sobotni poranek, gdy na podjeździe pojawił się samochód z przedsiębiorstwa przewozowego, Benjamin przyszedł do ojca. Wysyłali trochę rzeczy do Nowego Jorku, pościel, ubrania, jakieś drobiazgi.

- Jesteś gotów do drogi, synu?

Oliver starał się, żeby jego głos był wesoły, jakby nic się nie stało. Ale Benjamin był spokojny i zdecydowany.

- Przyszedłem pożegnać się z wami, tato.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza.

- Musisz jechać z nami, synu. Dla własnego dobra i może nawet dla dobra Sandry.

- Nie pojedę. Zostaję tutaj. Zdecydowałem się. Teraz zostawiam szkołę. Mam pracę w restauracji i będę mieszkał z Sandrą. Oliver prawie żałował tej przeprowadzki do Nowego Jorku.

- A jeśli ci pozwolił zostać w domu? Wrócisz do szkoły?

- Robi mi się niedobrze, gdy myślę o szkole. Chcę zaopiekować się Sandrą.

- Benjaminie... proszę... będziesz mógł się nią lepiej zaopiekować, jeżeli zdobędziesz wykształcenie...

- Zawsze mogę wrócić do szkoły... później.

- Czy szkoła już o tym wie?

Benjamin zniweczył ostatnią nadzieję ojca, gdy przytaknął.

- Powiedziałem im wczoraj po południu.

- Co powiedzieli?

- Życzyli nam szczęścia. Sandrą powiedziała swojemu

wychowawcy o dziecku.

- Nie mogę uwierzyć, że to robisz.

- Chcę być z nią i z dzieckiem. Tato, zrobiłbyś to samo.

- Możliwe, ale nie w ten sam sposób. Robisz coś słusznego, ale w zły sposób i ze złych powodów.

- Robię, co mogę.

- Wiem, że tak. A może byś przystąpił do eksternistycznego egzaminu? Teraz przez jakiś czas nie chodziłbyś do szkoły, a jesienią wyjechałbyś do college'u. Jest to jeszcze jakaś możliwość.

- Tak, ale ja już tego nie chcę, tato. Mam obowiązki, mam ukochaną dziewczynę i będę miał dziecko we wrześniu.

Sama myśl o tym zdumiewała Olivera, a przecież tak właśnie wyglądała prawda. Chciało mu się płakać, gdy tak stał na swoim własnym trawniku i przyglądał się tragarzom, jak pod czujnym okiem Aggie wnoszą do domu i wynoszą z niego pudła. Zupełne szaleństwo. W ciągu czterech miesięcy Sarah zniszczyła ich życie i nigdy już żadne z nich nie będzie takie jak przedtem. Nagle zaczął się zastanawiać, po co, do cholery, przeprowadza się do Nowego Jorku, skoro Benjamin z nimi nie jedzie. A jednak wciąż mu się coś podobało w tym pomysłe, na przykład wcześniejsze powroty do domu wieczorem i więcej wolnego czasu dla Mel i Sama. Mel uspokoiła się w zeszłym tygodniu, wiedziała bowiem, że wyprowadzają się tylko na dwa miesiące i tylko na próbę, że będą przyjeżdżali do Purchase na weekendy i wrócą na całe lato. A sama przeprowadzka stawała się coraz bardziej atrakcyjna, bo wszystkie jej przyjaciółki były bardzo przejęte i umierały z chęci przyjechania do Nowego Jorku i spotkania się z nią w mieście.

- Tato, muszę już iść. Zaczynam pracę o drugiej i

Sandra czeka na mnie w tamtym mieszkaniu.

- Zadzwonisz do mnie?

- Pewnie! Przyjdź do nas, jak będziesz w Purchase.

- Kocham cię, Benjaminie, naprawdę, bardzo cię kocham. Ogarnął ramionami swego chłopca i mocno przytulił do siebie.

- Dzięki, tato, wszystko będzie dobrze.

Oliver pokiwał głową, ale nie wierzył w to. Już nigdy nic nie będzie dobrze. Ze łzami spływającymi po policzkach patrzył na odjazd chłopca. Wolno pomachał mu ręką, a gdy Benjamin znikł mu z oczu, wszedł z powrotem do domu. Wbił sobie do głowy tę cholerną przeprowadzkę, nie chcąc nikomu robić nic złego, a teraz Benjamin rzucił szkołę, pracował w restauracji i mieszkał z dziewczyną, o której można było powiedzieć, że jest co najmniej lekkomyślna. Jeśli z tego wyniknie coś dobrego, to pewnie trzeba będzie na to długo, długo czekać...

W domu panował kompletny chaos. Tragarze byli wszędzie, pies warczał zażarcie, a Sam był tak podniecony, że prawie nie mógł tego wytrzymać i biegał po całym domu, ciągnąc za sobą pluszowego misia. Mel do ostatniej niemal chwili była przyklejona do telefonu, a Aggie upierała się, żeby wszystko posprzątać. W końcu ruszyli, rzucając ostatnie spojrzenie na dom, który kochali, ku nowej przygodzie w Nowym Jorku.

Czekało tam na nich drzewko w doniczce od Daphne, owoce i ciasteczka dla dzieci oraz pudełko psich biszkoptów dla Andy'ego. Było to doskonale przywitanie, a Mel aż zapiszczała z zachwytu, gdy zobaczyła swój pokój, i oczywiście zaraz pognąła do telefonu.

Kiedy się rozpakowali, Oliver mógł myśleć tylko o Benjaminie i o jego nowym życiu, życiu, którego pewnego

dnia syn będzie gorzko żałował, jeśli już tego nie robił. Oliver czuł się tak, jakby tracił, jedną po drugiej, ukochane osoby.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Przeprowadzka do Nowego Jorku okazała się najlepszym pomysłem, jaki Oliver miał od lat. Zrozumiał to już po kilku dniach. Sam pokochał nową szkołę i z największą łatwością zawierał przyjaźnie. Mel dostała zupełnego bzika na punkcie swojej szkoły, a kiedy tylko mogła, spędzała czas z Daphne w domu towarowym Bloomingdale lub dzwoniła do każdego, kogo tylko знаła w Purchase, żeby mu opowiedzieć, co jej się takiego przydarzyło w nowym, fascynującym życiu w wielkim mieście.

Najlepsze jednak było to, że Oliverowi udawało się wracać do domu co wieczór na kolację. Mel nadal poświęcała wiele godzin na rozmowy telefoniczne, lecz wiedziała, że ojciec jest blisko. Także z Samem mógł długo rozmawiać, czytać mu i grać z nim. A gdy w maju się ociepliło, to czasem chodzili po kolacji do parku, żeby pograć w piłkę. Wszystko szło doskonale. Ale nie dla Benjamin, za którym Ollie tęsknił i prawie cały czas się o niego martwił.

Przyrzekł sobie, że będzie widywał się z chłopcem co tydzień, podczas weekendów w Purchase. Chciał, żeby syn przychodził do nich i jadł z nimi kolację, lecz Benjamin pracował w nocy i nie mógł tego robić. Ojcu prawie serce pękło, gdy przyjechał, żeby się z nim zobaczyć w restauracji, a ujrzał go zmywającego naczynia za mikroskopijną pensję. Oliver ponownie zaproponował zamieszkanie w ich domu w Purchase, choć nie podobało mu się, że byłby tam sam z tą dziewczyną. Błagał go, żeby wrócił do szkoły. Ale Benjamin nie zostawiłby teraz Sandry. Kiedy pewnego sobotniego popołudnia Oliver przyjrzał się dziewczynie, jej widok wstrząsnął nim. Wyglądała tak, jakby była już w piątym miesiącu ciąży. Zaczął się zastanawiać, czy to dziecko

naprawdę było jego syna. Spytał nawet o to Benjamina, gdy tylko miał sposobność, ale chłopiec poczuł się urażony i upierał się, że to jego dziecko. Powiedział, że jest tego pewny. Oliver nie chciał więcej nalegać.

Najcięższy cios spadł wtedy, gdy napłynęły odpowiedzi z college'ów. Oliver znalazł je wszystkie w sobotę w domu, bo Benjamin chciał, żeby korespondencja do niego nadal tam przychodziła. Szkoła nikogo nie powiadomiła, że Benjamin przerwał naukę, więc został przyjęty przez wszystkie uniwersytety poza Duke. Mógł pójść do Harvardu, Princeton, Yale, a zamiast tego zeskrobywał w knajpie z talerzy nie dojedzone przez innych resztki i w wieku osiemnastu lat miał zostać ojcem. Oliverowi pękało serce, gdy o tym myślał. Sam odpowiedział na te listy, pisząc, że ze względu na trudności rodzinne Benjamin nie będzie w stanie przystąpić do nauki, ale chciałby zgłosić się ponownie za rok. Ollie ciągle miał nadzieję, że uda mu się ściągnąć syna do Nowego Jorku, żeby tam skończył szkołę. Straciłby wtedy tylko jeden rok w życiu, nie więcej. Oliver jednak nie rozmawiał o tym z Benjaminem. Był to dla nich bardzo drażliwy temat, poza tym chłopiec wydawał się całkowicie pochłonięty życiem z Sandrą.

- A może byś przyjechał do Nowego Jorku na kilka dni? Oliver zrobiłby wszystko, żeby go tam zwabić, ale syn traktował swoje obowiązki bardzo poważnie i za każdym razem odmawiał, wyjaśniając, że nie mógłby zostawić Sandry samej. Oliver zaś nigdy jej nie zapraszał. Odkąd Benjamin odszedł z domu, nie jeździł do Bostonu, żeby zobaczyć się z matką. Wyglądało jednak na to, że rozmawiał z nią od czasu do czasu przez telefon. Mel i Sam odwiedzali ją, kiedy już zadomowili się w nowym miejscu. Tym razem, gdy wrócili, byli spokojniejsi, choć Oliver wyczuwał, że coś gnębi Sama.

Raz próbował zapytać Mel, ale udzieliła wymijającej odpowiedzi, twierdząc, że matka była bardzo zajęta na uniwersytecie. Oliver domyślał się, że było coś jeszcze.

Pewnego dnia, gdy grał z Samem w karty, wszystko wyszło na jaw. To był cichy wieczór. Byli sami, bo Mel uczyła się w swoim pokoju.

- Co sądzisz o Francuzach, tato?

Było to dziwne pytanie i Oliver popatrzył na Sama ze ściągniętymi ze zdumienia brwiami.

- O Francuzach? Są w porządku. Dlaczego pytasz?

- A tak sobie. Bez powodu.

Ollie jednak wyczuwał, że coś się za tym kryje i że chłopiec chce z nim porozmawiać, ale się boi.

- Czy jest jakiś Francuz w twojej szkole?

Sam pokręcił głową i rzucił kartę. Głaszcząc łeb Andy'ego czekał, aż ojciec zagra. Uwielbiał wieczory, które teraz wspólnie spędzali. Zaczął naprawdę cieszyć się ich nowym życiem. Ale tęsknił bardzo za matką i Benjaminem, tak jak pozostała trójka.

- Mama ma takiego przyjaciela...

Słowa padły, gdy zagrywał i patrzył na karty. Cała uwaga jego ojca została obudzona. A więc tak. Ma przyjaciela.

- Jakiego przyjaciela?

Dziecko wzruszyło ramionami i wyciągnęło następną kartę.

- Nie wiem. Chyba jest w porządku.

Wtedy właśnie przechodziła Mel. Przystanęła i próbowała zwrócić na siebie uwagę Sama, ale on nie patrzył w jej kierunku. To Oliver spojrzał i zobaczył wyraz jej twarzy. Podeszła do nich.

- Kto wygrywa?

Próbowała odwrócić uwagę ojca od słów Sama. Wiedziała, że mieli o tym nie mówić, choć Sara tego nie zastrzegła, ale to było oczywiste.

- Sam wygrywa. Właśnie sobie trochę plotkowaliśmy.

- Tak. - Mel popatrzyła na Sama z dezaprobatą. - Słyszałam.

- Wasza mama ma nowego francuskiego przyjaciela?

- Nie, on nie jest nowy - szybko dodał Sam - był już tam wcześniej. Poprzednim razem też go spotkaliśmy. Ale teraz mieszka u mamy. Wiesz, jest przyjacielem. Pochodzi z Francji i ma na imię Jean - Pierre. Ma dwadzieścia pięć lat i będzie tutaj dwa lata, bo jest na stypendium.

- Jak miło! - Oliver zacisnął wargi. Wyciągnął następną kartę, nie widząc nawet, co to jest. Nienawidził siebie za wydobywanie informacji z dziecka, ale teraz chciał wszystko wiedzieć. - I chyba fajnie dla mamy. A jaki on jest?

Żył z dwudziestopięcioletnim mężczyzną i afiszowała się przed dziećmi. Na samą myśl o tym ogarniała go furia.

- To nic wielkiego, tato. Spał na kanapie, kiedy my tam byliśmy.

„A kiedy was tam nic ma - chciał zapytać - gdzie wtedy śpi?” Ale to było jasne. Nawet Sam rozmawiał o tym z Mel w drodze powrotnej. Chciał wiedzieć, czy mama jest w nim zakochana. Siostra zmusiła go wtedy, by jej obiecał, że nic nie powie ojcu.

- To miło - powtórzył Oliver. - Czy jest fajny?

- Jest w porządku. - Sam mówił obojętnie. - Robi strasznie dużo zamieszania wokół mamy. Wydaje mi się, że wszyscy francuscy faceci tak robią. Przyniósł jej kwiaty i prezent i jedliśmy bagietki. Ja tam wolę angielskie bułeczki, ale to też było niezłe. Nic wielkiego.

Ale nie dla Olivera, który czuł, że się w środku gotuje.

Nie mógł się doczekać położenia Sama do łóżka i wydawało mu się, że upłynęły całe wieki, kiedy się wreszcie od niego uwolnił. Wtedy Mel zastąpiła mu drogę, domyślając się, co ojciec przeżywa po rewelacjach Sama.

- Nie powinien ci tego mówić. Przykro mi, tato. Uważam, że to po prostu przyjaciel. Było to naprawdę trochę dziwne, że został.

- Założę się, że było dziwne.

- Powiedział, że umowa najmu mu się skończyła i mama pozwoliła mu spać na kanapie do czasu, aż sobie znajdzie nowe mieszkanie. Był dla nas miły. Nie sądzę, że to miało jakieś znaczenie.

Jej oczy były wielkie i smutne. Oboje wiedzieli, że to miało znaczenie, nawet większe, niż była gotowa przedstawić ojcu. To oznaczało, że Sara zrobiła krok naprzód. Był nowy mężczyzna w jej życiu. A Oliver tęsknił za nią każdej nocy. Odkąd wyjechała, z nikim się nawet nie umówił. Nie chciał się z nikim umówić.

- Nie martw się tym, Mel. - Starał się wyglądać na spokojniejszego, niż był w rzeczywistości, choćby ze względu na nią. - Twoja matka ma prawo robić, co chce. Jest wolna. Chyba oboje jesteśmy.

- Ale ty nigdy nie wychodzisz wieczorem, tato. - Gdy patrzyła na niego, wydawało się, że jest z niego dumna. Uśmiechnął się. Czy można być z tego dumnym?

- Po prostu nigdy nie mam na to czasu. Jestem zbyt zajęty martwieniem się o was.

- Może powinieneś gdzieś wyjść. Daphne mówi, że dobrze by ci to zrobiło.

- Och! Czyżby? Powiedz jej, żeby pilnowała własnego nosa. Mam dość zamieszania w życiu.

Córka spojrzała na niego, знаła prawdę. Było go jej

żał.

- Wciąż kochasz mamę, prawda, tato? Zawahał się na chwilę, czując się głupio, że to mówi, ale skinął głową i powiedział:

- Tak, Mel. Kocham. Czasami myślę, że zawsze będę ją kochał. Ale teraz to nie ma sensu. To już się skończyło.

Nadszedł czas, żeby o tym wiedziała. Podejrzywał, że i tak wszyscy to wiedzą. Upłynęło pięć miesięcy od wyjazdu Sary. Nie dotrzymała żadnej ze swych obietnic. Nie było wspólnych wakacji, weekendów, prawie wcale nie dzwoniła. Teraz wiedział, dlaczego.

Mieszkała z dwudziestopięcioletnim chłopcem z Francji o imieniu Jean - Pierre.

- Tak mi się wydawało. - Mel patrzyła na niego smutno. - Czy się rozwiedziecie?

- Pewnie tak, kiedyś. Nie spieszy mi się. Zobaczymy, czego chce wasza mama.

A gdy Mel poszła spać, zadzwonił do żony, pamiętając, o czym mówił Sam, i nie chcąc odkładać rozmowy z nią. To nie miało sensu. Już dawno minął czas udawania.

- Nie uważasz, że to trochę bezwstydnie spać z kimś innym, gdy dzieci są z tobą? - W jego głosie nie było gniewu, tylko niesmak.

Nie była już tą kobietą, którą znał i kochał. Była kimś innym. Należała do chłopca o imieniu Jean - Pierre. Ale była też matką jego dzieci i to bardziej go obchodziło.

- Ach... to... to tylko przyjaciel, Ollie. Spał na kanapie. A dzieci spały w moim pokoju ze mną.

- Nie sądzę, żebyś któreś oszukała. Oboje wiedzą, że się coś dzieje. Przynajmniej Mel wie, mogę cię o tym zapewnić. Wydaje mi się, że i Sam nieźle się orientuje. Czy

to cię nie obchodzi? Czy to cię nie krępuje, że mieszkasz ze swoim kochankiem? - Teraz było to już oskarżenie, ale co go naprawdę doprowadzało do wściekłości, to wiek tego dzieciaka. - Czuję się tak, jakbym cię wcale nie znał. I nie jestem pewien, czy chciałbym znać.

- To już twoja sprawa, Oliverze. A jak ja żyję i z kim, to moja sprawa. A im na pewno zrobiłoby dobrze, gdyby twoje życie było trochę normalniejsze.

- Rozumiem. A cóż to znaczy? Że powinienem zaciągnąć do domu dziewiętnastolatki, żeby im udowodnić swoją męskość?

- Ja niczego nie udowadniam. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Wiek nie ma znaczenia.

- Nic mnie to nie obchodzi. Zachowaj pewne pozory, przynajmniej wtedy, kiedy dzieci są u ciebie. Dopilnuj tego, żeby je zachować.

- Nie groź mi, Oliverze. Nie jestem twoim dzieckiem. I nie jestem twoją służącą. Już dla ciebie nie pracuję. A jeśli o to ci właśnie chodzi, gdy mówisz, że mnie nie znasz, no to masz rację. Nigdy mnie nie znałeś. Byłam tylko wynajętą pomocą dla wychowania dzieci i do prania.

- To obrzydliwe, co mówisz. Mieliśmy znacznie więcej wspólnego, niż sugerujesz, i dobrze o tym wiesz. Nie wytrzymałibyśmy ze sobą przez te cholerne dwadzieścia lat, gdybyś była dla mnie tylko służącą.

- Może żadne z nas nigdy tego nie zauważyło?

- A zresztą, co to teraz za różnica? Jest faktem, że zostawiłaś swoje dzieci. Czy tak jest dużo lepiej. Kto gotuje? Kto sprząta? Kto wynosi śmieci? Ktoś to musi robić. Ja robiłem swoje, ty swoje. Razem zbudowaliśmy coś wspólnego, ale ty to rozwaliałaś i zostawiłaś nas. To ohydne, co zrobiłaś. Chociaż przynajmniej wiem, co mieliśmy: coś

nadzwyczajnego, pięknego, cennego i uczciwego. Nie niszczy tego tylko dlatego, że odeszłaś.

Z drugiej strony panowała cisza. Przez chwilę nie był pewien, czy ona płacze...

- Przepraszam... może masz rację... jak tylko... przepraszam, Ollie... nie mogłam tego znieść... Jego głos był teraz łagodniejszy.

- Przykro mi, że nie mogłaś... - i ciepłej - kochałem cię tak cholernie mocno, Saro, że kiedy wyjechałaś, myślałem, że umrę. Uśmiechnęła się przez łzy.

- Jesteś za dobry i za silny, by kiedykolwiek pozwolić sobie na to, żeby cię coś gnębiło za długo. Ollie, nawet tego nie wiesz, ale to ty wygrałeś.

- Co się stało? - spytał. - Ja nie odczuwam swojej wygranej. Kiedy wyjrzałem ostatni raz, nie było cię u drzwi mojej sypialni.

- Może naprawdę wygrałeś. Może tym razem trafi ci się ktoś lepszy, bardziej pasujący do ciebie i da ci to, czego pragniesz. Powinieneś ożenić się z jakąś pogodną dziewczyną, która będzie chciała stworzyć ciepły, piękny dom i urodzi ci mnóstwo dzieci.

- Właśnie to miałem z tobą.

- Ale to nie było szczerze. Żyłam tak, bo musiałam. W tym tkwiło zło. Pragnęłam robić to, co teraz: prowadzić cygańskie życie bez żadnych obowiązków wobec innych. Nie chcę mieć nikogo, ani niczego. Nigdy nie chciałam. Po prostu pragnęłam być wolna. I teraz jestem.

- Najgorsze jest to, że o tym nie wiedziałem. Nie wyobrażałem sobie...

- Ani ja przez długi czas. Chyba dlatego ty też nie wiedziałeś.

- Czy teraz jesteś szczęśliwa?

Musiał to wiedzieć, choćby dla własnego spokoju. Przewróciła ich życie do góry nogami, ale jeśli znalazła to, czego szukała, to może było warto. Może...

- Myślę, że tak. W każdym razie szczęśliwsza. Będę jeszcze bardziej szczęśliwa, kiedy już coś osiągnę i uznam, że ma to jakąś wartość.

- Już osiągnęłaś... może po prostu tego nie wiesz... Dałaś mi dwadzieścia pięknych lat i troje wspaniałych dzieci. Może to wystarczy. Może na nic więcej już nie można liczyć.

- Możesz jeszcze na coś liczyć. Jestem pewna. Następnym razem będziesz wiedział, czego chcesz, a czego nie, i ja też.

- A twój francuski przyjaciel? Czy to on?

Nie rozumiał, jak mogła zaakceptować dwadzieścia pięć lat tamtego, była jednak dziwną kobietą. Może właśnie tego potrzebowała teraz.

- Na razie w porządku. To jest tylko taki egzystencjalny układ. Oliver uśmiechnął się do siebie. Już kiedyś słyszał takie słowa, ale bardzo dawno temu.

- To, co mówisz, brzmi jak wtedy, gdy mieszkałaś w SoHo. Upewnij się tylko, czy idziesz naprzód, a nie wstecz. Nie cofaj się, Sarrie...

- Wiem. Oto dlaczego nie przyjeżdżałam do domu.

Teraz rozumiał. Nadal go to zasmucało, ale przynajmniej to zrozumiał.

- Czy chcesz, żebym złożył pozew o rozwód? Po raz pierwszy spytał ją o to wprost i po raz pierwszy nie pękało mu serce, gdy wymawiał słowo „rozwód”. Może w końcu był już na nie przygotowany.

- Kiedy będziesz miał na to czas. Mnie się nie spieszy.

- Przykro mi, kochanie... - Poczul palące łzy na policzkach.

- Niech ci nie będzie przykro.

A potem, gdy już powiedziała mu dobranoc, został sam ze swymi wspomnieniami i żałami, i wyobrażeniami Jean - Pierre'a z nią. Szczęśliwy drań...

Tej nocy po raz pierwszy od przeprowadzki do Nowego Jorku Sam wczołgał się do jego łóżka, ale Oliverowi to nie przeszkadzało. Pocieszała go bliskość syna.

W weekend pojechali do Purchase, ale nie widzieli się z Benjaminem. Dzieci spotykały się z kolegami. Ogród Sary był teraz w rozkwicie i Aggie miała pełne ręce roboty, przycinając i pieląc. Chciała różne rośliny zabrać do miasta.

W sobotni poranek, gdy Oliver leżał w łóżku, jeszcze spokojnie przysypiając, zadzwęczał telefon. Dzwonił ojciec. Kiedy Oliver go usłyszał, wyprostował się na łóżku. To, co mówił ojciec, było zupełnie niezrozumiałe. Do Olivera dotarło, że jego matkę potrącił autobus i że znajduje się ona w stanie śpiączki. Była znowu w szpitalu, a ojciec płakał. Głos mu się łamał.

- Zaraz będę, tato. Kiedy to się stało?

- O ósmej rano.

Dojechał do szpitala w niespełna godzinę. Nie uczesany, w spodniach i koszuli, które nosił wczoraj. Znalazł płaczącego ojca w hallu. George, gdy go zobaczył, wyciągnął do niego ramiona, jak zagubione dziecko.

- Mój Boże, tato, co się stało?

- To wszystko moja wina. Czuję się lepiej od paru dni i uparłem się, żeby ją zabrać do domu na weekend. Okropnie za nią tęskniłem. - Tak bardzo brakowało mu jej obok w łóżku, które dzielili ze sobą prawie połowę stulecia, że kiedy ocenił, iż Phyllis czuje się lepiej, zaczął się oszukiwać, że dobrze jej zrobi kilkudniowy pobyt w domu. Lekarze starali się zniechęcić go do tego pomysłu, ale uparł się, że będzie się

nią opiekować nawet lepiej od nich. - Musiała wstać, zanim się obudziłem. Kiedy się ocknąłem, była już całkiem ubrana. Wyglądała na troszkę zmieszana. Powiedziała, że robi śniadanie. Wydawało mi się, że byłoby dobrze, gdyby zrobiła coś, co umie, więc jej pozwoliłem. Wstałem, wziąłem prysznic i ogoliłem się, a kiedy poszedłem do kuchni, to jej tam nie było. Drzwi frontowe były otwarte i nie mogłem jej znaleźć. Szukałem jej wszędzie: i w ogrodzie, i w szopie, objechałem całe sąsiedztwo, a wtedy... - zaczął łkać - zobaczyłem ambulans... i kierowca autobusu powiedział mi, że weszła prosto pod koła. Naciskał hamulce z całej siły, ale nie zdążył zahamować. Jeszcze żyła, gdy ją przywieźli, teraz nic nie wiedzą... Och, Ollie, czuję się tak, jakbym ją zabił. Tak strasznie pragnąłem cofnąć zegar, udawać przed sobą samym, że jest znowu zdrowa, a teraz...

Phyllis była na reanimacji. Kiedy ją Ollie zobaczył, bardzo to nim wstrząsnęło. Doznała poważnych urazów głowy i miała liczne złamania kości. Powiedzieli mu, że na szczęście była nieprzytomna od momentu uderzenia. Jeśli mogła to być jakaś pociecha...

Czekali w hallu. W południe Oliver uparł się, że zabierze ojca do kafeterii na lunch. Zaglądali do matki na chwilę co godzina, ale nie było żadnej zmiany w jej stanie. O północy stało się dla nich obu jasne, że ich czuwanie jest daremne. Lekarze nie robili im żadnej nadziei. Tuż przed świtem Phyllis miała poważny wylew. Ojciec był już wtedy od dawna u siebie. A Oliver wciąż czekał. Dzwonił do domu kilkakrotnie i zdawał relacje Aggie. Nie chciał, by mówiła dzieciom. Nie chciał ich jeszcze martwić. Przekazała więc im, że wrócił do miasta ze względu na jakieś pilne prace w biurze.

Kiedy przyszedł lekarz, Oliver siedział na korytarzu.

Widział matkę dwie godziny temu. Na oddziale reanimacji nie było ani nocy, ani dnia, tylko jasne światło i szum pracujących urządzeń, syczenie respiratorów, od czasu do czasu pisk komputera i kilka smutnych jęków. Matka nawet się nie poruszyła, kiedy na nią patrzył.

Lekarz dotknął jego ramienia i Oliver natychmiast się obudził.

- Tak?

- Panie Watson... pańska matka miała poważny krwotok wewnętrzny czaszki.

- Czy ona? Czy ona... - Przerażało go wypowiedzenie na głos tych słów, nawet teraz. Miał czterdzieści cztery lata i wciąż potrzebował matki. Żywej. Na zawsze.

- Jej serce wciąż pracuje. Jest podłączona do respiratora. Ale nie ma już fal mózgowych. Obawiam się, że walka się skończyła. - W świetle prawa Phyllis była już martwa, lecz dzięki ich pomocy i urządzeniom nadal oddychała. - Możemy podtrzymywać jej życie dzięki tym maszynom dopóty, dopóki pan zechce, ale tak naprawdę nie ma sensu. Teraz wszystko zależy od pana.

Zastanowił się przez chwilę, czy ojciec chciałby, żeby podjął decyzję za niego, ale od razu wiedział, że nie.

- Co mamy zrobić? Możemy poczekać, jeśli chciałby pan porozumieć się z ojcem - powiedział lekarz.

Oliver kiwnął głową, czując przeszywający ból osamotnienia. Żona opuściła go pięć miesięcy temu, a teraz stracił matkę. Nie powinien jednak myśleć tak egoistycznie. Musi pamiętać o George'u, o tym, co dla niego znaczy utrata żony po czterdziestu siedmiu latach małżeństwa. To zbyt okrutne. Ale w rzeczywistości ojciec stracił ją dawno, wiele miesięcy temu, gdy zaczęła powoli odchodzić. Często zapomniała, kim jest. Na pewno w ciągu następnego roku jej

stan znacznie by się pogorszył. Może, choć było to straszne rozwiązanie, tak było lepiej.

- Zadzwoń do niego.

Ale gdy szedł do telefonu, wymyślił coś lepszego. Wyszedł na zewnątrz, znalazł swój samochód. Był pachnący wiosenny poranek. Powietrze było słodkie, słońce mocno świeciło i śpiewały ptaki. Nie mógł uwierzyć, że Phyllis właściwie już umarła. I teraz on musi iść i powiedzieć o tym swemu ojcu.

Sam sobie otworzył drzwi kluczem, przechowywanym na wszelki wypadek. Cicho wszedł do sypialni rodziców. Było tak jak zawsze, poza tym, że ojciec leżał sam w starym łóżu z baldachimem, które mieli od dnia ślubu.

- Tato? - szepnął. Ojciec poruszył się, więc Oliver wyciągnął rękę i dotknął go. - Tato...

Nie chciał go przestraszyć. George miał przecież siedemdziesiąt dwa lata, słabe serce i wrażliwe płuca. Ale miał przede wszystkim siłę, godność i szacunek swego syna. Obudził się, zerwał i popatrzył z lękiem na Olliego.

- Czy to... Czy ona... - Wyglądał na bardzo przerażonego.

- Wciąż tam jest, ale musimy porozmawiać.

- Dlaczego? O co chodzi?

- Musisz się obudzić.

George nadal miał nieprzytomne spojrzenie kogoś wyrwanego z głębokiego snu.

- Nie śpię. Czy coś się stało?

- Mama miała wylew. - Ollie westchnął, usiadł ostrożnie na łóżku i wziął ojca za rękę. - To urządzenia podtrzymują jej życie. Lecz tato... to wszystko, co pozostało. - Nie chciał tego powiedzieć, ale taka była prawda. - Jej mózg już umarł.

- Czego oni chcą? Co mamy zrobić?

- Mogą ją odłączyć od maszyn, ale to zależy od ciebie.

- A wtedy umrze? - Ollie kiwnął głową, a łzy wolno spłynęły po policzkach starego człowieka. Opadł z powrotem na poduszki. - Była taka piękna, Oliverze... Taka śliczna w młodości... taka urocza w dniu naszego ślubu. Jak mogą mnie pytać, czy ją zabić? To nieuczciwe. To niesprawiedliwe. Jak mogę jej to zrobić? - Łkał.

Oliver musiał walczyć z własnymi łzami, gdy na niego patrzył.

- Czy chciałbyś, żebym się tym zajął? Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć... Przykro mi, tato...

Plakali razem. Wiedzieli, że kobieta, którą obaj kochali, umarła. Nic już nie zostało.

George powoli znowu usiadł i otarł łzy.

- Chcę być przy tym, jak będą to robić.

- Nie - natychmiast sprzeciwił się jego syn. - Nie chcę, żebyś tam był.

- To nie twoja decyzja, lecz moja. Jestem jej to winien. Byłem z nią prawie pięćdziesiąt lat i nie zamierzam zostawić jej teraz. - Łzy znowu zaczęły płynąć. - Oliverze, Kocham ją.

- Wiem, że ją kochasz, tato. Wiedziała o tym. Też cię kochała. Ale nie musisz przez to przechodzić.

- To moja wina, że tak się stało.

Oliver ścisnął mocno dłoń ojca w swoich dłoniach.

- Chcę, żebyś mnie posłuchał. Nic już nie zostało z mamy, nic, co znaliśmy i kochaliśmy. Odeszła. Nie było jej już od dłuższego czasu, a to, co zdarzyło się wczoraj, nie stało się z twojej winy. Gdyby żyła, uwiedłaby i umarła, nie poznając nikogo, nie wiedząc, kto jest kim, i nie pamiętając ani jednej rzeczy, na której jej kiedyś zależało czy którą kochała... ani ciebie, ani wnuków, ani mnie... ani przyjaciół,

domu, ogrodu. Byłaby rośliną w domu opieki i nienawidziłaby go, gdyby wiedziała, gdzie jest. Los jej tego oszczędził. Przyjmij to jako dar Opatrzności, wolę bożą, wszystko jedno, jak zechcesz to nazwać... i przestań winić siebie. Już nic od ciebie nie zależy. Cokolwiek teraz zrobisz, pamiętaj, że to, co się stało, miało się stać. Gdy pozwolimy jej odejść, będzie wolna.

Stary człowiek pokiwał głową, wdzięczny synowi za jego słowa. Może Oliver miał rację. Nic już nie można było zrobić.

George Watson ubrał się bardzo starannie: ciemny garnitur w prążki, wykrochmalona biała koszula i granatowy krawat, który Phyllis kupiła mu dziesięć lat temu. Wyglądał na bardzo opanowanego. Gdy wychodzili z domu, rozejrzał się wokół ostatni raz, jakby spodziewał się, że ją zobaczy, a potem spojrzął na syna i rzekł:

- Jakie to dziwne. Jeszcze wczoraj rano była tutaj. Ale Ollie w odpowiedzi pokręcił głową.

- Nie, nie było jej, tato. Nie było jej tutaj od bardzo dawna. Wiesz o tym.

George skinął głową i pojechali do szpitala w zupełnym milczeniu. To był piękny poranek... piękny poranek, by umrzeć, myślał bez przerwy Oliver. Weszli po schodach i pojechali windą na czwarte piętro. Poprosili o skierowanie ich do lekarza dyżurnego. Był to ten sam lekarz, który rozmawiał z Oliverem dwie godziny temu. Nie zaszły żadne zmiany w stanie pani Watson, poza tym, że miała kilka mniejszych wylewów, jakie często występują przy krwotoku wewnątrzczaszkowym. Nic się nie zmieniło. Jej mózg umarł i mogłaby tak trwać, utrzymywana przy życiu dzięki ich maszynom.

- Mój ojciec chciał być tutaj - wyjaśnił Oliver.

- Rozumiem. - Młody lekarz był serdeczny i współczujący.

- Chcę być tu, kiedy wy... kiedy... - Głos mu się załamał. Nie mógł wypowiedzieć tych słów, lecz lekarz kiwnął głową, że rozumie. Już dziesiątki razy miał z tym do czynienia, ale jeszcze nie zobojętniał.

Była przy niej pielęgniarka, gdy weszli. W urządzeniach coś pulsowało i dźwięczało. Linia na monitorze była pojedyncza i prosta. Wszyscy wiedzieli, że to nieodwołalny wyrok. Ale Phyllis wyglądała tak spokojnie, gdy leżała pogrążona we śnie. Miała zamknięte oczy, ułożone włosy, ręce wzdłuż ciała.

George ujął dłoń. Podniósł do ust i ucałował jej palce.

- Kocham cię, Phyllis... zawsze, zawsze będę i pewnego dnia będziemy znowu razem...

Lekarz i Ollie odwrócili się. Syn, ze łzami spływającymi po policzkach, pragnął, by wszystko się odmieniło, żeby mogła żyć długo, żeby zobaczyła, jak dorasta Sam i ma własne dzieci.

- Śpij spokojnie, najdroższa - szepnął George po raz ostatni i popatrzył na lekarza.

Nadal nie wypuszczał jej ręki ze swojej, kiedy wyłączono urządzenia. Cicho, spokojnie, gdy mąż trzymał jej dłoń w momencie śmierci tak jak za życia, Phyllis Watson przestała oddychać.

Na długą chwilę George zamknął oczy. Potem pochylił się, by ją pocałować. Z ociąganiem ułożył jej dłoń, dotknął policzka. Patrzył na nią długo, bardzo długo, by wyrzeć w sercu na zawsze ten ostatni obraz. Wyszedł oślepiiony łzami. Dzielili ze sobą wszystko przez czterdzieści siedem lat. Miłość, która związała ich w jedno przez większość ich życia, skończyła się. Ale było coś pięknego w tym, jak się to

dokonało. Nawet lekarz był wzruszony. Zostawił ich samych, by podpisali dokumenty. Oliver zmusił ojca do odpoczynku w hallu, potem odwiózł go do domu. Został z nim do południa, a później pojechał na krótko do siebie, by zacząć przygotowania.

Dzieci czekały na niego i Mel od razu zrozumiała, że coś się stało. Jej ojciec wyglądał na wyczerpanego, a historyjka Aggie ani przez chwilę nie wyglądała na prawdziwą.

- Co się stało, tato? Łzy napłynęły mu do oczu.

- Babcia umarła, kochanie. To było bardzo, bardzo smutne, ale jednocześnie piękne. Dziadkowi będzie teraz niezwykle ciężko.

Mel zaczęła płakać, a w chwilę później, coś wyczuwając, rozplakał się Sam. Ollie powiedział mu o śmierci Phyllis i też zaczął płakać.

- Dziadek będzie za nią bardzo tęsknił?

- Czy możemy zobaczyć się z dziadkiem?

- Za jakiś czas. Muszę najpierw coś zrobić. Trzeba było zorganizować pogrzeb i załatwić ostatnie sprawy w szpitalu. Tego popołudnia postanowił wysłać dzieci z Agnes do Nowego Jorku pociągiem. Zadzwoił do Daphne z prośbą, by do nich zajrzała. Współczuła mu. Powiedziała, że jest jej przykro. To niesprawiedliwe, dodała, że mu się to teraz przydarza. A on był wzruszony i wdzięczny.

Zadzwoił również do Benjamina i o wszystkim mu opowiedział. Zaproponował, aby syn zajrzał do dziadka, gdy tylko będzie mógł. Obiecał, że zawiadomi go, kiedy będzie pogrzeb. Przypuszczał, że w środę.

A potem pojechał z powrotem do ojca. Poczuł ulgę, gdy zobaczył panią Porter, ich wierną sąsiadkę, opiekującą się ojcem. Była cicha, uprzejma, serdeczna dla niego i bardzo

miła.

Kiedy w końcu Oliver wrócił do domu, samotny i wyczerpany, zadzwoniła Sara. Złożyła mu kondolencje, przepraszała, że nie przyjedzie na pogrzeb, gdyż będzie miała egzaminy.

- Wyjaśnię to tacie.

- Powiedz mu, że strasznie mi przykro. - Płakała.

- Dziękuję, Saro.

Nic już do niej nie czuł. Myślał o twarzy swego ojca, gdy ten trzymał dłoń Phyllis, o jego spojrzeniu pełnym miłości i czułości. Właśnie tego pragnął w swoim życiu. Miał nadzieję, że pewnego dnia to odnajdzie. Wiedział już, że nie z Sarą.

Wrócił do domu rodziców nazajutrz. Wszystkie przygotowania były już zakończone. Dzieci przyjechały we wtorek wieczorem. Pogrzeb odbył się w środę. Była to prosta i skromna uroczystość, z muzyką, którą kochała jego matka, i nareczami wspaniałych kwiatów z jej własnego ogrodu. A potem, gdy opuścili trumnę do ziemi i zostawili ją tam, zabrał ojca do domu, do samotnego życia, do walki z rozpaczą, aby liczył dni bez kobiety, którą kochał i czcił.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Był już czerwiec, zanim się uspokoili. Rok szkolny dobiegł końca, więc przeprowadzili się na lato na wieś. George przyjeżdżał do nich od czasu do czasu. Wyglądał na zmęczonego i coraz starszego. Było oczywiste, że jest rozpaczliwie samotny, znacznie bardziej niż wtedy, gdy Phyllis przebywała w domu opieki. Wówczas przynajmniej ją odwiedzał, a teraz mógł jedynie mówić o niej z rodziną i przyjaciółmi.

Ollie znowu dojeżdżał. Postanowił tak robić w lecie. Teraz był jeszcze bardziej zadowolony, że wynajął mieszkanie w Nowym Jorku. Przyjeżdżanie do dzieci późnym wieczorem było uciążliwe, ale nie tak dokuczliwe jak zimą. Gdy wracał, pływały w basenie, szły do łóżek też dużo później niż zimą.

Czwarty lipca świętowali tylko w gronie najbliższych przyjaciół. Za dwa tygodnie Mel i Sam mieli pojechać do Sary na resztę lata. Zabierała ich do Francji, na miesiąc z Jean - Pierre'em. Sarah zadzwoniła do Olivera, żeby mu o tym powiedzieć, a on postanowił pozwolić jej na to. Dzieci były już duże, by ją zrozumieć. Mel miała szesnaście lat. Sam prawie dziesięć, a poza tym strasznie chcieli jechać.

George przyszedł na przyjęcie i przyprowadził ze sobą Margaret Porter. Tę miłą sąsiadkę, którą już wcześniej poznali. Była bardzo atrakcyjną kobietą o siwych włosach i żywym umyśle. Za młodu pracowała jako pielęgniarka, a jej zmarły mąż był lekarzem.

Wyglądało na to, że dobrze opiekuje się ojcem Olliego. Sprawdziła, czy usiadł wtedy, kiedy powinien. Bez zbędnego zamieszania przyniosła mu jedzenie. Przyjaźnie żartowała z nimi i z ich przyjaciółmi. George'owi jakby się to podobało. Bardzo dużo opowiadał o Phyllis. Ollie wiedział,

że ojciec wciąż się czuje winny z powodu wypadku, w którym zginęła.

George powoli wracał do zdrowia. Wszyscy pomalutku przychodzili do siebie po ciosach ostatniego roku. Nawet Ollie czuł się bardziej sobą. Złożył pozew o rozwód w czerwcu. Na skutek nalegania Daphne poszedł nawet na randkę, która zakończyła się całkowitą klęską. Umówił się z artystyczną duszą z innej agencji. Potem Ollie upierał się, że ta dziewczyna to kompletna wariatka. Chciała, by spróbował kokainy, a jej ulubionym sportem były kobiece zapasy. Daphne żartowała sobie z niego bez końca, ale jej zdaniem był to jakiś krok naprzód.

Benjamin i Sandra też przyszli na przyjęcie. Sandra była wtedy w siódmym miesiącu. Ollie współczuł jej. Nie wydawała się zbyt bystra. Jej dziecinnie twarz kontrastowała z ogromnym brzuchem. Cały czas mówiła o dziecku i przez chwilę Ollie był zachwycony. Zastanawiał się, czy Sandra i Benjamin zamierzają się pobrać. Ale kiedy o to spytał, syn odpowiedział, iż nie mają jeszcze żadnych planów. Uważał, że oboje są na małżeństwo za młodzi.

Mel kilka razy próbowała z Sandra porozmawiać, ale wyglądało na to, że ona nie ma nic do powiedzenia. W końcu Mel dała za wygraną i wróciła do plotkowania z przyjaciółkami. Daphne też przyszła. Mnóstwo czasu spędziła na siedzeniu przy basenie i rozmowie z Margaret Porter.

- Wspaniale się bawiłam - powiedziała Daphne Olliemu przed wyjściem. - Prawdziwie staromodny czwarty lipca spędzony z dobrymi przyjaciółmi. Nie możesz żądać więcej od życia. - Uśmiechnęła się radośnie, a on się roześmiał, wspominając dawno minione dni.

- Mógłbym jeszcze czegoś żądać. Ale chyba nie będę.

Jeszcze jedna taka randka, jak ta ostatnia, mogłaby mnie zabić.

Roześmiali się oboje, przypominając sobie wielbicielek damskich zapasów.

- Zdaje się, że twój ojciec nieźle sobie radzi. Spodobała mi się jego przyjaciółka. To bardzo interesująca kobieta. Z mężem dużo podróżowała po Dalekim Wschodzie i przez dwa lata razem prowadzili klinikę w Kenii.

- Jest bardzo dobra dla taty. To już coś. Chciałbym, żeby Benjamin zrobił ze sobą coś sensownego. Ta dziewczyna jest miła, ale zmarnuje mu życie, jeśli jej na to pozwoli.

- Daj mu szansę, próbuje zrobić coś dobrego. Tylko jeszcze nie wie, co to jest.

- Trudno mi go sobie wyobrazić z dzieckiem. Sam jest nim jeszcze, a ona wygląda na czternastolatkę. O mój Boże, Daphne, ona jest tak żałośnie głupia.

- Po prostu nie jest na znanym sobie terenie. I musisz przyznać, że ma wiele przeciw sobie. Wie, co wy wszyscy myślicie o niej i co Benjamin porzucił, żeby być z nią. To jest dla niej cholernie przygniatający ciężar.

Ollie uśmiechnął się smutno.

- Jeśli już mowa o ciężarze, to wygląda, jakby miała urodzić trojaczki.

- Nie bądź nieżyczliwy - skarciła go.

- Dlaczego? Rujnuje życie mojego syna!

- Może nie. Może dziecko będzie wspinałe.

- Wolałbym, żeby z niego zrezygnowała. Daphne pokręciła głową. Rozmawiała z obojgiem młodych i wiedziała więcej od niego.

- Nie sądzę, żeby Benjamin pozwolił jej na to. Jest zbyt moralny, zbyt porządny. Za bardzo przypomina ciebie.

Za bardzo pragnie walczyć o to, w co wierzy, i postępować uczciwie wobec każdego. Jest wspaniałym chłopakiem. Wszystko będzie w porządku.

- Co powoduje, że jesteś taka pewna tego, co mówisz?

- Bo jest twoim dzieckiem, nieprawdaż?

A potem Daphne pojechała do Nowego Jorku. Pozostali goście wyszli niedługo po niej. Ollie pomógł Agnes posprzątać. Późno w nocy, gdy leżał samotnie przy basenie, uświadomił sobie, że wbrew własnym chęciom myśli o Sarze. Zastanawiał się, co ona teraz robi. Czwarty lipca zawsze był dla nich szczególnym dniem. Tego lata miała minąć dziewiętnasta rocznica ich ślubu... Zaczął myśleć o innych: o rodzicach, o ojcu, o Margaret Porter... Zastanawiał się, czy ojciec był nią zainteresowany, czy po prostu wdzięczny za okazywaną troskę i szczęśliwy, że ma z kim rozmawiać, a może jedno i drugie? Dla Olivera byłoby dziwne, że ojciec interesuje się inną kobietą po stracie żony.

To śmieszne, ale wszyscy teraz kogoś mieli... Sara miała Jean - Pierre'a, jego ojciec miał Margaret, nawet syn miał dziewczynę, która nosiła jego dziecko. Tylko Oliver był sam. Czekał na kogoś, kto wkroczy w jego życie i sklei je na powrót. Zastanawiał się, czy to w ogóle się kiedyś stanie.

- Tato? - To Mel szepnęła w ciemności, szukając go. - Jesteś tam?

- Jestem przy basenie. Co tam?

- Chciałam tylko spytać, czy dobrze się czujesz? - Podeszła i usiadła obok niego.

- Dobrze, dziecinko.

Dotknął długich jasnych włosów i uśmiechnął się. Była miłą, słodką dziewczyną i zdawało mu się, że już doszli ze sobą do ładu, że uspokoiła się po przeprowadzce do Nowego Jorku i bardzo się do niego zbliżyła.

- Fajnie było dzisiaj, prawda?

- Tak, było fajnie.

Potem zapytała go, a on jakby usłyszał własne myśli:

- Co sądzisz o przyjaciółce dziadka?

- Margaret? Podoba mi się.

- A jak myślisz, czy on się z nią ożeni? Mel wydawała się tak zaintrygowana, że aż Ollie się do niej uśmiechnął.

- Wątpię w to, za bardzo kochał twoją babcię, żeby to zrobić. - Taką miłość znajduje się raz w życiu.

- Zastanawiałam się tylko. - Po chwili zwróciła się do niego z nową troską: - Czy mama wyjdzie za Jeana - Pierre'a? Jest o tyle od niej młodszy. - Nigdy nie powiedziałaby tego matce.

- Nie, nie sądzę, kochanie. Wydaje mi się, że po prostu miło spędza z nim czas.

Melissa kiwnęła głową z ulgą.

- Boże, czy ta biedna Sandra nie jest okropna? Przytaknął jej, rozbawiony tym, że rozkładają gości na czynniki pierwsze zaraz po ich wyjściu, tak jak to robią stare małżeństwa.

Poczuł się dzięki córce mniej samotny.

- Doprowadza mnie do szału, gdy widzę, że Benjamin marnuje sobie życie z tą dziewczyną, pracując jako pomywacz, żeby ją utrzymać.

- A co zrobią z dzieckiem?

- Kto wie? Ja uważam, że powinni oddać je do adopcji, ale Benjamin uparł się, że go zatrzymają. A potem co? Szlag mnie trafi, jeśli pozwolę im się pobrać.

- Nie sądzę, żeby chciał. Próbuje być dla niej miły, ale wydaje mi się, że jest już nią niezłe znudzony. A ona popatrywała na innych facetów, którzy przechodzili. Nie sądzę, żeby ona wiedziała, czego chce. O Boże! Tato,

wyobraż sobie, mieć siedemnaście lat i dziecko?!

- Zapamiętaj to sobie, moja droga, kiedy odezwie się w tobie zew natury. - Pokiwał palcem w jej kierunku, aż roześmiała się, nagle rumieniąc się w ciemnościach.

- Nie martw się. Nie jestem taka głupia.

Nie był całkiem pewien, co to miało znaczyć. Bo mogło oznaczać, że nigdy tego nie zrobi lub jeśli zrobi, to będzie bardziej ostrożna. Postanowił poprosić Daphne, by z nią na ten temat porozmawiała, zanim Mel pojedzie do Francji na lato.

- Czy Sam śpi?

- Może my też powinniśmy iść do łóżka.

Wstał, przeciągnął się i powoli poszli razem do domu, trzymając się za ręce. To był piękny dzień, gorący i słoneczny, ale noc okazała się chłodna. Było właśnie tak, jak lubił. Pocałował Mel na dobranoc przed drzwiami jej pokoju.

Tej nocy leżał we własnym łóżku, rozmyślając o tym, jak to było rok temu. Jak wiele się zmieniło, jacy inni byli wtedy... Była tu Sara, była jego matka... Benjamin bardziej przypominał dziecko. Wszyscy dojrzeli przez ten rok... przynajmniej niektórzy z nich. Nie wiedział nic o Sarze. Podejrzewał, iż szuka wciąż po omacku. Czuł, że on sam wreszcie stanął pewnie na nogach. A gdy odpływał w sen, znowu zaczął rozmyślać o ojcu i Margaret Porter.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

W lipcu Mel i Sam wyjechali z Sarą i jej francuskim przyjacielem do Europy. Oliver przeprowadził się z powrotem do Nowego Jorku. Nie miało sensu dojeżdżanie teraz, kiedy nie było dzieci. Było mu łatwiej zostać dłużej w agencji, a potem wrócić na Osiemdziesiątą Czwartą. Dużo pracował z Daphne. Ustalili, że będą się spotykać wieczorami w poniedziałki i czwartki na spaghetti. W pozostałe dni tygodnia spotykała się ze swoim przyjacielem. Teraz mogła rozmawiać o nim z Oliverem.

- Dlaczego to robisz? - karmił ją często. - W twoim wieku powinnaś wyjść za męża, być z kimś, kto dałby ci więcej niż trzy dni w tygodniu. Daphne, zasługujesz na to.

Wzruszała wtedy ramionami i śmiała się. Czuła się szczęśliwa. Było dobrze tak jak było.

- Jest cudownym człowiekiem - mówiła - a ja nie chcę niczego więcej. Jest inteligentny, czuły i hojny dla mnie, i go kocham. A bez dzieci małżeństwo nie jest takie ważne.

- Pewnego dnia będziesz tego żałować. Nie zgadzała się z Oliverem. To, co miała, było dobre dla niej, nawet jeśli tęskniła za swym partnerem, gdy go przy niej nie było.

- Nie sądzę, Ollie.

Przyznał się jej, że bez dzieci czuje się okropnie samotny.

Tęsknił za kimś, z kim mógłby porozmawiać wieczorami.

Brakowało mu tego bycia razem, które znalazł przez blisko dwadzieścia lat z Sarą.

Jeździł tylko do Purchase, żeby zobaczyć się z Benjaminem i z ojcem. Z godziny na godzinę Sandra stawała się coraz grubsza. Benjamin za to po raz pierwszy w swoim życiu wydawał się błądliwy. Już nie wychodził na słońce. Teraz

bez przerwy pracował, bo miał dwie posady. Jedną na stacji benzynowej, a drugą na noc w restauracji jako pomywacz. Próbował zaoszczędzić tyle pieniędzy, by Sandra miała porządną opiekę w szpitalu, by zapłacić za mieszkanie i mieć dość pieniędzy na utrzymanie dziecka. Ollie zaproponował, że im pomoże, ale Benjamin odmówił.

- To jest mój obowiązek, tato, nie twój.

- Nie bądź śmieszny. Sam jesteś jeszcze dzieckiem. Twoje miejsce jest w szkole, powinienem cię utrzymywać, a ty powinienes kształcić się dalej.

Benjamin uczył się teraz nowych rzeczy: jak ciężkie może być życie, kiedy ma się osiemnaście lat, rodzinę na utrzymaniu i nie skończoną szkołę średnią. Sandra musiała w końcu przestać pracować, bo kostki puchły jej jak banie, a lekarz obawiał się zatrucia. Benjamin wracał do domu w porze lunchu, żeby przygotować dla niej posiłek, bo cały czas leżała w łóżku, oglądając telewizję. On gotował, a ona tylko narzekała, że teraz prawie go nie widuje. Przychodził do domu, jak mógł najwcześniej, a pracował do drugiej rano. Sama myśl o tym doprowadzała Olivera do szału. Wciąż próbował dać pieniądze, żeby mu choć trochę ulżyć, aż w końcu znalazł proste rozwiązanie. Dawał pieniądze Sandrze, a ona zawsze była z tego bardzo zadowolona i brała tyle, ile jej dawał. Nalegał, żeby przeprowadzili się do jego domu i chociaż korzystali z basenu, ale Sandra nie chciała się przeprowadzić, Benjamin zaś nie miał na to czasu, był zbyt zajęty pracą.

„Jest podobny do matki” - myślał Oliver pewnego dnia, gdy wypisywał czek dla Sandry na pięćset dolarów. Powiedział jej, że ma kupić za to wszystko, co jest potrzebne dla dziecka.

Sara od dnia wyjazdu nie wzięła od niego ani centa,

utrzymywała się sama z pieniędzy, które zostawiła jej babka. Uparła się, że byłoby to nie w porządku, gdyby Ollie ją utrzymywał. Było jej ciężko, a dzieci stale mówiły o tym, czego nie mogły robić w czasie odwiedzin u niej... bo mamy nie było stać, ale to był taki styl życia, który Sara zawsze pochwalała. Życie, jakie on jej zapewniał, już nie miało dla niej żadnego sensu. Dała całe góry ciuchów Mel, a resztę zostawiła w Purchase. Żyła w dżinsach, podkoszulkach i sandałach.

Ona i Jean - Pierre byli dumni z faktu, że podróżują po Europie z niewielką sumką w kieszeni.

Oliver dostał od dzieci kilka pocztówek, ale Mel i Sam nie dzwonili, więc nie był pewien, gdzie są. Od czasu do czasu denerwowało go to. Sara uprzedziła, że zatrzymają się u krewnych Jeana - Pierre'a we Francji i że zanocują w schroniskach młodzieżowych w tych krajach, przez które będą przejeżdżali. To z całą pewnością miały być zupełnie inne wakacje, lecz dzieciom mogło to tylko dobrze zrobić. Ufał jej, że się nimi dobrze zaopiekuje. W końcu była ich matką i do tej pory też jej ufał.

Dzieci wyjechały i Oliver był zdumiony, jak bardzo za nimi tęskni. Kiedy wchodził wieczorem do swego pustego mieszkania, ich brak sprawiał mu niemal fizyczny ból. Dał Aggie całe lalo wolnego i wynajął sprzątaczkę na przychodne raz w tygodniu. Zamknął dom w Purchase, a psa zostawił u ojca, który miał przynajmniej towarzystwo w ciągu dnia. W niedzielę po południu Oliver wsiadł w pociąg, żeby się zobaczyć z George'em. Ogarnęło go wzruszenie, gdy ujrzał ojca z czułością zajmującego się ogrodem zmarłej żony. George zawsze nienawidził ogrodnictwa, ale teraz najważniejsze dla niego było pielęgnowanie róż, które tak lubił.

- Jak sobie radzisz, tato?

- Całkiem nieźle. Tylko tu jest okropnie cicho, zwłaszcza teraz, gdy i ty, i dzieci wyjechaliście. Wychodzimy z Margaret od czasu do czasu na kolację, ale mam strasznie dużo roboty, żeby utrzymać w porządku królestwo twojej matki.

Sporo czasu zajęło mu wypełnianie formularza podatkowego. Troszczył się o akcje, które należały do Phyllis, a które chciał teraz przepisać na dzieci Olivera.

Po spędzeniu z ojcem popołudnia Oliver był bardzo smutny. Wracał zamyślony, pociągami. Samochód zostawił poprzedniego dnia w warsztacie. Usiadł w przedziale, wyciągnął książkę, którą wziął ze sobą, i przejechał kilka stacji, zanim miejsce obok niego zostało zajęte. Zerknął z ukosa i zobaczył młodą kobietę o długich ciemnych włosach i ciemnej opaleniznie.

- Przepraszam - powiedziała, gdy uderzyła go torbą. Wyglądało na to, że wiezie ze sobą cały weekendowy ekwipunek. Rakietę tenisową, przymocowaną do torby, stuknęła go bez przerwy w nogę, dopóki jej nie przesunęła. - Przepraszam, jest tego trochę za dużo.

Kiwnął głową i zapewnił ją, że wszystko jest w porządku. Wrócił do książki, gdy tymczasem ona wyciągnęła plik kartek maszynopisu i zaczęła robić notatki. Co jakiś czas czuł, że mu się przygląda, aż w końcu podniósł głowę, uśmiechnął się i uzmysłowił sobie, że jest bardzo piękna. Miała niebieskie oczy i kilka drobnych piegów na twarzy. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat. Włosy nosiła mocno ściągnięte z tyłu i była nie umalowana.

- Jak podoba się panu ta książka? - zapytała, gdy dojeżdżali do następnej stacji.

- Niezła.

Był to przebój sezonu, podobała mu się, choć zazwyczaj nie czytał powieści. Tę dała mu Daphne, która była przekonana, że książka mu się spodoba.

- Czy pracuje pani nad własnym maszynopisem? Ciekawiła go, a ona roześmiała się i pokręciła głową, przez ułamek sekundy wyglądała nieco starzej. Naprawdę miała trzydzieści lat, a urodą przypominała mu którąś z przyjaciółek Mel. Miała głęboki, przyjazny głos i bystre oczy. Wyjaśniła mu, co czyta i dlaczego.

- Jestem wydawcą. To my opublikowaliśmy książkę, którą pan czyta. Czy pan mieszka na wsi? - Też ją ciekawił, ale zdawała się interesować wszystkimi.

Była otwarta i swobodna. Zauważył, dzięki krojowi jej letniej sukienki, że ma piękne ramiona i obojczyki.

- Mieszkałem na wsi, a teraz w mieście. Przynajmniej spędzam w nim większość czasu.

Ach, już wiedziała. „Weekendowy tatuś”.

- Odwiedził pan dzieci?

Pokręcił głową, ubawiony jej bezpośredniością.

- Nie. Mojego ojca.

- Ja też. - Uśmiechnęła się. - Właśnie urodziło mu się dziecko. Wyjaśniła mu, że jej ojciec ma sześćdziesiąt trzy lata i ożenił się po raz trzeci. Jej matka też powtórnie wyszła za mąż i mieszka w Londynie.

- To bardzo interesująca rodzina.

- Owszem - wykrzywiła twarz w uśmiechu - jego żona jest cztery lata ode mnie młodsza. Tata nigdy nie traci czasu.

Nie powiedziała mu, że jej matka poślubiła lorda Bronsona, ani słowem nie wspomniała o Europie z ich zamkami, posiadłościami i eleganckimi przyjęciami. Chciała od tego uciec, więc przyjechała do pracy do Nowego Jorku,

tak jak to robiła cała reszta świata. Nie była entuzjastką odrzutowego tempa życia swoich rodziców.

- A co pan robi?

Rozbawiła go. Była dziwną dziewczyną. Zabawną i otwartą, miłą i piekielnie atrakcyjną.

- Pracuję w reklamie.

Zastanawiała się, czy jest żonaty, ale nie spytała go o to.

- Jak mój ojciec - wyglądała na zadowoloną - Robert Townsend, może pan go zna?

Już wiedział, kim była. Townsend należał do najważniejszych ludzi w branży.

- Spotkałem go, ale nie mogę powiedzieć, że go znam.

- Wtedy postanowił się przedstawić. - Nazywam się Oliver Watson. Potrząsnęła jego ręką, mocno ją ściskając.

- Megan Townsend.

Odłożyła maszynopis i przegadali całą drogę. Spodobało mu się to gadanie. Zapomniał o swojej książce. Kiedy dojechali na Dworzec Grand Central w Nowym Jorku, zaproponował, że odwiezie ją do domu.

Mieszkała przy skrzyżowaniu Park Avenue i Sześćdziesiątej Trzeciej, tylko kilkanaście przecznic od jego mieszkania, więc gdy wysiadła, zwolnił taksówkę i postanowił wrócić pieszo. Był ciepły wieczór. Lubił Nowy Jork latem. Miasto pustoszało, nie było w nim nikogo poza grupką prawdziwych miłośników tego molocha, ciężko pracujących nudziarzy, jak on, i nielicznych turystów.

Gdy wchodził do domu, dzwonił telefon. Sądził, że to Daphne. Teraz, kiedy dzieciaki wyjechały, nikt do niego nie telefonował, poza ojcem. Był więc zdumiony, słysząc głos kobiety, która niedawno wysiadła z jego taksówki. Była to Megan Townsend.

- Hej! Przyszło mi coś do głowy. Nie zechciałbyś przyjechać do mnie? Mogę zaproponować coś do picia i sałatkę. Kiepska ze mnie kucharka, ale coś tam wymyślę... - Nagle w jej głosie pojawiła się niepewność... Może jest żonaty... w jego wieku większość mężczyzn ma żony, ale wyobraziła sobie, że jeśli ona obszczekuje nie to drzewo co trzeba, to on ją o tym uprzedzi. Wyglądał na całkiem bezpośredniego faceta.

- To by było miłe.

Stanowiła dla niego całkiem nowe doświadczenie. Nigdy kobieta go nie podrywała ani nie zapraszała na kolację w niedzielny wieczór. Przedtem nie pomyślał nawet, żeby zapytać ją o numer telefonu, i stwierdził, że Daphne ma rację. Był beznadziejny.

- Czy coś przynieść?

- Wszystko mam. Powiedzmy, o ósmej?

- Świetnie. - A potem powiedział cicho: - Cieszę się, że zadzwoniłaś.

- Chyba to nie jest całkiem zgodne z zasadami - roześmiała się do słuchawki, absolutnie swobodna, nie zważając na to, co powiedziała. Aż zaczął się zastanawiać, czy często to robi. A co tam, życie i tak jest za krótkie. - Podobała mi się w pociągu rozmowa z tobą.

- Mnie też.

A potem postanowiła zapytać go o coś od razu, żeby nie tracić czasu. Chociaż nie przepadała za żonatymi mężczyznami, przyjmowała niezobowiązujące zaproszenia na kolację.

- Jesteś żonaty?

- Ja... - Zupełnie nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Był żonaty, lecz to niczego nie zmieniało ani nie miało znaczenia, więc postanowił powiedzieć jej prawdę. - Tak... ale od

siedmiu miesięcy w separacji.

Jego odpowiedź uznała za satysfakcjonującą.

- Gdy cię zobaczyłam, wyobraziłam sobie, że wracasz z odwiedzin u dzieci.

- Są w Europie na wakacjach, to znaczy młodsza dwójka. Trzecie jest w Port Chester, pracuje. - Nie powiedział jej, że Benjamin ma osiemnaście lat, żyje z koleżanką ze szkoły i oczekują narodzin dziecka.

- Do zobaczenia, o ósmej. - Odłożyła słuchawkę z uśmiechem, zadowolona z siebie.

Oliver też był zadowolony, gdy pół godziny później maszerował wzdłuż Park Avenue.

Jej mieszkanie znajdowało się na ostatnim piętrze małego budynku, zamieszkanego głównie przez elitę, otoczonego bardzo pięknym ogrodem, i z całą pewnością nie należało do zwykłej pracującej dziewczyny. Wiedział, że Robert Townsend nie tylko odniósł duży sukces w reklamie, ale też pochodził ze znanej rodziny z Bostonu. Dobre pochodzenie Megan było widoczne od włosów po pantofle. Zdradzały je: staranna wymowa, biała jedwabna bluzka i dzinsy, które założyła na jego przywitaniu. Rozpuściła włosy, a jego zachwycił sposób, w jaki spływały po jej plecach i ramionach. Uświadomił sobie teraz, że nie była zwyczajnie ładna, lecz piękna i czarująca. Umalowała się trochę.

Zaprowadziła go do obszernego salonu, gdzie wszystko było w bieli, czerni i chromie. Czarno - biała marmurowa podłoga, dwie skóry zebry rzucone niedbale przy ogromnym szklanym stole. Cała ściana luster odbijała widok z okna. Szklany stolik w maleńkiej jadalni, nakryty na dwoje. Chociaż była ubrana tylko w dzinsy i jedwabną bluzkę, to otaczała ją aura wyrafinowania.

- Ale miejsce! - Zachwycił się widokiem, gdy

zaprowadziła go na taras i wręczyła mu dzin z tonikiem.

- Tylko raz tak sobie poszalałam. Przy kupnie tego mieszkania. Ojciec chciał jej kupić dom na trzydzieste urodziny, ale niewzruszenie odmówiła. Kochała to mieszkanie, dla niej było wystarczające. Oliver zrozumiał od razu, dlaczego tak je lubi.

- Prawie cały czas siedzę tutaj zakopana w maszynopisach. Roześmiała się swobodnie, a on się uśmiechnął.

- Mogę sobie wyobrazić gorszy los. - Postanowił zagrać w jej grę, poznać odpowiedzi na pytania o Megan Townsend. - A co z tobą? Mężatka? Rozwiedziona? Matka dwanaściorga dzieci? - To ostatnie wydawało się najbardziej nieprawdopodobne. Wszystko wokół aż krzyczało, że nie ma żadnych obowiązków i jest wolna.

- Niezameżna. Żadnych dzieci. Żadnych kotów, psów, ani ptaków. Żadnych żonatych kochanków.

Roześmiali się, a on wykrzywił twarz ze smutku.

- Chyba odpadam?

- A co? Masz zamiar wrócić do żony? - zapytała, gdy usiedli na dwóch białych leżakach, zaprojektowanych przez Browna Jordana.

- Nie, nie wracam. - Popatrzył jej prosto w oczy, ale nie powiedział, że jeszcze do niedawna chciał wrócić. - Nasze losy pobiegły w dwóch różnych kierunkach. Ona studiuje w Harvardzie i jest początkującą pisarką.

- To brzmi sympatycznie.

- Ale nie jest. - W jego głosie usłyszała cień gorczy, obecny tam zawsze, gdy mówił obcym o Sarze. - Zostawiła mnie i troje dzieci, żeby tam się dostać.

- Ciężka sprawa.

- Była.

- A teraz? - szybko zadała pytanie. Wydawało mu się, że chce go poznać.

- Czasami. Ostatnio jest lepiej. Nie można ciągle być wściekłym. - Uśmiechnął się smutno. - Próbowałem być wściekły przez dłuższy czas. Wciąż się upierała i zapewniała, że wróci, ale teraz wydaje mi się, że ta zabawa jest za nami. Dzieci się przyzwyczajają... ja też... - Uśmiechnął się do niej, a potem roześmiał sam z siebie. - Muszę ci się przyznać, że to moja pierwsza randka od dwudziestu lat. Pewnie uznasz, że moje zaloty są trochę staromodne.

- Nie poszedłeś z nikim na kolację, odkąd odeszła? Wyznanie Olivera wywarło na Megan ogromne wrażenie. Kobieta, która go zostawiła, musiała być nadzwyczajna. Jej nie zdarzyło się, żeby była bez mężczyzny dłużej niż miesiąc. Miała pewność, że nie chce być sama. Jej ostatni kochanek rozstał się z nią dopiero trzy tygodnie temu, po kursowaniu przez sześć miesięcy między jej ogrodem na dachu a swoim domem przy Fifth Avenue. Przebywała w wąskim kręgu elity, ale coś ją w Oliverze zaintrygowało. Coś, co jej podpowiadało, że jest on bardzo samotny.

- Mówisz poważnie? - upewniała się.

Nagle przypomniał sobie wielbicielek kobiecych zapasów i znowu się roześmiał.

- Nie, skłamałem... Umówiłem się kilka miesięcy temu, ale to była zupełna klęska. To mnie prawie uleczyło.

- Dobry Boże, Oliver. - Zaśmiała się i wypiła resztki dżinu z tonikiem. - Właściwie to jesteś dziewczcą.

- Można by tak powiedzieć. - Roześmiał się. Zaczął się zastanawiać nad całą sytuacją. Nie kochał się z żadną kobietą od siedmiu miesięcy, co by się stało, gdyby spróbował? Może nawet nic by nie wyszło z tego. Od siedmiu miesięcy nie pragnął nikogo oprócz Sary. Przez dwadzieścia lat nie spał z

inną. Nigdy nie zdradził żony, a ta dziewczyna wyglądała na taką, która była przyzwyczajona do brania każdego mężczyzny, jakiego chciała. Nagle mały chłopiec, który w nim tkwił, chciał uciec do domu jak najprędzej, poczuł się jak dziewięcioletnie dziecko. Wstał, wyszedł na taras i znowu podziwiał widok. Ona tymczasem weszła do mieszkania, by przygotować obiecaną sałatkę.

- Ostrzegam cię, nie umiem gotować. Sałatka Cezara i carpaccio to kres moich możliwości. Poza tym pizza i chińskie danie na wynos.

- Nie mogę się doczekać. Wszystko lubię, co wymieniasz.

Podobała mu się, ale też bał jej się trochę. Usiedli do kolacji w jadalni. Rozmawiali o swojej pracy i poczuł się znowu swobodnie. Gdy w końcu zapytała go o dzieci, spróbował je opisać.

- Kiedy ich matka odeszła, bardzo to odczuły, ja też. Ale wydaje mi się, że z tego powoli wychodzą. - Wszyscy poza Benjaminem, który sam sobie zafundował klęskę, do spółki z Sandrą.

- A co z tobą? Jak się teraz czujesz?

Wydawała się trochę łagodniejsza po odrobinie dobrego francuskiego białego wina i on też się rozluźnił. Teraz łatwiej się mu z nią rozmawiało, gdy rozmyślali o życiu przy prostym posiłku.

- Nie wiem, niewiele się już nad tym zastanawiam. Zajmuję się swoją pracą i dziećmi. Dawno już nie myślałem o tym, co czuję. Może to dobry znak.

- Wciąż za nią tęsknisz?

- Oczywiście. Po dwudziestu dwóch latach byłoby to nawet dziwne, gdybym za nią nie tęsknił. Byliśmy małżeństwem przez osiemnaście lat, a przedtem chodziliśmy

ze sobą cztery. To bardzo długo. W moim przypadku to połowa życia.

- Masz czterdzieści cztery lata? - Uśmiechnęła de, a on kiwnął głową. - Myślałam, że masz trzydzieści dziewięć.

- A ja oceniłem cię na dwadzieścia pięć.

- Mam trzydzieści. Oboje się roześmiali.

- Co to jest za uczucie? Czy tak przerażające, jak mówią? Sara ze wstrętem i wściekłością mijala trzydziestkę. Czuli się tak, jakby całe życie było już za nią, ale to jeszcze nie w porównaniu z trzydziestymi dziewięciami, czterdziestymi i czterdziestymi pierwszymi urodzinami... Wydaje mi się, że to właśnie dopadło ją w końcu. Przeraziła się, że się zestarzeje, zanim coś osiągnie, dlatego uciekła. Moim zdaniem, była to głupota, bo zdobyła wiele, ale to było moje zdanie, a nie jej.

- Nie przywiązuję zbyt wielkiej wagi do tych spraw, pewnie dlatego, że nie jestem zameżna i pochłonięta dziećmi. Chyba mógłbyś powiedzieć o mnie, że jestem rozpieszczona.

Powiedziała to z tak wesołą miną, że się roześmiał. Podejrzewał, że ma rację, gdy rozejrzył się po kosztownie wyposażonym wnętrzu.

- Co jest dla ciebie ważne? Na czym ci naprawdę zależy? Już miała powiedzieć głośno, że na samej sobie, ale postanowiła być trochę mniej szczerą.

- Chyba na mojej pracy. I na mojej wolności. Żebym mogła zrobić z moim życiem to, na co mam ochotę. Nie nawiązuję łatwo kontaktów z ludźmi i nie sprawdzam się wtedy, gdy trzeba spełnić czyjeś oczekiwania. Wszyscy gramy według naszych własnych zasad, a mnie podobają się moje. Nie rozumiem, dlaczego ktoś musi coś robić, wyjść za mąż, mieć dzieci i postępować zgodnie z jakimiś regułami. Ja robię to na swój sposób i tak mi się podoba.

- Jesteś rozpieszczona - stwierdził krótko i przez chwilę nie był pewien, czy go to obchodzi.

- Moja matka zawsze powtarzała mi, żeby nie grać według cudzych zasad, i nigdy tego nie robiłam. Wydaje mi się, że zawsze umiałam przełamywać obowiązujące reguły. Czasami to siła, czasami słabość. Niekiedy jest to niewygodne, bo nie rozumiem, dlaczego ludzie tak sobie komplikują życie. Musisz robić, co chcesz, w życiu tylko to się liczy.

- A jeśli kogoś ranisz przy okazji?

Wkraczała na bardzo grząski grunt, ale była na tyle mądra, by o tym wiedzieć.

- Czasem musisz zapłacić cenę. Trzeba z tym żyć, ale musisz żyć również z samym sobą. I to jest ważniejsze.

- Wydaje mi się, że tak właśnie czuła Sara. Ale się z tym nie zgadzam. Czasami jesteś winna innym ludziom więcej niż sobie samej i musisz to po prostu wytrzymać i przeżyć jakoś, robić to, co dla nich jest dobre, nawet jeśli cię to dużo kosztuje.

Była to zasadnicza różnica między nim a jego żoną i prawdopodobnie też między nim a Megan.

- Jedyłą osobą, której jestem coś winna, jestem ja sama i tak mi się podoba. Oto dlaczego nie mam dzieci i nie czuję się zmuszona do wyjścia za mąż, chociaż mam trzydzieści lat. Sądzę, że właśnie o tym naprawdę mówimy. W pewnym sensie zgadzam się z tobą. Jeśli masz dzieci, masz wobec nich zobowiązania, nie tylko wobec siebie. A jeśli nie chcesz wypełniać tych obowiązków, nie powinieneś mieć dzieci. Nie chcę tej odpowiedzialności, dlatego nie chcę ich mieć. Twoja żona chciała. Podejrzewam, że podstawowym błędem, jaki popełniła, było przede wszystkim wyjście za ciebie za mąż i urodzenie dzieci.

Była bardziej przenikliwa, niż się tego domyślała. Utrafiła w samo sedno.

- To był chyba mój błąd. Namówiłem ją do tego. A potem...

dwadzieścia lat później wróciła do tego, co robiła przedtem, gdy się spotkaliśmy, i uciekła.

- Nie możesz winić za to siebie. To były także i jej obowiązki.

Nie przystawiłeś jej pistoletu do głowy, żeby wyszła za ciebie za męża. Robiłeś to, w co wierzyłeś, dla siebie. Nie możesz być odpowiedzialny w życiu za zachowanie innych ludzi.

Była całkowicie niezależna, nie związana z nikim i z niczym, ale przynajmniej była w tym uczciwa.

- Co twoja rodzina sądzi o życiu, jakie prowadzisz? Ciekawiło go to, lecz ona milczała zamyślona.

- Och, przypuszczam, że ich to złości. Ale już ze mnie zrezygnowali. Ojciec bez przerwy się żeni i ma dzieci. Miał dwoje z moją matką, czworo z drugą żoną i właśnie urodziło mu się siódme dziecko. Matka właściwie tylko wychodzi za męża, ale zapomina o dzieciach, co bardzo dobrze się składa, bo tak naprawdę to ich nie lubi. Moja siostra i ja spędziłyśmy od czasu, kiedy skończyłyśmy siedem lat, większość naszego życia w drogich szkołach z internatami. Posłaliby nas do szkoły wcześniej, gdyby mogli, ale by nas tam nie przyjęto.

- To okropne! - Jego głos był pełen grozy. Oliver nie mógł nawet wyobrazić sobie wysłania dzieci gdzieś daleko. Kiedy Sam miał siedem lat, to był przecież jeszcze małym dzieckiem. - Czy to miało na was wpływ?

Gdy tylko zadał to pytanie, uświadomił sobie, że jest głupie. Teraz było oczywiste, dlaczego nie jest przywiązana do nikogo i do niczego.

- Sądzę, że tak. Nie jestem dobra w tworzeniu tego, co Anglicy nazywają „trwałymi związkami”. Ludzie przychodzą i odchodzą. Zawsze tak było w moim życiu i jestem do tego przyzwyczajona... z kilkoma wyjątkami.

Nagle posmutniała i zaczęła sprzątać ze stołu.

- Czy jesteście z siostrą blisko?

Przerwała sprzątanie i spojrzała na niego dziwnie.

- Byłyśmy. Bardzo blisko. Była jedyną osobą, na którą zawsze mogłam liczyć. Byłyśmy bliźniaczkami, naprawdę identycznymi, jeśli potrafisz to sobie wyobrazić. Podwójny kłopot, tak właśnie było. Poza tym była moim całkowitym przeciwieństwem. Dobra, czuła, uczciwa, dobrze wychowana, postępowała zawsze zgodnie z zasadami, wierzyła we wszystko, co jej ktoś powiedział. Gdy miała dwadzieścia jeden lat, zakochała się w żonatym mężczyźnie i popełniła samobójstwo, bo nie chciał zostawić żony.

Wszystko potem zmieniło się dla Megan. Oliver zobaczył to w jej oczach, gdy do niego mówiła.

- Tak mi przykro.

- Mnie też. Nigdy nie miałam innego przyjaciela poza nią. Jakbym straciła połowę siebie. Lepszą połowę. Ona była samym dobrem i słodyczą. Nigdy taka nie byłam i nie będę.

- Jesteś dla siebie zbyt surowa - powiedział do niej bardzo łagodnie, ale jego serdeczność zadawała jej tylko większy ból.

- Nie, jestem szczerą. Gdyby to mnie przytrafiło się coś takiego, tobym zabiła tego sukinsyna lub zastrzeliła jego żonę. Nie zabiłabym siebie. - A potem powiedziała z wyrazem męki na twarzy: - Gdy zrobili sekcję, stwierdzili, że była w czwartym miesiącu ciąży. Nic mi nie powiedziała. Byłam wtedy na studiach tutaj, a ona w Londynie z matką. - Popatrzyła na niego pociemniałymi oczyma. - Czy chciałbyś

jeszcze kawy?

- Tak, proszę.

Straszna historia. Aż trudno było uwierzyć i uświadomić sobie, co zdarzało się w życiu innych ludzi: tragedie, ból, cuda, chwile, które zmieniały wszystko. Podejrzewał, że Megan była zupełnie inna przed śmiercią siostry, ale jaka, nigdy nie będzie wiedział.

Poszedł za nią do kuchni. Spojrzała na niego z ciepłym uśmiechem.

- Jesteś bardzo miły, Oliverze Watson. Zwykle nie opowiadam wszystkim historii mojego życia, a już na pewno nie wtedy, gdy kogoś widzę pierwszy raz.

- Czuję się zaszczycony, że to zrobiłaś. - To dużo wyjaśniło. Wrócili na taras, żeby wypić pachnący napar, który przygotowała na ekspresie do kawy. Kiedy podziwiali widok, usiadła bardzo blisko niego. Wyczuwał, że coś od niego chce, coś, czego nie był jeszcze gotowy jej dać. Dla niego było za wcześnie, bał się, jak to będzie, gdy sięgnie po kobietę, która nie jest Sarą.

- Chciałabyś zjeść jutro ze mną lunch?

- Bardzo bym chciała. - Uśmiechnęła się. Był taki słodki i niewinny, a mimo to silny, uczciwy i czuły. Uosabiał to wszystko, czego zawsze się bała i do czego nigdy nie dążyła. - Czy chciałbyś spędzić ze mną tutaj noc?

Było to bezpośrednie pytanie. Zaskoczyło go, gdy stawiał filiżankę na stole. Przyjrzał się jej z uśmiechem. Ten uśmiech sprawiał, że wyglądał bardzo chłopięco.

- A jeśli powiem „nie”, czy zrozumiesz, że cię nie odrzucam? Nie lubię się spieszyć. Zaslugujesz na coś więcej. Oboje zasługujemy.

- Niczego bardziej nie pragnę. - Była z nim szczerą. Była to jedna z jej nielicznych zalet.

- Ja też. Spędzimy noc, może przyniesie nam trochę radości, rozejdziemy się i co z tego? Co nam to da? Nawet jeśli spędzimy ze sobą tylko jedną noc, byłoby dla nas obojga miłsze, gdyby to miało dla nas większe znaczenie.

- Nie traktuj wszystkiego tak poważnie.

- Czy byłoby to prostsze, gdybym powiedział, że jeszcze nie jestem gotowy? Czy przez to przegram?

- Pamiętasz, co ci mówiłam, Oliverze? Musisz grać według własnych reguł. Te są twoje. Ja mam swoje. Zgadzam się na lunch, jeśli nie oburzyła cię za bardzo moja propozycja.

Roześmiał się, czując się znowu swobodnie. Wszystko potrafiła zaakceptować, była otwarta, niewymagająca i tak podniecająca, że chciał napluć sobie w brodę, iż nie wziął jej natychmiast po tym, jak to zaproponowała, aby nie zdążyła się rozmyślić.

- Zadzwoń do ciebie jutro. - Wstał. Nadszedł czas, by wyjść, zanim zrobi coś, czego mógłby później żałować, nawet jeśli ona by nie żałowała. - Dziękuję za wspaniałą kolację.

- Proszę bardzo. Jesteś miłym gościem. - Patrzyła na niego z bliska, gdy szli do drzwi, a potem spojrzała mu w oczy. Taki wyraz jej oczu widziało niewielu mężczyzn. Chociaż poszła do łóżka z wieloma, było tylko kilku, którzy znali ją naprawdę. - Oliverze... dziękuję... za wszystko...

- Nic nie zrobiłem, poza jedzeniem, rozmową i cieszeniem się z bycia z tobą. Nie musisz mi dziękować.

- Dziękuję ci za to, jaki jesteś.... nawet jeśli już do mnie nigdy nie zadzwonisz.

Była do tego przyzwyczajona, zwykle tak się działo po nocy niepohamowanej namiętności. Tak jak mówiła wcześniej, ludzie w jej życiu przychodzili i odchodzili. Ale

choć przywykła do tego, gdyby do niej nie zadzwonił, byłoby jej czegoś żal.

- Zadzwoń.

Pochylił się, wziął ją w ramiona i pocałował. Była pierwszą kobietą, którą pocałował, odkąd odeszła jego żona. Usta Megan były gotowe i gorące, a jej ciało sprężyste i spragnione. Chciał się z nią kochać, ale wiedział, że musi już iść. Zamierzał pomyśleć. Była zbyt silną osobowością, żeby ją lekceważyć.

- Dobranoc - wyszeptała, gdy przyjechała winda. Uśmiechnął się i patrzył jej prosto w oczy, kiedy zamykały się drzwi. Stała tam dłuższą chwilę. Wróciła powoli do mieszkania i zamknęła za sobą drzwi. Poszła na taras i usiadła, myśląc o nim i... o siostrze, o której nie mówiła nikomu od lat. Nie wiedząc dlaczego ani przez kogo, zaczęła cicho płakać...

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Zadzwoił do niej, tak jak obiecał, zaraz następnego ranka i zaprosił na lunch do „Four Seasons”. Poprzedniej nocy leżał w łóżku, myśląc o niej godzinami, wściekły na siebie, że nie został i że się z nią nie kochał. Miał wszystko podane na srebrnej tacy i uciekł. Czuł się jak potworny głupiec i był pewien, . - - - • że Megan jest tego samego zdania.

Spotkali się w południe w „Four Seasons”. Była w jasnoczerwonej jedwabnej sukience i czarnych pantoflach na wysokich obcasach. Pomyślał, że to najbardziej atrakcyjna kobieta, jaką widział w życiu. To sprawiło, że na wspomnienie poprzedniej nocy poczuł się jeszcze większym głupcem. Powiedział jej to, gdy tylko usiedli przy stole. Fontanna na środku sali rozpylała wodną mgiełkę, a wokół siedzieli ludzie z ich środowiska. Nie można było uznać „Four Seasons” za dyskretne miejsce na spotkanie, ale nie mieli jeszcze nic do ukrycia.

Opowiedziała mu o nowej książce, którą chciała wydać. A on długo mówił o ich nowym kliencie. Była trzecia po południu, kiedy się rozejrzeli i zorientowali, że zostali sami na sali. Megan roześmiała się, a Oliver był trochę zawstydzony.

- Co powiesz na kolację jutro wieczorem? - spytał, gdy wychodzili.

- Umiesz gotować?

- Nie - roześmiał się - ale mogę coś odgrzać. Co byś chciała? Pizzę? Coś chińskiego? Pastrami? Hamburgera z „Hamburger Heaven”?

Rozśmieszyło ją to.

- A może kupiłabym coś w moich ulubionych delikatesach? Sami byśmy coś z tego sporządzili.

- Świetnie. - Pomysł bardzo mu się spodobał. Ale najbardziej cieszyła go perspektywa ponownego zobaczenia jej.

- Lubisz moussakę?

- Uwielbiam!

To ona bardziej go interesowała niż jedzenie. Pocałował ją lekko w policzek i odprowadził do taksówki. Do biura wrócił pieszo.

- Nowa klientka? - spytała go Daphne, gdy o czwartej wpadła do jego gabinetu z rozrysowanym scenopisem, który miała mu pokazać.

- Kto?

- To cudo, z którym widziałam cię na lunchu. - Wykrzywiła twarz w uśmiechu.

Zaczerwienił się i udawał, że jest bardzo skoncentrowany na scenariuszu reklamy.

- Czyżbyś mnie śledziła?

- Czy to zapach wiosny w powietrzu? A może to jej perfumy?

- Pilnuj własnego nosa! To pewnie ten środek na robactwo. Znalazłem dzisiaj rano karalucha pod biurkiem.

- Nieprawdopodobne. Tutaj nawet sztuczne rośliny nie mają czym oddychać, a cóż dopiero miły, zdrowy karaluch! Jest wspaniała. Kto to?

- Dziewczyna. Poznałem ją wczoraj.

- Bardzo miło. Coś poważnego?

Była dla niego jak siostra, a on uwielbiał ją za to.

- Jeszcze nie. I prawdopodobnie nigdy nie będzie z tego nic poważnego. Jest jedną z tych bardzo niezależnych kobiet, jak moja była żona. Wierzy w karierę i wolność. Nie przywiązuje się do nikogo i do niczego.

Po raz pierwszy tak nazwał Sarę. Był to krok w

dobrym kierunku.

- Wygląda na wielki kłopot. Baw się dobrze, zanim złamię ci serce.

- Właśnie taki mam zamiar.

- Gratulacje.

- Dziękuję ci. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, wrócimy do pracy, chyba że wolisz grać dalej rolę doradcy porzuconego przez ukochaną?

- Nie bądź taki drażliwy!

Tego wieczora przełożyli wspólną kolację i pracowali do późna. Kiedy wrócili do siebie, zadzwonił do Megan. Nie było jej w domu, ale była włączona automatyczna sekretarka. Zostawił nazwisko i powiedział tylko, że dzwoni, aby się przypomnieć i jeszcze raz potwierdzić kolację następnego dnia.

Zjawiała się w wielkim pośpiechu o ósmej, z rękami pełnymi wszelkiego dobra. Rozpakowali to razem w kuchni.

- Bardzo mile miejsce - powiedziała uprzejmie. Jednak nie mogło się ono równać z jej mieszkaniem. Nadal panowała w nim ta bezosobowa atmosfera wynajętego pomieszczenia. Tylko dzieci pozostawiły ślady w swych pokojach. Zresztą Ollie nie zrobił nic. Po wyjeździe Aggie nie było nawet kwiatów.

- Jak minął dzień?

- Nieźle. A tobie?

Wyglądała na zrelaksowaną i szczęśliwą. Nosila białą jedwabną spódnicę z rozcięciem niemal do uda, turkusową bluzkę, która sprawiała, że jej skóra o barwie miodu wydawała się jeszcze ciemniejsza. Jedli moussakę przy kuchennym stole. Opowiedział jej, co robił przez cały dzień, i było to miłe, że jest wreszcie ktoś, z kim może się podzielić sobą.

- Musisz się czuć bardzo samotny, gdy dzieci wyjechały. Uśmiechnął się do niej. Czy było to zaproszenie, żeby wrócić do jej mieszkania?

- Zrobiło się bez nich trochę za cicho. Ale ostatnio przez większość wieczorów pracowałem do późna. - Raptem zrozumiał, że już nie będzie tego robił.

Rozmawiali o śmiesznych rzeczach, o polo, o baseballu, znowu o rodzicach Megan i jej niechęci do Anglików. Podejrzewał, że było to związane z człowiekiem, który doprowadził do samobójstwa jej siostrę. Miała rzeczowe zdanie o wszystkim. Gdy pomagała mu sprzątać naczynia ze stołu, znowu zauważył to rozcięcie w spódnicy i poczuł ogarniającą go falę podniecenia.

Usiedli w saloniku, pili wino i rozmawiali, aż nagle, nawet nie wiedząc, jak to się stało, zorientował się, że ją całuje. Leżeli na sobie, a on rozpaczliwie chciał się z nią kochać. Jej spódnica była ściągnięta wokół talii, uda nagie. Gdy przesunął dłonią po atlasie jej skóry, zrozumiał, że ona nie ma pod spódnicą nic poza własnym ciałem. Aż jęknął z pożądania, gdy ją poczuł. Jego palce znalazły to, czego szukały. Cicho zamruczała. Jakby wszystkie lata z niego opadły! Był znowu młody. Młody i zakochany. Ogarnięty pragnieniem. Ściągnął jej bluzkę, a ona w magiczny sposób rozpięła spódnice. Leżała naga i wspaniała pod jego dłońmi. Na widok ciała Megan zabrakło mu tchu, była taka piękna...

- Mój Boże, Megan... mój Boże...

A wtedy ona ze znajomością rzeczy wyluskała go z ubrania, żartując i wymyślając mu. Leżeli na sofie. Kochali się. Tak nigdy się nie kochał. Robiła z nim to, o czym nigdy nie marzył. Napełniła go tak silnym pragnieniem, że wziął ją siłą, wszedł w nią jak wicher. Gdy leżał na niej, czuł, że drży jej ciało, a potem zaczyna się wolno widać. Nie mógł uwierzyć,

że chce jeszcze, ale skierowała jego dłonie z powrotem ku sobie. Wcisnęła jego głowę między swoje uda. Jego język pieścił miejsca, które chciała. Jęczała, krzyczała, drżała i wszedł w nią znowu. Leżeli kochając się, znowu i znowu. Ściągnęła go na podłogę. Potem zaprowadził ją do sypialni. W końcu tylko leżeli, wyczerpani, obok siebie. Zaśmiała się swym głębokim gardłowym śmiechem i przyciągnęła znowu do siebie, aż jęknął:

- Kobieto, chcesz mnie zabić!

- Ale co to za śmierć!

Oboje się roześmiali. Chwilę później przygotowała mu kąpiel i kochali się w wannie. Była to dla nich niezapomniana noc. Kiedy słońce wstało, szczęśliwi moczyli się w wodzie. Nie znał nikogo takiego. Była ogarnięta pożądaniem i takie samo pożądanie wlała w niego. Nigdy o sobie nie sądził, że jest zdolny do takich wyczynów, do jakich go zmusiła, ale spodobało mu się to.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że kochaliśmy się całe dziesięć godzin? Jest siódma rano.

Był zdumiony ich wyczynem. Zdumiony, ale zadowolony z siebie i z niej. W niczym nie przypominało to kochania się z Sarą. Jak on mógł kiedyś myśleć, że ich pożycie miłosne jest idealne?

- Nie uważasz, że po siedmiu miesiącach zasłużyłeś sobie na to? Uśmiechnęła się do niego, a on się roześmiał.

- Nie spojrzalem na to od tej strony. Może powinniśmy próbować znowu?

Tylko żartował. Ona nie. Usiadła na nim okrakiem w wannie. On się śmiał, a ona go ujeżdżała. Był zaskoczony, ale znowu jej pożałował. Obracali się, pluskali, brykali jak dwa delfiny, a potem przycisnął ją do brzegu wanny i wbił się w nią, aż zajęczała. Już nie panując nad sobą, błagała go, by nie

przestawał, w końcu krzyczała, aż oboje wybuchnęli z głębin ciepłej wody.

- Och, Megan, co ty ze mną robisz? - jego głos był niski i zachrypnięty. Pocałował ją w kark, a ona otworzyła oczy, żeby na niego popatrzeć. Zmierzwiała mu włosy i tak już rozczochrane od ich namiętych pieszczot. - Nigdy nie znalazłem kogoś takiego jak ty.

- Nigdy przedtem tak się nie czułam. - Nigdy nikomu tego nie powiedziała. Naprawdę tak myślała. - Jesteś niezwykły, Oliverze.

- Ty też jesteś całkiem niezła.

Z trudem się ubierał, żeby pójść do pracy. Kiedy był już ubrany i oboje byli gotowi do wyjścia, schwyciła go, zaczęła pieścić, i to tam, gdzie powinien być całkowicie wyczerpany... Ale nie był.

- Nie mogę w to uwierzyć, Megan, nigdy stąd nie wyjdziemy... Zaczął myśleć, iż nie powinni...

- A może oboje zadzwonimy, że jesteśmy chorzy? - szepnęła i pociągnęła go na podłogę w hallu.

Zaczęła gryźć go w szyję. Wargami chwyciła skórę twarzy, rozbierała i pieściła. Znów wziął ją siłą. Z większą siłą, niż myślał, że jeszcze ma, niż wierzył, że zostało mu po prawie dwunastu godzinach kochania się z Megan Townsend.

Zrobili to, co proponowała. Oboje zadzwonili do pracy, że są chorzy. Spędzili cały dzień w łóżku, na podłodze, na sofie i w wannie. Kochali się oparci o ścianę w kuchni, kiedy tam poszli odgrzać trochę moussaki. Było to szaleństwo, które ogarnęło ich oboje. Tej nocy leżeli w łóżku, przytulał ją mocno do siebie, a ona karmiła go ciasteczkami w czekoladzie.

- Jak sądzisz, czy powinniśmy zadzwonić po lekarza? - zapytał uszczęśliwiony. - Może to choroba albo zostaliśmy

otruci...

- Może to ciasteczka w czekoladzie...

- Mmmm... dobre... daj jeszcze.

Nie mógł sobie nawet wyobrazić, że będą z dala od siebie, że będzie mógł nałożyć ubranie. I wtedy zaczął się zastanawiać nad czymś, o czym powinni pomyśleć poprzedniego dnia. Zapytał ją, czy nie martwi się zajściem w ciążę...

- Wcale - odparła z całkowitym spokojem - podwiązałam sobie jajowody dziewięć lat temu.

- Mając dwadzieścia jeden lat?

Wstrząsnęło nim to. Potem sobie wszystko przypomniał. To musiało być wtedy, kiedy jej siostra umarła, będąc w czwartym miesiącu ciąży.

- Wiedziałam, że już nigdy nie będę chciała mieć dzieci i nie miałam zamiaru pozwolić na to, żeby jakiś drań zrobił mi to, co przydarzyło się Priscilli.

- I nigdy tego nie żałowałaś? A jeśli pewnego dnia będziesz Chciała mieć dziecko?

- Nie będę chciała. A jeżeli zechcę, to mogę je zaadoptować. Ale wątpię, czy to zrobię. Po prostu nie chcę mieć takiego kłopotu na głowie. Dlaczego pytasz? Chcesz mieć więcej dzieci?

- Nie jestem pewien. Teraz już trochę za późno. Ale wydaje mi się, że bym nie żałował, gdyby się przydarzyło.

- No cóż, nie możesz liczyć na mnie.

Wykrzywiła twarz w uśmiechu i położyła się z powrotem na poduszkach. A wtedy - czując, że może być z nią szczerzy - opowiedział o Benjaminie.

- Mój osiemnastoletni syn zostanie ojcem we wrześnie. To cholerna sprawa. Pracuje jako pomywacz i utrzymuje tę dziewczynę. Oboje rzucili szkołę. A mógł iść do

Harvardu.

- Może kiedyś pójdzie. - Zdaje się, że mu współczuła. Widziała, że bardzo się martwi o swego chłopca. - Zatrzymają dziecko?

- Chcą. Zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby ich do tego zniechęcić. Dzięki Bogu, że nie mają zamiaru się pobrać. - Był wdzięczny losowi za upór Sandry w tej sprawie.

- Może wróci im rozsądek, gdy staną twarzą w twarz z rzeczywistością. Dzieci są śliczne tylko na reklamach pieluch. Poza tym są małymi potworami.

- Czy z dużą grupą dzieci miała pani do czynienia, panno Townsend?

- Miałam do czynienia z dziećmi najkrócej jak mogłam. Piękne dzięki.

Przekręciła się na bok i mocno chwyciła za ulubioną część jego ciała. Zsunęła się, żeby delikatnie pobawić się nią językiem.

- Jeśli o mnie chodzi, to wolę tatusiów od dzieci.

- Co za szczęście. - Uśmiechnął się i zamknął oczy, a potem przyciągnął ją do siebie, żeby jej się w pewien sposób odwzajemnić.

Zasnęli w końcu, wyczerpani, tuż po północy. To był maraton. Taki dzień, którego Oliver nigdy nie zapomni. Cud Megan Townsend.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Romans płonął w najgorętszym miesiącu roku. Pogoda w sierpniu była upalna i taka była ich namiętność. Zmieniali miejsca. Krążyli między jej a jego mieszkaniem. Pewnej nocy kochali się na tarasie. Na szczęście byli wyżej niż pozostałe budynki. Teraz prawie w ogóle nie miał czasu, żeby zobaczyć się z Daphne. Wiedziała, co się dzieje, i była szczęśliwa ze względu na niego. Miał ciągle szklisty wzrok, był bez przerwy nieprzytomny i roztargniony.

Pojechali pewnego dnia do Purchase, tak że mógł zobaczyć się z Benjaminem i z ojcem. Zostawił Megan u jej ojca, a potem zabrał, wracając do miasta. Nie zatrzymali się w jego domu. Jakoś nie chciał tam z nią być. To miejsce wciąż wypełniały wspomnienia o Sarze.

Rzadko teraz o niej myślał. Był opętany Megan, ich kochaniem się, jej ciałem. Pewnego gorącego niedzielnego popołudnia, gdy łązili nago po jego mieszkaniu, zadzwonił telefon. Nie domyślał się, kto to mógł być. Pewnie Daphne, sprawdza go... chociaż teraz rzadko do niego dzwoniła. Nie chciała mu przeszkadzać. Do jego uszu dotarł szum i trzeszczenie kabli. Gdy podniósł słuchawkę wyżej, połączenie zostało przerwane. Telefon zadzwonił znowu, a telefonista z centrali międzynarodowej powiedział mu, że to połączenie zostało przerwane. Telefon zadzwonił znowu, a telefonista z centrali międzynarodowej powiedział mu, że to połączenie z San Remo. Prawie nic nie słyszał. Uśmiechnął się do Megan, która przemaszerowała przed nim. Przez chwilę ze smutkiem rozmyślał o zmianach, które będą musieli wprowadzić po powrocie dzieci w następny weekend.

- Halo? - Słyszał niewyraźne dźwięki. Trochę jakby płacz, ale był pewien, że to zakłócenia. - Halo?! - krzyknął i nagle usłyszał płacz Melissy i powtarzane przez nią w kółko:

„Tatusiu... tatusiu...” - Melissa? Melissa! Mów do mnie! - Połączenie zanikało, a potem było ją słyszeć, z echem, lecz jakby trochę wyraźniej. - Co się stało?

- ...wypadek.

„Mój Boże, nie! Sam... nie Sam... proszę... nawet nie Sara...” - błagał w duchu.

- Kochanie, córeczko! Nie słyszę! Mów głośniej! Oczy wypełniły mu się łzami, gdy czekał. Megan patrzyła na niego. Całkiem o niej zapomniał w rozpaczliwym pragnieniu usłyszenia córki.

- ...wypadek... nie żyje... mama...

„O Jezu Chryste! To Sara...” Wstał, jakby to mogło poprawić połączenie. Krzyczał do słuchawki, jak tylko mógł najgłośniej. We Włoszech była pomoc.

- Co się stało z matką?

- ...samochód... jechaliśmy... jesteśmy w San Remo...

Jean - Pierre...

- Melisso, czy twoja matka jest ranna?

Megan wyczytała z twarzy Olivera, że on wciąż kocha tamtą, ale po dwudziestu latach małżeństwa tych dwojga nie mogła go za to winić... I jak on stała sparaliżowana lękiem. Przypomniała sobie telefon prawie dziesięć lat temu. Dzwoniła jej matka: „Kochanie... och, kochanie... Priscilla...”

- Mama w porządku...

Łzy spłynęły mu po policzkach, gdy to usłyszał.

- A sam? Co z Samem?

- Sam złamał rękę... Tato, to było takie okropne... - Zaczęła znowu płakać i nie mógł nic zrozumieć.

Ale jeśli Sam żyje... i Sara, i dzwoniła Melissa...

- Samochód w nas uderzył... z całej siły... kierowca zabity i dwoje dzieci... i Jean - Pierre... Jean - Pierre zginął... Ach! Tatusiu... to było takie okropne...

- O Boże! Biedny chłopak!

Ale dzieci żyją! Jego dzieci... bo obce zginęły... To był okropny samolubny sposób patrzenia na to. Był wdzięczny losowi, że jego dzieci żyją.

- Maleńka, dobrze się czujesz? Jesteś ranna?

- Nic mi nie jest...

- A gdzie mama?

- W szpitalu... kazała mi do ciebie zadzwonić. Musimy pojechać do Francji na pogrzeb... będziemy w domu w piątek...

- Na pewno nic wam nie jest? Jesteś pewna? Czy mama była ranna?

- Ma podbite oko i jest strasznie pokaleczona, ale wszystko dobrze...

Ta rozmowa przypominała zabawę w głuchy telefon. Najważniejsze jednak było to, że są żywi, a nawet jeśli posiniaczeni i połamani... Widzieli, jak umierał kochanek ich matki, obcy człowiek i dwoje dzieci. Wzdrygnął się na samą myśl o tym.

- Czy chcecie, żebym przyjechał?

- Nie, chyba nie... zatrzymamy się u rodziców Jeana - Pierre'a... jedziemy tam dziś wieczorem... mama mówiła, że masz tam numer telefonu...

- Mam. Zadzwonię do was... Och, maleńka... - zaczął płakać, drżały mu dłonie. - Kocham cię... powiedz Samowi, że go kocham... a mamie powiedz, że bardzo mi przykro...

Mel znowu płakała, ale połączenie było tak złe, że zakończyli rozmowę. Ollie był zupełnie roztrzęsiony. Odłożył słuchawkę i wpatrywał się w Megan. Zapomniał o niej, gdy rozmawiał z Melissą.

- Czy z nimi wszystko w porządku? - Wciąż stała przed nim, naga i piękna. Podała mu kieliszek brandy.

- Tak mi się wydaje. Bardzo źle było słyhać. Mieli wypadek. Kilkoro ludzi zginęło. Z tego, co zrozumiałem, przyjaciel mojej żony zginął na miejscu. Prowadził. W San Remo.

- O mój Boże, jakie to okropne. - Usiadła obok niego i wypila łyk brandy, której nawet nie tknął. - Czy dzieci są ranne?

- Sam złamał rękę, a Melissą czuje się dobrze. Sara jest pokaleczona, ale poza tym w porządku. To musiało być straszne. - Wciąż wstrząśnięty, popatrzył na Megan. - Kiedy zaczęła mówić, myślałem... myślałem, że to Sam, a może Sara... to okropnie tak mówić, kiedy inni zginęli, ale jestem szczęśliwy, że to nie oni.

- Wiem. - Otoczyła go ramionami, przytuliła do siebie i tak siedzieli.

Zostali na noc u niego, na wszelki wypadek, gdyby dzieci dzwoniły, i po raz pierwszy w tym miesiącu w ogóle się nie kochali. Mógł myśleć tylko o dzieciach. Szok spowodowany tym, co się stało, przywrócił mu rozsądek. Po powrocie dzieci ich dzika orgia musiała się zmienić. Nie mógł być poza domem przez całą noc, a ona nie mogła zostawać w jego mieszkaniu. Będą musieli być znacznie ostrożniejsi przy dzieciach. To sprawiło, że chcieli zrobić jak najwięcej, kiedy byli jeszcze sami, lecz świadomość, że dzieci wracają, już wszystko zmieniała.

W czwartek wieczorem oboje byli zdenerwowani i przygnębieni. Przeleżeli nie śpiąc całą noc, kochając się i rozmawiając, marząc o tym, żeby wszystko potoczyło się inaczej.

- Pewnego dnia moglibyśmy się pobrać - powiedział. Żartował tylko trochę, ale spojrzała na niego z udawanym przerażeniem.

- Nie wyglupiaj się, to już lekka przesada, co?
- Naprawdę? - Nigdy nie znał kogoś takiego i był całkowicie nią zauroczony.
- Dla mnie tak, Oliverze. Nie mogę wyjść za mąż za nikogo. To nie dla mnie i dobrze o tym wiesz.
- Wspaniale odgrzewasz moussakę.
- Więc ożeń się z tym facetem z delikatesów, gdzie to sprzedają.
- Nie może być tak ładny jak ty, choć nigdy go nie spotkałem.
- Bądź poważny przez chwilę. Co ja bym robiła z mężem i z trojgiem dzieci?
- Udał, że się zastanawia, a ona się roześmiała.
- Mógłbym coś wymyślić.
- Na szczęście do tego nie trzeba się żenić. Spędzali wspólnie fantastyczny miesiąc, a już się zachowywała tak, jakby wszystko się skończyło.
- Nie chcę mieć nic więcej...
- Może pewnego dnia będziesz chciała...
- Jeśli tak będzie, pierwszy się o tym dowiesz. Obiecuję.
- Poważnie?
- Poważnie. Jeśli mogę być poważna w takich sprawach. Już ci to mówiłam, małżeństwo nie jest dla mnie. Nie potrzebujesz kolejnej żony wypadającej z okrzykiem przez drzwi. Potrzebujesz cudownej, mądrej, pięknej dziewczyny, która będzie cię kochała, zaopiekuje się twoimi dziećmi i da ci następnych czternaścioro.
- Co za pomysł? Wydaje mi się, że mylisz mnie ze swoim ojcem.
- Niezupełnie. Ale na pewno nie jestem tym, co zaleciłby ci lekarz, Oliverze. Na swój sposób pewnie bardzo

przypominam twoją żonę, a tego nie potrzebujesz. No, bądź szczerzy.

Zastanowił się, czy ona ma rację i czy znalazł sobie nowe, trochę atrakcyjniejsze wydanie Sary. Nigdy o tym tak nie myślał, ale było to możliwe. Bardzo go to przygnębiło.

- Co teraz?

- Cieszymy się tym, co jest, tak długo, jak możemy. A gdy stanie się to dla któregoś z nas zbyt skomplikowane, powiemy sobie do widzenia, z całusem, uściskiem i z dziękuję.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu.

- Nie kupuję tego. Przecież w życiu przywiązujesz się do ludzi. Czy nie uważasz, że po miesiącu bycia razem, prawie przez cały czas, przywiązaliśmy się do siebie?

- Z pewnością. Nie myl jednak dobrego kochania się z dobrym kochaniem. Te dwie sprawy nie zawsze się łączą. Lubię cię. Zależy mi na tobie, może nawet cię kocham. Ale wszystko się zmieni, kiedy dzieci wrócą do domu. Może za bardzo zmieni się dla nas. Nie można się zabijać z powodu takich spraw. Nie warto.

Była tak cholernie obojętna, taka nonszalancka, jak wtedy, gdy poderwała go w pociągu i gdy zadzwoniła, by zaprosić go na kolację. Jak długo zdawało się to rozrywką, wszystko było w porządku, ale kiedy już przestało nią być, to po prostu trzeba to rzucić. Miała rację. Powiedział sobie, że się w niej zakochał. Ale może i w tym miała rację, że zakochał się tylko w jej ciele.

- Może masz słuszość. Nie wiem.

Tej nocy kochali się, ale tym razem było inaczej. Następnego ranka wróciła do swojego mieszkania, zacierając za sobą wszelkie ślady. Zabrała kosmetyki, dezodorant,

proszki, które łykała na migrenę, perfumy, które jej kupił, lokówkę, podpaski, tych kilka sukienek, które wisały w jego szafie. Poczul się samotny, gdy tylko popatrzył na puste miejsce na półce. Znów przypomniał mu się ból po utracie Sary. Dlaczego wszystko musi się skończyć? Dlaczego wszystko się zmienia? Chciałby utrzymać coś na zawsze!

Uzmysłowił to sobie jeszcze wyraźniej, kiedy ujrzał dzieci wysiadające z samolotu, a za nimi Sarę. Nigdy przedtem jej takiej nie znał. Wciąż miała na twarzy wypisany szok. Była w niej rozpacz, ból i samotność. Wiedział, że to było gorsze niż męka, którą kiedykolwiek czuła przez niego. Jej oczy, otoczone okropnymi siniakami, spoglądały na niego z boleścią. Bandaż na szyi zakrywał czternaście szwów. Sam wyglądał na przestraszonego. Zdrową ręką uwiesił się matki. Drugie ramię miał uwięzione w gipsowej skorupie od czubków palców do barku. Melissa zaczęła płakać, kiedy tylko go zobaczyła. Pobieгла w jego ramiona, łkając bez przerwy. W chwilę później znalazł się tam Sam. Gdy przytulał się do swojego tatusia, przeszkadzało mu ramię na temblaku.

Wtedy Oliver popatrzył na kobietę, będącą kiedyś jego żoną, i zrozumiał do końca, jak bardzo Sara kochała chłopca, który umarł w San Remo.

- Tak mi przykro, Sarrie... tak mi przykro... - Czuł się tak, jakby tracił część siebie, gdy widział ją załamaną. - Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Szli powoli po bagaż. Pokręciła głową. Melissa mówiła o pogrzebie. Jean - Pierre był jedynym dzieckiem i to było okropne.

Oliver kiwał głową i próbował ich pocieszyć. A potem popatrzył nad głową Sama na Sarę i zapytał:

- Chcesz zatrzymać się w domu w Purchase?

Moglibyśmy zostać w mieście, przyjechalibyśmy jedynie na weekend w Święto Pracy*.

Pokręciła tylko głową i uśmiechnęła się. Wydawała się spokojniejsza niż kiedyś i mądrzejsza.

- Zaczynam zajęcia w poniedziałek. Chcę wrócić do Bostonu. Mam mnóstwo rzeczy do zrobienia. - Nie powiedziała mu, że w końcu zaczęła pisać swoją powieść. - Ale dziękuję ci. Dzieci może przyjadą do mnie za kilka tygodni. Nic mi nie będzie. Nie martw się.

Sara bała się powrotu do mieszkania w Cambridge i natknięcia się na rzeczy Jeana - Pierre'a. To sprawiło, że uświadomiła sobie, przez co przeszedł Oliver, kiedy odeszła. To było trochę jak umieranie. Kochała Jean - Pierre'a jak syna, przyjaciela, kochanka i ojca. Była gotowa dać mu to wszystko, czego odmawiała Oliverowi przez ostatnie lata, bo niczego od niej nie chciał. Nauczył ją tyle o dawaniu, kochaniu i... umieraniu.

Oddawszy dzieci prosto w ręce Olivera, Sara poleciała do Bostonu. Oni zaś pojechali taksówką do miasta. Byli cisi, przygnębieni i zmartwieni.

Oliver spytał Sama, czy boli go ramię, i przyrzekł mu, że zabierze go do lekarza. Miał już nawet umówioną wizytę po południu. Gdy tam poszli, ortopeda zapewnił go, że ramię zestawiono w Sam Remo prawidłowo.

Po chwili Margaret zabrała dzieci do środka na lemoniadę i drugą porcję domowych ciasteczek.

- Dobrze wyglądasz, tato! - powiedział Oliver trochę uszczypliwie, kiedy dzieci zniknęły w domu.

Usiłował odgadnąć, czy jest jakaś szczególna przyczyna dobrego samopoczucia ojca. I wtedy przypomniał

*Święto Pracy - Labour Day jest obchodzone w USA w pierwszy poniedziałek września (przyp. tłum.).

sobie o swoim odlocie z Megan. Może jego ojciec trochę flirtował z sąsiadką. Nie wyrządzali tym nikomu krzywdy. Oboje byli samotnymi ludźmi po siedemdziesiątce i mieli prawo do towarzystwa przyjaciół od czasu do czasu. Wiedział przecież, jak samotny był jego ojciec bez Phyllis.

- Dobrze się czuję, synu. Margaret o mnie dba. Była kiedyś pielęgniarką, jak wiesz. A jej mąż był lekarzem.

- Pamiętam.

- Chcielibyśmy cię zabrać kiedyś na kolację. Może do miasta. Margaret lubi jeździć do Nowego Jorku. Twierdzi, że ją to odmładza. Nie jestem pewien, czy to naprawdę Nowy Jork tak na nią działa, ale niewątpliwie ma więcej energii niż kobieta o połowę od niej młodsza. Jest wspaniałą dziewczyną.

Oliver uśmiechnął się, że jego ojciec nazywa kobietę po siedemdziesiątce - „dziewczyną”, ale co tam. A po chwili prawie spadł z krzesła, gdy George popatrzył na niego z figlarnym błyskiem w oku i powiedział:

- Bierzymy ślub w przyszłym miesiącu, Oliverze. Zdaję sobie sprawę, że będzie ci to trudno zrozumieć. Ale nie jesteśmy młodzi i wiemy, że nie mamy dużo czasu. Nie chcemy zmarnować tego, co nam pozostało. Myślę, że twoja matka by to rozumiała.

- Wy... co? - Oliver odwrócił się na krzesło, żeby na niego spojrzeć. - Mama odeszła trzy miesiące temu, a ty żenisz się z sąsiadką?! - Czy on zwariował? Czy to już uwiad starczy? Co mu się stało? Jak on mógł coś takiego w ogóle brać pod uwagę? To było wprost niesmaczne! - Nie mówisz chyba poważnie! - Oliver był wściekły i nie ukrywał tego.

- Mówię poważnie. Mam prawo do czegoś więcej niż tylko do samotnego siedzenia w fotelu, nie sądzisz? A może cię to oburza, że ludzie w naszym wieku „są ze sobą”, jak wy,

młodzi, o tym mówicie? Moglibyśmy mieć romans, lecz uważam, że jestem jej winien uczciwe małżeństwo.

- Jesteś winien mamie uczciwy szacunek jej pamięci. Ona nawet jeszcze nie ostygła w grobie.

Oliver wstał i zaczął krążyć w kółko, a George Watson spokojnie go obserwował. Z kuchennego okna Margaret widziała, co się dzieje, i zmartwiło ją to. Uprzedzała George'a, że tak będzie, ale odpowiedział jej, że mają prawo do własnego życia. Jeszcze nie umarli, chociaż może wkrótce umrą. George nie chciał marnować darowanego im czasu. I choć to uczucie bardzo różniło się od tego, którym obdarzał Phyllis, to kochał Margaret.

- Szanuję pamięć twojej matki, Oliverze, ale mam prawo do własnego życia. Ty też. I pewnego dnia ożenisz się ponownie. Nie możesz spędzić reszty życia na obnoszeniu żałoby po Sarze.

- Dziękuję ci za radę. - To było nie do pomyślenia. Jeszcze kilka tygodni temu pielęgnował swój celibat, siedząc w domu, a tymczasem jego ojciec miał r o m a n s z sąsiadką.

- Uważam, że powinieneś dokładnie się nad tym zastanowić.

- Już to przemyślałem. Bierzemy ślub czternastego i chcielibyśmy, żebyś przyszedł z dziećmi, jeśli zechcesz.

- Nie ma mowy. Chcę, żebyś oprzytomniał.

Ale gdy to mówił, podeszła do nich Margaret ze słomkowym kapeluszem George'a w ręce, jakimś zimnym napojem i tabletką na serce, którą brał każdego popołudnia. Nie umknęły uwagi Olivera kochające spojrzenia, jakie wymienili.

Aż do wyjścia był sztywny i naburmuszony. Pospiesznie zagarnął dzieci do samochodu, podziękował uprzejmie Margaret i dopiero w połowie drogi do Purchase zorientował się, że zapomnieli zabrać Andy'ego. Zadzwoił

do ojca po przyjeździe do domu i powiedział mu, że po psa wpadnie w następny weekend.

- To dobrze, cieszymy się, kiedy jest z nami. Przykro mi, że cię zmartwiłem, Oliverze. Rozumiem, co czujesz. Ale spróbuj spojrzeć na to z mojego punktu widzenia. Margaret jest wspaniałą kobietą.

- Cieszę się ze względu na ciebie, tato - powiedział przez zaciśnięte zęby - ale nadal uważam, że to zbyt pochopna decyzja.

- Może. Musimy jednak robić to, co uważamy za słuszne. A w naszym wieku nie zostało nam zbyt wiele czasu. Nigdy nie wiadomo, co za smutek czeka za rogiem.

- Tym bardziej nie należy się spieszyć.

- To zależy, jak na to spojrzysz. Powiesz to samo, co ja, jak będziesz w moim wieku.

Oliver uświadomił sobie, gdy odłożył słuchawkę, że największe obrzydzenie wzbudzało w nim wyobrażenie ojca kochającego się z Margaret Porter. I tyle powiedział Megan, gdy do niej zadzwonił tej nocy.

- Nie bądź śmieszny. Czy sądzisz, że twój popęd płciowy umrze przed tobą? Mam nadzieję, że nie. Twój ojciec ma rację i jest mądry. Dlaczego miałby siedzieć sam? Ty masz swoje sprawy, twoje dzieci też. Ma prawo robić coś innego, a nie spędzać resztę życia na wspomnianiu twojej matki. Czy naprawdę chcesz, żeby tak robił?

Nie chciał i chciał jednocześnie, ale jej spojrzenie na tę sprawę rozzłościło go.

- Jesteś taka sama jak oni. Sądzę, że oboje macie tylko seks w głowie.

I opowiedział Megan, jak Mel znalazła jej bluzkę i biustonosz, ale ona tylko się roześmiała.

- Pamiętam tę noc bardzo dobrze - powiedziała

złościwie.

- Ja też. O Boże! Jak ja za tobą tęsknię. Miewam omamy.

- Zrobimy szybki numerek w basenie. Myśl o tym, że mieliby się kochać, gdy dzieci były blisko, sprawiła, że zadrżał. Teraz wszystko będzie inaczej.

- Może będziemy musieli poczekać z tym aż do poniedziałku.

- Nie licz na to, coś wymyślimy.

Uśmiechnął się po odłożeniu słuchawki. Zastanawiał się, czy ona miała rację co do jego ojca. Nawet nie chciał sobie tego wyobrazić. Jego ojciec żeniący się w tym wieku? Sama myśl była niesmaczna.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Oliver wyjechał po Megan na stację. Ubrała się w króciutkie spodenki i maleńki biały opalacz w czarne groszki. Pragnął tylko zedrzeć z niej ubranie i kochać się z nią w samochodzie. Pohamował się, a ona się śmiała i gdy jechali do domu, do dzieci, pieściła jego udo.

- Przestań... Megan Townsend.... doprowadzasz mnie do... szaleństwa...

- O to, kochany, właśnie chodzi!

A potem, jakby za naciśnięciem guzika, zmieniła temat i opowiedziała mu o piątkowej aukcji...

Kiedy przyjechali, dzieci były w basenie. Sam z ramieniem w wielkiej plastikowej torbie, żeby mógł pływać. Mel leżała na materacu w nowym bikini, które kupiła sobie na południu Francji. Oboje popatrzyli z zainteresowaniem na ojca zbliżającego się w towarzystwie Megan. Przedstawił ich sobie nawzajem, a potem zabrał Megan do środka, żeby się przebrała. Gdy pokazał jej małą obieralnię, wciągnęła go prędko do środka, sięgnęła ręką do jego szortów i podjęła pieszczoty, aż zaczął jęczeć.

- Megan... - szeptał - nie... dzieci...

- Szszszsz... niczego nie zauważą.

Tęskniła za nim tak bardzo, jak on za nią... Po miesiącu uctowania pełnego orgazmów, spędzili całe trzy dni bez siebie. Zamknęła za sobą drzwi. Ściągnęła mu slipy aż do kolan. Lizwała, ssawa i całowała. Zerwał opalacz i ściągnął jej szorty. Jak zwykle, nic pod nimi nie miała. Osunęła się na kolana, całując go bez przerwy, a on delikatnie popchnął ją na podłogę. Kochali się wariacko. Drżała i jęczała. Właśnie wtedy, gdy prawie ze zwierzęcą rozkoszą dochodził, usłyszał wołanie Sama i walenie w drzwi. Chłopiec szukał go. Za chwilę zaczął grzmocić w

drzwi ubieralni. Oliver podskoczył i patrzył na Megan przerażonymi oczyma. Położył palec na ustach, żeby go nie zdradziła. Aż zachichotała.

- Tato, jesteś tam?

To był maleńki pokoik. Oliver był pewien, że dziecko słyszy jego oddech. Pokręcił głową, chcąc, żeby Megan zaprzeczyła.

- Nie ma go tutaj. Zaraz wychodzę - powiedziała. Leżała na podłodze, a jego ojciec na niej, znieruchomiały z przerażenia.

- W porządku! A nie wiesz, gdzie jest?

- Nie wiem. Powiedział, że po coś idzie.

- Dobra.

Potem usłyszeli trzaskanie drzwiami. Sam poszedł sobie. Ollie zerwał się na równe nogi. Opłukał twarz zimną wodą. Wciągnął slipy i próbował się uczesać, a ona się z niego śmiała.

- Powiedziałam ci, że jakoś damy sobie radę.

- Megan! Zwariowałaś! - szepnął, przekonany, że dzieciak wszystkiego się domyślił. Ale nie była przestraszona.

- Uspokój się, ma dziewięć lat i nie ma pojęcia, o co chodzi jego tatusiowi.

- Nie bądź taka pewna. - Pocałował ją prędko i otworzył drzwi, a ona tymczasem sięgnęła do torby po bikini.

- Zobaczmy się przy basenie.

Miał nadzieję, że Megan się odpowiednio zachowa, bo inaczej Mel się przerazi. Ale z drugiej strony... Mel właśnie spędziła lato z matką i jej dwudziestopięcioletnim kochankiem. On zaś ma prawo do własnego życia, może nie? Usłyszał w duchu echo słów ojca... lecz to było coś innego, prawda? Tylko czy rzeczywiście było to coś innego?

Poszedł do Sama, czekającego na niego w kuchni. Chłopiec chciał coli i nie mógł jej znaleźć.

- Gdzie byłeś, tato?

- W garażu. Szukałem klucza.

- Po co?

- Och, mój Boże, zostaw mnie w spokoju. Nie wiem...

Wszystko wydawało się takie proste, kiedy ich nie było, a teraz tak się skomplikowało.

Nalał sobie coli. Samowi też, i poszedł do basenu. Megan powoli zanurzała się w wodzie w mikroskopijnym czerwonym bikini. Grzywę czarnych włosów upięła wysoko. Mel przyglądała się jej uważnie i po kobiecemu ją oceniała.

Nie odzywały się do siebie, a Oliver czuł się jak wielki pies, owczarek, pilnujący ich obu i jeszcze Sama. Był niewiarygodnie zdenerwowany.

- Podoba mi się twój kostium - powiedziała Megan do Mel. Było to coś różowego, z falbankami i w porównaniu z kostiumem Megan bardzo niewinnego. Bikini Megan stanowiły dwie małe czerwone szmatki na piersi i przepaska na biodra. Ale nosiła to wspaniale. Miała nieprawdopodobnie piękne ciało.

- Dostałam go we Francji.

- Jak tam było?

- W porządku. - Mel nie chciała jej mówić o wypadku i nie sądziła, że Megan coś wie. Ojciec powiedział, że jest znajomą, której jakiś czas nie widział. - Jesteśmy w domu dopiero od dwóch dni.

Megan przepłynęła obok niej. Długimi, łagodnymi pociągnięciami. Kilka minut później Mel zeszła z materaca, żeby wykonać nadzwyczajnie widowiskowe zanurzenie. Zupełnie jakby konkurowały ze sobą. Napięcie wokół basenu było wysokie przez całe popołudnie, szczególnie między

dwiema dziewczynami.

Na lunch jedli hot - dogi. Megan opowiadała o swoim pobycie w Anglii, kiedy była dzieckiem. Oczywiście, na Mel ta opowieść nie wywierała żadnego wrażenia. Megan nie starała się jakoś specjalnie, żeby się do niej zbliżyć. Ollie czuł się okropnie nieszczęśliwy, gdy tak na nich wszystkich patrzył. I prawie przyniosło mu to ulgę, kiedy już podrzucili Megan do jej mieszkania w mieście. Oczywiście Megan posłały mu pocałunek. Gdy zniknęła, machając im ręką, Mel wyraźnie się uspokoiła, a Sam parsknął śmiechem.

- Jest miła, prawda? - zapytał Ollie, natychmiast żałując tych słów, ledwie je wymówił.

Mel odwróciła się do niego jak błyskawica, ze spojrzeniem pełnym furii.

- Wygląda jak dziwka!

- Melissa!

- Widziałeś ten jej kostium?

- Taaa... - Sam wyszczerzył zęby w uśmiechu, a potem popatrzył z niewinną minką, gdy jego siostra strzeliła w niego wściekłym spojrzeniem.

- To bardzo miła dziewczyna - bronił jej Oliver, gdy jechali do domu.

- Nie sądzę, żeby za bardzo lubiła dzieci - stwierdził Sam.

- Dlaczego tak uważasz?

- Nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Nie mówiła dużo. Ale na pewno fajnie wygląda, prawda, tato?

- Jest też mądra. Jest redaktorem w wydawnictwie.

- No to co? Zależy jej tylko na obnoszeniu własnego ciała! Mel wyczuwała zmysłowość Megan i nienawidziła tego, w przeciwieństwie do swych męskich krewnych, których oczy były przyklejone do Megan przez całe

popołudnie.

Oliver pozwolił, żeby temat sam się wyczerpał. Sam poszedł do łóżka. Mel wróciła ze swego pokoju ze ściągniętymi brwiami.

- Możesz jej to oddać. - Wręczyła mu bluzkę i stanik, który znalazła w swoim łóżku dwa dni wcześniej. - Bo to jej, prawda, tato?

- Dlaczego tak mówisz? - Czuł się złapany na gorącym uczynku, jak gdyby splugawił ich wspólny dom. Ale miał prawo robić, co chciał. W końcu był już dorosłym mężczyzną. - Mówiłem ci, że to należy do Daphne.

- Nie, to nie jest Daphne. Daphne ma znacznie większe piersi. To Megan - mówiła oskarżycielskim tonem.

Poczuł, że cię czerwieni, gdy patrzył na swoją córkę.

- Posłuchaj, Mel, są pewne sprawy, które robią dorośli, a które nie dotyczą dzieci, więc lepiej zostawmy je w spokoju.

- To dziwka! - oczy Mel płonęły. Ale teraz i on był wściekły.

- Nie mów tak! Nawet jej nie znasz!

- Nie i nie chcę! Ona ma nas w nosie. Tylko lata za tobą z wywieszonym jęzorem jak suka. Nie cierpię jej.

Rywalizacja dwóch dziewczyn walczących o niego wydawała mu się dziwna. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie myśleć o tym, dlaczego Mel tak nienawidzi Megan. Poza tym musiał przyznać, że Megan nie zrobiła specjalnego wysiłku, żeby ich do siebie przekonać.

Mówiła głównie do niego, a tylko czasami do jego dzieci. Nie wszystko wyszło tak, jak chciał.

- To tylko znajoma. Nic więcej. To nic wielkiego, Mel. Uspokój się.

- Naprawdę tak uważasz? - Wyglądała jakby to jej

przyniosło ulgę.

- Co?

- Nie jesteś w niej zakochany?

- Nie wiem. Lubię ją.

- Ale ona cię tak bardzo nie lubi. Ona bardziej lubi siebie.

Zastanawiał się, czy Mel ma rację, czy tylko jej zazdrośna, a może spostrzegawcza.

- Nie martw się.

Kiedy córka wyszła z jego pokoju, zaczął znowu myśleć o swoim ojcu. Czy on sam też był zazdrośnym dzieckiem, jak Mel? Czy miał prawo sprzeciwiać się małżeństwu ojca z Margaret Porter? Jakie miał prawo, żeby się wtrącać? Czy będzie dotrzymywał mu towarzystwa wieczorami i w weekendy? Czy będzie przy nim, przynosząc mu pastylki na serce? Pragnie mieć własne życie, a ojciec ma przecież prawo do tego samego. Gdy Oliver tak myślał o nim, jeszcze bardziej tęsknił za matką.

Postanowił zadzwonić do ojca wieczorem. Kiedy to zrobił, odebrała Margaret. Trochę go to zdenerwowało w pierwszej chwili, ale szybko się uspokoił i poprosił ojca.

- Cześć, tato! Chciałem ci tylko powiedzieć... - nie wiedział, jak ma to zrobić - że bardzo cię kocham, to wszystko. Rób, co uważasz za słuszne, i zapomnij o reszcie. Masz już tyle lat, że wiesz, czego chcesz i czego ci potrzeba. A jeśli ona cię uszczęśliwi - łzy wypełniły mu oczy, gdy mówił te słowa - bierz ją. Masz moje błogosławieństwo!

Po drugiej stronie słuchawki usłyszał krótki szloch. Potem George Watson odchrząknął i podziękował mu.

- Ona jest bardzo porządną kobietą, synu... nie mogę jej porównywać z twoją matką - kiedy to mówił, miał nadzieję, że Margaret go nie słyszy, ale tyle się Phyllis

należało - jest dobra i kocham ją.

- Życzę wam obojgu szczęścia.

- Przyjedziesz na nasz ślub?

- Oczywiście.

- Czternastego września. Nie zapomnij. Oliver się roześmiał. Jego ojciec znowu wydawał się młody, więc poczuł się szczęśliwy ze względu na niego. Co, u diabła! Ma do tego prawo! Życzyłby sobie takiego powodzenia, aby mógł znaleźć kobietę, którą by kochał i był z nią szczęśliwy.

Po telefonie do ojca zadzwonił do Megan. Czuł się znacznie lepiej. Nie było jej w domu. Mocno biło mu serce, gdy zostawiał swoje nazwisko na automatycznej sekretarce. Leżał potem w pustym łóżku, w którym Megan zostawiła go samego. Zastanawiał się, czy to on był szalony, czy Mel miała rację. Megan nigdy nie udawała, że jest kimś innym. Nie chciała nic więcej niż... Nie chciała żadnych więzów... mężów... dzieci... i gdy tak leżał, myśląc o niej, zastanawiał się, czy jego letni romans się skończył. To była niezła zabawa, ale teraz nie mogło być łatwiej. Megan na pewno nie będzie traciła czasu, czekając na niego. A dzieciaki, do diabła, na pewno nie były do niej przekonane. Czasami życie nie jest łatwe.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Weekend Święta Pracy oznaczał dla wszystkich miły powrót do domu w Purchase. Postawili rożen przy basenie, tak jak zawsze. Dzieci zaprosiły kolegów, a ojciec Olivera przyjechał z Margaret. Przywieźli psa, ciasteczka i upieczony w domu chleb. Tym razem Oliver obojgu pogratulował i pozwolił ojcu powiedzieć o tym dzieciom. W pierwszej chwili były trochę zaskoczone, ale stwierdziły, że jeśli on uważa, że wszystko jest w porządku, to tak naprawdę jest. Nawet Daphne przyjechała. Zgodziła się spędzić z nimi cały weekend. Tylko Megan odmówiła. Wybrała się East Hampton, co zmartwiło Olliego, ale nie mógł jej przekonać, żeby przyjechała do Purchase. Powiedziała mu tylko, że taka sceneria to nie dla niej:

dzieci, psy i rożny. Nie chce być intruzem. Tak naprawdę, to ją nudziło. Nie widział jej przez cały tydzień i wariował bez niej. Pracowała, tak jak i on, do późna. Dzieci były w domu, a on czekał, aż się trochę przyzwyczają, co jej nie wydawało się takie ważne.

Benjamin i Sandra też przyszli, choć tym razem dziewczyna wyglądała naprawdę żałośnie. Twarz miała obrzmiałą i stała się taka gruba, że z trudem chodziła. Wprost nie można było uwierzyć, że kiedyś była ładna. Benjamin zeszczuplał i pobladł. Bardzo odczuwał obciążenie pracą w dwóch miejscach. Sandra nic nie robiła, tylko narzekała. Benjamin czasami myślał, że zwariuje. Ojciec podał mu piwo. Mel zabrała Sandrę do środka, żeby się na chwilę położyła. Oliver patrzył na Benjamina z troską, zastanawiając się, czy syn się przyzna, że już nie może tego dłużej znieść, czy też pozwoli, żeby go to zabiło.

- Jak tam, synu?

- Chyba w porządku. Już niedługo będę musiał

zmienić pracę. Zamykają stację i zwolnią mnie za parę tygodni, a w restauracji płacą za mało. Ale już mam kilka niezłych zamiarów. Sandra mówi, że po urodzeniu dziecka wróci szybko do szkoły.

Starał się, by to brzmiało tak, iż jest pełen planów i nadziei. Dla jego ojca było oczywiste, że coraz bardziej jest zniechęcony, ale kto by nie był. Osiemnaście lat, mające się narodzić dziecko, utrzymywanie siedemnastoletniej pseudożony, praca na dwóch posadach. Z trudem można było to uznać za ideał szczęścia, a już na pewno nie mógł tak uważać Oliver.

- Czy pozwolisz mi sobie pomóc, zanim to zabije nas obu? Czy nadal będziesz się opierał?

Chłopiec uśmiechnął się. Wyglądał na starszego i mądrzejszego niż kiedyś. W ciągu ostatnich paru miesięcy dużo się nauczył, ale nic z tego nie było ani łatwe, ani przyjemne. Ojciec patrzył na niego i czuł rosnący w sercu ciężar.

- Zobaczymy, tato. Dziecko zjawi się za trzy tygodnie, a potem wszystko będzie dobrze.

- Opiekowanie się dzieckiem nie jest łatwe.

- Tak, wiem. Mieliśmy z tego zajęcia w szkole: jak się zajmować niemowlęciem, jak oddychać w czasie porodu i takie tam. Chcę być przy porodzie, żeby pomóc Sandrze. - Pragnął przejść całą tę drogę, bo podjął się tego zadania.

Oliver podziwiał go, ale straszliwie się martwił.

- Czy zadzwonisz do mnie, jeśli będziesz potrzebował pomocy?

- Pewnie.

- Obiecujesz?

Benjamin znowu się uśmiechnął i przez ułamek sekundy wyglądał tak jak dawniej.

- Pewnie, tato, że zadzwonię. Dzięki.

Dołączyli do innych i rozmawiali o ślubie dziadka. Benjamin obiecał przyjść, a Oliver zaproponował, że poprowadzi pannę młodą do ołtarza. Daphne cieszyła się bardzo. Trochę później, w spokojniejszej chwili, spytała Olivera, co się dzieje z Megan.

Poczuł się nieszczęśliwy. Wzruszył tylko ramionami i powiedział jej, że nie wie.

- Przyjechała w zeszłym tygodniu, żeby poznać dzieciaki. Nie był to oszałamiający sukces. Nie interesuje się takimi sprawami, a ja w tej chwili mam ręce pełne roboty. Było inaczej, kiedy ich nie było. Ale teraz po prostu nie wiem, Daph.

- Nie wygląda na pełną uczuć ciepłą mateczkę, ale pewnie nie to cię do niej przyciągnęło.

Oliver uśmiechnął się do swojej przyjaciółki.

- Można tak powiedzieć.

- No cóż, w końcu wydlubała cię z twojej skorupy, a to już jest coś. - Uśmiechnęła się. - To miłe, co się dzieje w życiu twego ojca.

- Czy nie wydaje ci się to szalone, Daph? Benjamin będzie miał niedługo dziecko, mój ojciec się żeni. Tylko ja siedzę sam.

- To się zmieni pewnego dnia.

Nie spieszyło mu się. Jeśli romans z Megan się skończy, nie będzie to koniec świata. Jeszcze się nie rozwiódł i nie mógł sobie wyobrazić ponownego ożenku. Był zajęty swoim życiem, dziećmi, pracą. Reszta mogła trochę poczekać.

Pływali do późna w nocy. Dzieci spały. Jego ojciec w końcu pojechał, a Benjamin musiał pójść do pracy. Daphne pomogła Oliverowi posprzątać, choć Aggie już wróciła po

długim, letnim wypoczynku. Czuli się tak, jakby od początku lata przeszli długą drogę. I tylko trochę go zabolalo, gdy przypomniał sobie, że rok temu była tutaj Sara i życie było takie proste i łatwe. Nic już nie było proste. I nic nie było pewne. Ale życie jest słodkie. Był wdzięczny losowi za to, co miał. Nawet jeśli już nigdy nie będzie miał nic więcej, i tak wszystko będzie w porządku.

W końcu spotkał się z Megan. U niej. Tej nocy, gdy wrócili do domu. Po tym, jak kochali się godzinami, omówili wszystko i przyznała mu się, że była w East Hampton z dawnym kochankiem. Zabolalo go, gdy mu o tym powiedziała, choć podejrzewał to wcześniej.

- To już skończone, prawda?

- Niezupełnie. - Leżała zmęczona na łóżku i patrzyła na niego. - Będę szczęśliwa, mogąc się z tobą spotykać. Ale nie zamierzam bawić się w mamuszkę dla twoich dzieci, nawet jeśli ty tego chcesz. Już nie masz dla mnie tyle czasu, co przedtem, kiedy ich nie było. Czasami tak się właśnie dzieje, Oliverze. Lecz między nami nic się nie zmieniło.

Była taka obojętna. Wszystko wydawało się jej takie łatwe. Nie przywiązywała się do nikogo. Liczył się czysty seks. Z początku uwielbiał ją za to, ale teraz mu to nie wystarczało. Nie chciał jej dzielić z nikim. Nie chciał żyć bez swoich dzieci. Okazało się zbyt trudne bycie z kimś, komu na jego dzieciach nie zależało i kogo one odrzucały. A teraz wiedział i to, że ona nie zrobi ani jednego kroku w ich stronę. Naprawdę tego nie chciała. To była ta część jej osoby, która podejmowała wysiłek, żeby się nie związać. W końcu wygrała.

W tej grze on przegrał.

- Przykro mi, że tak wyszło - powiedział jej szczerze, kiedy się ubierał.

Tym razem nie walczyła z nim, żeby zedrzeć z niego ubranie. Dla niej także już coś się zmieniło, niezależnie od tego, czy była gotowa się do tego przyznać, czy nie.

- Nie było innej możliwości. Powiedziałam ci to na samym początku. Nie potrzebujesz kogoś takiego jak ja, Oliverze. Zaslługujesz na coś lepszego. Na kogoś lepszego niż Sara. Tym razem nie zgódź się na mniej, przyjacielu, bo jeśli się zgodzisz, to zawsze będziesz pokrzywdzony, a nie zaslługujesz na to.

- A dlaczego ty nie chcesz niczego więcej?

- Chyba nie jestem do tego stworzona. Priscilla była, ale ja... nigdy. To zbyt bolesne, podejrzewam. Nie chcę podejmować takiego ryzyka, igrać z moim życiem i moim sercem. Chcę się dobrze bawić.

Tylko tego chcę. Po prostu.

I tak było. Dobra zabawa. Świetna zabawa. Dzika, fantastyczna zabawa. Mógłby się tak bawić bez końca, choć pewnie nawet moussaka by się zepsuła. Ale zawsze trzeba czegoś więcej. On potrzebował.

- Co mogę ci powiedzieć wychodząc? - spytał smutno, stojąc w hallu ubrany i wiedząc, że tu nie wróci. - Dziękuję?

- Powiedz do zobaczenia albo na razie, dzięki - świetnie się bawiłem.

- Dziękuję za znacznie więcej... dziękuję ci za coś wyjątkowego.

Ty jesteś wyjątkowa. Nie zapominaj o tym. A może pewnego dnia zdobędziesz się na odwagę.

- Nie licz na to.

Pocałowała go lekko w usta i nacisnęła guzik windy. A gdy drzwi się zamykały, zobaczył ją po raz ostatni, otuloną białym atłasowym kimonem, uśmiechającą się do niego, z grzywą hebanowych włosów otaczających kremową twarz.

Wiedział, że będzie za nią tęsknił. Wracał piechotą do domu. I było mu jej żal, kiedy myślał o niej. Żałował, że nigdy nie będzie miała domu, bo nie chce, bo się boi. A ona stała wysoko na tarasie, patrzyła na niego i pomachała mu ręką.

Wróciła do saloniku. Włączyła jakąś muzykę. Wypiła brandy, które zostawił, i usiadła samotnie na sofie, przypominając sobie, jak jego ciało reagowało na jej dotyk.

- Bardzo by ci się podobał - szepnęła do wspomnienia siostry, której już od dawna nie było. Oliver idealnie by do niej pasował. Megan drażniłaby ją, jaki jest uczciwy, jaki porządny i jaki łagodny. Uśmiechnęła się do samej siebie, myśląc o nich obojgu, a potem poszła do sypialni. Miała jeszcze coś do zrobienia - przeprowadzenie kolejnej aukcji książek. Nie miało sensu wspomnianie przeszłości. Usunęła ich oboje ze swego serca jak niepotrzebne przedmioty, dla których nie było już miejsca. Wzięła prysznic, wyczyściła zęby, wyłączyła światło. Weszła do łóżka, myśląc o tym, że przez jakiś czas było miło, ale z Oliverem Watsonem koniec. Nie płakała, nie żałowała. Była przyzwyczajona do dawania sobie rady sama. A gdy powoli zapadała w sen, zmusiła się do myślenia o czymś innym. Jej chwila z Oliverem już minęła.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Ślub George'a Watsona z Margaret Porter był dokładnie taki, jak powinien. Była czułość, słodycz i prostota, a w oczach Daphne łzy, kiedy oblubieńcy składali przysięgę. Śluby zawsze tak na nią działały, pewnie dlatego, że nigdy nie miała zamiaru wyjść za mąż. Ale ten ślub był wyjątkowy, bo oboje byli wspaniałymi, kochanymi ludźmi. Panna młoda, ubrana w prostą kremową koronkową suknię, trzymała wiązankę maleńkich kremowych storczyków, a na głowie miała mały elegancki kapelusik. Oliver przyprowadził ją do ołtarza, tak jak to obiecał. Stał potem obok dzieci, z wilgotnymi oczyma. Grały organy.

Uroczystość była krótka i Skromna. Po niej wszyscy pojechali do Purchase na przyjęcie. Oliver postanowił wyprawić je dla nowożeńców. Zaprosił kilkoro najbliższych przyjaciół. Niektórzy z nich byli początkowo oburzeni, a potem - tak jak Oliver - złagodnieli. Trudno byłoby pozbawić George'a i Margaret radości, którą odczuwali i na którą po prostu zasłużyli.

W słoneczne wrześnie popołudnie panna młoda i pan młody pojechali o piątej do Nowego Jorku. Mieli spędzić noc w hotelu „Plaża”, a potem polecieć na dwa tygodnie do San Francisco. Margaret miała tam krewnych, chcieli też iść do opery. Zamierzali spędzić kilka dni w Carmelu, a potem wrócić przez San Francisco do domu.

Była to idealna podróż dla nich. Margaret tego nie mówiła, ale nie chciała oddalać się za bardzo od „cywilizacji”. Z powodu serca George'a wołała trzymać się blisko miejsc, gdzie w razie potrzeby mogła znaleźć fachową opiekę lekarską. Na razie wydawało się, że George potrzebuje tylko jej troskliwej ręki. Gdy wyjeżdżali do miasta, goście rzucali na nich płatki róż, a świeżo poślubieni,

rozradowani, machali rękami.

- To było wspaniałe, absolutnie wspaniałe - zachwycała się Daphne, gdy usiedli potem w saloniku. - Może i ja wyjdę za mąż, kiedy będę w ich wieku.

Oliver pokręcił głową i wyszczerzył zęby w krzywym uśmiechu.

- Powinnaś zrobić coś takiego, a wtedy ja bym się do ciebie przyłączył.

Opowiedział jej o końcu romansu z Megan. Nie była zaskoczona, chociaż zrobiło jej się przykro. Przez ostatnie dwa miesiące dobrze się bawił, ale już się skończyło. Znowu miał to samotne spojrzenie, mimo że twierdził, iż jest szczęśliwy.

- Musisz zacząć wszystko od początku.

- To straszne!

Perspektywa umawiania się z kimś napełniała go rozpaczą. Stwierdził przy tym, że odlot z Megan był nie tylko wyczerpujący, lecz również jakby trochę nienormalny. Ktoś, kto żyje według trochę zwyczajniejszych zasad, może być łatwiejszy do strawienia na dłuższą metę.

Wieczorem odwiózł Daphne na stację. Uparła się, że musi wrócić. Miała iść następnego dnia z kimś na lunch, a poza tym żona jej przyjaciela wyjeżdżała z miasta, więc mogła spędzić z nim noc. Nigdy jej nie towarzyszył. Był ostrożny. Nie chciał, żeby ktoś go z nią zobaczył. Zaakceptowała to, jak wszystko, co dotyczyło przyjaciela.

„Ma szczęście, drań”. Oliver mówił jej to wielokrotnie, ale tylko się śmiała. Nie chciała nic więcej, poza tym, co z nim dzieliła. Kochała go bez zastrzeżeń i była zadowolona z życia z nim, mimo ograniczeń. Oliver już dawno zaprzestał prób przekonania jej, żeby poszukała sobie kogoś innego.

Późnym wieczorem gawędził z Mel. Siedzieli razem w saloniku, rozmawiając o ślubie, gdy zadzwonił telefon. Mel schwyciła słuchawkę, przekonana, że to któraś z jej przyjaciółek. Wyglądała na zaskoczoną, że to nie jej koleżanka, i wręczyła słuchawkę ojcu. To Benjamin prosił, żeby podszedł ojciec. Dała mu słuchawkę, pocałowała go i poszła spać.

- Dobranoc, tato.

- Do zobaczenia rano, kochanie. Śpij dobrze. - A potem zwrócił się do starszego syna: - Co się dzieje, Benjaminie?

Widzieli się po południu na ślubie dziadka. Ben wziął wolny dzień i przyszedł sam. Sandra nie czuła się zbyt dobrze, miała grypę, jak powiedział, co bardzo pechowo się złożyło, zważywszy jej stan. Dziecko miało się urodzić za dziesięć dni i chłopiec był bardzo spięty. Wyglądał okropnie.

- Cześć, tato! - Głos Benjamin był rzeczowy. - Rodzi. Jesteśmy w szpitalu. Już od ósmej...

- Czy wszystko w porządku?

Oliver powrócił wspomnieniami do czasów, kiedy rodziły się jego dzieci. Jaki był wtedy podniecony. Ale Benjamin odczuwał bardziej strach niż podniecenie.

- Nie idzie to całkiem dobrze. Nic się nie zmienia... i tato...

strasznie ją boli... już jej coś dali, ale nie pomaga...

- A co z tym specjalnym oddychaniem, którego się uczyła?

- Nie chce tego robić. I... tato... oni myślą, że z dzieckiem coś nie tak... - Jezu Chryste! Chore dziecko!

- Chcesz, żebym przyjechał?

- Taaak... Ja... przepraszam... wiem, że jest późno. Przyjedziesz?

- Pewnie. - Benjamin podał mu nazwę szpitala. - Zaraz będę.

Wybiegł z domu, po drodze złapał klucze do samochodu, zadowolony, że Benjamin do niego zadzwonił. Znowu zbliżyli się do siebie i może zdoła coś zrobić, żeby pomóc synowi.

Nie mógł pomóc w tej chwili Sandrze. Było mu jej żal. Nie miała krewnych, którzy by się nią zaopiekowali, ani matki, która wzięłaby ją za rękę. Ale on będzie tam razem z Benjaminem. Dla Sandry lekarze będą musieli zrobić resztę.

Kiedy przyjechał, Benjamin krążył nerwowo po korytarzu. Był ubrany w coś przypominającego zieloną piżamę i w biały fartuch, a na głowie kołysał mu się śmieszny zielony czepek. Na ten widok ojciec uśmiechnął się, przypomniał sobie takie, święto Halloween*, kiedy Benjamin przebrał się za lekarza. Miał wtedy cztery lata, a teraz w oczach Olivera wyglądał na niewiele starszego.

- Wyglądasz jak doktor Kildare. Jak ona się czuje?

- Okropnie. Krzyczała i krzyczała. Poprosili, żebym wyszedł, bo chcieli jeszcze raz ją zbadać. Błagała mnie, abym jej nie opuszczał. Nie wiem, co mam dla niej zrobić, tato...

- Uspokój się, synu. Wszystko będzie w porządku. Chcesz kubek kawy?

Benjamin pokręcił głową, lecz Ollie poszedł po kawę dla siebie. Wypił sporo wina na przyjęciu, a nie chciał być senny, gdy Benjamin go potrzebuje. Kiedy wrócił z dymiącą filiżanką, dwóch lekarzy, ubranych podobnie jak Ben, dyskutowało z jego synem.

Oliver przystanął niedaleko. Zobaczył, że Benjamin zamyka oczy i kiwa głową.

- Chcą zrobić cesarskie cięcie. Dziecko jest zagrożone.

*Halloween - zabawy przebierańców w Zaduszki (przyj. tłum.).

Wiem, że tego nie chciała, ale oni mówią, że nie ma wyboru.
- Powoli ściągnął czepek z głowy. - Nie pozwolą mi być z nią teraz. Uśpią ją.

- Wszystko będzie w porządku, tylko musimy poczekać. - Mocno uściskał syna i popchnął łagodnie na krzesło.

- A co będzie, jeśli dziecko będzie chore? - spytał Benjamin z rozpaczą.

- Zastanowimy się, gdy przyjdzie na to czas, ale założę się, że będzie zdrowe jak rydz. - Chciał go jeszcze raz spytać o oddanie dziecka do adopcji, ale wiedział, że nie pora na to.

Wydawało mu się, że siedzą tam godzinami. Widzieli pełzające wskazówki zegara. Było już po pierwszej. I wtedy wyszła na korytarz pielęgniarka.

- Czy jest tu może pan Watson? - spytała. Wstali obaj. Oliver natychmiast usiadł, czując się strasznie głupio. Było jasne, że szukali Benjaminą. Chłopiec podbiegł do niej.

- Pan Watson?

- Tak.

- Jest ktoś, kto bardzo chce pana poznać.

I w środku nocy, bez żadnych zbędnych słów, gdy tak stał w hallu w zielonej piżamie, podali mu jego syna. Był zawinięty w pieluszki, mały tłumoczek. Wydał okrzyk, kiedy pielęgniarka włożyła go w ręce Benjaminą, który delikatnie przytulił go do piersi. Ben patrzył na maleństwo w bezgranicznym zdumieniu. Łzy spływały mu po policzkach. Zaczął się uśmiechać i odwrócił się do Olivera, mocno trzymając dziecko.

- To chłopiec, tato! Chłopiec!

Oliver podszedł szybko, żeby go zobaczyć. Popatrzył na dziecko i serce mocno mu zabiło. Czuł się tak, jakby jeszcze raz ujrzał twarz maleńkiego Benjaminą w kilka chwil

po urodzeniu. To było to samo dziecko, ta sama twarz, te same czerwone włosy i zdumione oczy i tyle z Sary, że gdy Oliver patrzył na nie, rozumiał, że mu coś umknęło. To nie było tylko dziecko Benjamina czy Sandry. To był też jego wnuk. Stanowił jego część i tych wszystkich, którzy byli przed nim... jego ojca... jego matki... i ich rodziców przed nimi... Był częścią ich wszystkich. Oliver już nie mógł dłużej temu zaprzeczać. W jego oczach były łzy, ostrożnie dotknął dziecka, które teraz należało do nich wszystkich.

- Jak się czuje Sandra? - Benjamin z poczuciem winy nagle sobie o niej przypomniał. - Czy dobrze? - spytał pielęgniarkę.

- Dobrze. Za chwilę będzie na sali pooperacyjnej. A teraz, czy mógłby pan pójść z nami na oddział noworodków? Może pan trzymać dziecko w czasie badania.

- Czy wszystko z nim w porządku?

- W jak najlepszym. Waży trzy kilogramy dziewięćset gramów, jego oceny są doskonałe. A to znaczy, że jest ślicznym, zdrowiutkim chłopczykiem. - Wzięła dziecko od Benjamina i zabrała je na oddział.

Młody ojciec jaśniał. A Oliver trzymał się z tyłu. Był to zadziwiający moment w jego życiu. Miał czterdzieści pięć lat i został dziadkiem. Wciąż był wstrząśnięty faktem, że wnuk tak bardzo przypominał jego syna. A potem, ponieważ musiał się tym z kimś podzielić, powędrował do automatu, wykręcił numer i polecił przesłać rachunek pod adresem domowym.

Kiedy podniosła słuchawkę, uśmiechnął się do siebie, a jego głos był lekko schrypnięty ze wzruszenia i miękkki.

- Cześć, babciu!

- Kto to? - Myślała, że pomyłka, i miała już odłożyć słuchawkę.

- Masz wnuka, Saro. - Znowu były łzy w jego oczach, gdy przypomniał sobie dzieci, które im się urodziły.

- Och, mój Boże! Czy jest zdrowy?

- Absolutnie. Waży trzy dziewięćset i wygląda zupełnie jak Benjamin po urodzeniu.

- A jak się czuje Sandra?

- Nieszczególnie, podejrzewam. Musieli zrobić jej cesarskie cięcie. Ale wszystko będzie w porządku. Dziecko jest takie słodkie, Sarrie... Poczekaj, aż je zobaczysz...

- Więc je zatrzymują? - Była całkiem rozbudzona.

- Tak - powiedział spokojnie, nagle czując coś do tego dziecka. Nie spodziewał się, że tak zareaguje... jakby to było jego własne maleństwo. - Wydaje mi się, że je zatrzymają. - Nie mógł się nie zgodzić z Benjaminem, teraz, gdy zobaczył swego wnuka.

- Jak to zniósł Benjamin?

- Był bardzo zdenerwowany, ale w tej chwili wygląda jak zadowolony tata. Och, Saro, powinnaś go zobaczyć. - Oliver był taki z niego dumny i szczęśliwy, i trochę smutny.

- Jesteś strasznym mięczakiem, Oliverze Watson. Sam powinieneś mieć jeszcze kilkoro dzieci.

Jakie to dziwne, że ona tak mówi, lecz teraz wiedli swoje życie w zupełnie innych światach.

- Tak mi mówiono. Jak się czujesz?

- W porządku.

- A twoje oczy?

- Jeszcze trochę kolorowe, ale jakoś ujdą. Ucałuj Benjamina ode mnie. Zadzwoń do niego jutro.

- Uważaj na siebie. - W jego głosie znowu był smutek. Czasami to wciąż bolało, gdy do niej dzwonił. Ale teraz był zadowolony, że z nią porozmawiał. To był przecież i jej wnuk. I chciał jej to powiedzieć.

- Gratulacje - uśmiechnęła się do słuchawki - dziadku!

- Nawzajem. Tak to brzmi, jakbyśmy byli już starszankami, czyż nie?

- Nie wiem, ale chyba mi się to podoba. R Odłożył słuchawkę i poczekał, aż pojawi się Benjamin. Zabrał K go do domu w Purchase i syn po raz pierwszy od sześciu miesięcy położył się do swojego własnego łóżka. Odszedł zbuntowany, a wrócił jako ojciec.

„Jaki dziwny jest świat” - stwierdził w duchu Oliver, gdy szedł do swego pokoju, rozmyślając o dziecku, które urodziło się tej nocy. Życzył mu łatwiejszego życia, łatwiejszej drogi do dorosłości, niż miał jego ojciec. A Benjamin zasypiał we własnym łóżku, uśmiechając się do swego dziecka.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Oliver odwiózł ich ze szpitala do Port Chester. Do przynębiającego mieszkania w Port Chester. Żadne namowy nie skłoniły ich do przenosin do Purchase. Podejrzał, że Sandra z łatwością by uległa, ale Benjamin uparł się, że dadzą sobie radę sami. Miał zamiar zająć się nią i dzieckiem. Wziął dwa tygodnie wolnego i od tej pory wszystko miało być już pod kontrolą. Ale ilekroć Oliver do nich dzwonił, to dziecko płakało. Gdy po tygodniu pojechał ich odwiedzić, Sandra wyglądała okropnie - blada, z ciemnymi kręgami pod oczyma - i było jasne, że wszystko ją boli. Benjamin również wyglądał tak, jakby był na ostatnich nogach, a mieszkanie stanowiło jedną wielką ruinę.

Cztery dni później, w środku nocy, Oliver odebrał telefon w nowojorskim mieszkaniu. Dzwonił Benjamin. Sandrę zabrano do szpitala, z infekcją blizny pooperacyjnej. On sam zajmował się dzieckiem. Płakał, gdy telefonował. Oliver wsiadł w samochód, pojechał do niego, zapakował wszystkie rzeczy małego i przywiózł ich obu ze sobą do domu.

- Agnes zajmie się Alexem, a ty, dla odmiany, trochę się prześpisz.

Tym razem Benjamin się z nim nie kłócił. Nigdy nie wyglądał gorzej. Teraz samo przerzucenie swych spraw na kogoś innego przyniosło mu ulgę.

Następnego dnia po powrocie z biura Oliver usiadł do długiej rozmowy z Benjaminem. Wynikało z niej, że dziecko przez cały czas płakało, a Sandra narzekała. Benjamin nie mógł znaleźć drugiej pracy, co powodowało, że z trudem wiązali koniec z końcem. Wszystko się na niego zważyło. Wpadł w panikę.

Bez względu na to, jak śliczne i mądre było dziecko,

Oliver znowu żałował, że je mieli.

- Synu, musisz wszystko dokładnie przemyśleć. Czy naprawdę to chcesz robić w życiu? Czy naprawdę czujesz, że możesz zatrzymać dziecko? I najważniejsze: co masz zamiar zrobić z sobą samym? Czy chcesz pracować jako pomywacz do końca życia? Co z Sandra?

Wszystkie te pytania dręczyły chłopca od miesięcy i teraz był nimi przygnieciony. Przyznał się ojcu, że nie kocha już Sandry. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek ją kochał, bo jeśli tak, to krótko. Nie mógł znieść myśli o spędzeniu z nią reszty życia. Ale sprawy komplikował fakt, że pokochał synka.

- Jest mój, tato. Nie mogę go zostawić. Nie mógłbym tego zrobić ani jemu, ani sobie. Już nie myślę, że z nią zostanę. Ale jeśli ją zostawię, to muszę jej zostawić dziecko.

Benjamin miał ważne wątpliwości na temat zdolności Sandry do bycia dobrą matką. Wydawało mu się, że ona nie ma żadnego z tych instynktów, które powinna mieć matka. Myślała tylko o sobie, a nie o dziecku.

- Dlaczego nie dasz jej szansy, by ponownie stanęła na nogi? Możesz powinieneś pomyśleć o utrzymywaniu jej, ale bez konieczności wspólnego zamieszkiwania. - Jak właściwie miał to zrobić? Zmywając naczynia? Nalewając benzynę? - Zrobię wszystko, co będę mógł, żeby ci pomóc. Odpocznij przez kilka dni i nad wszystkim spokojnie się zastanów.

Kiedy Benjamin się już zastanowił, znowu poczuł się odpowiedzialny. Sandra wyszła ze szpitala. Było mu jej żal, wziął dziecko i wrócił. Aggie serce pękało, gdy zobaczyła, że chłopiec zabiera dziecko, Oliverowi też, ponieważ stwierdził, że Benjamin wraca do tego, co uznaje za słuszne. Jego syn nie miał zamiaru zaniedbać niczego, co uważał za swój obowiązek. Oliverowi serce się rozdzierało na samą myśl o

nim w tamtym mieszkaniu i z tamtą dziewczyną. Uparł się, że da mu pięć tysięcy dolarów, a Benjamin walczył jak lew, żeby ich nie wziąć.

- Traktuj to jak pożyczkę. Nie mam zamiaru pozwolić ci głodować. Bądź rozsądny, na miłość boską!

W końcu Benjamin się poddał, obiecując, że zwróci pieniądze, jak tylko będzie mógł.

Dwa tygodnie później sprawy jeszcze bardziej się skomplikowały. Dyrektor naczelny firmy Olliego wezwał go do siebie i złożył mu zaskakującą propozycję. Zarządzający oddziałem w Los Angeles umierał na raka. W ciągu tygodnia chciał odejść na rentę i ktoś musiał zająć jego miejsce. A ponadto szefowie zamierzali powiększyć tamtejszy oddział, żeby zrównać go z oddziałem w Nowym Jorku. Chcieli „równowagi na obu wybrzeżach”, jak się wyrazili, dotarcia do telewizji, która jest przecież taka ważna w ich branży, a także zdobycia lepszych klientów z Zachodniego Wybrzeża. Prezes rady nadzorczej zdecydował, że właśnie Ollie ma prowadzić nowe biuro.

- Na Boga Ojca!... Nie mogę tego zrobić, mam dwoje dzieci w szkole, dom, przyjaciół... nie mogę ich tak po prostu wyrwać i wyprowadzić się o pięć tysięcy kilometrów stąd. - Na dodatek Benjamin i kłopoty z jego dzieckiem. Nie mógł go zostawić w taki sam sposób, jak zostawiła ich Sara rok temu. - Muszę to przemyśleć. - Ale wynagrodzenie, które mu zaproponowano i warunki, w tym udział w zyskach, sprawiały, że byłby szalony, gdyby odrzucił tę ofertę, i wiedział o tym.

- Na miłość boską, Oliverze, oprzytomnij! Bierz to! Nikt więcej nie zrobi ci takiej propozycji, a tak pewnego dnia możesz zostać prezesem rady - próbowała przemówić mu do rozsądku Daphne, gdy wieczorem siedzieli w jego gabinecie,

długo po tym, jak wszyscy inni poszli już do domu.

- A co z moimi dziećmi? Moim domem? Moim ojcem?

- Nie bądź śmieszny?! Twój ojciec ma własne życie i żonę, która go kocha. Benjamin też ma własne życie. Poradzi sobie z kłopotami. Wcześniej czy później. Czy będziesz tutaj, czy nie. Jest takim właśnie dzieckiem, bardzo podobnym do ciebie. Na pewno spodoba się tam i Mel, i Samowi. Zobacz, jak dobrze znieśli przeprowadzkę do Nowego Jorku.

- Ale na Boga Ojca, Daph! To było zupełnie coś innego. Pięćdziesiąt kilometrów od Purchase. A tam pięć tysięcy kilometrów od domu.

- Nie będzie to miało żadnego znaczenia, gdy stworzycie tam dom dla siebie. Melissa jest w przedostatniej klasie, za dwa lata znajdzie się gdzieś w college'u. Nie wykorzystuj dzieci jako pretekstu do wymówki. Bierz to! To jest fantastyczna oferta!

Los Angeles? Kalifornia? Tutaj był jego dom.

- Nie wiem. Muszę to przemyśleć. Muszę porozmawiać z dziećmi i usłyszeć, co one powiedzą.

Oboje byli poruszeni, gdy im o tym powiedział, ale nie tak przerażeni, jak tego oczekiwał. Chyba nawet im się ten pomysł spodobał, kiedy go przemyśleli. Nie podobało im się, że muszą zostawić swoich kolegów. Sam martwił się, czy będzie mógł widywać się z Sarą. Ollie obiecał mu, że będzie ich posyłał do niej dość często i że będą spędzali z nią wakacje. Ale dla Olliego przeprowadzka rysowała się wciąż jako przerażająca perspektywa. Najgorsze było, że chcieli, aby przeniósł się tam w ciągu miesiąca.

- No, dobra, dzieciaki, co powiecie? - zapytał ich po kilku dniach. Miał czas do końca tygodnia na podjęcie decyzji. - Jedziemy do Kalifornii czy zostajemy tutaj?

Mel i Sam wymienili długie, zatroskane spojrzenia i

Oliver uzmysłowił sobie, iż ma nadzieję, że powiedzą „nie”.

- Jestem za wyjazdem - zaskoczyła go Mel, a Sam wyszczerzył zęby.

- Tato, tato. Jedźmy. Będziemy jeździli co niedziela do Disneylandu.

Siedział, gapiąc się na nich, wciąż zaskoczony ich decyzją.

- Naprawdę chcecie?

Kiwnęli głowami, a on czuł się tak, jakby śnił. Następnego dnia poszedł do pracy i powiedział szefom, że jedzie. Poleciał do Los Angeles w niedzielę, by znaleźć jakiś dom do wynajęcia. Spędził trzy dni na poszukiwaniu szkół dla dzieci, a potem cały tydzień poznawał pracowników biura. Wrócił, aby zakończyć kwestie organizacyjne w Nowym Jorku.

Wierna Aggie zgodziła się z nimi pojechać. Oliver postanowił nie sprzedawać domu w Purchase, tylko zatrzymać go do czasu, aż uzna, że na Zachodnim Wybrzeżu wszystko układa się pomyślnie. Najtrudniej było mu powiedzieć o tym Benjaminowi. Ale tak jakoś wyszło, że nawet mógł się trochę mniej o niego martwić. Benjamin i Sandra zgodzili się zamieszkać w domu w Purchase. Powiedział im, że jeśli mu „pomogą”, to zdejmą mu okropny kłopot z głowy.

- Jesteś pewien, tato, że to nie przysługa z twojej strony?

- Nie, synu, na pewno. Jest jeszcze jedna możliwość - wstrzymał oddech - mógłbyś zostawić Sandrę i Alexa w tamtym mieszkaniu i pojechać razem z nami na Zachodnie Wybrzeże.

Ale Benjamin tylko pokręcił ze smutkiem głową. Nie zostawiłby ich. Nie mógł, bo Alex był jego dzieckiem, a

Sandra nie miała pojęcia, jak sobie z nim radzić.

- Tutaj będzie nam dobrze. - Znalazł drugą pracę, a że nie musiał płacić czynszu za dom ojca, to będą mieli o jeden wydatek mniej.

Wszystko się przewaliło jak po trąbie powietrznej. Spakowali się. Pojechali. Płakali. Machali rękami. Tydzień przed Świętem Dziękczynienia* wyjechali do Los Angeles, żeby zacząć zupełnie nowe życie w Kalifornii.

Gdy samolot wylądował na lotnisku w Los Angeles, Oliver popatrzył na Mel i Sama i zaczął się zastanawiać, co zrobił.

- Gotowi? - Uśmiechnął się do nich nerwowo, modląc się w duchu, żeby spodobał im się dom, który wynajął w Bel Air.

Dom był nadzwyczajny. Piętro. Sauna. Jacuzzi w każdej wannie. I basen dwa razy większy, niż mieli w Purchase. Posiadłość należała do pewnego aktora, który stracił fortunę. Wynajmował dom, bo nie mógł się zdecydować na jego sprzedaż.

Andy podróżował w wielkiej klatce. Odebrali go z resztą bagaży. Aggie poprawiła kapelusz i uśmiechnęła się do dzieci. Przed lotniskiem czekała na nich limuzyna. Dzieciaki wsiadały z szeroko otwartymi oczyma, a Andy warczał i jednocześnie machał ogonem. Oliver zastanawiał się po raz setny, czy postąpił słusznie. Ale nawet jeśli popełnił głupstwo, to nikt na to nie zwracał uwagi. Przynajmniej nie w tej chwili. Opadł na poduszki siedzenia i wziął dłonie dzieci w swoje ręce.

- Mam nadzieję, dzieciaki, że dom wam się spodoba.

- Na pewno.

*Święto Dziękczynienia - święto państwowe w Stanach Zjednoczonych, obchodzone w czwarty czwartek listopada (przyp. tłum.).

Sam się uśmiechnął i wyglądał przez okno. Mel jakby nagle wydorosłała, gdy tak jechali przez Los Angeles do nowego domu, który ojciec wybrał dla nich w Bel Air. Był to zupełnie inny, nowy świat, nowe życie, ale zdaje się, że ich to nie wzruszało. Oliver wyglądał przez okno, przerażony perspektywą tego, co mieli zrobić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Tom spełniał wszystkie marzenia dzieci. Był dla nich idealny.

Zadomowili się w ciągu kilku tygodni. Cała trójka rozkwitała. Nawet Agnes była pełna entuzjazmu, a po splądrowaniu okolicznych sklepów stwierdziła, że ma wszystko, czego jej potrzeba. Mel pokochała nową szkołę. Sam zaprosił dwóch nowych kolegów, żeby popływali w jego nowym basenie w weekend Święta Dziękczynienia. Tylko święto wydawało im się trochę dziwne, bez Benjamina, bez dziadka i tak daleko od Sary. Mieli spędzić z nią Boże Narodzenie.

Byli dopiero miesiąc w Kalifornii, a już się pakowali, żeby pojechać do Bostonu na ferie zimowe.

Oliver odwiózł ich na lotnisko. Wiedział, że będzie mu brakowało dzieci na święta, lecz cieszył się, że tak się złożyło, gdyż zyskał dwa tygodnie, w czasie których mógł popracować do późna w biurze. Potrzebował trochę czasu, aby się przekopać przez projekty czekające na niego od dnia przyjazdu. Bardzo brakowało mu Daphne. Tęsknił za jej bystrym okiem, żywym umysłem, jasną oceną i twórczymi rozwiązaniami jego problemów. Wielokrotnie dzwonił do niej z prośbą o radę i wysyłał listy ekspresem, żeby oceniła jego pomysły nowych kampanii reklamowych i projektów. Marzył o tym, żeby i ją wysłano do Los Angeles, ale wiedział, że nigdy by się na to nie zgodziła. Jej związek z mężczyzną w Nowym Jorku była dla niej zbyt ważny. Raczej rzuciłaby pracę niż tamtego żonatego mężczyznę, dla którego zrezygnowała ze swego życia piętnaście lat temu.

Kilka dni przeleciało piorunem. Zbliżało się Boże Narodzenie. Jeszcze przed wyjazdem do Sary dzieci ubrały choinkę i wymieniły się prezentami z ojcem. W dniu, w

którym wyjechały, Oliver wrócił do pustego domu i uświadomił sobie, że po raz pierwszy będzie spędzał święta sam, bez nich i bez Sary. Łatwiej mu było o wszystkim zapomnieć dzięki pracy. Miał jej tyle, że na pewno wypełni dwa tygodnie ich nieobecności.

Następnego popołudnia po wyjeździe dzieci jedna z pracownic z wahaniem zapukała do drzwi jego gabinetu.

- Proszę pana, Harry Branston sądził, że może zechciałby pan to zobaczyć. - Położyła kartonik zaproszenia na jego biurku.

Popatrzył na nie tylko. Był zbyt zajęty, żeby je przeczytać. Udało mu się to dopiero kilka godzin później. Było to zaproszenie na przyjęcie z okazji Bożego Narodzenia, organizowane corocznie przez sieci telewizyjne dla swoich gwiazd, personelu, przyjaciół i ważniejszych agentów reklamowych. Jednym z najlepszych klientów agencji Olivera była sieć telewizyjna, która wydawała to przyjęcie. Powinien wziąć w nim udział, ale nie wiedział, czy znajdzie czas, a poza tym nie był w odpowiednim nastroju. Odłożył zaproszenie na bok i postanowił zobaczyć, jak mu się ułoży dzień. Przyjęcie miało się odbyć dopiero za cztery dni.

Tego popołudnia, kiedy odnalazł zaproszenie na biurku, pójście na przyjęcie było ostatnią rzeczą, o jakiej by pomyślał. Wiedział, że nikogo nie będzie tam znał, i nie wyobrażał sobie, by ktoś mógł zauważyć jego nieobecność. Odłożył zaproszenie na bok i wtedy zdawało mu się, że słyszy głos Daphne, nalegającej, żeby poszedł. Tak właśnie by mu poradziła: aby poszedł dla dobra agencji i przedstawił się wszystkim jako nowy dyrektor biura w Los Angeles.

- Dobrze... już dobrze... - zamruczał. - Pójdę. A potem uśmiechnął się do siebie, znowu myśląc o niej i o ich wspólnych kolacjach ze spaghetti. Tego mu najbardziej

brakowało po przyjeździe do Los Angeles. Nie miał tu przyjaciół. I z całą pewnością nikogo takiego jak Daphne.

Zadzwoił po limuzynę agencji. Rzadko jej używał, ale przy takiej okazji mogła być przydatna. Kierowca będzie wiedział, gdzie odbywa się przyjęcie, a on nie będzie musiał się martwić, gdzie zaparkować.

Przyjęcie zorganizowano w jednym z wielkich studiów. Limuzyna podjechała do szlabanu, strażnik sprawdził, czy nazwisko Olivera jest na liście, a potem machnął im ręką, że mogą jechać. Oliver czuł się trochę tak, jakby grał w filmie.

Dwie młode kobiety wskazały mu drogę. Nagle znalazł się w otoczeniu przypominającym westybul ogromnego hotelu, wśród setek ludzi odświętnie ubranych i pijących szampana. Nad nimi górowała ogromna choinka, a dyrektorzy sieci witali wszystkich. W pierwszej chwili poczuł się głupio, jak nowy uczeń w szkole, ale wydawało mu się, że nikt go nie zauważył. Kilkanaście razy się przedstawił i starannie ukrywał, że jest pod ogromnym wrażeniem. Zobaczył znane twarze, twarze gwiazd z popularnych programów i seriali telewizyjnych. Kobiety były piękne, mężczyźni przystojni i zrobiło mu się przykro, że nie ma z nim Mel. Byłaby pewnie trochę przestraszona, ale bardzo by jej się tu podobało. Zobaczył nawet gwiazdę ulubionego programu Sama, chłopca o piegowatej twarzy, którego powiedzonka Sam bez końca powtarzał.

Odsunął się, żeby zrobić miejsce komuś przepychającemu się przez tłum, i nieumyślnie nastąpił na czyjeś stopy. Oskoczył z przeprosinami na ustach, a gdy się odwrócił, ujrzał stojącą przed nim najpiękniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek spotkał. Jej twarz była bez skazy. Oczy zielone. Włosy barwy błyszczącej miedzi.

- Ja... bardzo przepraszam... nie zauważyłem... -
Uświadomił sobie, że gdzieś ją kiedyś widział, ale nie był pewien gdzie.

Spojrzała na niego, uśmiechnęła się, prezentując idealne zęby. Niezwykła uroda nie przeszkadzała jej w swobodnym zachowaniu. Kobieta była w czerwonych skórzanych spodniach i prostym czarnym swetrze. Miała uśmiech małej dziewczynki, a nie gwiazdy filmowej. Była zadziwiająco zgrabna i wszystko w niej wydawało się doskonałe.

- Jest mi ogromnie przykro - powtórzył raz jeszcze, pamiętając, że wylądował całą stopą na jej palcach, ale ona tylko się roześmiała, przyglądając się skłębionemu tłumowi wokół nich.

- Szaleństwo, prawda? Co roku tu przychodzę i za każdym razem zastanawiam się, dlaczego idę. To wygląda trochę jak coś, co tu się nazywa globalnym obsadzaniem ról. Dyrektorzy sieci mówią pewnie do siebie tak: „Hej, Joe, przyślij paczkę ciał na przyjęcie”. Później przyklejają sobie do rąk kieliszki z szampanem i życzą wszystkim dobrej zabawy. - Znowu się roześmiała, nadal obserwując tłum, a potem jej oczy napotkały wzrok Olivera.

Dla niego należała do nowej rasy. Idealna twarz, pięknie uczesane rude włosy. Wszyscy w Los Angeles wyglądali na takich „zrobionych”, tacy byli wystudiowani w sposobie ubierania się i nakładania makijażu. Całe życie poświęcali swemu wyglądowi. Wyczuwał jednak, że ta dziewczyna jest inna.

- Wiem, że nie powinienem o to pytać, pewnie powinienem to wiedzieć, ale czy pracuje pani tutaj?

- Można tak powiedzieć, a pan nie pracuje, prawda? Gdyby pracował, wiedziałby, kim ona jest, ale nie obchodziło

jej to, że nie wiedział. Tak było jakoś milej.

- Pracuję dla agencji reklamowej. - Nie chciał jej powiedzieć że nią zarządza. - Właśnie przeprowadziłem się z Nowego Jorku. Dopiero kilka tygodni temu. Tutaj jest zupełnie inaczej, ale bardzo mi się podoba.

- Proszę trochę poczekać. Czasami można tu zwariować. Mieszkam tutaj od dziesięciu lat, a wciąż czuję się jak Alicja w Krainie Czarów.

Było to uczucie, które zaczął poznawać. Zastanawiał się, jak ona wygląda bez tak starannie uczesanych włosów i fachowo nałożonego makijażu.

- A przedtem, gdzie pani mieszkała?

- W Nebrasce. - Roześmiała się. - Czyby pan w to uwierzył? Przyjechałam tutaj, żeby dostać się do UCLA i zostać gwiazdą. A moja rodzina nadal uważa, że zupełnie zwariowałam, bo tu siedzę. Czasami nawet się z nimi zgadzam. Ale uwielbiam pracować w tej branży.

Wyglądała na podekscytowaną, gdy to mówiła, a jemu spodobał się wyraz jej oczu. Była pełna życia i radości, a jednak wydawało mu się, że nie traktuje siebie zbyt poważnie. I wtedy, gdy rozmawiali ze sobą, ktoś do niej podszedł i poprosił o autograf. Podpisała zdjęcie, nie robiąc wielkiego zamieszania. Uśmiechnęła się, podziękowała i odwróciła z powrotem do Olliego. Miał szczerze zawstydzony wyraz twarzy, bo zrozumiał, że powinien wiedzieć, kim ona jest.

- W porządku. Jutro będę się zamartwiał. Dowiem się, kim pani jest, i będę się czuł jak skończony frajer. Dlaczego nie powie mi pani od razu? Przekonam się, jaki ze mnie ignorant, i spróbuję jakoś to przeżyć. - On też się uśmiechał. - Kim pani jest?

- Czerwonym Kapturkiem - zażartowała. - Prawdę

mówiąc, to cieszyłam się, że pan mnie nie zna. Nie chcę sobie tej przyjemności popsuć.

- Obiecuję, że zapomnę, jak tylko pani mi powie.

- Dobrze - wyciągnęła do niego rękę w formalnym powitaniu - w takim razie jestem Chariotte Sampson.

Była gwiazdą jednego z większych seriali, który pokazywano raz w tygodniu w najlepszym czasie antenowym. Jej partner też był gwiazdą, a ich publiczność oceniano na jakieś osiemdziesiąt milionów widzów.

- O mój Boże! - Naprawdę poczuł się jak ostatni głupiec. A Mel na pewno umrze, kiedy usłyszysz, że ją poznał.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- A teraz, kiedy mamy to już za sobą, kim pan jest? Ścisnął jej rękę i zapomniał się przedstawić. Nie mógł uwierzyć, że ją poznał, nigdy by się nie domyślił, że jest tak drobna, młoda, pełna życia. W filmie była bardzo poważna i zwykle miała zupełnie inne uczesanie. Gapił się na nią bez przerwy i czuł się jak prawdziwy prowincjusz.

- Przepraszam. Zupełnie mnie pani zaskoczyła. Jestem Oliver Watson. To wszystko przez to, czym jest Hollywood dla nas, frajerów ze wschodu. Obawiam się, że nie jestem przyzwyczajony do wpadania na gwiazdy codziennie, nie mówiąc już o tratowaniu im stóp.

- Proszę się nie martwić. Kiedy mój ojciec był tu ostatni raz, przechodził obok Joan Collins i powiedział jej, że przypomina mu nauczycielkę ze szkoły niedzielnej w Nebrasce. Po raz pierwszy widziałam, jak jej słów zabrakło. A on tylko poklepał ją po plecach i poszedł dalej.

- Może powinienem zrobić to samo. Ale pani nie przypomina mi nauczycielki szkółki niedzielnej.

Przypominała raczej dziewczynę z sąsiedztwa. Ale niezwykle piękną dziewczynę. Była naprawdę wspaniała, a

jej płomiennorude włosy zaintrygowały go. Poznał po kremowej karnacji skóry, że była naturalnym rudzielcem.

- Pan też nie wygląda jak ktoś z reklamy. Raczej przypomina mi pan kogoś z naszego serialu.

Roześmiała się. Stwierdził, że często to robi. Była dziewczyną o miłym sposobie bycia, bez manieryczności czy afektacji kogoś ważnego i popularnego.

- Nie zgadzam się z panią.

- A co pana tu sprowadziło?

Było mnóstwo ludzi, których znała, kręcących się w pobliżu, machających do niej, posyłających pocałunki, robiących jakieś znaki, ale wydawała się zupełnie zadowolona z rozmowy z Olliem.

- To agencja. Ktoś zachorował i ściągnięto mnie tutaj na jego miejsce. Działo się to wszystko w pośpiechu, ale całkiem nieźle wyszło. - I raptem poczuł się winny. - Panno Sampson, czy ja panią zatrzymuję? Wyobrażam sobie, że jest mnóstwo ważnych osób, z którymi powinna pani porozmawiać, a nie z jakimś facetem od reklamy.

- Już wypełniłam swoje obowiązki. Przyjechałam wcześniej. Wypiłam kieliszek szampana, ucałowałam dyrektora naczelnego sieci. Czego mogą jeszcze chcieć? Stepowania? Już było. Mam teraz czas wolny. I ta rozmowa podoba mi się. Jest dużo łatwiejsza niż z nerwowymi gwiazdorama, którym spadają oceny ich programów.

Oceny jej serialu na pewno nie spadły. Dostała w tym roku nominację do nagrody Emmy, lecz jej nie zdobyła. Poczuł się jeszcze większym głupcem z tego powodu, że nie wiedział, kim ona jest, kiedy ją zobaczył po raz pierwszy.

- A co robiłeś w Los Angeles, Oliverze, odkąd tu przyjechałeś?

- Praca... trochę więcej pracy... i jeszcze więcej pracy.

Prawdę mówiąc, to nie widziałem nic poza moim domem i biurem.

- Nie brzmi to za wesoło. Byłeś gdzieś na kolacji?

- Jeszcze nie. Tylko raz z moimi dziećmi. Poszliśmy do „Hard Rock Cafe”. Bardzo im się to podobało. A ja poczułem się, jakbym miał czterysta lat i tracił słuch.

Roześmiała się, bo lubiła to miejsce, chociaż też się tak czuła, pewnie dlatego, że trudno było tam rozmawiać. Ale wystrój wnętrza był bajkowy. Szczególnie lubiła patrzeć na stary samochód Elvisa Presleya, jakby wpadający przez dach. Za każdym razem, gdy go widziała, przypominało jej się dzieciństwo.

- A byłeś już w „Spago”?

- Nie.

- Musimy kiedyś tam iść.

Brzmiało to tak, jak wersja z Los Angeles nowojorskiego zdania: „Zjedźmy kiedyś razem lunch”. Nie potraktował tego zbyt poważnie. Spojrzała na niego z zainteresowaniem i spytała, w jakim wieku są jego dzieci.

- Mam szesnastoletnią córkę, dziesięcioletniego syna i jeszcze jednego syna, który został na wschodzie.

- Brzmi nieźle... - Uśmiechnęła się do niego z odrobiną żalu w oczach. Naprawdę bardzo jej się spodobał. - A twoja żona?

Popatrzyła mu prosto w oczy, a on roześmiał się, że pyta tak wprost.

- Ma czterdzieści dwa lata, ale jesteśmy rozwiedzeni.

Mógł tak powiedzieć. Za osiem tygodni uprawomocniały się dokumenty, a w jego sercu, które było przecież najważniejsze, więź łącząca go z Sarą już dawno została przecięta.

Charlotte Sampson szeroko się do niego uśmiechnęła,

gdy jej to powiedział.

- Ojej! To dobra nowina! Już zaczynałam się martwić. Pochlebiali mu jej słowa i uwaga, którą go obdarzała. Naprawdę czuł, że na nią nie zasługuje. A może była tylko nieśmiała i nie lubiła dużych przyjęć?

- Czy twoje dzieci są tutaj? - zapytała.

- Nie. Pojechały na wschód, żeby spędzić Boże Narodzenie z matką w Bostonie.

- Wydawało mi się, że mówiłeś, iż mieszkasz w Nowym Jorku. - Wyglądała nagle na zakłopotaną. - Ale dlaczego nie są z tobą na święta?

- Ponieważ ze mną są przez cały rok. I naprawdę mieszkaliśmy w Nowym Jorku. Ale ona mieszka teraz w Bostonie. Wyjechała rok temu, żeby wrócić na studia, i... - Popatrzył na nią. Hollywood czy nie, miał zamiar powiedzieć jej prawdę, nawet jeśli nie był pewny, czy ją to w ogóle obchodzi, zachowywała się tak, jakby ją to obchodziło, i była taka miła. - Zostawiła nas... mnie i dzieci... tak że teraz mieszkają ze mną.

Spojrzała na niego, nagle poważniejąc. Odrzuciła długie rude włosy na ramiona.

- To wygląda na długą i bolesną historię.

- Tak było przez jakiś czas. Obecnie to już krótka historia. Ona jest szczęśliwa. My mamy się dobrze. Człowiek przystosowuje się do zmian, jeśli musi.

- Dzieci też? Kiwnął głową.

- Są w porządku. Teraz chyba wszystko wytrzymają. To zgrana paczka.

- Wyglądasz na dobrego ojca.

- Dziękuję bardzo, szanowna pani. - Lekko skłonił głowę i oboje się roześmiali.

Wtedy podszedł do nich jeden z dyrektorów sieci, żeby

się z nimi przywitać. Pocałował Charlotte w oba policzki, uściśnął rękę Olivera i powiedział mu, że miał go na oku przez godzinę.

- Chciałbym przedstawić panu kilku naszych przyjaciół, ale widzę, że już poznał pan moją ulubioną panią.

- Ledwo przeszedłem przez próg, już usiłowałem ją stratować.

Była na tyle uprzejma, że nie wyrzuciła mnie za drzwi ani nie wniosła sprawy do sądu. Obawiam się jednak, że będzie kulała. Nie ruszaliśmy się stąd i staliśmy tutaj, a ja zanudzałem ją opowieściami o moich dzieciach.

- Rozmowa z tobą sprawiła mi przyjemność. - Wyglądała na urażoną, a tamten mężczyzna się roześmiał. Zwróciła się do szefa swojej sieci i odęła wargi. - Przypuszczam, że masz zamiar porwać go stąd.

- Powinienem. Ale jeśli chcesz, to niedługo przyprowadzę go z powrotem. - Odwrócił się do Olivera ze słowami ostrzeżenia: - Uważaj na nią. Nienawidzi gwiazd filmowych, kocha dzieci, psy i nigdy nie zapomina swojej roli. Nie ufam takim kobietom, a ty? Co gorsza, jest taka ładna. Powinieneś zobaczyć ją o czwartej rano, bez makijażu i o twarzy anioła! Można się rozchorować.

- No, dalej, Howie, do diabła! Wiesz, jak wyglądam o czwartej rano! - Śmiała się, Oliver też był rozbawiony. Wyglądała na porządną dziewczynę i z przyjemnością zobaczyłby ją o czwartej rano w makijażu lub bez. - Mówi same kłamstwa. Same kłamstwa. Nienawidzę dzieci i psów. - Nie sprawiała takiego wrażenia, kiedy rozmawiali o jego dzieciach.

- OK! Charlie, idź się pobawić, a ja na trochę zabiorę Olivera. Przyprowadzę ci go niedługo.

Gdy odeszli od niej, ku ogromnemu żalowi Olivera

„Howie” przedstawił go absolutnie każdej istocie, bez względu na stopień jej ważności, i dopiero po godzinie wrócili w miejsce, w którym zostawili Charlotte. I oczywiście jej nie było. Oliver nie spodziewał się, że będzie na niego czekała... nie bardzo w każdym razie... byłby szczęśliwy, gdyby zaczekała... Powoli stamtąd odszedł.

Poszedł szukać limuzyny i wtedy ku swojemu zdumieniu zobaczył ją hen, daleko, wsiadającą do czerwonego mercedesa. Włosy ściągnęła w koński ogon, zmyła makijaż i miała na sobie stary czarny skórzany płaszcz. Pomachał do niej i zobaczyła go. Zawahała się na moment, jakby czekając, by do niej podszedł. Uczynił to. Chciał jej powiedzieć, że bardzo się cieszy ze spotkania z nią. Uśmiechała się, gdy do niej podchodził.

- Do domu? - spytał.

Kiwnęła głową, podniosła ku niemu twarz. Wyglądała zupełnie jak dziecko. Bardzo ładne dziecko, stwierdził, patrząc na nią.

- Mam dwa tygodnie wolnego. Co z tobą? Zakończyłeś swoje obowiązki w środku?

Uśmiechała się do niego ze swobodą. Przytaknął. Chciał ją zaprosić na kolację, ale nie miał odwagi. Potem pomyślał sobie:

„Co, u diabła, najwyżej powie mi »nie«, nawet jeśli jest Charlotte Sampson”.

- Jadłeś już kolację?

Pokręciła głową, a potem twarz jej się rozjaśniła.

- Chcesz iść na pizzę do „Spago”? Nie jestem pewna, czy dostaniemy się do środka, ale zawsze możemy spróbować. Zazwyczaj jest tam dość tłoczno.

Użyła łagodnego eufemizmu! Zwykle „Spago” było nabite od ściany do ściany. Pełno tam było ludzi gotowych

czekać całe życie na fantastyczne dania Wolfganga Pucka i na gwiazdy, które się tam zjawiały.

- Z największą przyjemnością. - Był zachwycony. Potem zerknął przez ramię na swoją limuzynę.

- Mam cię podwieźć czy może jechać za tobą?

- A może pojedziesz ze mną?

- Nie będę ci przeszkadzał? Z pewnością tak byłoby najprościej. Znowu uśmiechnęła się ciepło. Podobał jej się jego wygląd i brzmienie jego głosu, ujmujący sposób bycia i to, że było w nim coś spokojnego i godnego zaufania. Wyglądał jak ktoś, na kim można polegać.

- Oczywiście, że nie.

Szybko zwolnił szofera, jakby się bał, że ona zmieni zdanie, i wślizgnął się na przednie siedzenie obok niej. A wtedy odwróciła się do niego.

- Mam lepszy pomysł. Czasem w „Spago” jest za głośno. Znam inną włoską knajpkę przy Melrose. Nazywa się „Chianti”. Jest tam ciemno i nikt nas nie zauważy. Możemy zadzwonić, czy mają wolne stoliki. - Wskazała na mały czerwony telefon zawieszony na desce rozdzielczej. Posłużyła się jedną ręką, jednocześnie zapalając samochód, a on patrzył na to ze zdumieniem.

- Czy coś się stało? - zapytała.

- Nie, jestem tylko pod wrażeniem.

- Tak - uśmiechnęła się - to daleka droga z Lincoln w Nebrascie.

W restauracji natychmiast odebrano. Będą szczęśliwi, mogąc zaofiarować stół pannie Sampson. Był to idealny wybór. Mała restauracja, ciemna i intymna. Nic nie było „nouvelle”. Wyglądała jak kiedyś wszystkie włoskie restauracje, a potrawy wymienione w menu miały przepyszne nazwy. Kelner szybko przyjął od nich zamówienie. Usiedli

obok siebie na ławie. Oliver próbował jakoś przetrwać fakt, że był na kolacji z Charlotte Sampson. Ale znajdowali się przecież w Hollywood, nieprawdaż? Przez ułamek sekundy myślał o Megan w Nowym Jorku. Jakże to było inne. Tam wyrafinowane i dekadentkie, a tu zdawało się takie proste. Bo Charlotte była taką osobą. Wydawała się taka rzeczywista.

- To był wspaniały pomysł. - Miał zadowoloną minę. Oboje sięgnęli po bułeczki. Umierali z głodu.

- To cudownie, że nie muszę się martwić, że trzeba iść do pracy o czwartej rano. Czasami to bardzo komplikuje życie towarzyskie. Najczęściej jestem zbyt zmęczona, żeby iść dokądś wieczorem. Chyba że do domu spać. Biorę kąpiel i doczołguję się do łóżka ze scenariuszem na następny dzień. O dziewiątej gaszę światło, bo jestem nieżywa.

- A co z tymi słynnymi hollywoodzkimi przyjęciami?

- Są dla kretynów. Może poza obowiązkowymi wyjściami, jak to dzisiaj wieczorem. Resztę można sobie darować. Na takie przyjęcia jak dzisiejsze nie można nie pójść, to zbyt niebezpieczne. Nie warto złościć szefów sieci.

- Tak słyszałem. Czy naprawdę cały czas żyjecie w napięciu?

- Czasami, jeśli oceny nie są zbyt dobre. To parszywa robota - a potem się roześmiała - ale ją uwielbiam. Uwielbiam to podniecenie, tę ciężką harówkę, wyzwanie, gdy scenariusz jest naprawdę trudny. Są pewnie inne rzeczy, które chciałabym robić, lecz to też jest wspaniałe doświadczenie.

- A co wolałabyś robić?

- Zawodowo? - To było ciekawe pytanie. - Może Szekspira. Grałam dużo w teatrze amatorskim w college'u, a potem przyłączyłam się do małej grupy teatralnej, kiedy nie mogłam znaleźć innej pracy. Lubię prawdziwy teatr. To

napięcie. Tę konieczność pamiętania wszystkich kwestii i mówienia ich dobrze co wieczór. Dla mnie szczytem marzeń byłby chyba Broadway.

Kiwnął głową. To było coś w rodzaju szczytu profesjonalizmu, ale to, co robiła, też było niezłe. Podziwiał ją za to. Była to cięższa praca, niż się wydawało. Tyle już wiedział.

- Czy nakręciłaś jakieś filmy dla kina?

- Jeden. - Roześmiała się. - • Kompletna klęska. Jediną osobą, która go widziała i której się podobał, była moja babcia w Nebrasce.

Oboje się roześmiali. Podano im kolację. Gadali bez przerwy o pracy, o jego dzieciach i o tym, jak on się czuje, zarządzając tak niespodziewanie biurem w Los Angeles.

- Reklama musi być bardzo trudna. Raz zepsujesz robotę i tracisz klienta. - Od lat słyszała o takich wypadkach straszliwe opowieści, ale on był zadziwiająco spokojny.

Zastanawiał się nad różnymi rodzajami napięć, które towarzyszyły im w pracy.

- To się tak bardzo nie różni od twojego zawodu. Też nie działasz zupełnie swobodnie.

- Oto dlaczego potrzeba jeszcze czegoś, aby nie zależało ci za bardzo na takim zajęciu, jak moje. Musi być coś jeszcze, co jest ważne w życiu.

- Na przykład? Odpowiedziała bez wahania.

- Mąż, małżeństwo, dzieci. Ludzie, których kochasz. Coś, o czym wiesz, że umiesz to robić. Pewnego dnia seriale, autografy i całe to zamieszanie miną i musisz uważać, żeby nie minąć razem z nimi.

Było to rozsądne spojrzenie na to, co robiła. Wzbudziło jego szacunek. Ale to, co powiedziała, zastanowiło go.

- Czy jest coś, o czym mi nie mówisz, panno Sampson? Czy twój mąż zaraz stanie w drzwiach i rąbnie mnie w nos?

Roześmiała się i pokręciła głową, przekopując się jednocześnie przez ciasto.

- Niemożliwe. Byłam raz mężatką, dawno, dawno temu, kiedy miałam dwadzieścia jeden lat. Wysłałam za mąż w dziesięć minut po wyrwaniu się z college'u.

- Co się stało?

- Był aktorem. Umarł. Nie spotkałam potem nikogo innego, kogo pragnęłabym poślubić. W tym zawodzie nie spotyka się zbyt wielu mężczyzn, z którymi chciałoby się spędzić resztę życia. - Chodziła przez kilka lat z pewnym producentem, ale do niczego nie doszło. Potem były długie miesiące, kiedy nie miała nikogo, czasami umawiała się z kimś spoza branży. - Jestem chyba za wybredna. Moja matka mówi, że znajduję się już po drugiej stronie wzgórza. - Popatrzyła na niego z poważną miną, ale z figlarnym błyskiem w oku. - W przyszłym miesiącu skończę trzydzieści cztery lata. Chyba jestem już trochę za dojrzała do małżeństwa. Otwarcie się roześmiała. Wyglądała na dwudziestolatkę.

- Nie powiedziałbym tego. Czy tak na to patrzą w tych stronach?

- Jeśli skończyłeś dwadzieścia pięć lat, toś trup. Trzydziestka - jesteś po pierwszej operacji plastycznej twarzy, trzydzieści pięć - po dwóch, w tym przynajmniej raz operowano ci oczy, czterdziestka - i wszystko skończone. Teraz rozumiesz, o co mi chodzi? Dlaczego musisz mieć coś jeszcze w życiu...

Brzmiało to prawdziwie, jakby naprawdę w to wierzyła.

- A jeśli nie mąż i nie dzieci, to co?

- Coś, żeby zająć głowę. Kiedyś dużo pracowałam ochotniczo z opóźnionymi dziećmi, ale ostatnio nie mam zbyt wiele wolnego czasu.

- Pożyczę ci moje dzieciaki.

- A jakie one są?

Pytała w taki sposób, jakby ją to interesowało. Wzruszyło go to. Trudno było uwierzyć, że jest tak znana, że odniosła sukces. Była taka prawdziwa i taka zwyczajna. Bardzo mu się to podobało. Tak jak wszystko, co do tej pory widział. Prawie zapomniał o jej urodzie, która stała się nieważna w porównaniu z resztą. Charlotte była piękna w środku, a to podobało mu się bardziej. Myślał o tym, próbując odpowiedzieć na jej pytanie o dzieci.

- Mel jest inteligentna i odpowiedzialna. Strasznie chce zostać aktorką. Przynajmniej teraz tak myśli. Bóg jeden wie, czego będzie pragnęła później. Ale chce wybrać w college'u jako główny przedmiot sztukę dramatyczną. Jest w przedostatniej klasie. Wysoka, blondynka i miły dzieciak. Myślę, że ją polubisz.

Postanowił, że te dwie dziewczyny się spotkają, a potem zaczął się zastanawiać, czy nie planuje na wyrost, ale Charlotte nie zareagowała, gdy to mówił.

- Sam jest mądrym dzieciakiem. Ma dziesięć lat, to żywe srebro. Wydaje mi się, że wszyscy go kochają.

A potem opowiedział jej o Benjaminie, Sandrze i o dziecku.

- Benjamin przechodzi bardzo ciężką próbę. Musi mu być okropnie trudno - stwierdziła.

- Tak. Ale jest zdecydowany robić to, co uważa za słuszne, nawet jeśli go to zabije. Chyba nie kocha już tej dziewczyny, lecz oszalał na punkcie dziecka.

- A więc jesteś dziadkiem. - Popatrzyła na niego z błyskiem złośliwości w oczach. Zresztą miały ten sam odcień zieleni, co oczy Olivera, ale żadne z nich nie zauważyło tego.

- Nie powiedziałaś mi o tym, kiedy się poznaliśmy.

Olliego rozśmieszył sposób, w jaki to powiedziała.

- Czy sprawia ci to różnicę?

- Ogromną. Poczekaj, aż powiem mojej rodzinie, że poszłam na kolację z dziadkiem. Będą się długo zastanawiać, o co mi chodziło.

Mówiła to tak, jakby była z nimi bardzo związana. Spodobało mu się to. Powiedział jej nawet o swoim ojcu i Margaret.

- Przyjeżdżają w styczniu, żeby zobaczyć dzieci. Ona to coś najlepszego, co mogło się mojemu ojcu przytrafić w życiu, choć z początku tak nie myślałem. To był dla mnie ogromny wstrząs, kiedy się z nią ożenił tak szybko po śmierci mojej matki.

- To zabawne, że niezależnie od tego, ile mamy lat, jeśli chodzi o naszych rodziców, wciąż jesteśmy dziećmi, nie sądzisz?

- Oczywiście. Cholernie jej na początku nie lubiłem. Ale on ma prawo do odrobiny szczęścia na stare lata.

- Może dożyje prawdziwej złotej jesieni. - Uśmiechnęła się.

- Mam nadzieję.

- Mam nadzieję, że ich poznam - powiedziała miękko. Skończyli jeść, pogadali jeszcze trochę przy kawie, a potem poszli z powrotem do jej samochodu. Po drodze dwie osoby ją zatrzymały z prośbą o autograf. Nie wyglądała na rozżłoszczoną. Była przyjacielska, uprzejma i jakby wdzięczna. Spytał ją o to, gdy wsiedli do samochodu. Spojrzała na niego wielkimi zielonymi oczyma z poważną

miną.

- W tej branży nie możesz nigdy zapomnieć, że to widzowie cię tworzą, dzięki nim istniejesz. Bez nich jesteś nikim. Nie zapominam o tym.

Piękne było to, że sława nie uderzyła jej do głowy. Była zadziwiająco skromna i pokorna.

- Dziękuję, że zjadłaś ze mną dziś wieczorem kolację.

- Spędziłam wspaniały wieczór, Oliverze. Miała taką minę, że wiedział, iż naprawdę tak myśli. Odwiozła go do domu w Bel Air i gdy tam dojechali, zawahał się. Nie był pewien, czy ma ją zaprosić do środka. Kiedy w końcu ją zaprosił, odpowiedziała mu, że jest naprawdę zmęczona. A wtedy coś sobie przypomniała.

- A co robisz w święta, jeśli twoje dzieci wyjechały?

- Nic takiego. Myślałem, że posiedzę trochę nad robotą. To moje pierwsze święta bez nich.

- Ja przeważnie jeżdżę do domu. Ale w tym roku nie mogłam. Kręcę zdjęcia do reklamówki w przyszłym tygodniu i chciałam przeczytać nowe scenariusze. Mamy nowego scenarzystę. A co z niedzielą? Wybrałbyś się gdzieś?

To była Wigilia i starał się o tym nie myśleć. Lecz jej propozycja była zbyt zachęcająca, żeby odmówić.

- Z największą przyjemnością. Moglibyśmy zjeść razem kolację, może tutaj?

Agnes była w domu, mimo że dzieci wyjechały, ale Charlotte miała lepszy pomysł.

- A co myślisz o tym, żebym upiekła dla nas indyka? Chciałbyś zjeść?

- O, tak!

- Potem możemy pójść do kościoła. Mam przyjaciół, których zawsze odwiedzam w święta. Czy chciałbyś iść do nich ze mną?

- Charlotte, bardzo chcę. Ale czy jesteś absolutnie pewna, że nie wolałabyś robić czegoś innego? Nie chcę się narzucać. Dam sobie radę.

„Da sobie radę”, lecz będzie bardzo samotny.

- No cóż, ale ja sobie nie dam - powiedziała z łagodnym uśmiechem. - Będę bardzo rozczarowana, jeśli nie przyjdiesz. Boże Narodzenie jest dla mnie bardzo ważne i wolę je spędzać z ludźmi, których lubię. Nie bawią mnie sztuczne, posrebrzane choinki i te śmieci, które do nich pasują. Wiesz, takie typowe hollywoodzkie Boże Narodzenie.

- Przyjdę. O której?

- Przyjdź o piątej. Zjemy o siódmej i pójdziemy do kościoła na dwunastą.

Nagryzmoliła mu adres. Wysiadł z samochodu, lekko oszołomiony. Jeszcze mu podziękowała i odjechała, machając ręką. Stał przez dłuższą chwilę, patrząc, jak mały czerwony samochód znika w dole wzgórza. Zastanawiał się, czy naprawdę to się wydarzyło. Takie było nierealne.

Święta z nią jeszcze bardziej przypominały sen. Czekala na niego, w białej sukni. Dom był pięknie umeblowany. Stał na wzgórzach Hollywood przy Spring Oak Drive. Miał przytulny wygląd starej farmy.

Roześmiała się i powiedziała mu, że ten dom przypomina jej Nebraskę. Były tu podłogi z grubych desek, belkowane sufity i ogromny kominek, a przed nim wygodna wielka sofa. Kuchnia była prawie tak wielka jak salon. Mieścił się tam jeszcze jeden kominek i duży stół z dwoma nakryciami. Choinka stała w kącie. Na górze znajdowały się dwie ładne sypialnie. Jedna z nich oczywiście należała do Charlotte i była cała na różowo, z perkalowymi tapetami w kwiaty. Druga sypialnia, utrzymana w wesołym żółtym kolorze, była przeznaczona dla gości. Tam zatrzymywali się

jej rodzice, kiedy przyjeżdżali do niej. Powiedziała mu, że nie zdarzało się to zbyt często. Ten dom nie miał jednej dziesiątej wyrefinowania nowojorskiego mieszkania Megan, ale miał dziesięć razy tyle ciepła. Oliver polubił go od razu.

Schłodziła dla niego butelkę białego wina, a indyk, ku zadowoleniu Olivera już się piekł w piecyku. Przygotowała puree z jadalnych kasztanów, tłuczonych kartofli i słodkich bulw, zielony groszek, galaretkę z żurawin i bardzo dużo farszu. Była to prawdziwie królewska uczta, która przypominała mu, jak kiedyś miło spędzał Boże Narodzenie wspólnie z Sarą i jeszcze wcześniej - w domu jego rodziców. Wydawało mu się, że w święta zje najwyżej kanapkę z wołowiną w biurze lub zatrzyma się na hamburgera w drodze do domu. Nie spodziewał się ani uczty, ani tego, że zasiądzie do niej z Charlotte Sampson. Spadła w jego ramiona jak z nieba. Siadając, położył na stole mały prezent dla niej. Był tak wzruszony zaproszeniem, że chciał jej dać coś miłego na Gwiazdkę. Wstąpił więc poprzedniego dnia do Cartiera i kupił jej prostą złotą bransoletkę.

Była bardzo zawstydzona, że nie pomyślała o żadnym prezencie dla niego.

- To mój prezent, głuptasku. Od ciebie dostałem kolację w Boże Narodzenie jak z bajki.

Wyglądała na zadowoloną, że tak dużo to dla niego znaczy. Rozmawiali, śmiali się, a po kolacji wykorzystał swoją kartę kredytową i zadzwonił do dzieci. Czuł się dziwnie, rozmawiając z nimi przez telefon, ale ich głosy brzmiały tak, że był pewien, iż dzieci świetnie się bawią. Było mnóstwo śmiechu, pisku, przekazywania sobie słuchawki. Nawet rozmowa z Sarą nie była niezręczna. Złożył jej życzenia i odłożył słuchawkę. Potem zadzwonił do ojca. I głos ojca był szczęśliwszy niż kiedyś.

Zaskoczyło go to bardzo, gdy uświadomił sobie, że Sarą zostawiła ich dokładnie rok temu. I powiedział to Charlotte.

Łatwo się z nią rozmawiało. Na deser przygotowała sarlotkę z bitą śmietaną i sosem waniliowym.

- Czy wciąż za nią tęsknisz, Oliverze? - spytała, gdy usiedli. Podziwiali widok za oknami i kończyli świąteczny deser. Pokręcił głową. Chciał być wobec niej szczerzy.

- Już nie. Nawet czuję się trochę dziwnie, gdy przypominam sobie, że byłem z nią kiedyś żonaty. Chyba jest mi obca. Na początku to bardzo bolało. Naprawdę myślałem, że tego nie przeżyję. Ale musiałem, ze względu na dzieci. Sądzę, że to one zmuszały mnie do robienia czegoś.

Skinęła głową, brzmiało to sensownie. Pomyślała, że Oliver ma szczęście, że ma dzieci. .

- Chyba nigdy nie chcieliśmy tego samego. Przez te wszystkie lata starałem się tego nie widzieć. Za to ona nie zapomniała, czego chce.

- Czasami ten rodzaj uporu jest prawdziwą zaletą, a czasami grzechem, prawda?

- W jej przypadku samo małżeństwo było chyba wielkim błędem, a jednak jestem zadowolony, że się pobraliśmy, bo w przeciwnym razie nie mielibyśmy dzieci.

- Są wszystkim dla ciebie?

- Tak - przyznał. - Dla siebie niewiele zrobiłem przez ten rok.

Może z wyjątkiem spotkania Megan, ale to było chwilowe odchylenie od normy. Miesiąc bezwzględного, całkowitego, fantastycznego szaleństwa.

- Może potrzebowałaś czasu, żeby zastanowić się, czego chcesz teraz.

- Chyba tak. Nie jestem pewien, że już wiem. Ale

może w ogóle nie muszę nad tym myśleć. - Uśmiechnął się do niej, a ona naląła mu filiżankę pysznej, parującej kawy. Miał wrażenie, że za chwilę pęknie, co było zgodne z celem świątecznych kolacji. Czuł się szczęśliwy i syty. Cieszył się z towarzystwa tej kobiety. Była jakby wprost stworzona dla niego, gdyby nie fakt, że nazywała się Charlotte Sampson. - A co z tobą? - zwrócił się do niej. - Wiesz, czego szukasz, Charlotte?

Uśmiechnęła się.

- Wolałabym, żebyś mówił do mnie: Charlie. Wszyscy moi najbliżsi przyjaciele tak do mnie mówią. - Zdziwiałą się, że mógł się do nich zaliczać, ale musiał przyznać, że pomysł mu się spodobał. - Zawsze zastanawiam się przy końcu roku... dokąd zmierzam... gdzie chcę być w następnym roku i co chcę robić... Na razie to samo, dopóki to przynosi jakiś efekt. - Oboje wiedzieli, że ma na myśli swój serial. - A co do reszty, co będzie, to będzie. Mam marzenia, jak wszyscy, ale wiele z nich już się spełniło.

Wyglądała na zadowoloną ze swego życia. Nie szukała, nie walczyła, nie pragnęła więcej, niż miała.

- Bardzo chciałabym pewnego dnia wyjść za mąż i mieć dzieci. Ale jeśli nie jest mi to pisane, trudno. Nie można zabijać się z powodu spraw, na które i tak nie ma się wpływu.

Była zaskakująco i cudownie spokojna.

Pomógł jej posprzątać. O dziesiątej wypili jeszcze jedną kawę. Tuż przed północą zawiózł ją na Beverly Hills, do kościoła Dobrego Pasterza. Usiedli blisko siebie w ławce. Było tak właśnie, jak powinno być. Pod koniec pasterki przy drzewku, świecach i kadzidle śpiewali kolędy. Wyszli o wpół do drugiej. Odwiózł ją do domu, czując się szczęśliwy, ciepły i syty. Tak bardzo, że prawie nie tęsknił za dziećmi.

Miał zamiar tylko ją odwieźć, ale kiedy dojechali na

miejsce, popatrzyła na niego dziwnie.

- Wiem, że to może zabrzmieć głupio, Oliverze, ale to tak nieprzyjemnie być samemu w domu w Wigilię. Czy zostaniesz na tę noc u mnie w pokoju gościnnym?

Spotkali się dopiero dwa dni temu. Spędzili razem Wigilię i teraz zapraszała go jako gościa do swego domu. Bez żądz, której nie kryła Megan, ale z ciepłem, dobrocią i szacunkiem. Nagle zapragnął zostać z nią, najbardziej na świecie. Chciał być z nią tego wieczora, przez tydzień, przez rok, może nawet przez całe życie.

- Bardzo bym chciał, Charlie. - Pochylił się i pocałował ją. Był to czysty i delikatny pocałunek.

Ręka w rękę poszli do jej domu. Zaprowadziła go na górę i posłała mu łóżko. Przy pokoju była łazienka. Trzymała tam piżamy i szlafroki dla przyjaciół. Zrobiła wokół niego trochę zamieszania, jak kwoka, a potem z ciepły uśmiechem i słowami „wesołych świąt” zostawiła go samego. Leżał w łóżku w jej gościnnym pokoju. Długo, bardzo długo nie spał. Myślał o niej i chciał do niej iść. Ale wiedział, że wykorzystanie jej serdeczności byłoby nieuczciwe, więc leżał tam jak dziecko pragnące wejść do łóżka matki, lecz nie mające odwagi.

Kiedy obudził się następnego dnia, poczuł zapach smażonych kielbasek, naleśników i gorącej kawy. Wyczyścił zęby nową szczotką, którą mu zostawiła, ogolił się i zszedł na dół w szlafroku, chcąc zobaczyć, co się dzieje.

- Wesołych świąt, Oliverze! - zawołała, kiedy wszedł do kuchni.

Uśmiechnął się i zaczął przyglądać się, co ona robi. Dwie minuty później wystawne śniadanie było gotowe. Składało się na nie wszystko to, co Oliver już wcześniej poczuł, i coś więcej: bekon, jajka, świeżo wyciśnięty sok

pomarańczowy.

- Wesołych świąt, Charlie. Nigdy się mnie nie pozbędziesz, jeśli tak mnie będziesz karmić. Jak w luksusowym hotelu!

- Cieszę się, że się panu u nas podoba. - Uśmiechnęła się do niego z zadowoleniem.

A wtedy bez ostrzeżenia pochylił się i pocałował ją. Tym razem pocałunek był gorętszy, niż odważył się sobie pozwolić poprzedniej nocy. A kiedy się w końcu odsunęła, obojgu trochę brakło tchu.

- No, no, Oliverze, co za przywitanie!

- Pasuje do śniadania!

Zjadł trochę. A potem znowu wyciągnął do niej ramiona. Nagle zupełnie nie mógł już wytrzymać z dala od niej. Była zbyt dobra, aby to mogła być prawda. Bał się, że na jego oczach zniknie, jeśli jej nie schwyci.

- Bądź grzecznym chłopcem! - - upomniała go z uśmiechem. - Zjedz śniadanko!

- Nie jestem pewien, czego chcę bardziej - rozjaśnił się w uśmiechu, jak dziecko w sklepie z zabawkami przed Bożym Narodzeniem - tego śniadania czy ciebie? - Popatrzył na nią wesoło. - W tej chwili ty wygrywasz.

- Bądź grzeczny, bo inaczej święty Mikołaj nic ci nie przyniesie.

Zjedz wszystko do końca.

- Tak jest, proszę pani!

Naprawdę to myślał, że święty Mikołaj przyniósł mu ją w prezencie i że Howie miał rację. Bez makijażu, z włosami ściągniętymi gumką, ze świeżą i czystą twarzą wyglądała po prostu cudownie.

Gdy skończyli jeść, zniknęła na chwilę. Wróciła z małym błękitnym aksamitnym pudełeczkiem. Położyła je

przed nim. Przypomniała sobie o tym późno w nocy w kościele. I teraz z przyjemnością patrzyła, jak je otwiera. W środku był piękny stary zegarek z dewizką i elegancką tarczą z rzymskimi cyframi. Wpatrywał się w zegarek, zaskoczony.

- Należał do mojego dziadka, Ollie... podoba ci się?

- Bardzo! Ale nie możesz mi dać czegoś takiego! Ledwie ją znał. A jeśli byłby łajdakiem, jeśli nie zobaczyłaby go nigdy więcej? To nie było w porządku. Lecz gdy próbował oddać jej prezent, nie chciała go wziąć.

- Chcę, żebyś go miał. Jesteś bardzo szczególną osobą, a dla mnie te święta też są szczególne. Powiedziałam ci, że zawsze jeżdżę do domu, ale w tym roku nie mogłam. I wśród tych wszystkich ludzi, których znam, nie było nikogo, z kim chciałabym spędzić święta tutaj... poza tobą... a to chyba o czymś świadczy... dlatego daję ci go... nie zgub i pamiętaj o tych świętach.

Poczuł, że łzy płyną mu do oczu. Popatrzył na nią, pragnął jej podziękować, ale zamiast tego przyciągnął ją do siebie i pocałował. Delikatniej niż przedtem. Miała smak soku pomarańczowego, naleśników i kielbasek. Pachniała lawendą i fiołkami. Chciał ją tak trzymać w ramionach całe życie.

- Oszalałem na twoim punkcie, Charlie - wyszeptał. - Czy ty coś z tego rozumiesz? Minęły dopiero trzy dni... przepraszam, cztery...

Poznali się w czwartek, a teraz był poniedziałek...

- Nie - szepnęła - i to mnie śmiertelnie przeraża... ale też tak się czuję...

- I co z tym zrobimy? Zachowujemy się jak para zwariowanych dzieciaków. Dopiero co cię poznałem i zakochałem się w tobie. A ty jesteś słynną gwiazdą telewizji, więc co, u diabła, tu ze mną robisz? O co tu chodzi?

- Nie wiem - była zamysłona i trochę smutna - ale telewizja nie ma z tym nic wspólnego. Tyle wiem. Myślę, że jesteśmy parą ludzi, która spotkała się w odpowiedniej chwili. Mieliśmy szczęście.

- Tak właśnie jest. - A może coś więcej? Los? Przeznaczenie? Żądza czy samotność? Cokolwiek to było, było cudowne. To była ich tajemnica. I dobrze, że mogli o tym rozmawiać. - Czy pojedziesz ze mną do mojego domu, żebym się mógł przebrać? - spytał z uśmiechem.

Szczęśliwa, kiwnęła głową. To był pierwszy dzień świąt. Później miała go zabrać do swoich przyjaciół. A potem przyszykować dla niego kolację. Nie chciała, żeby coś się zmieniło czy skończyło. Tego samego chciał Ollie. Chciał po prostu być z nią.

Począł, aż się ubierze i zawiózł ją do swego domu w Bel Air. Agnes wyjechała na weekend. Oprowadził Charlie po całym domu, pokazał jej pokoje dzieci, pokazał setki zdjęć, które przywieźli ze sobą z Nowego Jorku. Siedzieli jak dwoje dzieciaków, godzinami przeglądając fotografie, a on tymczasem wyjaśnił, co jest co i kto jest gdzie.

- Są piękne, Oliverze.

- Ty też - wyszeptał ochryple i pocałował ją znowu. Nie był pewien, jak długo będzie mógł się powstrzymać. Tak bardzo jej pragnął. Była taka cudowna i siedziała za blisko niego na sofie. - Chcesz posiedzieć chwilę przy basenie?

Był piękny, słoneczny i ciepły dzień. Może nie rzuci się na nią, jeśli zabierze ją na zewnątrz. Chciał wytrzymać, poczekać, aż oboje będą pewni, że właśnie o to im chodzi. Leżeli obok siebie na słońcu, długo rozmawiając. Czuli, że tyle mają sobie do opowiedzenia, tyle do nauczenia o sobie, tyle do wyjaśnienia i zrozumienia.

Tego popołudnia Oliver zadzwonił do Benjamina.

Charlotte z czułym uśmiechem przysłuchiwała się jego rozmowie z synem. Dziecko w porządku. Sandra wyszła. Dom wspaniały. Mają nadzieję, że prędko go zobaczą. Nie, nic się nie stało. Uśmiechnęła się znowu, gdy odłożyła słuchawkę. Wariujesz za nim, prawda?

- Tak. - Uśmiechnął się smutno. - Chciałbym tylko, żeby wyszedł już z tej kupy gnoju i zabrał stamtąd tyłek. Chciałbym mieć go na oku. I żeby poszedł z powrotem do szkoły. Marnuje sobie życie z tą dziewczyną, a w jego wieku to jest zbrodnia.

- Daj mu szansę! Poradzi sobie z tym za jakiś czas. Wszyscy sobie radzimy. Nie wydaje ci się, że się pobiorą?

- Nie, nie sędzę. - Westchnął i otoczył ją ramieniem. Pojechali odwiedzić jej znajomych. Oboje byli reżyserami. Zrobili kilka interesujących rzeczy i mieli kilkoro miłych przyjaciół. Było trochę znanych ludzi i wielu anonimowych, ale wszyscy serdeczni i bezpośredni. Nie wyglądali na zaskoczonych, widząc Charlotte z Oliverem. Sprawili, że poczuł się swobodnie i dobrze się bawił. Zostali dłużej, niż planowali. O dziewiętej wrócili do Bel Air i postanowili popływać w basenie. Nie mieli nic na kolację, ale byli najedzeni - po obfitym śniadaniu, lunchu i tych wszystkich smakołykach w domu jej przyjaciół.

Pożyczył jej jeden z kostiumów Mel i poszedł się przebrać. A gdy wrócił, już była w basenie, pływała, wykonując spokojne ruchy ramionami. Zatrzymała się obok niego.

- Bardzo dobrze pływasz. Czy jest coś, czego nie umiesz robić? - zapytał.

- Tak, mnóstwo rzeczy. - Uśmiechnęła się do niego. - Dużo pływam, pomaga mi to utrzymać linię.

Z całą pewnością służyło jej to. Ciało, które zobaczył,

gdy wyszła na brzeg, żeby skoczyć z trampoliny, zaskoczyło go. Jej proporcje były idealne. A jej kształty doskonale wyrzeźbione. Była niewiarygodnie piękną dziewczyną. Mokra czy sucha, rano czy nocą, o każdej porze dnia, roku, wszędzie i zawsze. Zapragnął jej teraz, tutaj, w swoim basenie. Ale wiedział, że nie może jej tego zrobić. Dopiero się poznali. Na swój sposób była staroświecką dziewczyną. Zanurkowała blisko niego i wypłynęła niedaleko.

- Chcesz się pościgać?

Uśmiechnął się do niej. Był kapitanem drużyny pływackiej sto lat temu i nie miała z nim żadnych szans. Zgniółł jej ręce w uścisku i przyparł do ściany basenu. Pocałował ją.

- Też nie jesteś zły.

- O której z moich umiejętności mówisz, kochanie? - zażartował.

- O obu, oczywiście.

Potem zanurkowała za nim i popłynęła pod wodą jak mała rybka. Ale już dłużej nie mógł tego wytrzymać. Popłynął za nią, objął jej kibić dłońmi i powoli wynurzyli się razem. Trzymał ją mocno, a ona otoczyła go ramionami i pocałowała.

- Jeśli chcesz znać prawdę, to nie jestem pewien, czy będę mógł odpowiednio się zachować. - Chciał być wobec niej szczery od samego początku.

- Nie jestem pewna, czy chcę, żebyś się odpowiednio zachowywał, Ollie. - I znowu pocałowała go mocno.

Ogarnęło go pożądanie. Zsunął powoli jej kostium i przeciągnął dłońmi po jej niewiarygodnym ciele. Oddychali jak jedna istota. Poruszali się jednym rytmem. Ujęła go w dłonie.

- Och, dziecino... - zajęczał, gdy poczuł, jak go dotyka,

- Charlotte... Kocham cię...

Zawstydził się, że to powiedział. Uwielbiał sposób, w jaki myślała i w jaki czuła. Uwielbiał dotykać jej ciała. Jego palce delikatnie muskały jej wnętrze. Popłynęli do schodów, pełni pożądania. Położył ją łagodnie na plecach. Całowała go. Wszedł w nią i wygięła się w łuk. Ruszała się wraz z nim. Ciepła woda opływała ich. Trwało to bez końca. Łagodne i piękne, jak gdyby byli dwojgiem ludzi połączonych przez czas i przestrzeń, zawieszonych gdzieś tam tak długo, jak długo mogli wytrzymać. W końcu stracił kontrolę i zadrżał, a ona przywarła do niego i w tym samym momencie wybuchnęli. Otworzyła oczy, popatrzyła na niego i powiedziała mu to wszystko, co chciał usłyszeć od chwili, gdy się spotkali. I choć wydawało mu się to szalone, wiedział, że dla nich obojga to prawda.

- Ollie - szepnęła w słodkim wieczornym powietrzu - Kocham cię.

Wyniósł ją wtedy z basenu, otulił ręcznikiem i zaniósł do swojego pokoju. Leżeli w jego łóżku długo w noc, szepcząc, chichocząc jak para dzieciaków, dzieląc się sekretami i marzeniami. A kiedy znowu się z nią kochał, dla obojga stało się jasne, że są tam, gdzie chcieli być, z właściwą osobą we właściwym czasie.

- Czy to nie jest sen? - szepnęła do niego, gdy odpływali w noc jak szczęśliwe dzieci.

- Wesołych świąt, Charlie - szepnął, ciasno otaczając ją ramieniem, i potarł nosem jej szyję.

Były to takie święta, jakich nigdy przedtem nie mieli. Jedyne, jakie chcieli mieć. A jeśli to był sen, to Oliver miał nadzieję, że nigdy się z niego nie obudzi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Dzieci wróciły po spędzeniu dwóch tygodni w Bostonie. Oliver pojechał na lotnisko, żeby je odebrać. Czuł się szczęśliwy i wypoczęty, ogrzany miłością Charlotte. Jak zwykle, bardzo za nimi tęsknił, ale tym razem, kiedy ich nie było, miał własne życie. Dni płynęły mu jak za machnięciem różdżki. Bardzo się denerwował, że dzieci po powrocie wyczują w nim zmianę. Miał nadzieję, że polubią Charlie. Już przedtem doświadczył tego, że szansę romansu zostały pogrzebane, ponieważ jego dzieci i jego pani nie zgadzały się ze sobą. Wciąż drżał na wspomnienie chwili, w której przedstawił im Megan. Ale tego, co dzielił teraz z Charlotte, nie można było porównać z niczym. Ona była łagodna, ciepła, delikatna. Obchodziło ją to, co on czuje, i w przeciwieństwie do Megan bardzo chciała poznać jego dzieci i zaprzyjaźnić się z nimi.

Sam wpadł w ramiona Olivera zaraz po wyjściu z samolotu. A Mel była tuż za nim, z szerokim uśmiechem na opalonej twarzy. Przed Nowym Rokiem Sara zabrała ich na kilka dni do New Hampshire na narty.

- No, no, wyglądacie świetnie!

Dobrze się bawili. Po drodze do domu Mel cicho wspomniała w samochodzie, że ich matka powoli wraca do siebie po śmierci Jeana - Pierre'a. Sara pracowała pilnie nad swoją powieścią. Postanowiła zadedykować ją Jeanowi - Pierre'owi. Oliver nie pytał, czy jest ktoś w jej życiu. Naprawdę nie chciał wiedzieć. Czuł, że teraz to tylko jej sprawa.

- A ty, tato - Sam mocno się przytulił do niego w samochodzie - nie tęskniłeś za nami?

- Chyba żartujesz, stary? Dom bez was był jak grób. - Nie zawsze, uśmiechnął się do siebie, przecież bywała tam

Charlotte. - Czułem się okropnie samotny bez was.

Uśmiechnął się do Mel nad głową Sama i skonstatował, że stała się bardziej kobieca. W ciągu ostatnich kilku miesięcy opracowała nowy sposób trzymania głowy. Po dwóch tygodniach jej nieobecności zauważył w niej również inne zmiany.

- A jak tam Andy? - Sam dopytywał się o psa.

- Jak zwykle okropnie bałagani - powiedział wesoło ojciec. - Przedwczoraj przemaszerował przez białą kanapę po wypłuszkaniu się w basenie. Aggie pobiegła za nim ze szczotką i nie jestem pewien, kto wygrał. Za to pożarł jej zasłony. - Roześmiali się głośno, wyobrażając to sobie.

Oliver starał się, żeby następne wypowiedziane przez niego słowa brzmiały bardzo obojętnie.

- Dzisiaj na kolacji będziemy mieli gościa. - Chciał to powiedzieć bardzo spokojnie, ale zastanawiał się, czy uda mu się kogoś oszukać poza samym sobą, gdyż jego dzieci, były bardzo bystre.

- Czy to specjalny gość, tato?

Mel uśmiechnęła się zaciekawiona i uniosła brwi. To też była zmiana. Sześć miesięcy temu była gotowa znienawidzić każdą kobietę, która wykazała choćby cień zainteresowania jej ojcem. Ale nagle wszystko się zmieniło. Dorastała. Miała prawie siedemnaście lat. W jej szkole był chłopiec, którym bardzo się interesowała. A w końcu, po lecie spędzonym z matką i Jeanem - Pierre'em, zrozumiała, że jej rodzice nigdy nie wrócą do siebie. Tylko Sam tego nie dostrzegał, bo był bardziej nieświadomy. On, zdaje się, niczego w głosie ojca nie dosłyszał, choć dosłyszała Mel.

- To znajoma. Mel nalegała:

- Powiedz, kim ona jest?

- Ma na imię Charlie, to znaczy Charlotte, i pochodzi z

Nebraski.

Nic innego nie przyszło mu do głowy, nie chciał się przechwalać, mówiąc im, że jest to znana aktorka z telewizji. I tak się sami dowiedzą. Tak jak Aggie. Szczęka jej opadła ze zdumienia, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Charlotte. Ale szybko się zaprzyjaźniły i na prośbę Aggie Charlie przyniosła jej zdjęcie z autografem i drobne upominki z umieszczonym na nich tytułem serialu. Do powrotu dzieci do domu Charlotte zyskała pełną akceptację gospodyni.

Wjechali na podjazd. Czekala tam Aggie, żeby uściskać dzieci.

Miała dla nich upieczone ciasteczka. Andy zupełnie oszalał, kiedy ich zobaczył. Kolacja miała być dopiero za dwie godziny. Sam uparł się, że chce popływać. Nie mógł się doczekać przyjazdu do domu do Kalifornii i kąpieli w basenie po dwóch tygodniach na mroźnym wschodzie. Powiedział, że nigdy w życiu tak nie zmarzł, jak w czasie pobytu w Bostonie.

Zanim Mel rozpakowała swoją torbę, pognąła prosto do telefonu, żeby zadzwonić do koleżanek. Musiała dowiedzieć się, co kto robił i z kim, i co ją ominęło, kiedy jej nie było. Rzuciło się w oczy, że oboje odczuwali zadowolenie z powrotu do domu. Oliver cieszył się, widząc to. Było mu przykro, że tymczasem żadne z nich nie widziało się z Benjaminem. Starszy syn wrócił do pracy na dwóch posadach. Poza tym byli z Sandrą uwiązani przy dziecku. Tak jakby w ich życiu nic się nie zmieniło na lepsze. Zapytał o to Mel w samochodzie. Powiedziała mu, że podczas rozmowy telefonicznej Benjamin wydawał jej się przygnębiony, ale może tylko zmęczony, bo Sandrą nie wróciła do domu aż do północy i on opiekował się dzieckiem przez cały czas.

Dokładnie o siódmej, kiedy Oliver zdenerwowany

czekał w swoim pokoju, przysłuchując się znajomym odgłosom domu, zobaczył małego czerwonego mercedesa wjeżdżającego na podjazd. Serce mocno mu zabiło. Chciał wybiec do Charlie i pocałować ją, ale powstrzymał się. Począł, aż wysiadzie z samochodu, a potem poszedł spokojnym krokiem do drzwi, żeby ją wpuścić. Zastanawiał się, czy dzieci podglądają.

- Cześć, dziecino - szepnął i szybko pocałował ją w kark, a następnie w policzek. - Tęskniłem za tobą.

Zdawało mu się, że wiele dni upłynęło od chwili, gdy widzieli się ostatni raz, ale naprawdę to byli ze sobą tego ranka.

- Ja też tęskniłam za tobą - szepnęła niczym konspirator. - Jak dzieci?

- Świetnie! Fantastycznie się bawiły, ale chyba są zadowolone, że wróciły. Opowiedziałem im o tobie w czasie jazdy i na razie wszystko jest w porządku.

To było gorsze nawet od przedstawienia dziewczyny przyszłej teściowej. Wiedział już, jak okrutne potrafią być dzieci, a szczególnie jego własne. Charlotte też się denerwowała przed poznaniem jego pociech, więc oboje zachowywali się jak zakłopotane dzieciaki.

Zaprowadził ją do saloniku. Tam siedli na wyściełanych fotelach po dwóch przeciwnych stronach pokoju, ale nie oszukaliby nikogo. Spojrzenia, jakie na siebie rzucali, były czystym uwielbieniem. Przez ostatnie dwa tygodnie udało im się znaleźć coś bardzo cennego i oboje wiedzieli o tym. A Charlotte chciała się tym podzielić.

Podsłoczył z krzesła i pobiegł na górę, żeby zawołać dzieci, a ona tymczasem chodziła po pokoju, dotykając różnych przedmiotów, gapiąc się bezmyślnie na zdjęcia. Co będzie, jeśli ją znienawidzą, jeśli jego córka okaże się

wstrętnym bachorem, a jego ukochany syn Sam potworem? Zanim zdążyła podkulić pod siebie ogon i uciec, wpadł do pokoju pies, a za nim Sam. Mel i Oliver tuż za nimi. Był to nagły atak. Pokój raptem był pełen hałasu, gadania i śmiechu, ale wszyscy ucichli, gdy ją zobaczyli.

Oliver prędko wystąpił do przodu i przedstawił ich. Mel uścisnęła jej rękę i oczywiście oceniła ją, ale zdaje się, że zaakceptowała to, co ujrzała. Naprawdę była pod wrażeniem. A Sam gapił się na nią przymrużonymi oczyma, jakby próbował sobie coś przypomnieć, ale nie był pewien, co. Nie można było zaprzeczyć, że jest bardzo ładna. Ubrana w prostą granatową spódnicę, ciemnoniebieskie wzorzyste pończochy, prześliczne granatowe pantofelki, biały golf i żakiet. Była mniej umalowana niż Mel, która też nie miała za dużo makijażu. Włosy ściągnęła w koński ogon, długi i lśniący. To Mel pierwsza zauważyła, że miały ten sam odcień co czupryna Benjamina.

- Jak miło was oboje poznać - uśmiechnęła się Charlotte - dużo o was słyszałam od waszego ojca.

- Tak, a co? - Sam z zadowoleniem wyszczerzył się do niej. Była na swój sposób miła i zdecydował, że może ją polubić. - Czy opowiadał ci o moim naukowym eksperymencie? - Był z niego szczególnie dumny.

Mel zajęczała.

- Nie, nie rób tego, proszę! - Odgadła bez trudu, co właśnie nadchodziło.

- Czy chciałabyś go zobaczyć? - Sam uśmiechnął się szeroko. Charlotta już miała skinąć głową, gdy Mel wyciągnęła rękę, żeby ją powstrzymać.

- Posłuchaj mojej rady, nie rób tego. On hoduje robaki. Są obrzydliwe.

We dwie z Aggie zmusiły go do trzymania ich w

garażu, ale on umierał z chęci pokazania robaków znajomej ojca, z jednej strony, żeby się popisać, a z drugiej, żeby ją sprawdzić.

- Ja też hodowałam robaki. - Charlie uśmiechnęła się do chłopca. - Moja matka i tak je wyrzuciła. Miałam węże i białe myszki i... świnkę morską. Czy miałaś kiedyś świnkę morską, Sam? - Pokręcił głową, zupełnie oczarowany. Było oczywiste, że jest świetna. - Są wspaniałe. Moja była długowłosa. Wyglądała jak skrzyżowanie psa i królika.

- Ojej! Ale to fajne! - A potem zwrócił się do Olivera z szeroko otwartymi oczyma. - Tato, mogę mieć świnkę?

- Najpierw lepiej zapytaj Aggie. Pewnie ona będzie czyścić jej klatkę.

Agnes zawołała ich na kolację. Usiedli w jadalni przy dużym stole. Charlotte rozłożyła nakrochmaloną serwetkę na kolanach i czuła, że oczy Mel oceniają wszystko - od lśniących włosów po idealnie zadbane paznokcie.

Jedli hamburgery, frytki - ulubione danie Sama, zieloną sałatę i upieczone w domu drożdżowe bułeczki. Oliverowi natychmiast przypomniały się proste posiłki, które dla siebie gotowali przez dwa tygodnie w kuchni Charlotte. I wiedziała, że będzie tęsknił za tymi chwilami, które spędził z nią sam, ale już sobie obiecał, że spędzi z nią tyle czasu w przyszłości, ile będzie mógł, nawet po powrocie dzieci. Miał w końcu do tego prawo i one muszą się do tego przyzwyczaić.

A potem nagle, w połowie kolacji. Sam wydał okrzyk i zaczął się w nią wpatrywać. Otworzył szeroko usta, wybałuszył oczy, pokręcił głową... to nie mogła być... to nie ona... czy to...

- Czy jesteś... czy to ty...

Nie wiedział nawet, jak zacząć zadawać pytania,

Charlotte łagodnie się roześmiała. Zastanawiała się, czy się domyślają. Wydawało jej się, że Mel rozpoznała ją pierwsza, ale tak się nie stało.

- Chyba masz... - powiedziała skromnie, z figlarnym uśmiechem. - Jeśli pytasz o to, co ja mam na myśli, to zgadłeś, Samie.

- Jesteś z telewizji! Ojej! To ty, prawda? Chodzi mi...

- Tak, tak... to prawda - spojrzała przeprasząco na oboje, czując się trochę zawstydzona.

- Dlaczego nam nie powiedziałaś? - spytał Sam trochę obrażony.

Mel miała zmieszana minę. Charlotte wydawała jej się znajoma, ale wciąż nie mogła sobie przypomnieć skąd i wstydziła się teraz o to zapytać. Oczywiście powinna to wiedzieć. I czuła się naprawdę głupio.

- Nie sądziłam, że to jest takie ważne. Sam. Najpiękniejsze było to, że naprawdę tak myślała.

- Powiedziałaś, że miałaś świnkę morską. A dlaczego nie powiedziałaś, że masz swój program w telewizji?

Wszyscy roześmiali się z jego rozumowania, a Charlotte pokręciła głową i uśmiechnęła się.

- To nie jest dokładnie to samo, jak wiesz.

I wtedy Mel też się domyśliła i wytrzeszczyła oczy.

- Och! Mój Boże! Jesteś Charlotte Sampson?

- Jestem - powiedziała spokojnie, a Aggie podsunęła jej jeszcze jeden koszyk pełen pysznych bułeczek i popatrzyła na nią z dumą. Wyglądało to tak, jakby ona i Charlie były starymi przyjaciółkami. Charlotte rzuciła jej wdzięczne spojrzenie, szepnęła:

„Dziękuję, Aggie” i wzięła jeszcze jedną bułeczkę z koszyka.

- Dlaczego nam nie powiedziałaś? - Mel powtórzyła

słowa brata, a Charlotte popatrzyła na nią poważnie.

- Czy to by sprawiło, że byście mnie bardziej lubili? Nie powinno, wiecie o tym. To jest miłe, ale nie jest zbyt ważne...

- Wiem, ale...

Mel nie mogła się doczekać, aby powiedzieć o tym swoim przyjaciółkom w szkole. Jadła kolację z Charlotte Sampson! Wiele dzieci znało tutaj sławnych aktorów, niektóre z nich były z nimi spokrewnione, ale ona nigdy nie знаła żadnego aktora. Obejrzała Charlotte jeszcze raz dokładniej i uznała, że jest fantastyczna.

Tak samo myślał jej ojciec. Podziwiał sposób, w jaki radziła sobie z dziećmi, to, co mówiła, to, jak patrzyła, wartości, które wyznawała - dzięki nim była właśnie takim człowiekiem, a nie tylko sławną aktorką.

- To naprawdę wspaniałe, że mogliśmy cię poznać. - Mel powiedziała to szczerze, a Charlotte roześmiała się. To był komplement, który naprawdę coś dla niej znaczył, szczególnie że powiedziała go córka Olliego.

- Dziękuję ci, Mel. Dla mnie to też jest wspaniałe, że mogłam was poznać. Byłam tak zdenerwowana przed przyjściem tutaj, że przebierałam się chyba z dziesięć razy!

Ollie był wzruszony, a Mel miała zdziwioną minę.

- Ty? Zdenerwowana spotkaniem z nami? To nie do uwierzenia! A co z telewizją?

I wtedy wystrzelili w nią setkami pytań: o to, kogo zna, kogo spotyka, z kim pracuje, jak to jest na planie, jak się uczy roli, czy zawsze ma tremę i czy naprawdę to lubi?

- Hej, hej, dzieciaki, spokój! - wtrącił się w końcu Oliver. - Dajcie Charlie szansę zjedzenia do końca kolacji.

Nie dopuściły jej do głosu, odkąd domyśliły się, kim jest, i w nagle zapadłej ciszy Mel zadała proste pytanie:

- Jak poznałaś naszego tatę?

Była zaciekawiona i Charlie uśmiechnęła się łagodnie na to pytanie.

- Po prostu szczęście! Kilka tygodni temu na przyjęciu bożonarodzeniowym zorganizowanym przez naszą sieć.

A wtedy Oliver postanowił powiedzieć im prawdę, no, może nie Całą. Sądził, że byli już na nią przygotowani.

- Charlie była taka miła, że zaprosiła mnie na kolację w Wigilię.

Nie powiedział im, że spędził z nią noc ani że kochał się z nią w ich basenie w pierwszy dzień świąt, ani że zakochał się w niej po uszy, gdy tylko ją zobaczył, ale Mel i tak to dostrzegła. Nawet Sam podejrzewał, że to coś poważnego. Wydawało mu się to w porządku, bo uważał, że Charlotte Sampson jest fantastyczna.

Gdy tylko skończyli deser, Sam jeszcze raz ją poprosił, żeby poszła z nim do garażu obejrzeć robaki. I ku przerażeniu Mel - poszła, a po powrocie oświadczyła, że hodowla Sama jest znacznie lepsza od tej, którą ona miała. Chłopiec podkreślił z dumą, że dostał za to nagrodę z biologii, ale i tak siostra powiedziała mu, że jest obrzydliwy.

O dziewiątej Sam poszedł do łóżka. Mel została na dole, żeby porozmawiać z Charlotte o scenariuszach, agentach i aktorstwie. Charlotte zwierzyła się jej, że zawsze chciała grać na Broadwayu. W końcu z żalem spojrzała na zegarek i przyznała się, że następnego dnia o czwartej rano ma być w studiu. Czekają ją zagranie trudnej sceny, której scenariusz musiała jeszcze przejrzeć po powrocie do domu.

- Jest dużo ciężkiej pracy, Mel. Musisz to wiedzieć, jeśli poważnie myślisz o graniu jako o sposobie na życie. Ale muszę ci się przyznać, że to kocham.

- Czy mogłabym przyjść i zobaczyć cię kiedyś na

planie? - odważyła się zapytać Mel, zdumiona własną śmiałością. Ale to Charlie sprawiła, że pytanie wydawało się całkiem naturalne, prawie tak, jak prośba do starej przyjaciółki.

Charlie szybko skinęła głową.

- Z pewnością. Jeśli twój ojciec wyrazi zgodę. Widział, jak kręciłam reklamówkę dwa tygodnie temu i spodobało mu się.

Uśmiechnęła się do niego nieśmiało, a on dotknął jej dłoni. Mel nie mogła tego zobaczyć z miejsca, w którym stała. Była zbyt przejęta, żeby zauważyć napięcie między nimi.

- Hej, tato, i jak tam było?

- Bardzo to interesujące i wyczerpujące. - Popatrzył w oczy Charlie ze współczuciem. - Ile powtórek zrobili w końcu?

- Chyba trzydzieści dwie. Może więcej. Zapomniałam.

- Ten drugi aktor ciągle zapominał swój tekst, więc musieli robić zdjęcia w kółko - wyjaśnił Oliver córce. - Ale patrzenie było bardzo przyjemne. To niesamowite, ilu ludzi jest w to zaangażowanych.

- Powinieneś zobaczyć, co się dzieje, gdy kręcę odcinek. Podeszła powoli do drzwi, pomachała na dobranoc Mel, która biegła na górę, żeby zadzwonić do wszystkich swoich przyjaciółek, bo musiała im powiedzieć, kogo poznała. Oliver odprowadził ją do samochodu z rosnącym uwielbieniem w sercu.

- Jesteś doprawdy nadzwyczajna, wiesz o tym? Hodowla robaków, cierpliwość do nastolatki... Czy jest coś, o czym jeszcze powinienem wiedzieć?

- Tak! - Popatrzyła na niego szczęśliwa. Był to cudowny wieczór, wszystkie jej obawy się rozwiały. Miała

nadzieję, że ją polubili. - Bardzo cię kocham, Oliverze Watson.

- Ja też cię kocham, Charlie - szepnęła i pocałował ją. A z okna swojej sypialni Sam patrzył na nich zdumiony. Odwrócił się do Aggie, która słała mu łóżko.

- Ajej! Aggie! Tata przed chwilą pocałował Charlotte Sampson! Tam było coś jeszcze, ale Aggie tylko mruknęła do niego:

- Pilnuj swego nosa, młody człowieku, idź, umyj zęby!

- Jak myślisz, czy ona naprawdę go lubi?

- Pewnie tak, twój tata to przystojny mężczyzna, któż by go nie lubił.

- Ale ona jest gwiazdą, Aggie, w telewizji, wiesz...

- A co to za różnica?

Kiedy poszedł umyć zęby, wciąż kręcąc głową ze zdumienia, Aggie pomyślała, że oboje dorośli mieli dużo szczęścia. A po tym, co widziała wieczorem, uznała, że dzieci też je mają.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

W sobotę Charlotte wjechała na ich podjazd, wysiadła i z namaszczeniem zadzwoniła do drzwi. A kiedy Sam jej otworzył, zachwycony, że może ją znowu zobaczyć, wręczyła mu klatkę w dziwnym kształcie, przykrytą jasnoniebieskim kocem. Ze środka dochodziły dziwne odgłosy i ostry zapach, na który Sam nie zwrócił uwagi. Ściągnął koc i wydał z siebie pisk. Była tam długowłosa świnka morska. Charlotte miała rację. Świnka naprawdę wyglądała jak skrzyżowanie małego psa i królika.

- Ojej! Ojej! Tato! Spójrz! - zawołał do ojca, właśnie schodzącego po schodach, świeżo po kąpieli.

- Mogę ją zatrzymać? - Patrzył na ojca i na Charlotte. A Charlotte patrzyła błagalnie na starszego Watsona.

- Chyba możesz. - Oliver spojrział na nią z miłością. Robiła wszystko, żeby ich uszczęśliwić.

- Mogę ją trzymać w swoim pokoju?

Dorośli się uśmiechnęli, a Sam zabrał klatkę i pospieszył z nią na górę, zanim któreś z nich mogło zmienić zdanie.

Po południu pojechali do Malibu, żeby posiedzieć na plaży, a wieczorem na film, który chciała zobaczyć Mel, jakiś okropny horror dla nastolatków. Po obejrzeniu go Charlie powiedziała, że przypomniał jej o jednym z jej wcześniejszych filmów. Potem poszli do „Hard Rock Cafe” i wyglądało na to, że nie przeszkadza jej nawet hałas. W następnym tygodniu pojechali do Disneylandu.

Życie z nią to były nieustające wakacje. Obmyślała fantastyczne rzeczy, które można było robić razem. Zaprosiła ich do siebie do domu i zrobiła im kolację. Sam przyznał niechętnie, że Agnes lepiej gotuje, ale pod każdym innym względem bardziej wolał Charlie. Świnka morska została

nazwana naje cześć: Charles, w zdrobnieniu Charlie. A Mel powiedziała już wszystkim, że jej ojciec chodzi z Charlotte Sampson.

Żadne z dzieci nie miało jej nic do zarzucenia. Nie wyglądały na zmartwione nawet wtedy, gdy Oliver mówił, że wieczorem wychodzi, co raczej nie zdarzało się w środku tygodnia, bo ciężko pracowała i musiała być na planie bardzo wcześnie. Dwa razy została na weekend i spała w gościnnym pokoju. Była doskonała w zachowywaniu pozorów i w takim zachowaniu, żeby nie krępować dzieci. Żadne z nich nie wiedziało, iż późno w nocy ich ojciec na paluszkach schodził do hallu, a potem ze szczęśliwym uśmiechem włąził do niej do łóżka. Ona z kolei mówiła mu wtedy cicho „szszszsz...” i chichotała.

To był dla wszystkich idealny układ. Kiedy George i Margaret przyjechali w miesiąc od powrotu dzieci z wakacji, też ją polubili. W pierwszej chwili byli ogromnie poruszeni poznaniem Charlie. Ale szybko zapomnieli o jej sławie. Była tak bardzo nieświadoma tego faktu, tak niechętnie mówiła o swoim sukcesie, a zarazem była taka ciepła dla tych, którzy ją obchodzili, i miła dla wszystkich, że zdawało się Oliverowi, iż wszyscy zakochali się w kobiecie, a nie w gwiazdzie telewizji.

Jak powiedziała do Mel, gdy pierwszy raz się spotkały, jej sukces był bardzo przyjemny, lecz nie najważniejszy w życiu. Ale i tak przypominano im o jej sławie, bo dokądkolwiek poszli, chciano, by rozdawała autografy, przeszkadzano w zupełnie nieoczekiwanych momentach, pytając, czy to ona właśnie... mówiąc, jak bardzo podoba się serial, chcąc wiedzieć, kim są Mel i Sam.

Czasami ich to złościło. Oliver próbował nie myśleć o tym za często. Charlie jednak była zawsze miła dla swoich

wielbicieli, cierpliwa, wyrozumiała. Zachowywała się tak, jakby czekała, że podejną do niej i będą z nią przez cały dzień rozmawiać, jakby była zadowolona, że to zrobili. Czasami Mel pytała ją, jak może to znieść bez złości.

- Jest to część pracy, kochanie. Albo akceptujesz to, podejmując ten typ pracy, albo nigdy wiele nie osiągniesz. Robisz to w równej mierze dla siebie, jak i dla nich. W dniu, w którym przestaniesz na nich zależeć, przestaniesz być dobrą aktorką.

Najbardziej uwielbiał ją ojciec Olivera. Uważał Charlie za najładniejszą i najbardziej czarującą dziewczynę, jaką widział w życiu. Modlił się tylko, żeby wyszła za jego syna. Przed wyjazdem spytał Olivera, czy się jej oświadczył.

- Daj spokój, tato, znamy się dopiero niecałe dwa miesiące. Nie poganiaj mnie. Poza tym ona ma przed sobą wspaniałą karierę. Nie wiem, czy zechce się połączyć ze zwykłym śmiertelnikiem z kupą dzieciaków na głowie.

Mówiła, że może chciałyby, ale naprawdę to bał się jej zapytać.

- Wydaje mi się, że ona chce wyjść za ciebie. Jest zająca, poważna i rzetelna.

- Wiem, ale ona może mieć każdego, kogo zechce, w Hollywood. Zostaw nam trochę czasu.

Nadal nie mógł uwierzyć w swój dobry los. Ani nie wierzył Charlie.

Po wyjeździe ojca i Margaret do Nowego Jorku siedzieli pewnej nocy i spokojnie rozmawiali, kiedy zadzwonił telefon. Był to Benjamin. Tak bardzo płakał, że Oliver z trudem mógł go zrozumieć.

- Spokojnie, synu... uspokój się... tak właśnie... odetchnij głęboko... - Popatrzył zmartwiony na Charlie, obawiając się najgorszego. Już pod kilku tygodni nie miał od

syna żadnych wiadomości. Nigdy go nie było, gdy Oliver dzwonił. Oliver poprosił więc ojca o opiekę nad nim po powrocie do domu. - Benjamin, powiedz mi, co się stało?

Usłyszał jedynie spazmatyczny szloch.

- Już nie mogę dłużej, tato... już nie mogę tego znieść... nienawidzę jej...

- Co się stało?

- Nic. Jestem tylko taki zmęczony. Tylko pracuję i płacę za wszystko dla dziecka i dla niej... rzuciła pracę... Myślała, że znowu jest w ciąży, ale nie jest. - Tym razem dziecko nie byłoby jego, nie dotknął jej od dwóch miesięcy. - Umawia się z Billym Webbem i Johnnym Piersonem. Nie wiem, tato... tylko wychodzi z domu... Czasami muszę zabierać dziecko ze sobą do pracy... Kocham Alexa, nie chcę go zostawić... ale nie mogę. - Zaczął znowu płakać. - Już nie mogę dłużej... po prostu nie mogę... W zeszłym tygodniu myślałem o samobójstwie... Siedziałem przez godzinę w garażu, próbując się zebrać, żeby włączyć silnik, ale nie mogłem... Myślałem, tylko o Alex'ie i co by się z nim stało, gdybym ich zostawił. On nic jej nie obchodzi. Czasami Sandra nie pamięta przez cały dzień o nakarmieniu go, tato, a on krzyczy aż do ochrypnięcia, gdy wracam do domu. W zeszłym tygodniu omal nie wleciał do basenu, kiedy zostawiłem ją z nim na dziesięć minut... Tato, pomóż mi, proszę, wyciągnij mnie z tego...

Zdawało się, że płacz trwa całymi godzinami. Kiedy Oliver zaproponował, żeby Benjamin przyjechał do Kalifornii, jak tylko będzie mógł najszybciej, chłopiec odpowiedział, że nie może zostawić dziecka, gdyż za bardzo je kocha, a Sandra zaniedba małego.

- Dlaczego nie weźmiesz go ze sobą?

- Powtarza, że mi na to nie pozwoli. Powiedziałem jej

w zeszłym tygodniu, że go ze sobą zabiorę, ale zagroziła, że zadzwoni po policję, gdybym spróbował. Mówi, że nie mam prawa go zabrać, bo jest matką, a gdybym go zabrał, to wszyscy jej znajomi sądziliby, że zrobiła dziecku coś złego, i jak by wtedy wyglądała. Ale nie chce się nim zająć.

- A co z matką Sandry? Czy sądzisz, że ona pomoże?

- Nie wiem. Jej przyjaciel ją zostawił, przeprowadziła się do Bakersfield.

- Masz jej numer telefonu?

- Tak. Sandra zapisała na ścianie w kuchni. - W końcu jego płacz ustał. Miał osiemnaście lat i uginał się pod przerażającym ciężarem. - Wiem, nie ma jej w domu od wczoraj rano. Zdradza mnie stale, odkąd urodził się Alex. - Dziecko miało już pięć i pół miesiąca. - Tato, starałem się, żeby między nami się ułożyło, naprawdę, ale już nie mogę. - W jego głosie pojawił się wstyd. - Czasami jej nienawidzę.

Oliver nie mógł go za to winić i podejrzewał, że gdyby był na jego miejscu, to już dawno by ją zabił, a na pewno zostawił. Benjamin cały czas starał się robić to, co uważał za słuszne, za dobre dla niej i dla ich syna. Oliver był tylko wdzięczny losowi, że chłopiec się z nią nie ożenił. Przynajmniej o tyle sprawa była prostsza.

- Uspokój się, może pojedziesz do dziadka na weekend?

- A co zrobię z Alexem?

Nagle wydawał się zupełnie bezwolny, ogłupiały, jak bezradne dziecko. Po prawie roku pracy na dwóch posadach, utrzymywania dziewczyny, która nie była jego żoną, i prawie sześciu miesiącach opieki nad dzieckiem chłopak był tak wyczerpany, że zupełnie nie mógł myśleć.

- Weź go ze sobą. Margaret ci pomoże. Była przecież pielęgniarką. Spakuj swoje manatki i zabieraj się stamtąd.

Zadzwońię do dziadka i uprzedzę, że przyjeżdżasz. A teraz podaj mi numer do matki Sandry.

Benjamin podyktował mu numer i odłożył słuchawkę, obiecując, że zapakuje torbę i pojedzie do dziadka tego samego wieczora.

Oliver zatelefonował do swego ojca i wyjaśnił mu całą sytuację. On powtórzył wszystko Margaret i zapewnił syna, że zrobi, co będzie mógł, żeby pomóc chłopcu.

- Musisz go z tego wyciągnąć, Oliverze.

- Spróbuję, tato.

Nie powiedział mu, że jego najstarszy wnuk myślał o samobójstwie, sam był tym jeszcze za bardzo wstrząśnięty. Ale powiedział o tym Charlotte po odłożeniu słuchawki. Przeraziło ją to.

- Och, mój Boże, Oliverze, trzeba go stamtąd zabrać. Dlaczego nie polecisz tam i nie przywieziesz go?

- Chcę najpierw porozmawiać z matką tej dziewczyny i zobaczyć, czy nie weźmie do siebie Sandry i dziecka.

Wykręcił numer Bakersfield. Odebrała jakaś kobieta. Wydawała się trochę pijana, trochę tępa, ale wiedziała, kim jest Oliver i wszystko o Sandrze i dziecku. Oliver cierpliwie wyjaśniał, że on i Benjamin uważają, że nadszedł czas na pewne zmiany w istniejącym układzie. Zapytał, czy byłaby skłonna wziąć do siebie córkę z dzieckiem. Przez chwilę się wykręcała, w końcu zadała Oliverowi to jedno pytanie, które było dla niej naprawdę ważne:

- A będziesz pan płacił na dzieciaka, jeśli ich wezmę? I na niom też?

- Mógłbym płacić. - Możliwość usunięcia Sandry z życia Benjamina była dla niego dużo warta, ale nie miał zamiaru mówić tego pani Carter. To by mogło sprawić, że byłaby bardziej chciwa. - To zależy, o jakiej sumie mówimy.

Z całą pewnością oczekiwałbym, że Sandra pójdzie do pracy, żeby się utrzymać, oczywiście, jeśli nie wróci do szkoły.

Ale ta kobieta nie wydawała się zainteresowana dalszym kształceniem córki.

- No to ile tego może być?

- Powiedzmy, pięćset dolarów miesięcznie, na nią i na dziecko. Nie była to fortuna, ale dość, zwłaszcza że Sandra miała mieszkać z matką.

- Dobra.

Chciała mieć te pieniądze, zanim on zmieni zdanie. Do cholery, prawie nie potrzebowały forsy na dzieciaka. Trochę pójdzie na żarcie, a za resztę można się nieźle zabawić.

- Czy podpisze pani dokument, że wyraża pani zgodę na tę sumę?

- Jasne!

- Kiedy będzie chciała pani ich zabrać?

- No cóż, nie wiem, tera nie robię. Mogie pomóc jej przy dzieciaku. - Jej głos zdawał się rozplýwać pod drugiej stronie. Nie była zachwycona pomysłem mieszkania z wrzeszczącym bachorem i z Sandra znowu na karku, ale forsa to było coś, może da się jeszcze trochę wydoić... - A może by tak siedemset, jeśli już o tym mowa?

- Sześćset. - Twarz Olivera zastygła w wyrazie obrzydzenia. Wzbudzało w nim wstręt targowanie się z tą kobietą i słuchanie jej.

- Dobra! Biorę!

- Jutro wsiądą oboje do samolotu.

Po tej rozmowie zadzwonił do Margaret i poprosił ją, żeby pojechała do domu w Purchase i pomogła tej dziewczynie spakować się i wsiąść razem z dzieckiem do samolotu do Los Angeles, a potem' żeby zatrzymała Benjamina na weekend. Chciał, by chłopak trochę ochłonał i

nie musiał przeżywać stresu podróży tym samym samolotem, co Sandra i mały Alex.

Margaret była prawdziwym aniołem i od razu zgodziła się pomóc. Nie straciła głowy ani nie była zdziwiona. Absolutnie spokojna, pragnęła zrobić wszystko, by pomóc i nie martwić przy tym ojca Olivera. Podziękował jej z całego serca. Zapewniła go, że zamknie dom w Purchase po wyjeździe Benjamina, włączy system alarmowy i będzie miała dom na oku. Oliver nie chciał go sprzedawać, dopóki nie był pewien, iż na stałe zostaną w Kalifornii. To było jego zaplecze i dlatego tylko wynajmował dom w Bel Air.

A potem zadzwonił do Benjamina, który odebrał tak prędko, jakby stał przy aparacie.

- Już wszystko załatwione, synu. Rozmawiałem z jej matką, będzie szczęśliwa, mogąc ich mieć u siebie. - Powiedział to tak, że brzmiało to bardziej optymistycznie, niż było w rzeczywistości, i wyjaśnił mu, że dostarczy odpowiednich funduszy na utrzymanie dziecka, tak że Benjamin nie musi już się o nic martwić. - Będę miał dla nich bilet, jutro do odebrania na lotnisku. Przyjedzie Margaret, pomoże Sandrze się spakować, a ciebie zabierze do dziadka. Pomyślałem, że może spędziłbyś z nimi kilka dni, a potem przyjechał tutaj?

Wtedy Benjamin byłby w domu. Po tylu miesiącach, byłby znowu z nimi, blisko, by zacząć nowe życie, a może uchwycić nici.

Odwrócił się do niej ze zmęczonym uśmiechem, a ona łagodnym gestem potargała mu włosy.

- To był rok piekła dla tego chłopca, Charlie. Dzięki Bogu, jest teraz wolny. - Czuł jednak smutek, gdy myślał o małym Alex'ie, który będzie teraz usunięty z ich życia.

- Musiało mu być strasznie ciężko, jeśli do ciebie

zadzwoił. Docen  to,  e zrezygnowa  dopiero wtedy, kiedy ju  nie m g  wytrzymac .

- O, tak. Doceniam to. Naprawd  mam dla niego wiele uznania. Przykro mi,  e musiał przez to przej c .

Zjedli razem kolacj . Potem Mel i Sam poszli na g r . Wcze niej zadzwoni  Benjamin i powiedzieli ju ,  e ich brat przylatuje nast pnego dnia. Oliver ostrzeg  ich,  e Benowi by o ostatnio bardzo ci żko. Mel obieca ,  e zrobi, co mo e, by u latwi c mu powr t do domu. Wszyscy zastanawiali si , co on ma zamiar zrobi c ze szko a, ale nikt jeszcze tego nie wiedzia .

P zniejszym wieczorem Ollie odwi z  Charlotte do domu i zosta  tylko na chwil ,  eby si  czego  napi c. Porozmawiali o Benjaminie i ca owali si  kilka minut w kuchni. By o to co  naprawd  dalekiego od tego dzikiego niepohamowanego odlotu z Megan. Zanim Oliver wyszed , u miechn  si  do niej smutno i przeprosi  za ca e zamieszanie.

- Obawiam si , kochanie, i  stwierdzisz,  e gdy s  dzieci, to nigdy sprawy nie potocz  si  tak, jak to sobie zaplanowalimy. Chyba si  do tego przyzwyczail m przez te lata, ale dla ciebie to mo e wcale nie by c zabawne. Nie by em najlepszym kompanem przez tych kilka dni, prawda?

- Nie spodziewalam si ,  e si  inaczej zachowasz. - Przysz o jej do g owy,  e by o jej dobrze z nim i z jego dziećmi,  e miala ju  ciep e miejsce w sercu dla ch pca, kt rego jeszcze nie zna . - Czy chcesz,  ebym pojecha a jutro z tob  na lotnisko, czy wolisz by c z nim sam?

Bra a pod uwag  to,  e powinien mie  czas dla swoich dzieci. Bardzo to docenia . Zdawa o mu si ,  e nie ma sprawy, kt rej ona nie potrafi zrozumie c, w kt rej nie zechce pom c.

- B dziemy mieli du o czasu na rozmowy po powrocie

do domu. Chciałbym, Charlie, żebyś była tam ze mną.

Uśmiechnął się jeszcze raz, jeszcze raz pocałował ją i wyszedł. Czuł się bardzo wyczerpany. Nie mógł sobie wyobrazić, jak się ma Benjamin po tym, co przeszedł. Ale mimo wszystko nie był przygotowany na powitanie tak zmizerowanego, bladego chłopca z wyrazem udręczenia w oczach. Mógł tylko otoczyć go ramionami. Chłopiec się rozplakał. Charlie stała w pewnej odległości. W końcu otarł łzy i popatrzył na ojca jak na utraconego przyjaciela. Charlotte odwróciła twarz, by nie zobaczyli jej łez, gdy obaj do niej podeszli, aby Benjamin ją poznał.

- Charlotte, chciałbym, żebyś poznała mojego syna, Benjamina - powiedział cicho Oliver.

Dla nich to był smutny wieczór i zrozumiała to. Chłopak starał się wyglądać na mniej przygnębionego, niż był w istocie, i nawet uśmiechnął się do niej, ściskając jej rękę.

- Moja siostra bardzo dużo mi o pani opowiadała. Widziałem panią wielokrotnie w telewizji. Sam mówił mi o śwince morskiej. Jest pani bardzo ważną osobą w mojej rodzinie, panno Sampson.

Pochlebila jej ta uprzejma przemowa i lekko pocałowała go w policzek. Wtedy Oliver zauważył, jak bardzo są do siebie podobni. Można by pomyśleć, że są ze sobą spokrewnieni. Ta kremowa karnacja, jasnorude włosy, kilka piegów.

- Pochlebiasz mi, Benjaminie. Ale byłabym jeszcze bardziej zadowolona, gdybyś mówił do mnie: Charlie. Jaki miałeś lot?

- Chyba niezły. Prawie całą drogę spałem.

Wciąż był wyczerpany, i emocjonalnie, i fizycznie. Spał tego dnia do południa, potem Margaret odwiozła go na

lotnisko, tak jak obiecała jego ojcu. A teraz Benjamin szybko spytał Olivera półgłosem: - Czy rozmawiałeś wczoraj z Sandrą? Czy dziecko w porządku?

- Oboje czują się dobrze.

Zaprowadził syna po bagaż. Posmutniał, że Benjamin tak się nimi przejmuje, że Alex jest jego głównym zmartwieniem. Olivera bolało to, iż chłopiec tak bardzo tęskni za synkiem. Tyle powiedział Charlotte, gdy przez chwilę byli sami.

- On go nie zapomni, Ollie.

- Wiem o tym. Ale nadszedł czas, żeby pomyślał o sobie.

- Na pewno to zrobi. Daj mu trochę czasu. Jest wciąż w szoku. Nie zapominaj, ile przeszedł.

Zeszli na dół, by dołączyć do reszty. Wszystkie dzieci, wliczając w to Benjaminą, popędziły do kuchni. I kiedy Charlotte z Oliverem weszli, Benjamin jadł właśnie ogromną kanapkę, a przed sobą miał talerz pełen ciasteczek, upieczonych specjalnie dla niego przez Aggie. Mel mówiła coś w podnieceniu, a Sam podtykał mu pod nos świnkę morską, żeby pokazać, jaka jest piękna. Benjamin uśmiechał się, słuchając ich. Jak to dobrze znowu być w domu. Tak dobrze, choć oni tego wcale nie wiedzieli. Wydawało mu się, że rok spędził na innej planecie.

- A jak tam szkoła? - zapytał Melisę.

- Świetnie. Polubisz ją - odpowiedziała.

Ugryzła się w język. Ojciec ostrzegwał ją, żeby nie naciskała Benjaminą na temat szkoły, ale brat właściwie odczytał jej spojrzenie i uśmiechnął się.

- Nie martw się, dziecino. Nie jestem taki drażliwy. Jeszcze nie obmyśliłem sobie, co będę robił. Najpierw chcę pojechać do Bakersfield i sprawdzić, co z Alexem, a potem

mam zamiar podejść do egzaminu eksternistycznego. Może spróbowałbym dostać się do UCLA, jeśli mi się uda.

Już po marzeniach o Princeton, Yale czy Harvardzie. UCLA to w końcu też dobra szkoła. Chciał przez jakiś czas zostać blisko domu.

Powtórzył to Oliverowi, kiedy rodzeństwo poszło spać. Charlie powiedziała, że chodziła do UCLA i jeśli mu to w czymś pomoże, napisze mu list polecający.

- To byłoby wspaniale - podziękował jej Benjamin. Starał się, by nie wyglądało na to, że się na nią gapi. Ale pozostawał pod jej wrażeniem przez cały wieczór. Była taka miła, ładna i tak wyraźnie zakochana w jego ojcu. Uparła się, że sama pojedzie do domu. Chciała, żeby mieli trochę czasu dla siebie. Benjamin mógł o niej mówić tylko dobrze, a to sprawiało przyjemność ojcu.

- Wygląda na to, że miałeś szczęście, tatku. Jest fantastyczna.

- Też tak myślę. - Oliver uśmiechnął się, a potem znowu zatroskał. Przyglądał się synowi, jakby szukał blizn. Nie znalazł żadnej. Tylko oczy Benjamina były jakby o sto lat starsze. - Wszystko w porządku? Tak naprawdę.

- Jakoś ujdzie. Czy masz samochód, który mógłbyś mi pożyczyć, tato? Chciałbym pojechać do Bakersfield, zobaczyć Alexa.

- Sądysz, że powinieneś? Chodzi mi o to, czy nie będzie to zbyt trudne dla Sandry. Może powinniście zrobić sobie przerwę.

Benjamin westchnął i usiadł wygodnie na sofie. Wyciągnął się z widoczną na twarzy ulgą.

- Byłbym szczęśliwy, gdybym jej więcej nie oglądał. Ale chcę sprawdzić, co z dzieckiem.

- Wariujesz za nim, prawda? - Tak się czuł, gdy

urodziły się jego własne dzieci, ale miał nadzieję, że z Benjaminem będzie inaczej. A jednak było tak samo.

- To mój syn, tato. Nie chciałbyś, żebym czuł inaczej, prawda? Patrzył zdziwiony. Dla niego ślubne, czy nieślubne nie miało znaczenia. Kochał swoje dziecko.

- Chyba nie. Czulem to samo po waszym urodzeniu. - To by go zabiło, gdyby miał go wtedy opuścić, czy zostawić w rękach osoby, której nie ufał. Wreszcie zrozumiał, co czuje jego syn. - Możesz wziąć kombi, jeśli chcesz. Tylko uprzedź Aggie, bo może chciałaby zrobić zakupy czy pojechać po Sama.

- Dzięki. Obiecuję, że jak tylko sprawdzę, co z Alexem, to uporządkuję swoje sprawy ze szkołą. A jeśli będę musiał poczekać trochę dłużej na przyjęcie do UCLA, to pójdę do pracy. Nie mam zamiaru siedzieć na tyłku. Chciałbym podziękować za wszystko, co dla mnie zrobiłeś, tato.

Te słowa wywołały łzy Olivera. Poklepał tylko syna lekko w kolano, bardzo zmęczony, ale spokojny wreszcie, że ma go z powrotem blisko siebie.

- Benjaminie, będziesz miał wszystko pewnego dnia. Dobrą żonę, dzieci, których pragniesz. W odpowiednim czasie, w odpowiedni sposób i z odpowiednią osobą, jeśli będziesz miał to szczęście.

Benjamin uśmiechnął się, słysząc taką radę, i popatrzył na niego z zaciekawieniem.

- Masz zamiar się z nią ożenić, tato? Chodzi mi o Charlie.

- Tak sobie obmyśliłem. - Starszy z mężczyzn uśmiechnął się. Był szczerzy. Benjamin nie był już dzieckiem. - Chciałbym, ale nie mieliśmy zbyt dużo czasu, żeby o tym porozmawiać.

Krążył wokół tematu przez ostatni miesiąc. Zdawał sobie sprawę, jak ważna dla niej jest jej kariera i rozpaczliwie bał się odmowy. Nie chciał wszystkiego zaprzepaścić przez zbyt pospieszne oświadczenia, choć wiedział od pierwszej chwili, że to dobry wybór. Była to tylko kwestia czasu, kiedy się jej oświadczy. To, co do niej czuł, różniło się od wszystkiego, czego do tej pory doznał. Miał dla niej uczucie, jakiego nie miał nawet dla Sary. Z Sarą zawsze było trudno, teraz to sobie uświadamiał, jakby nie pasowali do siebie. Tym razem wszystko szło gładko. Charlie była spełnieniem jego marzeń.

- Jest wspaniałą dziewczyną, naprawdę lubię ją - powiedział Benjamin.

- Ja też. - Ollie uśmiechnął się, a potem zaprowadził syna do jego pokoju.

Poszedł powoli do swojej sypialni, zadowolony, że znowu ma wszystkie dzieci pod jednym dachem. Jego trzy małe pisklęta szybko rosą, nawet Sam, który już nie sypiał w łóżku ojca. Oliver był zupełnie szczęśliwy we własnym pokoju, z Charlie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Następnego dnia rano Benjamin pojechał do Bakersfield. Nie był zachwycony tym, co zastał, ale dziecko było w porządku. Sandra siedziała w domu i wyglądało na to, że jej matka ma oko na wszystko. Na więcej nie mógł liczyć. Dom był stary i zaniedbany, klimatyzacja nie działała. Alex spał w łóżeczku w salonie, a obok niego migał telewizor. Malec zapiszczał, gdy się obudził i zobaczył Benjaminą. Zostawienie go znowu sprawiało Benowi ból nie do zniesienia, ale był szczęśliwy, że uwolnił się do Sandry.

Wrócił do Bel Air trochę uspokojony. W ciągu kilku następnych tygodni zdał eksternistyczny egzamin maturalny. Złożył papiery do UCLA i został przyjęty. Dostał nawet pracę na godziny w księgarni na terenie kampusu. Miał zamiar uczyć się i pracować, żeby pomóc w miesięcznych opłatach za Alexa.

Jeszcze raz pojechał do Bakersfield. Wszystko wyglądało jak przedtem, choć tym razem Sandry nie było w domu. Była za to jej matka i karmiła dziecko. Alex wyglądał na zadowolonego. Benjamin bawił się z nim przez godzinę i wrócił do domu. Ale nie wspomniał ojcu o tych odwiedzinach. Czuł, że Oliver uważa, iż jest za bardzo zajęty dzieckiem. On zaś wiedział z całą pewnością, że musi to robić. Bez względu na to, ile dzieci będzie miał pewnego dnia, Alex zawsze pozostanie jego pierworodnym, ważną częścią jego życia. Zdawało mu się, że matka Sandry nie jest przeciwna jego wizytom. Była bardzo zadowolona z wpłat, które nadchodziły regularnie co miesiąc. Alex to była najlepsza rzecz, jaka jej się kiedykolwiek przydarzyła. Sandra z pewnością wiedziała, co robi, zachodząc w ciążę z Benjaminem Watsonem. Watsonowie może nie byli bogaci, ale mieli się całkiem nieźle. Pani Carter wiedziała dzięki paru

pytaniom zadany umiejętnie na wschodzie, że ojciec chłopaka robi dużą forszę. Parę tygodni później przeczytała w kronice towarzyskiej wzmiankę, która naprawdę ją zaintrygowała. Facet prowadził się z Charlotte Sampson. Teraz to niewiele znaczyło, ale pewnego dnia, gdyby przestali płacić, mały szantażyk mógłby się opłacić.

Romans kwitł i Olliemu nie w głowie były wyjazdy Benjamina do Bakersfield. Spędzał z Charlie coraz więcej czasu, ku ogromnemu zadowoleniu dzieci. W końcu kwietnia zdobył się na odwagę i oświadczył się.

Jedli jedną z wielu ich spokojnych wspólnych kolacji w „Chianti”. Nie sprawił jej niespodzianki pierścieniem czy oświadczeniami na kolanach. Poczekał, aż skończyli jeść. Potem popatrzył na nią tak zdecydowany, że aż zachichotała. Nie była pewna, ale wydawało jej się, że wie, co nadchodzi.

- Jak było dzisiaj w biurze? - zażartowała sobie z niego. A on zajęczał.

- Nie rób mi tego. Chciałem porozmawiać z tobą poważnie. Już od dawna chcę, ale nie byłem pewien, co o tym myślisz... z twoją karierą i tak dalej...

- Chcesz zaproponować mi posadę? - Uśmiechnęła się z niewinną miną.

- Och, zamilcz. Choć w gruncie rzeczy, masz rację. Kiedy teraz o tym wspomniałaś, to tak. Można to tak nazwać. Stała posada, z kiepską płacą w porównaniu z tym, co teraz zarabiasz. Uwiązanie na całe życie, na stałe z mieszkaniem i trójką wariatów, a na koniec może emerytura.

- Nigdy więcej nie nazywaj przy mnie twoich dzieci wariatami! Ostrzegam cię, Oliverze Watson! Tak się składa, że je kocham!

Wydawała się obrażona w ich imieniu, a on ścisnął mocno jej rękę i uniósł je do ust, aby ucałować palce.

- Ja też. Ale tak się składa, że kocham ciebie. Co myślisz o wyjściu za mąż?

Jego serce dudniło, gdy ją o to pytał. Nie byłby zdziwiony, gdyby odmówiła. Ale nie powiedziała nic, tylko ucałowała go.

- To najmiłsza rzecz, jaką usłyszałam w życiu - powiedziała w końcu. Ale nadal nie dawała mu odpowiedzi i czekanie było dla niego torturą.

- I?

- Uważam, że oboje powinniśmy pomyśleć o tym poważnie. Ty nawet bardziej niż ja, bo nigdy nie miałeś pracującej żony. To może być dość ciężkie, zwłaszcza przy pracy takiej jak moja. Nie będziemy mieli zbyt wiele prywatnego życia, bez względu na to, jak bardzo będziemy próbowali. Zawsze wokół mnie będzie zamieszanie, przynajmniej dopóty, dopóki gram w tym serialu. A to może czasami nieźle dać popalić.

Już tego doświadczył. Gdy gdzieś razem wychodzili - te ciągle prośby o autograf, prasa, to narzucanie się w dobrej wierze. Nie przeszkadzało mu to, był z niej dumny. Nie przeszkadzało mu stanie z tyłu i pozwalanie jej na bycie gwiazdą.

- Nie obchodzi mnie to.

- Jesteś pewien? Nadejdzie dzień, kiedy będę chciała to rzucić, ale jeśli mam być z tobą szczerą, to jeszcze nie teraz. Jeszcze po prostu nie jestem gotowa. Pracowałam zbyt ciężko i zbyt długo, żeby wszystko rzucać, zanim wycisnę z tego całą satysfakcję.

- Rozumiem. Nie spodziewam się, że to rzucisz, sędzę, że byłby to okropny błąd.

- Ja też. Bez względu na to, jak bardzo cię kocham, uważam, że bym żałowała. A jak myślisz, co dzieci

powiedzą?

Bardzo ją to obchodziło. Chciała, by i one pragnęły ich małżeństwa, lecz Ollie tylko się wykrzywił w uśmiechu.

- Powiedziały mi, że się ze mną rozwiodą, jeśli ci się nie oświadczę. A podejrzewam, że pewnie mnie rzuca i poszukają sobie innego ojca, jeśli mnie nie przyjmiesz.

- Bardzo głupio by postąpiły. Nie mogłyby znaleźć lepszego, nawet gdyby chciały.

- To nieprawda. Popelniam mnóstwo błędów.

- Nie widziałam, żebyś popełnił jakiś błąd. Robisz dla nich piekielnie dużo dobrego. - Benjamin wrócił na szlak. Mel dawała sobie fantastycznie radę w szkole, a Sam nigdy w życiu nie był szczęśliwszy. Wszystko szło dobrze. Uśmiechnęła się do niego nieśmiało. - Chciałabym mieć własne dzieci pewnego dnia. Jedno czy dwoje, a może nawet troje, jeśli nie będę zbyt stara, kiedy wystartuję. Co o tym sądzisz? To by dało w efekcie niezłe zatłoczony dom, ze świnkami morskimi, białymi myszkami, hodowlami robaków itd.

Oboje się roześmiali, ale sprawa była poważna i Charlotte miała rację, że ją poruszyła. Gdy o tym pomyślał, zmarszczył brwi. Przychodziło mu to do głowy wcześniej, lecz nigdy naprawdę nie wyobrażał sobie, że będzie miał więcej dzieci. W wieku czterdziestu pięciu lat był to interesujący pomysł.

„Przynajmniej - pomyślała sobie - nie wybiegł z krzykiem”.

- Nie wiem. Wydaje mi się, że jestem trochę za stary i zmęczony, żeby zaczynać wszystko od początku. Dzieci nie są tak łatwe, jak myślisz. - Z całą pewnością stwierdził to w zeszłym roku, ale wiedział, że przynosiły też wiele radości. Nie mógł jej oszukać i pozbawić jej tego. Za bardzo ją

kochał. A miała do zaoferowania własnym dzieciom tyle samo, co i jego trójce. Warto było o tym pomyśleć, zwłaszcza jeśli miało to mieć wpływ na przekonanie jej do wspólnej przyszłości. - Może dałbym się namówić raz - zobaczył wyraz jej oczu, serce mu stopniało, więc się uśmiechnął - może dwa razy. Ale nie wymagaj ode mnie za wiele. Jak wiesz, jestem dziadkiem.

- To się nie liczy.

Myślała o tym, że jest wciąż miody, ale Oliver posmutniał.

- Dla Benjamina się liczy.

- Chodziło mi o to, że nie jesteś jeszcze taki stary, by tak o sobie mówić.

- Czasami tak o sobie myślę. Nie wtedy jednak, gdy jestem z tobą. Wydaje mi się, że tyle jest wspaniałych rzeczy, które możemy zrobić wspólnie: podróżować, cieszyć się życiem, pomóc ci w twojej pracy. Po raz pierwszy w życiu czuję, ciałem i duszą, że wszystko jest w porządku. Nie mam najmniejszych wątpliwości, jeśli o nas chodzi. - I czuł się taki spokojny.

Wahała się tylko tak długo, jak długo trwał jeden pocałunek. Wyszeptała mu do ucha:

- Twoje na wierzchu. Ale chcę poczekać, żeby minął rok od chwili, gdy spotkaliśmy się pierwszy raz. Chcę zrobić to porządnie. Co myślisz o Bożym Narodzeniu?

- Naprawdę tak chcesz?

Spojrzał oszołomiony. Jego rozwód od miesiąca był prawomocny. Sara odeszła przed rokiem. Kochał tę kobietę z całego serca, a ona chciała wyjść za niego. Kiwała głową, uśmiechała się, a wreszcie roześmiała się głośno. Wyglądała na bardzo, bardzo szczęśliwą. I on był szczęśliwy.

- Oczywiście, że tak chcę. Pogodzisz się z czekaniem

do Bożego Narodzenia?

- Trochę będzie mi trudno, ale coś jest w takim staromodnym narzeczeństwie.

- Mam przerwę w pracy w czerwcu. Moglibyśmy wyjechać tego lata na miesiąc lub dwa. Miałam propozycję nakręcenia filmu, raczej drugorzędneho. Chyba wolałabym pojechać gdzieś z tobą i dziećmi, jeśli Sara ich ze sobą nie zabiera.

- Zabiera, ale tylko na sierpień.

Przez resztę wieczoru robili różne plany. Tej nocy, gdy zawiózł ją do domu, został u niej i kochali się, żeby uczcić swoje zaręczyny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Następnego dnia powiedzieli dzieciom, a one szalały z radości. Oliver jęczał, bo Sam od razu chciał wiedzieć, czy będzie mógł z nimi pojechać w podróż poślubną. Charlotte spytała Mel, czy będzie jej druhną. Mieli, co prawda, przed sobą jeszcze osiem miesięcy, ale gdy rozmawiali o ślubie, to zachowywali się jak podniecone dzieci.

Następnego dnia Oliver przyjechał po nią do studia. Kiedy Charlotte wsiadała do samochodu, na siedzeniu leżało małe kwadratowe pudełeczko, zapakowane w turkusowy papier i przewiązane białą satynową wstążką. Dłonie jej drżały, gdy podnosiła wieczko. Zabrakło jej tchu, kiedy zobaczyła błyszczący pierścionek w czarnym zamszowym pudełeczku. Był to niezwykle szlifowany brylant. Łzy napłynęły jej do oczu i pozwoliła Oliverowi wsunąć sobie pierścionek na palec.

- Och, Ollie, jest taki piękny...

- Tak jak ty... - Pocałował ją, trzymał mocno w ramionach, przytuliła się do niego i pojechali do domu, do dzieci.

Prasa dowiedziała się o ich zaręczynach w ciągu kilku dni i producenci serialu wykorzystali okazję do końca. Ludzie odpowiedzialni za kontakty z prasą byli prawie cały czas z nimi. Fotoreporterzy chcieli zrobić zdjęcia Charlotte z Oliverem i dziećmi. Dzwoniły magazyny „People” i „Us”. Informacja o zaręczynach ukazała się w „Newsweeku” i w „Timie”. Nawet za dziećmi łazili.

Rozwścieczało to Charlotte, a Oliver był coraz mniej zadowolony, kilkakrotnie odkrywszy dziennikarzy przed domem.

- Jak ty to znosisz? - pytał Charlotte kilka razy. W końcu doszli do wniosku, że spędzą letnie wakacje w

odosobnieniu, w wynajętym domu w Trancas.

Było jeszcze trochę nerwowo przez kilka następnych tygodni, lecz powoli zaczęło się uspokajać. Sara zadzwoniła i pogratulowała mu. Usłyszała nowiny od Sama, ale i przeczytała je w gazetach.

- Dzieciaki wydają się za nią szaleć, Ollie. Bardzo mnie to cieszy, ze względu na ciebie.

- Ja też się cieszę. Ale prasa jest nie do zniesienia.

- Przyzwyczaisz się. To przecież Hollywood - zażartowała sobie, ale w jej głosie słychać było zadowolenie.

Jego ojciec i Margaret też byli zachwyceni. To był szczęśliwy czas. Oliver i Charlie mieli dużo do zrobienia przed wyjazdem z dziećmi na letnie wakacje do Trancas.

Wreszcie Charlotte nakręciła ostatnie zaplanowane sceny, dzieci skończyły szkołę i Oliver zostawił biuro na cztery tygodnie wakacji. W piątek wyruszyli do Trancas. Spędzili niebiański miesiąc na plaży, a potem Mel i Sam wyjechali na wschód, żeby zobaczyć się z matką.

Potem Charlie miała zaplanowane nakręcenie kilku reklamówek, Oliver musiał wrócić do pracy, a Ben przygotować się do zajęć, które zaczynały się na UCLA pod koniec sierpnia.

Pewnego popołudnia Benjamin wrócił do domu, żeby się przebrać, bo później miał iść na kolację z ojcem i Charlie. Zadzwonił i telefon. Ben pomyślał, że to pewnie ojciec dzwoni z biura. Zdziwiło go, kiedy w słuchawce usłyszał głos matki Sandry. Stało mu serce, kiedy ją usłyszał.

- Czy coś się stało, pani Carter? Czy Alex...

- Chyba jest w porządku. - Jej głos był dziwny. Myślała bardzo długo o tym telefonie, próbując znaleźć jakiś sposób, żeby na tym coś zyskać, ale w końcu postanowiła po prostu mu powiedzieć. Miał prawo wiedzieć, bo nie był takim

złym dzieciakiem. Może lepiej zrobić mu przysługę. Tak sobie mówiła, gdy wykręcała numer. - Sandra zostawiła dziecko wczoraj rano w schronisku. Zostawiła je do adopcji. Pomyślałam sobie, że może chciałbyś wiedzieć o tym.

- Co? - Serce waliło mu jak oszalałe. - Ona nie może tego zrobić. To jest też i mój syn. Gdzie on jest? Nie pozwolę jej na to, pani Carter. Zaopiekuję się nim sam, powiedziałem jej to, jeszcze kiedy byliśmy w Purchase.

- Tak mi się zdawało, że tak powiem, dlatego zakreśliłam. Mówiłam jej, że powinna do ciebie zadzwonić, ale ona tylko go zawinęła i uciekła. Dzisiaj wyjechała na Hawaje.

- Dziękuj... Dziękuję.... Proszę im powiedzieć, że zaraz go zabieram... ja... nie szkodzi... sam do nich zadzwonię...

Ale kiedy zadzwonił do schroniska, okazało się, że Alexander Carter, takie nosił nazwisko, jest teraz pod opieką sądu. Benjamin będzie musiał dowieść swego ojcostwa, wnieść sprawę o opiekę i wygaśnięcie praw rodzicielskich Sandry. Wszystko zależało od sądu. Wtedy, jak oszalały, zadzwonił do ojca. Wyciągnął go ze spotkania z nowym klientem. Prawie dostawał histerii. Oliver poprosił go, żeby się uspokoił i wszystko powoli mu wyjaśnił.

- Dobrze... dobrze.... już rozumiem... zadzwonię do prawnika. A teraz weź się w garść. Lecz zanim zaczniemy działać, chcę, żebyś pomyślał, czego naprawdę chcesz. Czy naprawdę chcesz całkowitej opieki nad tym chłopcem? Synu, teraz to zależy od ciebie.

Benjamin miał szansę wydobycia się na powierzchnię, jeśli tego chciał. I Oliver, bez względu na to, jak by to go bolało, był gotów go poprzeć w tym, co zdecyduje. Benjamin wiedział, że ma tylko jedno wyjście. Chciał mieć z powrotem swego syna, nawet jeśli to oznaczało, że nigdy nie wróci do

szkoly, że będzie musiał iść do byle jakiej pracy. Miał zamiar zatrzymać syna i wychować go, bez względu na to, co będzie musiał zrobić. Było to takie uczucie, z którym nie należało walczyć. Zresztą Oliver nie chciał tego. Powiedział Benjaminowi, żeby się nie załamywał i że zaraz do niego ponownie zadzwoni. Za pół godziny zatelefonował i powiedział mu, że ma być o czwartej w biurach „Loeb i Loeb” w wieżowcu Century City.

Benjamin przyszedł o dziesięć minut za wcześnie. Prawnik, z którym byli umówieni, zachowywał się bardzo uprzejmie. Przeważnie zajmował się sprawami o dużo większej wadze. Ale pracował dla firmy Olliego i był gotów im pomóc.

- Jeśli tego chcesz, młody człowieku, to moim zdaniem, sprawa nie jest aż tak skomplikowana, na jaką wygląda. Dzisiaj zdążyłem już porozmawiać ze stronami i z władzą. I wszystko wydaje się dość jasne. Wygląda na to, że twoje ojcostwo nie jest kwestionowane. Dziewczyna już podpisała dokumenty zrzeczenia się praw i wniosek o przekazanie dziecka do adopcji. Jeśli nam to potwierdzi na piśmie, a nie byliśmy w stanie się z nią skontaktować, to będziesz miał wyłączną opiekę nad dzieckiem i w końcu jej prawa rodzicielskie wygasną. Jest to trudny obowiązek i duża odpowiedzialność, Benjaminie, powinieneś więc przemyśleć to poważnie, zanim podejmiesz decyzję.

- Już to przemyślałem, proszę pana. Wiem, że tego właśnie chcę. Kocham go. - Oczy wypełniły mu się łzami. I te zapłakane oczy, jasnorude włosy i piegi sprawiały, że sam wyglądał jak dziecko. Oliver, kiedy na niego patrzył, musiał walczyć ze łzami. Już postanowił, że zrobi wszystko, żeby mu pomóc.

- Pani Carter powiedziała nam, że podpisze

oświadczenie o twojej troskliwej opiece nad dzieckiem. A to bardzo nam wszystko ułatwi. Sugerowała mniej lub bardziej wyraźnie, że nie byłaby przeciwna małemu prezentowi od ciebie lub od twego ojca, ale musimy być niezwykle ostrożni. Kupowanie dziecka, czy jakiegokolwiek działanie przypominające w niewielkim nawet stopniu taki handel, jest w tym stanie uważane za przestępstwo. Wyjaśniłem jej to. Była rozczarowana, ale i tak stwierdziła, że podpisze każde oświadczenie, jakie przygotujemy. Rozprawa odbędzie się w sądzie w Bakersfield w przyszłym tygodniu i jeśli pójdziesz gładko, powinieneś mieć syna z powrotem po południu.

- A teraz? - Benjamin raz jeszcze spojrzął z przerażeniem na ojca.

- Nic nie możemy zrobić. Jest w dobrych rękach, jest bezpieczny.

Benjamin był nieszczęśliwy, ale wyglądało na to, że rzeczywiście nic nie można było zmienić. Musiał poczekać do rozprawy. Modlił się, żeby odnaleziono Sandrę w Miami i żeby podpisała wszystkie papiery potrzebne do uwolnienia Alexa. Dla niego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Droga do Bakersfield była dla Benjaminą bardzo ciężka. Oliver wziął wolny dzień, żeby z nim pojechać. Milczeli, zdenerwowani, zagubieni w myślach o małym Alex'ie. Dla Olivera malec symbolizował początek nowego życia. Miał im przypomnieć, jak to jest w domu z małym dzieckiem. Przecież Charlie mówiła, że chce mieć dzieci. Trochę się z tego powodu cieszył, a trochę z niechęcią przewidywał chaos i zamieszanie. Benjamin przyrzekł, że z pomocą Agnes wszystkim sam się zajmie.

Oliver próbował z nim rozmawiać, ale chłopiec był zbyt zdenerwowany. We dwójkę z Aggie już ustawili łóżeczko w jego pokoju. Kupił sześć paczek jednorazowych pieluch. Chciał nawet zatrzymać się u pani Carter i zabrać ubranka Alexa, ale Oliver stwierdził, że zrobią to w drodze powrotnej. Obawiał się, że coś źle pójdzie, że może nie dadzą im Alexa. Nie byli w stanie odszukać Sandry w Miami, jednak adwokat zapewniał ich, że i tak była spora szansa na przyznanie dziecka Benjaminowi, skoro przed wyjazdem matka podpisała papiery dotyczące przekazania małego do adopcji.

Budynek sądu w Bakersfield znajdował się przy Truxtor Avenue. Ollie zostawił samochód na parkingu i wszedł z synem do środka. Był bardzo upalny ostatni tydzień sierpnia. Adwokat czekał na nich wewnątrz. Benjamin wyglądał na przestraszonego. Zajęli miejsce w sali rozpraw.

Oliver uśmiechnął się do niego, gdy woźny kazał im wstać.

- Wszystko będzie dobrze, synu.

Ollie poklepał go w ramię, a Benjamin uśmiechnął się do niego blado. Ubrał się w granatową kurtkę, beżowe spodnie, niebieską koszulę i granatowy krawat. Wyglądał jak

student, którym mógł być w Harvardzie.

- Dzięki, tato.

Obaj wiedzieli, że nic nie jest pewne i prawnik ostrzegał, że coś może pójść nie tak. Nigdy nic nie można zagwarantować na sali rozpraw. Sędzia przyglądał im się poważnie.

Sprawa była przedstawiona przed sądem. Odczytano oświadczenie pani Carter, a obaj Watsonowie odczuli ulgę, że jej nie ma. Dokumenty podpisane przez Sandrę zostały uznane za dowód, a w raporcie omówiono warunki, w jakich będzie żyło dziecko. Miało mieszkać w domu wynajętym przez rodzinę Watsonów w Bel Air wraz z ojcem Benjamina, jego siostrą i bratem, z gospodynią, która pomoże w opiece nad dzieckiem, gdy jego ojciec będzie uczestniczył w zajęciach na UCLA. Benjamin miał rozpocząć wykłady w przyszłym tygodniu i miał też pracę w księgarni. Sędzia wyglądał na zakłopotanego. Poprosił ich adwokata o podejście do ławy sędziowskiej. Szeptali do siebie przez kilka minut, a sędzia potakiwał. Potem zwrócił się do Benjamina. Poleciał mu zająć miejsce dla świadków i złożyć przysięgę. Chciał zadać mu kilka pytań. Benjamin zrobił tych kilka kroków na trzęsących się nogach. Usiadł, wpatrując się w ojca.

- Chcę, żeby pan zrozumiał, panie Watson, że nie jest to tylko formalne przesłuchanie, ale poważna sprawa, i los dziecka zależy od decyzji sądu. Czy pan to rozumie?

Benjamin był błydy, lecz spokojny. Kiwnął głową.

- Tak, proszę pana. Rozumiem.

- Czy Alexander William Carter jest pańskim dzieckiem? Czy pan to potwierdza?

- Tak, potwierdzam.

- Czy obecnie mieszka pan z matką dziecka?

- Nie, nie mieszkam.
- Czy kiedykolwiek mieszkał pan z nią?
- Tak, przez rok.
- Czy kiedykolwiek byliście poślubieni?
- Nie, nie byliśmy.
- Czy kiedykolwiek utrzymywał pan dziecko lub jego

matkę?

- Tak. Przez sześć miesięcy przed urodzeniem Alexa i potem, aż do rozstania w marcu. I od tamtej pory... ja... mój tata i ja posyłaliśmy pieniądze co miesiąc. Sześćset dolarów.

Sędzia kiwnął głową i pytał dalej:

- Czy jest pan świadomy, jakiego rodzaju opieka jest niezbędna dla dziecka w jego wieku?

- O tak! Opiekowałem się nim sam do marca. Sandra była... więc często wychodziła z domu i tak naprawdę nie wiedziała, jak zająć się dzieckiem.

- A pan wiedział?

Sędzia! spojrzął z powątpiewaniem, ale Benjamin panował nad sytuacją.

- Nie, nie wiedziałem, musiałem się nauczyć. Zajmowałem się nim wieczorem po pracy, a czasami zabierałem go ze sobą. Miałem wtedy dwie posady... żeby zapłacić... no cóż, za wszystko, Sandra rzuciła pracę przed urodzeniem dziecka.

- Więc zabierał pan dziecko ze sobą do pracy.

- Czasami, jak jej nie było. Nie miałem go z kim zostawić, a nie stać nas było na opiekunkę.

Twarz sędziego nie drgnęła. Ale Oliver nigdy nie był taki dumny ze swego syna, jak właśnie w tej chwili. Benjamin był już mężczyzną, nie chłopcem, i piekielnie dobrym ojcem. Zasłużył sobie na to, żeby mieć dziecko pod swoją opieką. Oliver miał nadzieję, że sędzia też tak na to

spojrzy.

- A teraz, czy pan z dzieckiem będzie mieszkał u pańskiego ojca?

- Tak.

- Czy jemu to odpowiada? Wyraził na to zgodę? Ze swego miejsca Oliver skinął głową i Benjamin powiedział, że tak, zgodził się.

- A co wtedy, gdy postanowi pan opuścić dom swego ojca, na przykład rzuci pan ponownie szkołę lub znajdzie sobie inną dziewczynę?

- Zabiorę Alexa ze sobą. Jest dla mnie najważniejszy. Jeśli rzucę szkołę, to pójdę do pracy, żeby go utrzymać, tak jak robiłem to uprzednio.

- Dziękuję panu. Sąd zarządza krótką przerwę. Rozprawa będzie wznowiona za piętnaście minut.

Sędzia stuknął młotkiem i opuścił salę. Benjamin wyszedł zza barierki z pozoru spokojny, ale cały mokry.

- Odpowiadałeś fantastycznie - szepnęła adwokat. - Tylko tak dalej!

- Dlaczego ogłosił przerwę? - chciał wiedzieć Oliver.

- Prawdopodobnie chce przeczytać jeszcze raz dokumenty, aby upewnić się, że wszystko jest w porządku. Ale Benjamin odpowiadał po prostu świetnie. Oddałbym mu własne dzieci, gdyby je chciał wziąć. - Uśmiechnął się, próbując ich uspokoić.

Po piętnastu minutach nerwowego dreptania po korytarzu wrócili do sali rozpraw, powrócił też sędzia. Rozejrzał się po sali. Popatrzył na Olivera, adwokata i Benjaminą. Uderzył raz młotkiem.

- Sąd wznawia rozprawę. Proszę nie wstawać. - Jego oczy zatoneły w oczach chłopca. - To, czego się podejmujesz, młody człowieku, jest kłopotliwym ciężarem. To

odpowiedzialność, od której nie możesz się uchylić, o której nie możesz zapomnieć, nigdy się wymigać. Nie możesz wziąć wolnego dnia od bycia ojcem. Nie możesz tego rzucić, czy zmienić zdania, czy postanowić, że nie masz ochoty brać w tym udziału. Przez następne osiemnaście lat, a nawet dłużej, dziecko będzie wyłącznie obowiązkiem, jeśli sąd powierzy panu całkowitą opiekę. Wydaje się, że do tej pory wypełniał pan ten obowiązek w sposób godny podziwu. Doradzam panu przemyślenie tego, czego pan się dzisiaj podejmuje, żeby pamiętał pan o tym każdego dnia swojego życia, w ciągu życia swego syna i żeby nie zapomniał pan ani przez moment, co jest pan winien swemu dziecku. Sąd wyznacza Benjaminu Olivera Watsona jedynym opiekunem Alexandra Williama Cartera. Ma pan całkowitą opiekę nad chłopcem od dzisiejszego dnia, to jest od dwudziestego dziewiątego sierpnia. Zrzeczenie się praw rodzicielskich matki dziecka zostało przyjęte przez sąd. Może pan zmienić nazwisko dziecka na własne z dzisiejszą datą lub w czasie, który pan wybierze. - Popatrzył na niego łagodnie i z uśmiechem powiedział: - Chłopiec jest pański, panie Watson. - Wskazał woźnemu, żeby otworzył drzwi.

Weszła opiekunka, niosąc dziecko, wyglądające na zadowolone i trochę zdziwione nieznanym miejscem, a oczy jego ojca, dziadka, a nawet adwokata wypełniły się łzami.

- Może pan zabrać Alexandra do domu - łagodnie powiedział sędzia.

Opiekunka podeszła wprost do Benjaminu i podała mu Alexa, dziecko zapiszczało z radości, że go widzi. Adwokatowi przekazano kartonowe pudełko z nielicznymi przedmiotami należącymi do dziecka: piżamką, śpiochami i misiem - prezentem od Benjaminu. Już wszyscy płakali, śmiali się, a Benjamin spojrzał ze zdumieniem na sędziego.

- Dziękuję panu, och, jak bardzo panu dziękuję. Wtedy sędzia wstał i opuścił ławę. Adwokat wyszedł wraz z Watsonami z sali. Oliver poklepał syna po ramieniu, a potem uściskał rękę adwokatowi i podziękował mu.

Benjamin usiadł na tylnym siedzeniu samochodu, mocno przytulił dziecko do siebie, a później posadził je w specjalnym foteliku.

Postanowili, że nie pojedą do domu Alice Carter, by zabrać resztę rzeczy Alexa. Benjamin już nie chciał jej więcej widzieć. Pragnął tylko zabrać syna do domu i już zawsze mieć go przy sobie. Nie chciało mu się nawet iść do szkoły następnego dnia. Nie zamierzał się z nim rozstawać nawet na chwilę.

Pojechali do domu trochę wolniej. Chłopiec mówił podniecony, a dziecko gaworzyło. Mówił o sędzim, sądzie, w końcu o Sandrze. Opiekunka powiedziała adwokatowi, że Sandra była zdecydowana i nie miała żadnych wątpliwości. Wiedziała, że nie podoła obowiązkowi opieki nad dzieckiem i nie chciała nawet spróbować. Bez Benjamina, który wyręczał ją w zajmowaniu się dzieckiem, chciała tylko uciec. Uprawomocnienie się wyroku to już czysta formalność. Nikt nie spodziewał się trudności. Benjamin musiał tylko złożyć podanie o zmianę nazwiska dziecka, ale miała to za niego załatwić firma „Loeb i Loeb”.

- A pan co o tym sądzi? - Ben bawił się, szczęśliwy, z dzieckiem. - Jak myślisz, spodoba ci się mieszkanie z dziadkiem, Mel i Samem?

Alex zagruchał i wskazał paluszką przejeżdżającą ciężarówkę, a Ollie uśmiechnął się do niego, dumny.

- Jak mu się nie spodoba, to będzie mógł spać w garażu z tą wstrętną świnką Sama. - Dziadek udawał, że się gniewa, ale było jasne, że bardzo go kocha.

Mel, Sam i Aggie czekali na nich w kuchni. Czekali z zapartym tchem prawie całe popołudnie. W pierwszej chwili Mel dostrzegła tylko ojca na przednim siedzeniu i pomyślała, że coś poszło źle. Wtedy jej brat wysiadł z tyłu, trzymając dziecko. Krzyknęła głośno i podbiegła do niego. Alex wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczyma.

- Ostrożnie... nie przestrasz go... wszystko jest dla niego nowe... - Benjamin był opiekuńczy.

Dziecko zaczęło kwilić, ale Aggie miała dla niego ciasteczko. Sam trzymał świnkę. I Alex zaczął się śmiać, próbował dotknąć tak śmiesznie się ruszającego nosa zwierzątka.

Aggie znalazła gdzieś wysokie krzesło i ustawiła je w kuchni, a Oliver otworzył butelkę szampana dla swego syna i nalał kilka kropli dla Sama.

- Za Alexandra Watsona! - Wzniósł toast z szerokim uśmiechem, czując jak ciężar tego popołudnia powoli zsuwa mu się z ramion. - Niech żyje długo i szczęśliwie, z najlepszym na całym świecie tatusiem!

- O nie! - Benjamin odwrócił się, żeby się do niego uśmiechnąć. - Ty jesteś najlepszy, tato!

- Obaj jesteście najlepsi. - Mel wzniosła kieliszek. I wszyscy mieli mokre oczy, gdy uśmiechali się i szczęśliwi patrzyli na dziecko.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Benjamin zaczął zajęcia następnego dnia. Dwa razy przyjechał do domu, żeby sprawdzić, jak się ma Alex, mimo że Aggie upierała się, iż nie potrzebuje żadnej pomocy. Ale Benjamin nie mógł wytrzymać bez syna. Wróciwszy do domu pod koniec dnia, zastał Alexandra siedzącego na swoim wysokim krzeselku i z zadowoleniem pałaszującego obiad, który z radością ugotowała dla niego Aggie.

Wieczorem przyjechała Charlotte i uparła się, że będzie Alexandra kołysać i śpiewać mu. Pomogła Benjaminowi położyć go spać, a Mel, Aggie i Oliver stali opodal jako ochrona. Sam wrzucił mu do łóżeczka swojego ulubionego misia. To był ten sam miś, którego dostał od Sary. Alex jeszcze krótko zapłakał, jakby wystawiał ich na próbę, a w chwilę później zasnął.

- W przyszłym tygodniu będzie potwornie rozpuszczonym bachorem. - Oliver udawał, że mu się to nie podoba.

Dla Charlotte było oczywiste, że Ollie sobie zaplanował, iż jako pierwszy będzie psuł dziecko.

- Jak to jest, gdy w domu jest małe dziecko? - zapytała.

- To dobra praktyka! Obudził nas wszystkich o szóstej rano! Ale muszę przyznać, że Benjamin fantastycznie się nim zajmuje. Jest nawet lepszy od Aggie - wyszeptał Oliver.

- Ty też niesie dajesz sobie radę. Ja zawsze czuję się taka niezręczna przy dzieciach.

Oliver przytulił ją mocno do siebie.

W weekend zabrali Alexa do zoo, sami, bez Bena. Oboje czuli się cudownie. Tym razem nikt ich nie niepokoił ani nie przybiegał po autograf. Kilka osób im się przyglądało, lecz w końcu doszło do wniosku, że to nie może być Charlotte Sampson. Byli po prostu szczęśliwą parą na

spacerze z dzieckiem w zoo we wrześniową niedzielę. I tylko duży brylant na jej palcu wskazywał, że może jest ona kimś zamożnym czy ważnym, ale nikt nic nie zauważył.

Była to dla Charlotte ulga, bo prasa polowała na nią, od momentu ogłoszenia w sierpniu nominacji do nagrody Emmy. Ona i jej serial ponownie w tym roku byli nominowani. Dziennikarze przygotowywali wiadomości o kandydaturach do nagrody. Charlotte chciała, żeby ją zostawiono w spokoju. Bała się, że dużo informacji prasowych może przynieść jej pecha. Znowu wróciła do pracy. Wstawała o czwartej rano, bo o piątej musiała być w studiu gotowa do charakteryzacji. Wieczorem Oliver zabierał ją i szli gdzieś razem na kolację tylko we dwoje albo przywoził ją do domu, do dzieci.

Wszyscy cieszyli się na ślub w grudniu, lecz oni jeszcze nie podjęli decyzji, dokąd pojedą w podróż poślubną: Hawaje, Bora Bora czy gdzieś na narty. Sam uważał, że dokądkolwiek pojedą, powinni jechać z dziećmi, ale Ollie nie przyjmował tego do wiadomości. Żadnych świnek morskich, dzieciaków czy niemowląt w tej podróży. Zajmowali się nimi codziennie i nie było potrzeby, żeby je ciągnąć w podróż poślubną.

W następnym tygodniu nadchodził ten ważny moment w życiu Charlotte i już nie mogła dłużej unikać prasy. Dziennikarze czekali na nią przed studiem prawie codziennie. Pojechali za nią nawet do sklepu Giorgia, dokąd się wybrała, żeby kupić sobie sukienkę. Kupiła wąską, czarną, ozdobioną cekinami, zaprojektowaną przez Boba Mackie. A potem pojechała z Mel, żeby kupić coś dla niej. Zdecydowały się na przepiękne różowe atlasowe cudo, dzieło Oskara de la Renty. Oliver później burczał, że Charlie psuje Mel, ale kazała mu powiedzieć, żeby pilnował własnego nosa. Wyprawiły sobie

bal, przymierzając suknie i chichocząc, a Charlotte wybrała jeszcze kilka sukienek. Mel świetnie się bawiła, przymierzając kapelusze i sztuczną biżuterię.

Wielki dzień w końcu nadszedł. Charlotte, Oliver, Mel i Benjamin wyjechali z domu w długiej na całą przecznicę limuzynie. Aggie i Sam usadowili się przed telewizorem, żeby oglądać wręczanie nagród. Alex jeszcze nie spał, gdy wychodzili, i z zadowoleniem rozsmarowywał na sobie, na kanapie i piżamce czekoladowe ciasteczka. Poprzedniego wieczora skończył rok i w swoje urodziny zrobił kilka pierwszych kroków.

Przyjechali do Pasadena Civic Auditorium. Charlotte z pozoru była spokojna. Gdy wysiadła z samochodu, wzięła Olliego pod ramię. Mel i Benjamin szli tuż za nimi. Była to najbardziej ekscytująca noc w ich życiu, Ollie też odczuwał napięcie. Dłonie Charlotte były wilgotne, a gdy obiegli ich fotoreporterzy, Oliver poczuł, że ona drży. Kiedy już zajęli miejsca na widowni, bez przerwy kierowano na nich kamery i aparaty. Wiele gwiazd podeszło do nich, żeby się przywitać i zamienić kilka słów.

W końcu uroczystość się rozpoczęła, jak zwykle od wręczania licznych wyróżnień o mniejszej randze. Wyglądało na to, że potrwa to jeszcze kilka godzin, zanim dotrą do najważniejszych nagród, a Sam już ziewał i prawie zasypiał. Alex od dawna spał mocno w ramionach Aggie, lecz w Pasadenie rosło napięcie. Ogłoszono najlepszy spośród nominowanych seriali, a Mel i Benjamin krzyknęły, bo to był jej serial. Obaj producenci biegli przejściem, ich żony płakały, a Charlotte uśmiechała się szeroko i przytuliła mocno do Olivera. Była zadowolona ze względu na swoich producentów i przekonywała siebie w duchu, że już niczego więcej nie powinna pragnąć. Wystarczy, że gra w

nagrodzonym serialu. Poświęciła więc całą uwagę nagrodzie dla najlepszego aktora. Wygrał jej dobry znajomy z konkurencyjnego serialu.

I wtedy nadeszła ta wielka chwila. W końcu była jej kolej. Prawie nie mogła tego znieść. Całe życie wmawiała sobie, że sława się nie liczy, a jednak była ważna. Tak ciężko pracowała. Gdzieś w głębi serca wiedziała, że zasłużyła sobie na tę nagrodę.

Kamery kierowano na nią bez przerwy. Trzymała Olliego za rękę. Modlił się za nią cicho... Dla jej dobra chciał, żeby wygrała... Wywoływano nazwiska, również innych aktorek, potem długa pauza, aż ktoś powiedział: „Poproszę o kopertę”. Wtedy - jak uderzenie pioruna prosto w serce - usłyszał jej nazwisko, a ona wpatrywała się w niego, zakrywała dłonią usta, nie mogąc uwierzyć, że tym razem wygrała. Łagodnie postawił ją na nogi, pofrunęła ku scenie, jej płonące włosy popłynęły za nią, czarna suknia okrywała jej nieprawdopodobną figurę.

- Nie wierzę! - powiedziała, zanim wstała z fotela. Wyglądała na wzruszoną, uśmiechała się, gdy zwróciła się do kolegów i przyjaciół, ściskając Emmy.

- ...nie wiem, co powiedzieć - roześmiała się - niczego sobie nie przygotowałam, bo nie przyszło mi do głowy, że wygram...

Chcę podziękować producentom, reżyserom, scenarzystom, aktorom, kamerzystom i wszystkim tym cudownym ludziom, dzięki którym stało się to możliwe... mojemu korepetytorowi, Johnowi Drummowi, który był na tyle szalony, że namówił mnie do tej pracy, i mojej agentce, że mi ją wywalczyła, Annie, miałaś rację... i co najważniejsze... - popatrzyła wprost na niego - mojej rodzinie... mojemu przyszłemu mężowi, Oliverowi, który z

taką miłością mnie wspiera, i naszym dzieciom, Benjaminowi, Melissie i Samowi... - Miała łzy w oczach, Ollie też. Sam był zbyt oszołomiony, żeby się poruszyć. - Kocham was wszystkich i mam nadzieję, że uda mi się lepiej w przyszłym roku.

Ujęła statuetkę Emmy, pomachała nią do kolegów i wielbicieli i zeszła ze sceny, spiesząc się z powrotem na miejsce. Orkiestra zagrała fanfarę, uroczystość się skończyła, ale dziennikarze prawie ją zgnetli. Oliver dzielnie ją osłaniał. Pocałował ją, a ona jego oraz Benjamin i Mel. To była dzika, szalona noc. Zabrali dzieci do domu. Otworzyli butelkę szampana, żeby oblać sukces z nimi, Aggie i Samem przed powrotem na przyjęcia, na których zamierzali się bawić do rana. Charlie miała nigdy tego nie zapomnieć. Naprawdę jej się udało!

Zadzwoił telefon. To Margaret i ojciec Olivera chcieli jej pogratulować.

Aggie wciąż roniła łzy szczęścia, a Charlie zatelefonowała do swojej rodziny w Nebrasce - i tam też płakali. Cudowna noc. Charlotte nadal nie mogła uwierzyć, że zdobyła nagrodę. Benjamin wzniosł toast, wszyscy naraz śmiali się, gadali i obejrzeliby powtórkę uroczystości w dzienniku.

- Nigdy nie sądziłam, że wygram - powtarzała Oliemu, kiedy jechali z Bel Air do Beverly Hills.

- Wiedziałem, że wygrasz!

Był z niej taki dumny. To było nadzwyczajne, że mógł brać w tym udział razem z nią. Minęła czwarta rano, gdy wreszcie dotarli do domu, gdy osunęła się na własne łóżko, a Ollie padł obok niej. Emmy patrzył na nich z toaletki, a ona nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

- Całkiem ładny. - Oliver uśmiechnął się, zbyt

zmęczony, by chociaż rozluźnić krawat.

- Nie taki ładny jak ty. - Przewróciła się na bok i leżała w swej pięknej sukni. - Znacznie bardziej mi się podobasz. - Była trochę wstawiona i zupełnie oszołomiona tym, co się zdarzyło.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Następny tydzień był szalony. Dziennikarze chodzili za nią wszędzie. Dostała ogromną premię od sieci i podnieśli jej wynagrodzenie na przyszły rok. Ale dostała również dziesiątki innych ofert, do mini - seriali, do filmów fabularnych, i propozycję, na którą czekała całe życie. Agentka zadzwoniła do niej do studia, a ona nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

Tak bardzo tego pragnęła, lecz powiedziała agentce, że musi porozmawiać z Oliverem. Miał prawo głosu przy podejmowaniu takiej decyzji. Była dla niej bardzo ważna i wiele oznaczała, na przykład wyblaganie możliwości wypłatania się z serialu, który przyniósł jej nagrodę Emmy, czy nawet zerwanie kontraktu, jeśli będzie musiała to uczynić.

Była zdenerwowana, gdy przyjechał po nią tego wieczora po pracy. Mieli pojechać do niej na kolację we dwójkę, żeby przedyskutować sprawę podróży poślubnej. Twardo obstawał przy Bora Bora, ale zanim przyniósł foldery, wiedział już, że coś się stało. - Charlie, o co chodzi?

Dobrze wyczuwał teraz jej nastroje. Było coś niezwykłego w tym, że była przy nim taka napięta. Nie traciła więcej czasu. Zaproponowano jej zagranie na Broadwayu w czymś poważnym, w czymś takim, co zawsze chciała zrobić. Była to szansa, która mogła się już nigdy nie powtórzyć. Próby zaczynały się w grudniu. Oznaczało to wyjazd do Nowego Jorku co najmniej na rok, a jeśli sztuka miałaby powodzenie, to może nawet na dwa.

Siedział patrząc na nią, oszołomiony, nie wierzył własnym uszom ani wyrazowi jej twarzy. Była rozdarta. A on czuł się tak, jakby mu miało serce pęknąć.

- Co z serialem? - Chciał krzyknąć... „Co ze mną?”

- Mogłabym rozwiązać kontrakt. Moja agentka uważa, że jeśli to dobrze przeprowadzimy, to może pozwolą mi odejść.

- Chcesz tego?

- Nie wiem. Zawsze chciałam. Dla mnie Broadway zawsze był szczytem aktorskiego profesjonalizmu. - Była z nim szczerą, jak zawsze. - Tyle wiem. Jeszcze się nie zdecydowałam. Powiedziałam mojej agentce, że muszą najpierw porozmawiać z tobą... Ale, Ollie... zawsze chciałam zagrać na Broadwayu... zwłaszcza w takiej sztuce jak ta...

- Co to oznacza dla nas? Co mam robić przez te dwa lata? Siedzieć tutaj? Nie mogę teraz zostawić biura, jestem tu dopiero od roku... to dla mnie ważne miejsce i będzie takie pewnie przez dłuższy czas, o ile nie zostanę tu na zawsze. Moje dzieci są w szkole, nie mogę ich zostawić ani znowu ich stąd wyrwać. Przeszły przez to dwukrotnie w jednym roku. Nie mogę tego zrobić, Charlie. Nie mogę rzucić wszystkiego i pójść sobie, mimo że bardzo chciałbym zobaczyć, jak robisz to, czego pragniesz.

Musiał myśleć o swojej pracy i o swojej rodzinie. Na jej twarzy widział mękę. Nie chciała zmarnować takiej propozycji, nawet dla niego.

- Mogłabym przyjeżdżać - ledwie wymówiła te słowa, spojrział na nią, jakby go uderzyła. Wstał i zaczął w milczeniu krążyć po pokoju.

- Nie rób mi tego, Charlie - powiedział w końcu - raz już przez to przeszedłem, przez kobietę, którą kochałem. Nawet nie spróbowała. Ale jeśli ty spełnisz swoją obietnicę, to jak sądzisz, jak długo wytrzymasz? Latanie w tę i z powrotem, by spędzić razem jeden dzień w tygodniu. To śmieszne, to nie może się udać. Nie zbudowaliśmy jeszcze naszego uczucia, a ty chcesz, żebyśmy wystawili je na taką

próbę? Wolałbym zerwać teraz, od razu. Będzie to znacznie mniej bolesne dla nas obojga niż czekanie jeszcze rok. Daj sobie z tym spokój. Nie chcę słyszeć o przyjeździe. - Staraj się uspokoić i myśleć o niej. - Posłuchaj, Charlie, musisz robić, co dla ciebie jest słuszne. - Kochał ją na tyle, by pozwolić jej na taki krok bez względu na to, ile go to będzie kosztowało. Wiedział, że nie ma prawa stanąć jej na drodze, bo jeśli nawet by to zrobił i tak by w końcu przegrał. Tę lekcję już przerabiał. Zamknął oczy na chwilę przesywającego bólu. Kiedyś przeżywał i ból, i rozpacz, i stratę. Przeżyje to jeszcze raz. Był gotów zrobić to dla niej. - Uważam, że powinnaś pojechać. Zawsze będziesz żałowała, jeśli odrzucisz tę propozycję. I tak byśmy za to zapłacili w jakiś sposób... Bierz to, mała... Walcz dalej... Masz prawo... jesteś w tej chwili na szczycie. Takie okazje się nie powtarzają... Ale nie oczekuj ode mnie, że będę dojeżdżał... i nie wierz w to, że możesz mieć wszystko. Nie możesz. Czasami musisz wybrać w życiu. Wybierz dobrze dla siebie... Właśnie tego chcę... - Miał łzy w oczach, ale odwrócił się, żeby ich nie zobaczyła.

- Mówisz mi, że wszystko między nami się skończy, jeśli pojedę? - Była ogłuszona.

- Tak. I nie dlatego, że chcę cię do czegoś zmusić, na przykład do zostania tutaj ze mną. Mówię ci po prostu, że już raz przez coś takiego przeszedłem i nie mogę przechodzić przez to po raz drugi. To się nie udaje. Przegramy w końcu i tak. Wolałbym raczej życzyć ci wszystkiego dobrego i pocałować cię na pożegnanie ze łzami w oczach. Ale lepiej teraz niż za rok czy dwa, może nawet z dzieckiem. I nie sądzę, żeby moje dzieci mogły znieść taką stratę bez szkody. Muszę myśleć też o nich. Kocham cię, Charlie. Kocham cię na tyle mocno, by pozwolić ci zrobić to, czego pragniesz.

Jadę teraz do domu. Przemyśl to i zadzwoń potem do mnie. Zrozumiem. Mówię szczerze, zrozumiem. - Miał wilgotne oczy, a ona płakała. Nie mogła uwierzyć w to, co mówił, ani nie zrozumiała tego jeszcze. - Tylko nie pozwól, żebym o tym przeczytał w gazetach. - A potem nie oglądając się wyszedł i pojechał do domu.

Gdy ojciec wrócił. Sam jeszcze nie spał i bawił się ze świnką w kuchni. Kiedy Oliver tam wszedł, to wyglądał tak, jakby kogoś przejechał.

- Cześć, tato! - Sam podniósł głowę z uśmiechem, ale zaraz przestał się uśmiechać, zapomniał również o śwince. - Co się stało?

- Nic. Miałem okropny dzień w biurze. Idą do łóżka. Zmierzył włosy Sama i poszedł prosto do swego pokoju, nie mówiąc więcej ani słowa. A Sam z przerażoną miną natychmiast pobiegł do sypialni siostry.

- Coś się stało tacie - oświadczył. - Właśnie przyszedł do domu i jest zielony.

- Może jest chory. Pytałeś go, co się stało?

- Powiedział, że miał zły dzień w biurze.

- Może miał. Uspokój się i zostaw go w spokoju. Będzie zdrow jutro rano.

Ale nie był zdrow. Wszyscy to zauważyli. Był spokojny, blady i w ogóle się nie odzywał. Wrócił późno i nie tknął jedzenia, a Sam popatrzył znacząco na siostrę.

- Jesteś chory, tato? - Starła się, żeby zabrzmiało to rzeczowo.

Sam niechcący trafił w samo sedno. Ojciec wzdrygnął się, gdy usłyszał jego słowa:

- Pokłóciłeś się wczoraj z Charlie?

- Nie, oczywiście, że nie.

Nie zadzwoniła do niego po jego wyjściu, a on nie spał

całą noc. Męka i strach przed jej utratą były większe, niż mógł znieść. Kochał ją za bardzo, żeby czepiać się kurczowo czegoś, o czym wiedział, że nigdy nie będzie miał. Tak jak z Sarą, kiedy odkrył, że nigdy naprawdę jej nie miał.

Pojechał tego ranka do biura, czując się jak żywy trup. Wstrząsnął nim dreszcz, gdy po południu sekretarka powiedziała mu, że Charlotte czeka. Nagle przestraszył się i nie chciał jej wypuścić. Bał się usłyszeć, co miała mu do powiedzenia. Czuł się jak w pułapce, kiedy sekretarka ją wypuściła. Nie wstał, bo nogi miał jak z waty.

- Dobrze się czujesz? - Charlie spojrzała na niego zmartwiona i wolno podeszła do biurka, patrząc Oliverowi prosto w oczy.

- Podjęłaś decyzję, prawda?

Kiwnęła głową i osunęła się na krzesło przy biurku.

- Musiałam przyjść teraz. Powiedzą o tym w dzienniku o szóstej. Producenci sztuki ułożyli się z siecią. Telewizja zgodziła się puścić mnie na Boże Narodzenie... - Dzień ich ślubu... prawie...

- Zagrasz w sztuce? - Zmuszał się, żeby wypowiedzieć te słowa. Powoli kiwnęła głową, z wyrazem napięcia w oczach.

- Chyba tak. - A potem wyciągnęła ręce i ujęła jego dłonie. Błagała go: - Czy nie możemy chociaż spróbować? Kocham cię! Nic się nie zmieniło.

Była zrozpaczona, ale Ollie wiedział lepiej.

- Jeszcze nie w tej chwili. Jeszcze nie. Ale w końcu to będzie za dużo. Będziemy sobie obcy. Będziesz mieszkać w Nowym Jorku, będziesz miała swoje własne życie, swoje granie. A ja będę tutaj. I co to będzie za życie?

- Trudne, rzucające wyzwanie, ale warte tego. Wielu ludziom się udało, dlaczego nam ma się nie udać? Ollie,

przysięgam, że będę przyjeżdżać.

- Jak? Masz dwa dni wolne. Jeden dzień, żeby tu przylecieć, drugi na powrót. Co nam zostaje? Noc na lotnisku? Jak sądzisz, jak długo by to trwało? - Wstał i obszedł biurko, żeby spojrzeć jej w twarz. - Dokonałaś słusznego wyboru. Jesteś utalentowana, Charlie. Masz prawo dostać to, co najlepsze.

- Ale ja cię kocham.

- Też cię kocham. Nie umiem jednak sprawić, żeby coś się udało, jeśli nie może się udać. Już dawno się tego nauczyłem. To była trudna lekcja.

Blizny były zbyt głębokie, ból zbyt wielki, a gdy spojrział na kobietę, którą kochał, zrozumiał, że już ją stracił.

- Co teraz? - Wyglądała na całkiem załamana i nie walczyła już z nim.

- Poboli przez chwilę. Przeżyjemy to. Pójdziemy dalej. Masz swoją pracę. Ja mam dzieci. Pocieszymy się tym, co mamy, i w końcu przestanie boleć.

Tak było z Sarą. Tylko że męka trwała rok. Tylko tyle. A perspektywa wydawała się jeszcze gorsza, bo tyle mieli nadziei, planów, radości, kochania. Teraz wszystko się skończyło.

- Sprawiasz, że to brzmi okropnie prosto, Ollie. Patrzyła na niego oczyma wypełnionymi łzami. Delikatnie wziął ją za rękę.

- To tylko problem. Ale nie jest prosty.

Parę minut później wyszła zapłakana z jego biura. Nalał sobie porządnego drinka przed pójściem do domu. Zastał Aggie i Sama oglądających dziennik i karmiących Alexa. Spiker właśnie oznajmił mieszkańcom Los Angeles, że chodzą pogłoski, jakoby Charlotte Sampson opuszczała swój serial i wyjeżdżała do Nowego Jorku, by zagrać na

Broadwayu.

Sam roześmiał się głośno, a Aggie dała dziecku jeszcze jedno ciasteczko.

- Ale to głupie, prawda, tato? Charlie nie jedzie do Nowego Jorku, zostaje z nami i się pobieramy.

Spojrzał na ojca i nagle jego twarz znieruchomiała. Ollie patrzył szklanymi oczyma, odwrócił się od telewizora do Sama i pokręcił głową, ogłuszony.

- Nie. Nie sędzę, synu. Dostała bardzo dobrą propozycję zagrania w ważnej sztuce. To dla niej ogromnie dużo znaczy. Sam.

Kiedy Aggie i chłopiec wpatrywali się w niego, do kuchni wszedł Benjamin. Zobaczył, że stało się coś okropnego, ale nie wiedział co. Alex zapiszczał i wyciągnął tłusciutkie ramionka do swego ojca, lecz tym razem nikt go nie słyszał.

- Czy my też wracamy do Nowego Jorku? - spytał Sam. Wyglądał jednocześnie na przestraszonego i ucieszonego, ale jego ojciec pokręcił głową, czując, że postarzał się o sto lat w ciągu jednego dnia.

- Nie możemy. Sam. Wszyscy jesteście tutaj w szkole. A ja muszę prowadzić biuro. Nie mogę po prostu zwinąć manatków i przeprowadzać się raz w roku.

- Ale dlaczego nie chcesz, tato?

Sam nie mógł zrozumieć, co się stało. W tej sprawie Ollie też nic nie rozumiał.

- Oczywiście, że chcę. Ale nie mogę też wtrącać się w czyjeś życie. Ona ma swoje życie, a my swoje.

Nastąpił moment ciszy, a wtedy Sam kiwnął głową, wycierając łzę z policzka. Benjamin i ojciec patrzyli na niego.

- Coś takiego jak z mamą?

- Coś w tym rodzaju.

Sam kiwnął głową i wyszedł z kuchni, a Benjamin delikatnie dotknął ramienia ojca. Aggie wyjęła Alexa z krzeselka i zabrała ze sobą, żeby zobaczyć, co robi Sam. Łatwo mogła sobie wyobrazić, że znowu nadeszły ciężkie czasy i Sam za bardzo się tym przejął. Lecz nie tylko on szalał za Charlotte, jego ojciec również.

- Czy mogę coś zrobić, tato? - spytał cicho Benjamin, poruszony wyrazem żalu w oczach Olliego.

Oliver jedynie pokręcił głową, ścisnął ramię Benjaminą i poszedł na górę do swego pokoju. Leżał w łóżku, myśląc o niej prawie przez całą noc. To niesprawiedliwe, że znowu mu się to zdarza. To niesprawiedliwe, że ją traci. Gdy tak leżał sam, chciał ją znienawidzić, ale nie mógł. Za bardzo ją kochał. Ironia tego faktu uderzyła w niego nową falą, kiedy po nie przespanej nocy wyrzucał rano foldery Bora Bora. Znowu miał pecha, że zakochał się w kobiecie, która chciała znacznie więcej od życia niż tylko małżeństwa. Nie mógł sobie wyobrazić, że kiedykolwiek jeszcze kogoś pokocha. A gdy tak gapił się przez okno, myśląc o niej, nie mógł powstrzymać łez. Rozpaczliwie jej pragnął, wiedział jednak, że nigdy by z tego nic nie wyszło. Musiał pozwolić jej odejść, bez względu na to, jak bolało przecięcie więzów, które ich łączyły.

Przez cały dzień chciał do niej zadzwonić. Zmusił się, żeby tego nie zrobić. Tego dnia pełno było o niej w gazetach i potem jeszcze przez kilka dni, ale nie telefonowała do niego. Dopiero koło Święta Dziękczynienia mógł usłyszeć jej imię, nie wpadając w drzenie. Czekał, aż wyjedzie do Nowego Jorku, wtedy nie będzie go kusiło, żeby przejechać blisko jej domu lub zatrzymać się koło studia, by ją zobaczyć. Odejdzie do innego życia. Na zawsze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Dzień przed Świętem Dziękczynienia przyjechała Sara, żeby zabrać Mel i Sama do swoich przyjaciół w San Francisco. Zgodziła się nawet wziąć ze sobą Aggie i Alexa, gdyż Benjamin miał zamiar pojechać na narty na pierwszy śnieg do Squaw Valley. Sara przed kilkoma tygodniami skończyła książkę. Oliver uważał, że dobrze wygląda. Kiedy pocałował ją w policzek, poczuł się dziwnie, tak jakby całował kogoś zupełnie obcego. Już za nią nie tęsknił i zapach jej perfum wydawał mu się nie znany. Kobieta, która nawiedzała sny, była Charlie. Serce bolało go za każdym razem, gdy przychodziła mu na myśl lub gdy zobaczył jej nazwisko w gazetach.

- Kiedy się żenisz, Ollie? - spytała Sara, trzymając Alexa na kolanach tego ranka, kiedy wyjeżdżali. Oliver popatrzył na nią zdumiony.

- Myślałem, że dzieci ci powiedziały. - Jego głos był pełen napięcia i bardzo cichy.

- Co mi miałaś powiedzieć? - Była zaskoczona. Alex z zadowoleniem obślinał jej czystą spódnicę. Czekwała w kuchni, aż Aggie spakuje dzieci.

- Charlotte będzie grała na Broadwayu. Powinna niedługo wyjeżdżać... Postanowiliśmy, że przeprowadzka będzie dla niej lepsza niż małżeństwo, - Uśmiechnął się krzywo, ale Sary nie dało się oszukać. Znała go zbyt dobrze i zrobiło jej się go żal. Znała ból, który odczuwał. Choć było to zupełnie coś innego niż to, co ona przeszła, straciwszy Jeana - Pierre'a, potrafiła go zrozumieć. - Chyba mam pecha, że zakochuję się w takich paniach. Mądrych, z ambicjami.

- Znajdziesz kogoś odpowiedniego, Ollie, pewnego dnia. Zaslugujesz na to. - Naprawdę w to wierzyła.

- Nie jestem pewien, czy będę miał dla niej czas,

nawet gdybym znalazł. - Uśmiechnął się, żeby ukryć swój smutek i patrząc na Alexa powiedział: - Ten facet trzyma nas cały czas na nogach.

Wtedy Benjamin zabrał syna od matki i zaniósł do samochodu, żeby posadzić go w specjalnym foteliku w wynajętym pontiacu Sary. Nie chciał w ogóle rozstawać się z dzieckiem, ale Oliver uparł się, że trochę jazdy na nartach dobrze mu zrobi. On sam był szczęśliwy, że Sara zabiera dzieci. Cios zadany przez Charlotte wciąż za bardzo bolał i Oliver nie był w świątecznym nastroju.

Wkrótce Sara z młodszymi dziećmi odjechała, a trochę później przyjechali po Benjaminą jego znajomi. Ollie został sam w domu. Próbował się przebić przez górę rachunków i korespondencji. Było dziwnie cicho. Oparł się o krzesło, westchnął, jak gdyby próbował się nad czymś zastanowić. Szybko stwierdził, że znowu myśli o Charlie, a potem o Sarze. Rozważał, czy sprawy mogły się potoczyć inaczej, z którąś z nich, ale głęboko w sercu wiedział, że nie. Może gdyby od początku postępował inaczej, to Sara uciekłaby później. Uświadomił sobie, że to głupia myśl. I tak zrobiłaby to, co zrobiła. Chciała być wolna, mieszkać sama i pisać swoje powieści. Podobnie Charlie z jej graniem na Broadwayu. I Megan ze swoim gniazdkiem na dachu. I nawet Daphne z mężczyzną, który nigdy nie opuści Greenwich. Tylko złościło go, że Charlie tyle gadała, jak to małżeństwo, dzieci i „prawdziwe życie” są dla niej ważne, a w końcu i ta wybrała - w ten sam sposób, co cała reszta - swoją niezależność, swoją sztukę, swój Nowy Jork. I ta obietnica dojeżdżania, na pewno nigdy by jej nie spełniła, mimo dobrych intencji.

Było już późno tego popołudnia, kiedy wreszcie wstał od biurka i poszedł do kuchni zrobić sobie kanapkę. I wtedy

zobaczył ją, jak stoi tam, z wyrazem wahania na twarzy, obok swego samochodu na podjeździe. To Charlie, uświadomił sobie, w podkoszulku i w dżinsach, z włosami ściągniętymi w znajomy koński ogon, który sprawiał, że wyglądała jak jedna z koleżanek Mel, a nie jak kobieta, która złamała mu serce i zerwała zaręczyny. Stała tam dłuższą chwilę, patrząc na niego przez okno. Nie wiedział, czy otworzyć jej drzwi, czy nie. Pomyślał, że to okrutne z jej strony przyjść się pożegnać, tak jak to zrobiła. W końcu, nie mogąc się oprzeć, podeszedł do drzwi i powoli je otworzył. Podeszła, spoglądając na niego nerwowo.

- Nie wiedziałam, czy będziesz, czy nie... Miałam zostawić ci kartkę... - Zobaczył, że trzyma ją w ręku, ale nie chciał jej czytać. - Chyba powinnam zadzwonić, zanim przyszłam.

- Wysłanie tego pocztą byłoby znacznie prostsze. Nie miał już nic do powiedzenia. Wszystko jej powiedział. I zbyt często płakał.

Patrzyła za jego plecy, w głąb kuchni, jak gdyby mając nadzieję, że zobaczy dzieci, ale kuchnia była pusta i cicha.

- Jak wszyscy?

Jej oczy szukały jego oczu, ale kiwnął głową, zastanawiając się, po co przyszła.

- W porządku.

- Wciąż za nimi tęsknię - przyznała ze smutkiem, czując się winna. Nie przyszła tu, żeby coś wytłumaczyć. Wiedziała, że byłoby to zbyt bolesne.

- Też za tobą tęsknię.

- A jak mały?

- Świetnie. - Ollie się uśmiechnął. - Benjamin fantastycznie daje sobie z nim radę.

- Gdzie są wszyscy?

- Wyjechali na Święto Dziękczynienia. - W pewnej chwili chciał ją zaprosić do środka, chociaż nie prowadziło to do niczego dobrego, tylko prosto w jeszcze większy ból. A wtedy, wzruszając ramionami, zrobił krok do tyłu i machnął ręką. - Chcesz wejść na chwilę?

Kiwnęła głową i poszła za nim do kuchni, myśląc, jaki jest przystojny, jak bardzo wciąż go kocha. Rozejrzała się i wsunęła do kieszeni kartkę, którą ze sobą przyniosła.

- Kiedy jedziesz do Nowego Jorku?

Zawahała się, jakby nie była pewna, co mu odpowiedzieć. Wiedziała, że bardzo go zraniła, że już nie można tego naprawić, ale teraz trzeba tyle wyjaśnić. Nie wiedziała, jak zacząć. Nie wiedziała nawet, czy powinna zaczynać.

- To długa historia.

- Musisz się bardzo cieszyć. - Starał się, żeby jego głos brzmiał obojętnie, ale nie udało mu się to. W jego głosie był gniew, żal i ból, i miłość do niej, która nie minęła, bez względu na to, co sobie uparcie powtarzał.

- Dużo się zdarzyło - próbowała wyjaśnić. Ostatnich kilka tygodni było dla niej piekłem, ale nie powiedziała mu o tym.

Zobaczyła w jego oczach, że jest już za późno. Była głupia, że przyszła, teraz to zrozumiała.

- Napijesz się kawy? - zaproponował. Chciał, żeby sobie poszła, i jednocześnie pragnął, żeby została. Na zawsze.

Patrzyła na niego długo i uporczywie. I choć miała koński ogon, jej oczy mówiły, że nie jest już dziewczynką, lecz kobietą. Były to oczy kogoś, kto zapłacił cenę za to, co zrobił. A wtedy powiedziała miękko:

- Nie jadę na Broadway, Ollie.

- Nie jedziesz? - Patrzył na nią przerażony. O co jej, u

diabła, chodzi? Powiedziała mu przecież. A potem widział w telewizji i czytał o tym w gazetach. Co się zmieniło? Kiedy i dlaczego?

- Nie, nie jadę. Zostaję tutaj, w serialu.

- Nie pozwolili ci rozwiązać kontraktu?

- Pozwolili, ale... - Czekał, oszołomiony, na dalszą część historii. - Zdecydowałam, że wyjazd jest błędem.

- Dla twojej kariery? - To był właściwie szept.

- Dla nas. Choć chyba jest już za późno. Popełniłam błąd i w końcu to zrozumiałam. Powtarzałam, że małżeństwo i dzieci tyle dla mnie znaczą, a potem byłam gotowa rzucić wszystko i uciec, nie patrząc, że to rani nas wszystkich, ciebie, mnie i dzieci. To był błąd. Za duża cena do zapłacenia, aby odrzucać kogoś, kogo kochałam. Bez znaczenia jest to, jak bardzo chciałam to zawsze zrobić. To nie było dobre i dlatego zrezygnowałam. I nawet jeśli nikogo nie odzyskam, ta rezygnacja była słuszna. Uśmiechnęła się uśmiechem na pół gorzkim, na pół słodkim.

Oliver patrzył na nią oszołomiony. A potem się rozjaśnił.

- Musieli być wściekli.

- Tak. - Uśmiechnęła się. - To koniec Broadwayu, jak sądzę, ale sieć mnie kocha. Bałam się do ciebie zadzwonić, Ollie.

- Dlaczego?

- Bo tak bardzo cię zraniłam. W jednej chwili zostawiam cię, żeby pojechać do Nowego Jorku, a w następnej wracam i mówię, że wszystko jest w tak najlepszym porządku... Nie mogłam zrobić czegoś takiego. Tu jest ta kartka. Pomyślałam, że ci wszystko wyjaśnię, zanim przeczytasz gdzieś o tym, i pomyślałam, że jeśli będziesz jeszcze chciał mnie widzieć, to zadzwonisz. Ale nie

sądziłam, że będziesz chciał. - Mówiła to tak, jakby od niego już niczego nie oczekiwała, i tak, jakby miała żalować tego, co zrobiła, do dnia swojej śmierci. A potem rozejrzała się po kuchni, szukając klatki Charliego.

- A gdzie mój imiennik?

Nigdzie nie było widać świnki. Ollie uśmiechnął się do niej, czując, że spadł mu z ramion przygniatający go ciężar.

- Ten hałaśliwy drań został zesłany do garażu na czas nieobecności Sama. Nie mogłem spać w nocy. Popatrzyła przepraszająco.

- Ja też nie spałam zbyt dobrze. Naprawdę nieźle wszystko pokręciłam, prawda, Ollie? - Jej głos był miękki i smutny, a on tylko kiwnął głową.

- Może... - uśmiechnął się do niej - może... może nie... To co robisz na końcu, najbardziej się liczy. Wszyscy potykamy się po drodze.

Siedzieli w kuchni, zakłopotani, ich życie było w zawieszeniu, ich oczy były pełne lęku, bólu i napięcia. Tyle mieli do stracenia i tyle do zdobycia... wszystko zależało od tego, co on miał zamiar zrobić...

- Tęskniłam za tobą, Ollie. Będę długo tęskniła, jeśli mi tego nie wybaczysz. - Tak go kochała, że wróciła, by prosić o wybaczenie. - Codziennie chciałam do ciebie zadzwonić, przyjść... powiedzieć, że żałuję... że byłam głupia... że bardzo się myliłam, sądząc, iż sztuka na Broadwayu znaczy więcej od ciebie. To była wstrętna decyzja, nawet jeśli w końcu odzyskałam rozsądek.

- Ale to było uczciwe - bronił jej przed nią samą - to było coś takiego, czego zawsze pragnęłaś. Miałaś do tego prawo, Charlie.

- Ciebie chciałam najbardziej. Tylko nie wiedziałam tego na pewno, dopóki cię nie straciłam. A wtedy było za

późno.

Jego oczy mówiły jej, że jest za późno, że przyszła niepotrzebnie, ale podchodził do niej z dziwnym wyrazem twarzy...

- Kto ci to powiedział? - szepnął, gdy przytulił ją mocno do siebie. - Kto ci powiedział, że jest za późno? I kto ci powiedział, że nie masz racji, a ja ją mam? Tysiące razy mówiłem sobie, że mogłem przeprowadzić się do Nowego Jorku razem z tobą, że moglibyśmy zamieszkać w domu w Purchase, bo jakie mam prawo, żeby ci stawać na drodze?

- Miałaś wszystkie prawa... miałaś dzieci, o których musiałaś myśleć, a ja myślałam wyłącznie o sobie.

- A teraz? - Prawie nie mógł wydobyć z siebie słowa i trzymał ją... tak bardzo ją kochał. Samo stanie przy niej bolało...

- Ollie, ogromnie cię kocham...

Ledwie wyszeptała te słowa, łagodnie ją pocałował. Tylko to chciał usłyszeć, tylko na tym mu zależało, tylko tym żył, gdy odeszła.

- Ja też cię kocham... i nigdy się nie dowiesz, jak bardzo za tobą tęskniłem. Myślałem, że zwariuję... - Ja też.

Uśmiechała się, a on wziął ją na ręce i niósł przez cały dom. Śmiała się i wołała: „Dokąd mnie zabierasz?” Nagle znowu była szczęśliwa. Była w ramionach ukochanego mężczyzny. Nie znienawidził jej i był tak nieszczęśliwy jak ona. Była taka głupia, ale dzięki Bogu nie wyjechała, aby grać w jakiejś sztuce na Broadwayu.

- Co robisz?

Uroczyście maszerował po schodach w stronę swojej sypialni.

- Zabieram cię do mojego łóżka, gdzie jest twoje miejsce. Będę cię tam trzymał tak długo, aż się nauczysz, jak

być miła, grzeczna... Cholerna, słynna aktorka... nigdy już nie wykręcisz mi takiego numeru!

Zmarszczył brwi, a ona śmiała się. Wniósł ją przez próg do sypialni. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Ollie, tak mi przykro...

Wciąż trzymał ją w objęciach, jak gdyby nie miał zamiaru jej nigdy wypuścić, ale uśmiechał się.

- Niech ci nie będzie przykro, ze mnie też był wielki głupiec...

- A teraz? - Spojrzała na niego, gdy ułożył ją na swoim łóżku.

- Skoro już oboje jesteśmy tacy głupi, to pasujemy do siebie. Z uśmiechem wyciągnęła do niego ramiona. Większość czasu przez następne cztery dni spędzili w łóżku. Był to bajkowy weekend.

Dzieci znalazły ją ubraną we własne dzinsy i podkoszulek Olivera, na bosaka w kuchni. Kiedy Sara odwiozła je wieczorem w niedzielę po drodze na lotnisko, weszła, żeby pożegnać się z Oliverem. Patrzyła zaintrygowana na Charlotte, rozczochraną i szczęśliwą w kuchni.

- Czy to właśnie ten ktoś? - szepnęła Sara z uśmiechem, gdy Oliver odprowadzał ją do samochodu.

Próbował je sobie przedstawić, ale Sam i Alex tak hałasowali, że nic nie można było usłyszeć, a Charlotte była zawstydzona, że ktoś obcy zastał ją na bosaka w kuchni Olivera.

- Tak.

- Czy to oznacza, że jednak przeprowadzasz się do Nowego Jorku? - Sara była lekko ubawiona i zadowolona. Wsunęła się za kierownicę. Spędziła z dziećmi bardzo miły weekend.

- Nie. Nie przeprowadzam się do Nowego Jorku. - Wyglądał na zadowolonego z siebie, choć próbował udawać, że nie jest. - To ona zostaje.

- Doprawdy?

Na Sarze wywarło to duże wrażenie, a on się uśmiechnął.

- Chyba miałem trochę szczęścia. Tym razem.

- Nie, Ollie. - Uśmiechnęła się do niego, przeszłość nie była już dla żadnego z nich bolesna. - To mądra dziewczyna. Gratulacje dla was obojga. Czy może trochę przedwczesne?

- Trochę.

Rozjaśnił się tak, że musiała się roześmiać.

- Powodzenia! - Pomachała mu ręką i wyjechała z podjazdu. Wrócił do kuchni. Trochę go zaskoczył widok Charlotte otaczającej jednym ramieniem Sama, trzymającej na biodrze Alexa, rozmawiającej z ożywieniem nad ich głowami z Mel, która przygotowywała gorącą czekoladę wśród tego rozgardiaszu.

- Nie mogę uwierzyć, że mam takie szczęście - szepnęła do Olliego, gdy usiedli przy stole.

- Oboje mamy.

Myślała o pierścionku, który mu odesłała, zastanawiając się, co się z nim stało. Popatrzyła na swoją rękę, a gdy spojrzała na niego, zobaczyła, że Oliver się śmieje.

- Co jest takie śmieszne?

- Ty! Odpowiadając na twoje pytanie, powiem ci, że go wyrzuciłem.

Tak naprawdę to nie miał serca odesłać pierścionka do sklepu, był on bezpieczny w jego szufladzie w sypialni.

- A skąd wiesz, o czym myślałam?

- Ponieważ jestem mądrzejszy, niż byłem, i kocham

cię. Wymienili długi łagodny uśmiech nad głową dziecka, a Oliver poczuł, że stał się cud! Cud, dzięki któremu ona do niego wróciła.

- A zamienisz go na zwykłe złote kółko? - zapytał. Chciał ją schwycić, zanim ona znowu zmieni zdanie lub pojawi się inna sztuka, film, czy jakiś przystojny aktor grający główną rolę. Nie był pewien, czy chce jeszcze czekać cztery tygodnie do świąt.

Kiwała głową w odpowiedzi na jego pytanie. Wyraz jej oczu powiedział mu to, co chciał wiedzieć. Wróciła, żeby zostać, żeby mieć wszystko: swoją pracę, którą lubiła, tak długo, jak długo będzie chciała, i życie z nim. Tym razem, oboje to wiedzieli, już wybrała. A jej wybór to bycie z Oliverem i z dziećmi. Będzie miała swój serial. I nagrodę Emmy, i świnkę morską, i ukochanego mężczyznę, i troje wspaniałych dzieci, i nawet wnuka. I własne dzieci, jeśli będzie chciała. Był gotowy dać jej wszystko. Dużo się nauczył w czasie jej nieobecności.

- Kiedy? - Miał surowe spojrzenie, gdy zabrał Alexa z jej kolan i oddał Aggie. Aggie prędko wyniosła małego i wyprowadziła Sama z kuchni, zostawiając ich samych, by ułożyli swoją przeszłość.

- Jutro? W przyszłym tygodniu? - Charlotte roześmiała się, gdy mu odpowiadała.

- Nie później. - Skrzywił się i przyciągnął ją do siebie. Pochylił się, żeby ją pocałować, i wtedy właśnie wszedł Benjamin z plecakiem na ramieniu.

- Przepraszam, tato. - Rozpromienił się z zadowolenia, gdy zobaczył Charlotte.

Oliver machnął mu ręką nad jej ramieniem, a on kłusem wybiegł z kuchni, wciąż się uśmiechając. Ollie znowu pochylił się, żeby pocałować Charlotte. Oboje zaczęli się

śmiać.

- Następny weekend? - jeszcze raz zapytał Oliver, rozbawiony, ale i zakłopotany.

- Jutro! - Uśmiechnęła się spokojnie, ustalając datę ślubu, na który się prawie spóźnili, zanim odzyskała rozsądek.

- Kocham cię - wyszeptał Oliver, czując jak bije mu serce.

- Ja też cię kocham - wyszeptała, a z oddali słyszeli dzieci biegające po schodach. Śmiały się i rozprawiały o dobrej nowinie.

Pod koniec tygodnia było w gazetach tylko tyle, że Charlotte Sampson i Oliver Watson pobrali się i wyjechali na tydzień na Hawaje, korzystając z pozwolenia producenta. Kiedy wracali do domu, fotoreporterzy czekali na nich i zrobili dziesiątki zdjęć na lotnisku.

Benjamin i Alex też na nich czekali. Benjamin uśmiechał się szeroko, a Alex spał w jego ramionach, bezpieczny przy swoim tatusiu.

- Mam nadzieję, że nasz również jest taki ładny - szepnęła do Olivera, gdy szli za Benjaminem po bagaż.

Oliver otoczył ramieniem swoją żonę i uśmiechnął się. Nie - martwił się o to. Miał wszystko: życie, jakiego pragnął, i kobietę, dzięki której nabierało ono sensu. I nie miał żadnych wątpliwości, że jest najszcześliwszym człowiekiem na ziemi.

- Wszystko wzięliśmy? - spytał, gdy Benjamin pomógł mu nieść torby.

A gdy wychodzili z lotniska, podeszła do nich z pośpiechem jakaś kobieta, piszcząc z podniecenia.

- Czy pani jest... czy pani jest Charlotte Sampson?

- Nie - Charlotte pokręciła głową z uprzejmym

uśmiechem - nazywam się Watson.

- Ach!

Kobieta przeprosiła ją i zniknęła. A oni we trójkę roześmiali się, dziecko spało. Oliver i Charlotte pojechali do domu, do swoich dzieci.